

John Stack

Okręt Rzymu

Przełożyła Marta Dziurosz

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nisko zawieszone słońce przebiło się na moment przez mgłę, oświetlając samotną postać na dziobie *Aquili*. Attyk pochylił szybko głowę i zamknął oczy, chroniąc je przed światłem. Instynktownie uniósł rękę i potarł powieki, usiłując pozbyć się zmęczenia, które czuł w każdej części ciała. W końcu spojrzął na zimowe słońce i ocenił, że znajduje się ono nie wyżej niż godzinę nad horyzontem. Jego słabe promienie dopiero teraz zaczęły przenikać mgłę, która napłynęła ciężkimi zwałami poprzedniego wieczoru, rzymską galerę wciąż więc spowijały jej opary.

Aquila – „Orzeł” – była triemą; trzy rzędy wiosel obsługiwało dwustu niewolników w kajdanach. Zbudowano ją w nowym, opancerzonym stylu: miała zamknięty górny pokład, który chronił siedzących poniżej wioślarzy przed biczami deszczu i wiatru. Była szczytowym osiągnięciem rzymskiego budownictwa okrętowego i przerażającą bronią.

Kiedy wiatr od morza się wzmógł, Attyk otworzył nieco usta, aby wzmocnić zmysł węchu. Dzięki bryzie nie dobiegały na dziób statku wonie przesyconego solą powietrza, dymu z przenośnych koszy na węgiel, smrodu z pokładu niewolników. Wiatr pomoże ukryć *Aquilę*, uniemożliwiając nadpływającej jednostce wyczucie aż nadto znajomych zapachów towarzyszących rzymskim

galerom.

Ponieważ widzenie utrudniały Attykowi ciemności, a potem mgła, miał zamiar wykryć swoją ofiarę dzięki rytmicznym uderzeniom bębna nadającego tempo wiosłom dwóch rzędów niewolników na biremie wroga. Z meldunków wiedział, że galera, na którą czyhali, będzie płynęła głównym kanałem blisko brzegu i minie zatoczkę skrywającą *Aquile*. Teraz, po wschodzie słońca, rzymski okręt chroniła mgła, lecz Attyk nie mógł liczyć, że się utrzyma.

Stukot ćwieków po drewnianym pokładzie obwieścił nadejście legionisty. Z oparów wyłonił się *hastatus*, młody żołnierz zaciągnięty niewiele wcześniej i niedoświadczony w boju. Stał prosto, prężąc szerokie barki; mięśnie ramion miał nieproporcjonalnie rozwinięte po wielu godzinach ćwiczeń z krótkim mieczem rzymskiej piechoty, zwanym *gladius*. Miał na sobie pełną zbroję i – choć jego twarz widoczna pod żelaznym hełmem była pozbawiona wyrazu – promieniował pewnością siebie.

Legionista zatrzymał się o dwa kroki od Attyka i stanął na baczność, po czym podniósł prawą pięść i uderzył nią w pierś, salutując stojącemu przed nim kapitanowi statku. Odgłos pięści walącej w kolczugę rozległ się nienaturalnie głośno w bezruchu poranka, przerywając ciszę. Legionista wyprężył się jak struna, gotów złożyć raport.

– Melduję, kapitanie... – zaczął donośnym głosem.

Zgodnie z zasadami patrzył wprost przed siebie, lecz szybko opuścił wzrok, kiedy kapitan nagle rzucił się na niego z morderczym wyrazem twarzy. Żołnierz próbował zareagować, lecz ruch nastąpił zbyt szybko; mężczyzna poczuł, jak kapitan zakrywa mu usta.

– Nie podnoś głosu, sukinsynu – syknął Attyk. – Chcesz nas wszystkich zgubić?

Legionista wytrzeszczył oczy, zaskoczony i wystraszony, i obiema rękami chwycił nadgarstki kapitana, próbując odsunąć je od ust. Wezbrała w nim panika, kiedy zdał sobie sprawę, że uścisk jest stalowy i nieustępliwy, a mięśnie ramienia kapitana niczym skała. Attyk rozluźnił nieco chwyt i chłopak zachłysnął się powietrzem. Kapitan opuścił dłoń, samym wyrazem twarzy nakazując ciszę.

– Ja... ja... – wybełkotał legionista.

– Spocznij, żołnierzu – przerwał mu Attyk. – Oddychaj.

Attyk właściwie dopiero teraz zauważył, jaki jest młody: miał najwyżej osiemnaście lat. Septymus, centurion żołnierzy floty, miał pod swoją komendą dwudziestu takich *hastati*. Chłopcy ci, którzy dopiero co przybyli z baraków, a wcześniej znali tylko własny dom, chętnie zaciągali się do armii w wieku szesnastu lat, aby jako obywatele Rzymu spełnić swój obowiązek.

– Centurion... – zaczął z wahaniem żołnierz – centurion chce z tobą rozmawiać.

– Powiedz mu, że nie mogę zejść z dziobu.

Legionista kiwnął głową, jakby mówienie było dla niego zbyt dużym wysiłkiem. Wyprostował się powoli.

– Tak jest, kapitanie.

Znów stanął na baczność, choć nie tak pręźnie jak wcześniej. Już miał zaszalutować, lecz nie uderzył się w pierś, spoglądając w oczy Attykowi.

– Przepraszam, kapitanie... Za wcześniej...

– Nie ma za co, żołnierzu, a teraz zamelduj się centurionowi.

Legionista odwrócił się na pięcie i odmaszerował, tym razem mniej zdecydowanym krokiem. Attyk odprowadził go wzrokiem i uśmiechnął się pod nosem. Od tych dziesięciu miesięcy, kiedy Septymus znajdował się na pokładzie *Aquili*, próbował narzucić swoją wolę Attykowi. On jednak odpowiadał za okręt i załogę, a Septymus – za zmniejszoną liczebnie centurię sześćdziesięciu żołnierzy stacjonującą na pokładzie. Byli praktycznie równi sobie rangą i mieli utrzymać równowagę między podległymi sobie jednostkami. Attyk wrócił na miejsce na dziobie triremy. Odruchowo sprawdził jej kurs i upewnił się, że czterej wioślarze – po dwóch na dziobie i rufie – utrzymują galerę pośrodku kanału. Znów znieruchomiał, koncentrując wszystkie zmysły na swoim aktualnym zadaniu. Bryza od morza zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, pozbawiając galerę tej dodatkowej przewagi, ponownie zmieniając rozkład sił, tym razem na korzyść ofiary.

Septymus stał wyprostowany na czele swojej centurii

na głównym pokładzie od strony rufy. Niemal dwumetrowy mężczyzna o wadze stu kilogramów budził respekt. Stał na lekko rozstawionych nogach, usiłując zachować równowagę na kołyszącym się łagodnie pokładzie. Prawica spoczywała lekko na rękojeści miecza, lewym ramieniem obejmował hełm. Jego ciemne, italskie rysy podkreślała burza czarnych, kręconych włosów, które nadawały mu nieco nieporządny wygląd.

Był na posterunku przed świtem; już ponad dwie godziny spędził w pełnym rynsztunku bojowym. Czekanie nigdy nie stanowiło dla niego problemu. Podczas dwunastoletniej kariery rzymskiego piechura nabrał niewyczerpanej cierpliwości właściwej zawodowym żołnierzom. Wstąpił do armii wkrótce po bitwie pod Benewentem, kiedy to rzymskie legiony w końcu rozgromiły zastępy Pyrrusa z Epiru, greckiego najeźdźcy, który chciał podbić Rzym i powiększyć swoje królestwo o tereny na drugim brzegu Adriatyku. Podczas gdy wcześniej po zakończeniu kampanii legiony zostałyby rozwiązane, zajadłość i nagłość ataku Pyrrusa przekonały Rzym, że potrzebuje stałej armii, wyszkolonej, zdyscyplinowanej i zawsze gotowej. Septymus był jednym z przedstawicieli tej nowej grupy: żołnierzem zawodowym, zaprawionym w bitwie i nawykłym do dyscypliny, częścią głównej siły wciąż rozrastającej się republiki.

Rok wcześniej walczył na Sycylii w bitwie pod Akragas, pierwszym otwartym starciu z mieszkańcami

Kartaginy, Punijczykami. Jako jeden z *principes*, najlepszych wojów legionu, otrzymał pozycję w jednym ze środkowych manipułów drugiej linii szyku potrójnego, *triplex acies*. Kiedy Kartagińczycy pokonali złożoną z *hastati* pierwszą linię, jako *optio*, zastępca centuriona, pomógł ustabilizować szyk, zanim Rzymianie przełamali front nieprzyjaciela. Jego czyny tego dnia zwróciły uwagę dowódcy, Lucjusza Postumiusza Megellusa, który nagroził go awansem do rangi centuriona.

Oczywiście, idzie sam, pomyślał Septymus, z uśmiechem patrząc, jak legionista wraca z dziobu triremy. Wiedział, że Attyk nie przyjdzie. Zanim Septymus trafił na *Aquilę*, nie darzył marynarzy szacunkiem. Pierwsze doświadczenia na morzu zebrał zaledwie cztery lata wcześniej, kiedy oddział specjalny składający się z czterech legionów – jakieś czterdzieści tysięcy ludzi – przewieziono barkami przez Cieśninę Messyńską na Sycylię, aby odparł natarcie Kartagińczyków na wyspę. Wtedy to rzymskie legiony po raz pierwszy wykorzystano poza stałym lądem, lecz ów rejs był tylko jednym ogniwem łańcucha, który stanowiła podróż legionów z obozów położonych dookoła Rzymu na sycylijskie pola bitwy. W odczuciu Septymusa marynarze ani trochę nie różnili się od niezliczonych pomocników świadczących usługi legionistom, a ich statki były nieporadnymi, niewygodnymi łajbami.

Aquila jednak była inna. Napędzała ją zarówno siła wiatru, jak i dwustu niewolników; niezwykle szybka i

zwrotna, wyglądała jak ogier w porównaniu z przypominającymi muły pociągowe barkami, z którymi Septymus zetknął się wcześniej. Sam Attyk wspaniale podkreślał zalety *Aquili*. Czuł się na pokładzie swojego statku jak w domu i miał wrodzoną umiejętność wydobywania wszystkiego, co najlepsze, z załogi i z galery. Estyma, jaką Septymus żywił wobec marynarzy, wywodziła się z jego szacunku dla Attyka. Septymus dwukrotnie brał już udział w walce na pokładzie *Aquili* i za każdym razem kapitan dowiódł, że może się równać z każdym centurionem.

Septymus zauważył, że legionista idzie po pokładzie cicho, a jego salut pozbawiony jest zwykłego wigoru.

– A zatem, żołnierzu, gdzie on jest? – spytał centurion, a w jego głosie słychać było groźbę.

Legionista się zawahał.

– Kapitan powiedział, że nie może zejść z dziobu.

Zapadła cisza. Żołnierz szykował się na nieuchronną naganę. Septymus zauważył jego minę i uśmiechnął się w duchu.

– Rozumiem – powiedział zwięźle. – Wracaj na pozycję.

Legionista znów zasalutował i z ulgą zajął miejsce w szeregach.

– Kwintusie – rzucił przez ramię Septymus – obejmij dowodzenie. Idę porozmawiać z kapitanem.

– Tak jest, centurionie – odpowiedział *optio*, przechodząc do przodu i na środek.

Septymus ruszył w stronę dziobu, mijając po drodze kilku ludzi z załogi, od świtu zajętej przygotowywaniem okrętu do akcji. Szło im to sprawnie bez niczyich rozkazów. Centurion podszedł powoli do kapitana.

Attyk stał na samym dziobie, wychylając się nad relingiem, jakby chciał sięgnąć przez nieprzeniknioną mgłę. Nadstawił ucha, kiedy usłyszał, że nadchodzi Septymus, ale się nie odwrócił. Był niższy, lżejszy i rok starszy od centuriona. Miał greckie korzenie: był synem rybaka z okolic należącego niegdyś do Greków miasta Lokry na terenach *Magna Graecia*, Wielkiej Grecji; ten czubek italskiego buta Rzymianie podbili w poprzednim pokoleniu. Attyk wstąpił do rzymskiej floty jako czternastolatek, nie z lojalności względem republiki rzymskiej – nigdy wcześniej nie widział Rzymu i niewiele wiedział o jego ustroju – lecz ponieważ wydawało mu się to konieczne. Jak wszyscy ludzie znad Morza Jońskiego jego rodzina obawiała się nieustannych ataków piratów grasujących przy wybrzeżach Kalabrii. Attyk nie miał zamiaru żyć w strachu, więc poświęcił swoją piętnastoletnią już karierę ściganiu piratów; miał nadzieję, że tego dnia ów pościg po raz kolejny przyniesie efekty.

– Chciałeś ze mną rozmawiać? – spytał Attyk, nie odwracając się.

– Tak, dzięki, że się tak szybko pojawiłeś – odpowiedział sarkastycznie Septymus. – No i gdzie ci twoi piraci? Myślałem, że spodziewaliśmy się ich spotkać godzinę temu.

– Nie wiem, gdzie są – odparł ze złością Attyk. – Nasze źródła twierdziły, że ich birema mija tę część wybrzeża co drugi dzień przed świtem.

– Czy twoje „źródła” mogą się mylić?

– Nie, życie tych rybaków zależy od znajomości ruchów piratów po tych wodach. Oni się nie mylą... ale coś jest nie tak. Ten statek powinien był już nas minąć.

– Mogłeś go przeoczyć z powodu mgły?

– Wątpię... piracką biremę? Z odległości pół ligi usłyszałbym ich bębny. Nie... nie minęła nas.

– A jeśli płynęła pod żaglami?

– Tak blisko brzegu to niemożliwe, tym bardziej przy tym przerywanym wietrze od morza.

Septymus westchnął.

– To co teraz?

– Mgła rzednie. Poczekamy, aż zniknie, i wypłyniemy. Bez zwiadowcy na tym cyplu – wskazał wylot zatoczki – nikt nas nie ostrzeże, że ktoś nadpływa, a będzie nas tu widać. Nie możemy ryzykować, że ktoś odetnie nam drogę.

Jakby na rozkaz Attyka mgła dookoła nich się rozstała. Septymus już miał zejść z dziobu, kiedy coś przyciągnęło jego wzrok. Na tym odcinku kalabryjskiego wybrzeża Cieśnina Messyńska miała ponad trzy mile szerokości; pod niebieskim niebem Septymus widział odległe brzegi wschodniej Sycylii. Jednak to nie z powodu tej wspaniałej panoramy centurion zatrzymał się w pół kroku.

– Teraz już wiemy, czemu piraci się nie pojawili – mruknął Attyk.

Pośrodku kanału, ligę dalej, dokładnie przed nimi, trzy triremy sunęły na północ, ku ujściu cieśniny. Była to awangarda, statki zwiadowcze; poruszały się powoli na wiosłach w formacji klina, ponieważ w pozbawionej wiatru cieśninie ich żagle były bezużyteczne.

– Na bogów – szepnął Septymus – kto to?

– Kartagińczycy! To tyryjski typ statku, cięższy niż *Aquila*, z ożaglowaniem do podróży morskich. Wygląda na to, że mgła mogła jeszcze trochę poczekać.

Mówiąc, Attyk nie patrzył jednak na trzy statki: kierował wzrok dalej na południe, w głąb cieśniny. W odległości ponad dwóch lig za awangardą dostrzegał ciemny zarys kadłubów następnych okrętów, całą flotę pod wodzą kwinkweremy, potężnej galery, która – tak jak *Aquila* – dysponowała trzema rzędami wiosł, lecz w górnym każde wiosło obsługiwali dwaj ludzie.

Septymus podążył wzrokiem za spojrzeniem Attyka i natychmiast zauważył inne statki.

– Na Jowisza – powiedział z podziwem – jak myślisz, ile ich jest?

– Co najmniej pięćdziesiąt – odpowiedział Attyk z twardym wyrazem twarzy.

– Co robimy? – spytał Septymus, odwołując się do autorytetu człowieka, który teraz kontrolował ich następne posunięcie.

Na chwilę zapadła cisza. Centurion oderwał wzrok

od nadciągającej floty i spojrzął na Attyka.

– A więc?

Attyk spojrzął mu w oczy.

– Uciekamy.

Hannibal Gisko, admirał punickiej floty i dowódca armii Kartaginy na Sycylii, był rozważnym człowiekiem. Od kiedy ponad pięć lat wcześniej objął dowodzenie nad kartagińską inwazją na Sycylię, nalegał na to, żeby każdą znaczącą grupę galer poprzedzała awangarda. Dzięki temu wszelkie niebezpieczeństwa wykrywano na długo, zanim zbliżyła się do nich właściwa flota. Poprzedniego wieczoru przeniósł się ze swojej flagowej kwinkweremy, *Melkarta*, na *Elissar*, triremę, której przydzielono na następny dzień funkcję patrolową. Flota płynęła do Panormos na północnym wybrzeżu Sycylii, gdzie Gisko zamierzał rozmieścić swoje siły wzdłuż linii brzegowej, chcąc zablokować porty kontrolowane przez Rzymian i utrudnić wrogowi transport zaopatrzenia ze stałego lądu. Kapitan galery naturalnie odstąpił admirałowi swoją kabinę, lecz choć była wygodna, Gisko spał niespokojnie, a po głowie krążyły mu pełne wyczekiwania myśli o nadciągającym dniu. Mieli przepłynąć przez ujście cieśniny, tam gdzie Sycylię dzieliła od stałego lądu zaledwie liga – była to oczywista trasa dla rzymskiej floty zaopatrzeniowej. Jako dowódca awangardy chciał być jednym z pierwszych, którzy tego dnia upuszczą Rzymianom krwi.

Tego ranka Gisko wstał o świcie i zajął swoje miejsce na dziobie *Elissar*. Cieszył się, że znowu może dowodzić pojedynczym statkiem, i to triemą, rodzajem okrętu, na którym zdobył doświadczenie jako kapitan i który doskonale znał. Rozkazał kapitanowi *Elissar*, aby zwiększył odstęp między awangardą a flotą z normalnej odległości jednej ligi do dwóch. Pamiętał, że kapitan już miał zakwestionować rozkaz, ale rozmyślił się i poszedł dać sygnał dwóm pozostałym statkom, aby dostosowały się do jego tempa. Dobrze znał reputację admirała.

Zaledwie rok wcześniej, kiedy Gisko miał pod komendą obleżone Akragas na południowo-zachodnim wybrzeżu Sycylii, wbrew wszelkim przeciwnościom się nie poddawał, choć mieszkańcy miasta – jak i jego żołnierze – głodowali, a wszelkie próby zawiadomienia kartagińskiej floty o rzymskim oblężeniu spęły na niczym. Okazało się, że jego nieustępliwość odniosła skutek, ponieważ posiłki ostatecznie przybyły, i choć Kartagińczycy przegrali w końcu bitwę i stracili miasto, po ich zastępach rozniosły się przerażające plotki o admirałe i jego zdeterminowaniu.

Gisko zwiększył odstęp, aby znaleźć się na pozycji nieco większego zagrożenia. Jeśli teraz napotkaliby wroga, przybycie z pomocą zajęłoby flocie więcej czasu. Chciał, żeby pierwsza potyczka tego dnia była w miarę sprawiedliwym pojedynkiem, a nie rzezią. Nie wynikało to z poczucia honoru – Gisko uważał honor za puste słowo – lecz z potrzeby zaspokojenia jego żądz walki.

Jego wysoka ranga dowódcy oznaczała, że coraz częściej znajdował się na tyłach zastępów, nie na linii frontu; od dawna nie czuł uderzającej do głowy gorączki bitewnej, uczucia, którym się rozkoszował i które miał nadzieję poczuć tego dnia.

– Uciekamy? Dokąd? – spytał Septymus. – Te trzy statki na pewno nas nie zauważyły, może powinniśmy po prostu nie ruszać się z miejsca. Wciąż pełno kłębow mgły, może znów nas otoczy.

– Nie, nie możemy sobie pozwolić na takie ryzyko. Mgła jest zbyt kapryśna. Raz mieliśmy szczęście, ich zwiadowcy nas nie zauważyli, ale Hocie z pewnością się to uda. Jeśli pięćdziesiąt statków przepłynie nam przed dziobem, któryś na pewno nas dostrzeże. Jedyne, co możemy zrobić, to wymknąć się im. – Odwróciwszy się od Septymusa, krzyknął: – Lucjuszu! – Momentalnie dołączył do nich zastępca kapitana *Aquili*. – Rozkazy dla dobosza, ruszamy normalną prędkością. Kiedy wypłyniemy poza zatoczkę, zarządz prędkość bojową. Sprowadź z niższego pokładu wszystkich rezerwowych wioślarzy. – Lucjusz zasalutował i odszedł. Attyk zwrócił się do centuriona. – Septymusie, niech dziesięciu twoich ludzi idzie pod pokład, aby utrzymać tam porządek. Nasi wioślarze może i są przykuci do wiosł, ale chcę, żeby byli posłuszni i żeby ktoś pilnował rezerwowych. Będę też potrzebował żołnierzy na rufie. Ci punicy dranie będą nas gonić i ktoś musi chronić mojego sternika przed

ich łucznikami.

Septymus odszedł, żeby wypełnić jego komendy.

– Gońca! – zawołał Attyk.

Natychmiast pojawił się przy nim marynarz.

– Rozkazy dla sternika: po wypłynięciu z zatoczki kurs na północ. Niech się trzyma wybrzeża.

Posłaniec odbiegł w stronę rufy. Attyk poczuł, jak galera się przechyliła, kiedy dwieście wiosł jednocześnie wbiło się w spokojne wody zatoki; *Aquila* ożyła pod jego stopami. Po chwili wydostała się już poza zatoczkę i skierowała w prawo, omijając cypel, aby popłynąć równoległe do brzegu. Tak jak miał nadzieję Attyk, przy plażach wciąż unosiły się kłęby mgły: pozwoliła im się tam utrzymać różnica temperatur między lądem a morzem. Jego sternik, Gajusz, świetnie znał ten fragment linii brzegowej i aby nawigować, potrzebował niewielu punktów odniesienia. Po przepłynięciu pięćdziesięciu kroków *Aquila* znów znalazła się pod osłoną mgły, lecz Attyk mógł jedynie zgadywać na jak długo. Choć powiedział Septymusowi, że ma zamiar uciec kartagińskiej awangardzie, wiedział, że nie będzie to możliwe. Jeden statek nie mógł prześcignąć trzech. Potrzebował innego wyjścia. Było tylko jedno.

– Goniec! Rozkazy dla sternika: kiedy miniemy tę skarpe, trzy rumby na bakburtę.

Goniec zniknął. Attyk usiłował oszacować, w jakiej są pozycji względem awangardy. *Aquila* płynęła prędkością bojową, wróg – normalną. Oceniał, że *Aquila*

znajduje się równolegle względem okrętów przeciwnika... teraz... a teraz przed nimi. Im dłużej utrzyma się mgła, tym większe będą mieli szanse.

Utrzymała się przez kolejne dwa tysiące kroków.

Aquila wypadła na światło słońca niczym ogier wybiegający z ciasnej stajni. Prędkość bojowa okrętu sięgała siedmiu węzłów, a Attyk z satysfakcją zauważył, że kiedy galera kryła się we mgle, wyprzedziła kartagińską awangardę o pięćset kroków. Właśnie miał się odwrócić w stronę rufy, aby dać sygnał do zmiany kursu, kiedy *Aquila* zareagowała na ruch dłoni Gajusza na jej sterze.

Bystry jak zawsze, uśmiechnął się w duchu Attyk. Galera weszła na nowy kurs, płynąc ukośnie przez cieśninę. Oznaczało to, że minie dzioby awangardy w odległości nie większej niż trzysta kroków. Chwycił reling, czując puls statku tętniący, w miarę jak rytmiczne pociągnięcia wiosła popychały go po wodzie.

– Statek na sterburcie... Rzymska trirema... Płynie na północ.

Gisko podbiegł do olinowania grotmasztu i zaczął się wspinać na szczyt ze zwinnością nietypową dla pięćdziesięciodwuletniego mężczyzny. W połowie drogi zerknął w górę i zobaczył, że obserwator wskazuje ręką w stronę dalekiego stałego lądu. Podążył wzrokiem za jego dłonią. Rzeczywiście: jakieś pięćset kroków przed nimi rzymska trirema mknęła wzdłuż brzegu.

– Oceniam, że płynie z prędkością bojową! – krzyknął obserwator, kiedy przestał się już dziwić na widok uczonego olinowania admirała. – Na pewno chowała się gdzieś przy brzegu, ukryta za mgłą...

Gisko obserwował rzymską triremę, upewniając się co do jej kursu. Stanowił dla niego zagadkę.

To nie ma sensu, myślał. Dlaczego nie płyną równoległe do brzegu, dlaczego o połowę zmniejszają przewagę nad nami?

Gisko zszedł z powrotem na pokład, dwadzieścia stóp poniżej. Kiedy tylko dotknął stopami desek, ocenił sytuację. Załoganci gorączkowo opróżniali pokład przed bitwą. Zauważył, że są dobrze wyszkoleni i sprawnie działają.

Na dziobie dostrzegł kapitana, który bez wątpienia go szukał.

– Kapitanie! – krzyknął. – Co o niej sądzisz? – zapytał, gdy mężczyzna podszedł do niego.

– Z pewnością rzymska, zapewne jednostka patrolująca brzeg, może trzydziestu załogantów i pomniejszona centuria żołnierzy. Jest szybka, płynie teraz prędkością bojową i dobrze tnie wodę. Jest lżejsza od naszych okrętów, może o kilka węzłów szybsza przy najwyższych osiągnięciach.

Gisko był ciekaw, czy kapitan zwrócił uwagę na jej kurs.

– Coś jeszcze? – spytał.

– Dowodzi ją głupiec. Jeśli utrzyma obecny kurs,

mamy szansę pół na pół na złapanie go.

Admirał ponownie przyjrzał się rzymskiej galerze. Płynęła przed nimi, jakieś czterdzieści stopni od ich dziobu po sterburcie, lecz zamiast podążać równolegle do *Elissar*, utrzymując przewagę, wybrała zbieżny kurs, który mniej więcej po trzystu krokach doprowadzi ją tuż przed dziób kartagińskiego statku.

– Kapitanie, zmień kurs, dwa rumby na sterburte.

Kapitan wydał polecenie gońcowi, który pobiegł do sternika, na rufę. Okręt zmienił nieco bieg, a Gisko z zadowoleniem zauważył, że pozostałe dwie triremy natychmiast się dostosowały. Kapitan miał rację pod jednym względem – Rzymianin faktycznie był głupcem – lecz mylił się pod innym: szansa, że ich złapią, była znacznie większa niż pół na pół.

– Przyspieszyć do prędkości ofensywnej, admirale?

Za pierwszym razem pytanie nie dotarło do dowódcy. Wszystkie zmysły koncentrował na rzymskiej galerze, teraz znajdującej się czterysta kroków przed nim, po prawej. Musi wiedzieć, że z każdym ruchem wiosła zmniejsza przewagę, pomyślał. Dokąd on ucieka?

– Czy zwiększyć prędkość? – powtórzył kapitan.

– Co? – spytał wciąż zamyślony Gisko. – Nie, utrzymać kurs i prędkość. Jeśli przyspieszymy, Rzymianie mogą zmienić kurs i popłynąć przed nami, w tym samym tempie. Pozwolimy im we własnym rytmie zmniejszyć dystans. Potem zaatakujemy.

Septymus ruszył w stronę dziobu. Zauważył korektę kursu, kiedy wyłonili się z mgły, i od razu poczuł niepokój. Co, u licha, wyczynia Attyk? Centurion mu ufał, ale ta decyzja wydawała mu się szalona. Do stojącego na dziobie kapitana dołączył Lucjusz i byli teraz pogrążeni w rozmowie. Zastępca był o dziesięć lat starszy od kapitana. Przypominał małego byka, był krzepki i nieustępliwy. Też pochodził z kalabryjskiego wybrzeża i przez całe życie był żeglarzem. Uchodził za surowego służbistę, ale postępował sprawiedliwie i cała załoga – a szczególnie Attyk – liczyła się z jego zdaniem. Rozmawiając z kapitanem, od czasu do czasu wskazywał palcem odległy brzeg leżący po drugiej stronie cieśniny.

– Tam – usłyszał jego głos Septymus, podchodząc – jakieś dwa rumby po sterburcie od dziobu, widać już grzywacze.

– Tak, wydawało mi się, że to tam. Lucjuzu, obejmij dowodzenie na pokładzie sterowym. Niech Gajusz stosuje się do moich sygnałów, kiedy Kartagińczycy zaczną za nami płynąć. Dopilnuj, żeby nie spuszczał ze mnie wzroku. Korekty kursu muszą być natychmiastowe.

– Tak jest, kapitanie – odparł Lucjusz i pośpiesznie wyminął nadchodzącego centuriona.

– Czy twoi ludzie są na miejscu, Septymusie? Pamiętaj, kiedy Kartagińczycy ustawią się za nami, możemy się spodziewać ostrzału ze strony ich łuczników. Mój sternik musi się koniecznie skoncentrować na swojej pracy, nie chcę, żeby się martwił, że między łopatki trafi

go strzała.

– Tak, są gotowi. Ale skąd ta zmiana kursu, Attyku? Zmniejszamy przewagę o połowę.

Attyk nie odpowiedział od razu. Obejrzał się na nadciągające galery, dwa rumby na bakburcie, nieco ponad trzysta kroków za nimi. Za moment będą płynąć ich śladem.

– Nie możemy po prostu uciec, złapią nas, zanim wydestaniemy się poza cieśninę. Jeden statek nie może wymknąć się trzem.

– Dlaczego nie, do cholery? To wszystko triremy, na pewno mógłbyś utrzymać to samo tempo co one. Widziałem już, jak ćwiczysz niewolników. Wszyscy oni są silni, z czterdziestoma rezerwowymi wioślarzami możesz utrzymać prędkość bojową co najmniej przez następną godzinę. Kartagińczykom nie udałoby się pokonać odstępów pięciuset kroków, zanimbyśmy wypłynęli poza cieśninę.

Attyk pokręcił głową.

– Zastanów się. Gdybyś był jednym z trzech ludzi goniących innego i wszyscy bylibyście równie wytrzymali, jak moglibyście dopaść swoją ofiarę?

Septymus zamyślił się na chwilę. Odwrócił się, aby spojrzeć na galery za nimi. Jedna prowadziła; dwie pozostałe, rozmieszczone za nią po obu burtach, ruszały się w tym samym tempie, płynąc niczym jeden organizm. Ale nie stanowią jedności, pomyślał Septymus – to trzy okręty. Dowódca awangardy nie potrzebował trzech

statków płynących tak samo szybko. Nawet z dwiema galerami mieli dość dużą przewagę liczebną nad *Aquilą*, aby zwyciężyć. Jeden okręt mogli poświęcić.

– Nie możemy się im wymknąć – powiedział na głos centurion. – Poświęcą jeden statek, żeby nas dopaść.

Attyk kiwnął głową, nie spuszczając wzroku z kartagińskiej pogoni. Wróg był teraz na linii rufy *Aquili*. Trzysta kroków.

– Septymusie, każ wszystkim opuścić dziób. Muszę bez przeszkód widzieć tylny pokład.

Centurion się zawahał; miał jeszcze jedno pytanie.

– Jeśli zatem nie możemy ich prześcignąć, jaki jest plan?

– Musimy wyrównać szanse – odpowiedział Attyk, całą uwagę przenosząc na wody przed nimi – więc skieruję *Aquilę* między Scyllę a Charybdę, między skałę a wir.

– Dostosować kurs i prędkość, kapitanie – rzucił przez ramię Gisko. Usłyszał, że kapitan powtarza komendę gońcowi, a chwilę później *Elissar* przechyliła się nieco, aby płynąć w ślad za rzymską triemą. Gisko nie widział załogi ściganego statku: Rzymianie ustawili wzdłuż rufy ścianę z dwóch rzędów wysokich na cztery stopy tarcz zwanych *scuta*; Gisko zakładał, że miało to na celu chronienie żeglarzy na pokładzie. Na długo ci to nie pomoże, pomyślał. Odwrócił się do kapitana ze zdecydowaną miną.

– Czas ich dopaść, kapitanie. Daj sygnał *Sydonowi*, aby podpłynął równolegle do nas.

Goniec znów pobiegł na pokład rufowy. Kapitan widział, jak *Sydon* wyłamuje się z szyku i przyspiesza, aby się zrównać z *Elissar*.

– *Sydon* jest na pozycji – oznajmił kapitan, odwracając się do admirała, ale Gisko już go wymijał, idąc w stronę relingu na burcie.

– Kapitanie *Sydonu!* – ryknął na odległość czterdziestu kroków, które dzieliły mknące obok siebie statki; ich wiosła znów pracowały jednocześnie.

Kapitan Karalis pojawił się na dziobie.

– Przyspieszyć do prędkości ofensywnej. Utrzymać przez dziesięć minut, a potem zwiększyć do prędkości do taranowania! – krzyczał z determinacją Gisko. – Ścigaj Rzymian co sił, kapitanie, batoż swoich niewolników, aż padną z wycieńczenia, nie oszczędzaj nikogo. Chcę, żeby rzymscy wiosłarze byli wyczerpani. Kiedy twoi ludzie zasłabną, wyprzedzimy cię i dogonimy tamtych.

– Tak jest, admirale. – Karalis zasalutował i natychmiast ruszył wydać rozkazy.

Gisko przyglądał się, jak spuszczone ze smyczy *Sydon* rzuca się przed siebie, przyspieszając do prędkości dziesięciu węzłów, jakby pozbył się wielkiego ciężaru.

Znów się obejrzał na rzymską galerę. Z podnieceniem wyczuwał zbliżającą się bitwę. Teraz była to już tylko kwestia czasu.

Attyk skoncentrował całą uwagę na wodach rozpościerających się przed nimi, usiłując odczytać każdy niuans kształtu fal. Skupienie przerwał mu goniec.

– Twój zastępca donosi, kapitanie, że jeden z kartagińskich statków wyłamał się z szyku i podpłynął równolegle do dowodzącej galery.

Attyk nie oderwał wzroku od wody: była spokojna, skała leżała w odległości dwóch tysięcy kroków. Miał czas. Swoich rozkazów dla Lucjusza nie mógł powierzyć gońcowi, musiał porozmawiać z nim osobiście. Ponownie zerknął na wodę przed dziobem, po czym się odwrócił i przebiegł pokład, kierując się na rufę. Lucjusz patrzył na płynące za nimi galery przez szczelinę w ścianie tarcz.

– Raportuj, Lucjuszu – powiedział Attyk.

Jego zastępca odwrócił się i wyprostował.

– Tak jak się spodziewaliśmy, kapitanie, jedna z galer Kartagińczyków się odłączyła i przyspieszyła do prędkości ofensywnej. Już zmniejsza odstęp między nami. Pozostałe dwie zajęły pozycje na jej flankach, z tyłu, lecz utrzymują prędkość bojową.

Attyk precyzyjnie przesunął się obok Lucjusza, aby przez ścianę tarcz zobaczyć wszystko na własne oczy. Galery wroga nadal płynęły w formacji klina, lecz teraz ta na czele wysforowała się znacznie do przodu.

– Lucjuszu, pozwól im dopłynąć na odległość stu kroków, a potem ruszaj czym prędzej. Prędkość ofensywna. Naśladuj każdy ruch ich wiosł. Nie mają nic do stracenia, więc będą nas gonić do upadłego. Utrzymają

tempo przez chwilę, a potem przyspieszą do prędkości do taranowania. Mam nadzieję, że do tej pory dotrzemy do Charybdy. Kiedy tak się stanie, dam sygnał do prędkości taranowania, a potem dla wioślarzy. Chcemy ich zaskoczyć, więc utrzymaj ich jak najbliżej. Nie możemy dać im czasu na reakcję.

Lucjusz kiwnął głową.

– Zrozumiano, kapitanie, będę wyglądał twojego sygnału.

Attyk ścisnął dłonią ramię swojego zastępcy, czując jego spokojną siłę; ufał mu.

– Do zobaczenia za Charybdą – powiedział.

– Albo w Elizjum – odparł z uśmiechem Lucjusz.

Septymus przyglądał się bez słowa, kiedy Attyk przedstawiał swoje rozkazy Lucjuszowi. Nie rozumiał strategii kapitana, choć miał on rację co do Kartagińczyków. Poświęcili jeden statek, aby wyczerpać *Aquile*, odebrać jej siły i sprawić, żeby nie mogła odpłynąć nawet normalną prędkością. Kapitan wrócił na dziób, a Lucjusz do obserwowania między tarczami zbliżającej się galery. Żołnierze nieustępliwie trzymali swoje *scuta* w miejscu, kiedy kolejne strzały uderzały w ochronną ścianę. Septymus stał przy zastępcy kapitana.

– Lucjuszu, czym są Scylla i Charybda?

– Scylla to skała, a Charybda to wir – odparł Lucjusz, nie odrywając oczu od ścigającego ich okrętu. – Starożytni wierzyli, że obie były niegdyś pięknymi nimfami morskimi, które rozgniewały bogów i zostały

ukarane. Scyllę przeobrazili w skałę, która sięga w morze, aby chwytać mijające ją statki, a Charybdę w wir, który je pochłania, gdy próbują ominąć Scyllę.

Lucjusz umilkł, oceniając odległość, po czym wrzasnął w stronę pokładu niewolników:

– Doboszu! Prędkość ofensywna!

Septymus słyszał, jak dobosz powtarza rozkaz dwustu spoconym wioślarzom. Tempo ich pracy zauważalnie wzrosło, a *Aquila* natychmiast zareagowała. Lucjusz raz jeszcze zerknął między tarczami i mruknął z aprobatą, po czym mówił dalej, jakby tylko nabrał tchu.

– Każdy statek, który nie zna cieśniny... a liczymy, że Kartagińczycy jej nie znają... może się znaleźć na kursie wzdłuż wybrzeża Sycylii. Po tej stronie cieśniny oznacza to drogę między Scyllą a Charybdą, skałą i wirem.

Karalis myślał przez chwilę, że rzymska załoga nic nie zrobi, może pogodzona z losem, a może skłonna do bitwy, gotowa honorowo zginąć. Niewykluczone, że jednak będzie miał okazję dobyć miecza. Karalis, jak i większość jego ludzi, był urodzonym Sardyńczykiem i choć szanował potęgę fenickich władców swojego kraju, nienawidził tego, jak się wywyższają. To, że świetnie rozumiał strategię admirała, nie złagodziło jego gniewu; kapitan wiedział, że to z powodu jego pochodzenia postanowiono, iż właśnie jego statek można poświęcić. Właśnie w chwili, kiedy na jego twarz zaczął wypełzać uśmiech radości – Karalis rozkoszował się myślą o

odebraniu Kartagińczykom pierwszej krwi – rzymski okręt zareagował, przyspieszając do prędkości ofensywnej. Kapitan zaklął. *Sydon* wciąż dzieliło od rzymskiej galery sto kroków. Teraz nigdy jej nie złapie. Nawet ze swojej początkowej pozycji na tyłach awangardy widział, że trirema jest bardziej smukła niż *Sydon*. Oceniał, że jest szybsza co najmniej o dwa węzły, co oznaczało, że jego wioślarze muszą pracować ciężiej, aby za nią nadążyć. Pomyślał, że to jednak nie ma znaczenia. Nawet najlepsi niewolnicy nie są w stanie utrzymać prędkości ofensywnej dłużej niż kwadrans. Przy prędkości do taranowania padną po pięciu minutach. Karalis miał zamiar wypełnić swoje rozkazy. Utrzyma nieustępliwe tempo. Zmusi swoich niewolników do pracy poza granice wytrzymałości. Wyrwą serce rzymskim niewolnikom, a potem oba okręty, sardyński i rzymski, staną w miejscu: Sardyńczycy, aby odpocząć, Rzymianie – by zginąć.

Attyk starł z twarzy krople słonej wody i ponownie skupił wzrok na morzu przed sobą. *Aquila* sunęła teraz z prędkością ofensywną, wynoszącą jedenaście węzłów. Wyciągnął prawe ramię, dając Gajuszowi sygnał, aby dokonał kolejnej drobnej korekty kursu statku i utrzymał go nieco po prawej od Scylli. Kapitan ocenił, że przyspieszyli jakieś dziesięć minut wcześniej. Wiedział, na co stać jego załogę niewolników, i wiedział też, że zbliżają się do granic swoich możliwości. Znów przesunął

wzrokiem po powierzchni wody.

– Tam! – krzyknął sam do siebie. – Tam jest... prosto przed nami, osiemdziesiąt kroków stąd!

Okręcił się na pięcie i spojrzał w tył, na pokład rufowy. Lucjusz patrzył prosto na niego.

– Teraz, Lucjuzu! – wrzasnął Attyk, wyciągając pięść w powietrze, co było umówionym sygnałem. Rozkaz Lucjusza poniósł się wyraźnie po całym statku:

– Prędkość do taranowania!

Karalis zerknął na dwie kartagińskie galery płynące sto kroków za nim. Z każdym pociągnięciem wiosł *Sydonu* zostawały coraz bardziej z tyłu, choć kapitan wiedział, że kiedy rzymski statek już się zatrzyma, dopadną go w mgnieniu oka. Przeszedł pośpiesznie po pokładzie do schodów prowadzących w dół, na pokłady wioślarzy. Dobosz siedział u stóp schodów, utrzymując tempo nieco przewyższające prędkość ofensywną, aby nadążyć za rzymską triemą. Upłynęło dziesięć minut; czas przyspieszyć do prędkości do taranowania. Choć Karalis wiedział, że jego statek nie weźmie udziału w samym zatopieniu wroga, czuł, że krew żywiej krąży mu w żyłach z podniecenia na myśl o tym ostatnim etapie pogoni. Nigdy jeszcze nie płynął prędkością do taranowania dłużej niż przez dwie minuty. Zazwyczaj nie trzeba było więcej, aby rozpedzić jego galerę do maksymalnej szybkości dwunastu węzłów, która wystarczała, aby brązowy taran *Sydonu* przebił najgrubsze wręgi.

– Doboszu, prędkość... – Urwał, widząc, że rzymska trirema maksymalnie się rozpędza. Zawahał się zmieszany, po czym zebrał myśli. – Prędkość do taranowania, doboszu, prędkość do taranowania!

Pobiegł na dziób, aby się upewnić, czy dobrze widzi. Znajdująca się w odległości zaledwie stu kroków rzymska galera wypełniała jego pole widzenia. Wyprzedzała go nieco: smuklejsza budowa dawała jej przewagę przy tym tempie. Karalis oniemiał. Dlaczego, na bogów, Rzymianie mieliby przyspieszać bez powodu? Z pewnością ich wioślarze wytrzymają największą prędkość zaledwie przez chwilę? Kapitan *Sydonu* wciąż usiłował pojąć szaleństwo Rzymian, kiedy nagle wszystkie dwieście wiosel rzymskiej triremy wyciągnięto jednocześnie z wody.

Prędkość do taranowania *Aquili* wynosiła trzynaście węzłów; dobosz walił w bęben osiemdziesiąt razy na minutę, po czterdzięci uderzeń dla obu setek wiosel triremy. Attyk wychylił się przez reling na dziobie, mierząc odległość między galerą a skrajem wiru widocznego przed nimi. Ponownie wyciągnął prawą rękę, sygnalizując małą zmianę kursu: statek natychmiast zareagował na wprawna manipulację sterem, której dokonał Gajusz. Kapitan opuścił ramię, a okręt ustabilizował się na swoim ostatecznym kursie, który miał go zabrać na samą krawędź otchłani, w ziejącą paszczę Charybdy. Attyk pozwolił sobie na krótkie zerknięcie

przez ramię na goniącą ich galery. Ściana tarcz zasłaniała mu widok, lecz mimo to po ułożeniu jej wiosł widział, że czujnie naśladuje jego korekty kursu, w razie gdyby ofiara nagle drastycznie zmieniła trasę, próbując uciec. Znow odwrócił się w stronę dziobu, skupiając całą uwagę na miejscu, w którym *Aquila* miała musnąć krawędź wiru, za czterdzieści kroków... teraz trzydzieści... dwadzieścia...

Musiał dokładnie wymierzyć. Zbyt wcześnie, a statek nie będzie miał dość rozpędu, aby nim sterować; zbyt późno i wiosłarze od sterburty padną ofiarą prądów Charybdy.

Już, ta chwila już nadeszła, dziób *Aquili* dzieliło od Charybdy dziesięć kroków. Attyk okręcił się na pięcie, szukając Lucjusza i znajdując go przykutego do jego stanowiska na pokładzie rufowym. Ich spojrzenia się spotkały.

– Teraz, Lucjuszu! – ryknął.

Lucjusz odparł:

– Doboszu, podnieść wiosła!

Komendę natychmiast powtórzono na niższym pokładzie. Walenie w bęben ucichło. Niewolnicy rzucili się do przodu, obracając wiosła i podnosząc je z wody.

Aquila mknęła dalej, jej szybkość zmniejszyła się teraz niezauważalnie. Attyk popędził na tylny pokład, ledwie zauważając przerażone twarze wielu żołnierzy, którzy jeszcze nigdy wcześniej nie doświadczyli gniewu Charybdy. Po jego lewej kotłujące się wody wiru mknęły raptem metr od kadłuba galery, pędząc w przeciwnym

kierunku, lecz nie hamując jej ruchu.

Gajusz stał nieugięcie przy rumplu, ze stalowym wzrokiem usiłując utrzymać ster na osi statku; wyrównany kurs *Aquili* był kluczowy, jeśli nie miała wpaść we własną pułapkę. Kapitan zajął miejsce obok niego i położył lekko rękę na rumplu, chcąc wyczuć jakiegokolwiek charakterystyczne drżenie zdradzające parcie wody na płetwę sterową.

Attyk dostrzegł reakcję Gajusza na mgnienie oka, zanim drobne drżenie pod jego dłonią potwierdziło niezwyklej refleks sternika; chwycił mocno ster. Pod *Aquilą* niewidoczna macka prądu – zbyt słaba, aby zaatakować siedemdziesięcotonowy kadłub – napierała na ster, grożąc tym, że płetwa sterowa skreśli. W ciągu kilku chwil nacisk zwiększył się wielokrotnie, a mięśnie ramion obu mężczyzn napięły się, aby utrzymać ster na niezmiennym kursie.

Czas zwolnił, kiedy Attyk szacował w myślach, jak długo mijaliby wir. Widział obok siebie zaczerwienioną z wysiłku twarz Gajusza, pod stopami jego galera traciła rozpęd, a wróg był coraz bliżej. Rozległ się głos Lucjusza sygnalizującego coraz mniejszą odległość między dwoma okrętami:

– Siedemdziesiąt kroków... ! Sześćdziesiąt!

Załoga tymczasem z rozgorączkowanymi minami przyglądała się walce toczonej przez sternika i kapitana. Poza tymi wszystkimi bodźcami Attyk poczuł, że ster przesuwana się lekko pod jego dłonią, i przez chwilę zdjęło

go przerażenie, że podpłynął zbyt blisko wiru.

Utrzymaj kurs, *Aquilo*, ryczał w myślach, usiłując siłą woli przemówić do statku.

Niemal w tej samej chwili nacisk na ster ustąpił, a Attyk już wiedział, że galera przepłynie; wody dookoła jej kadłuba znów się uspokoiły, a wir został za jej rufą, po sterburcie. Odwrócił się do swojego zastępcy.

– Lucjuszu, ruszamy dalej. Idź pod pokład, każ rozmieścić rezerwę wioślarzy i całą dodatkową załogę. Zrób, co trzeba, ale natychmiast potrzebuję prędkości ofensywnej.

– Tak jest, kapitanie – odpowiedział Lucjusz i zniknął.

Attyk podszedł do relingu na rufie, aby spojrzeć na goniących. Wyszczrzył zęby z satysfakcją. Teraz Kartagińczycy poczują gniew Charybdy.

Sydon pruł wodę z prędkością dwunastu węzłów, błyskawicznie zmniejszając odległość od rzymskiej triremy. Karalis zawahał się przez moment, nie pojmując działań jej kapitana, zanim zwyciężyło jego wieloletnie doświadczenie dowódcy. Zdał sobie sprawę, że zrównają się ze ściganym statkiem w ciągu minuty. Zignorował wątpliwości i zaczął wydawać rozkazy zebranej załodze.

– Przygotować się do zderzenia! Zebrać drużynę abordażową!

Staranują rzymską galerę przez rufę; będzie to śmiertelny cios, który zniszczy jej ster i przedziurawi

kadłub pod linią wody. Kiedy Rzymianie będą dochodzić do siebie, jego grupa abordażowa przesadzi reling na rufie i wytnie stojących tam wysokich stopniem dowódców. Karalis poprowadzi ludzi osobiście, nie oszczędzą nikogo, a kiedy jego statek w końcu wypłucze się z potyczki, wyrywając taran z kadłuba rzymskiej triremy, ta pociągnie swoich przykutych kajdanami niewolników na dno.

Odstęp zmniejszył się już do pięćdziesięciu kroków, kiedy wiosła rzymskiego okrętu ponownie zaczęły pracować. Za późno, głupcze, pomyślał kapitan. *Sydon* znajdował się w miejscu, gdzie rzymska załoga z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu uniosła wiosła. Dopadnie ich już za moment.

Na pokładzie niewolniczym *Sydonu* wiosłarze nie mieli pojęcia, co się dzieje powyżej. Każdy z dwustu przykutych do wiosła mężczyzn był zamknięty we własnym piekle. Wielu z nich zdziczało przez lata spędzone przy wiosle i pracowali w milczeniu, a ich cały świat koncentrował się na nieustannym rytmie ruchów wiosłem, katorżniczym pociągnięciu, szybkim uwolnieniu go, aby przesunęło się do przodu, chwili odpoczynku, ponownym napięciu mięśni przy kolejnym pociągnięciu. Oblewał ich pot mieszający się z krwią po razach batem nadzorcy galerników i jeden po drugim mdleli z wyczerpania tylko po to, aby tam, gdzie padli, otrzymać kolejne brutalne ciosy, gdy rezerwowi wiosłarze zajmowali ich miejsce. Tempo było bezlitosne.

Pierwsza natrafiła na Charybdę trzydziestka wioślarzy z przedniego odcinka sterburty *Sydonu*. Niecały metr od nich, po drugiej stronie kadłuba, prąd wiru minął ich z prędkością dwudziestu węzłów. Trzymając się rytmu nadawanego przez dobosza, galernicy przesunęli wiosła do przodu i jednocześnie wbili ich pióra w wodę. Siła prądu natychmiast wyrwała im drzewce z rąk, napierając na wiosła i przyciskając je równoległe do kadłuba. Niewolnicy na dwóch niższych poziomach krzyczeli z bólu, kiedy wiosła z górnego rzędu – niemal pięciometrowe i ważące ponad dwadzieścia kilogramów – okręciły się w uchwytach i gruchnęły w nich, zabijając wielu. W chwili odmierzonej przez następne uderzenie w bęben ten sam los spotkał kolejną grupę trzydziestu wioślarzy. Po pokładzie niewolniczym szalało zniszczenie. Na sterburcie panował chaos, zamęt pełen pokaleczonych ludzi. Wioślarze na bakburcie nie opuścili ani jednego ruchu i pracowali co sił, wpychając okręt jeszcze głębiej w pułapkę.

Powietrze dookoła Karalisa rozdzierał odgłos pękającego drewna i krzyki z pokładów niewolniczych poniżej, a *Sydon* przechylił się nagle, kiedy stracił rozpęd od strony sterburty. Kapitan podbiegł do relingu na burcie w samą porę, aby zobaczyć, jak druga grupa wiosła łamie się o kadłub; znów rozległ się dźwięk świadczący o tym, że jego statek i załoga giną pod jego stopami.

– Na bogów – szepnął, kiedy zauważył przyczynę. Ogarnęło go przerażenie.

Okręt przechylił się jeszcze bardziej w prawo, kiedy wiosła po lewej burcie pracowały dalej, wpychając taran galery w wir. *Sydon* schwyciła siła podobna do uścisku dłoni boga, która obróciła okręt dookoła, na sterburcie, rzucając Karalisem i stojącymi obok o pokład. Łucznicy ustawieni na dziobie wpadli w kotłującą się kipieli; ich krzyki milkły, kiedy trafiali pod powierzchnię udreńczonych wód.

Karalis spojrział gorączkowo w stronę pokładu rufowego, modląc się o chwilę wytchnienia, lecz nie była mu dana. Sternik nie żył; w jego klatce piersiowej, gdzie rumpel zadał mu śmiertelny cios, ziała dziura. Nad *Sydonem* nie można było zapanować.

– Wy tam, pomóżcie! – krzyknął Karalis do trzech marynarzy, którzy leżeli na pokładzie koło niego. Zdał sobie sprawę, że jeśli nie wyhamuje pędu *Sydonu*, kiedy minie on już prąd, rufa trafi w szpony wiru i statek przepadnie.

Marynarze byli oniemiałymi z przerażenia. Nie mogli pojąć, jakie siły atakują ich okręt.

– No już! – wrzasnął Karalis. – Zanim wyrzucę was za burtę na łaskę potwora pod nami!

Natychmiast się poderwali; strach przed kapitanem i jego groźbami przewyciężył ich lęk i dezorientację. Podążyli za nim na pokład rufowy, ale nieokiełznane wirowanie statku sprawiło, że jeden z nich stracił równowagę i wypadł za reling.

Rozpęd obracającego się okrętu przyciskał ster do

grodzi tak mocno, jakby był on przybity gwoździami do wręgów. Trzej mężczyźni chwycili niemal dwumetrowy rumpel i z całych sił próbowali zmienić kurs tak, aby *Sydon* znów płynął prosto przed siebie. Opór był nieprawdopodobny: płynący z szybkością dwudziestu węzłów prąd schwycił dziób *Sydonu* i ogarnął pióro steru, przenosząc swoją energię w górę trzonu, aby przeciwstawić się sile marynarzy i kapitana. Nacisk zmniejszył się nieco, kiedy dziób wyminął wir, i choć Karalis i jego ludzie usiłowali przywrócić sterowi położenie na osi statku, kapitan wiedział, że walka ta jest beznadziejna: rozpęd osiemdziesięcotonowej galery był zbyt wielki. Jego przerażenie odbiło się echem w krzykach ludzi, a Karalis poczuł, że wir chwyta rufę statku, wciąga galereę głębiej w kipieli, skazując wszystkich na pokładzie na zagładę.

Z odległości sześćdziesięciu kroków Attyk słyszał krzyki niewolników i pęknięcie ich wiosł, kiedy Charybda pochłaniała wroga. Dziób galery w mgnieniu oka dostał się w wir, a statek obrócił się rufą w stronę *Aquili*. Attyk przyglądał się z pełną przerażenia fascynacją, jak grupka mężczyzn walczy z rumpem statku Kartagińczyków. Potęga wiru udaremniła ich wysiłki: Charybda nieubłaganie wciągała statek coraz bliżej środka, prąd nie puszczał jego kadłuba. Attyk jeszcze nigdy nie słyszał takich krzyków przerażenia.

– Septymusie! – krzyknął.

Centurion podszedł, kręcąc głową ze zdumieniem.

– Na bogów, Attyku, pierwszy raz w życiu widzę coś takiego. Jakąż potęgę ma to morze, że potrafi pochłonać statek?

– Charybda zajęła się jednym – wyjaśniał sytuację Attyk. – Statek po sterburcie dowodzącej jednostki płynie prosto w stronę wiru. Zda sobie sprawę z zagrożenia i albo zrezygnuje z pościgu, albo spróbuje opłynąć niebezpieczne miejsce. W każdym razie nie stanowi już zagrożenia. Wciąż jesteśmy zbyt daleko od ujścia cieśniny, żeby uciec trzeciemu statkowi. Będzie nas ścigać, wiedząc, że reszta floty jest niedaleko. Naszą jedyną szansą jest zaatakowanie i unieruchomienie go oraz wycofanie się, zanim przybędą posiłki. Kiedy już wypłyniemy poza cieśninę, podniesiemy żagle, aby zrobić użytek z pasatów wiejących na południe wzdłuż Morza Tyrreńskiego. *Aquila* potrafi prześcignąć każdą kartagińską triremę.

Septymus kiwnął głową, zgadzając się z rozumowaniem kapitana, /nów obejrzał się ponad relingiem rufowym na dwa pozostałe statki wroga, zastanawiając się, który będą musieli zaatakować. Attyk wyrównał szanse. Teraz nadeszła kolej, aby Septymus i jego ludzie przejęli inicjatywę.

Stojąc na pokładzie dziobowym *Elissar*, Gisko przyglądał się całej scenie z coraz większym niedowierzaniem. Ze swojej pozycji na tyłach pogoni nie

potrafił dokładnie ocenić odległości między *Sydonem* a rzymską galerą, lecz wiedział, że nie może być duża. Rzymianie nagle podnieśli wiosła i zanim Gisko zdążył pojąć przyczynę tego działania, znów je opuścili i płynęli dalej jakby nigdy nic. Potem, całkiem niespodziewanie, *Sydon* jakby się ugiął i skręcił dziko na sterburte. Do teraz wirował z niebywałą prędkością: jego kadłub rozpadał się na kawałki pod potwornym naciskiem. Na ten widok Gisko wprost oniemiał.

– Co to za czary? – wymamrotał stojący obok niego kapitan. – To robota Plutona. Musimy przerwać pościg.

– Nie! – ryknął Gisko. Słowa kapitana pozwoliły mu dać upust frustracji i przerażeniu. – Nie wycofamy się. Natychmiast przyspieszyć do prędkości ofensywnej i dać sygnał *Hermesowi*, aby kontynuował pogoń.

– Tak jest, admirale – mruknął kapitan, rozdarty między strachem przed człowiekiem stojącym obok niego a nieznanymi siłami atakującymi *Sydon*.

Gisko już w pełni rozumiał poczynania rzymskiej triremy, począwszy od jej nietypowego i z pozoru samobójczego kursu, na niewytłumaczalnym podniesieniu wioseł skończywszy. Myśl o tym, jak Rzymianie wystrychnęli go na dudka, podsyciła jego gniew. Uzbrojony w wiedzę, że wróg przepłynął przez te wody z prędkością ofensywną, zaryzykował prognozę, że droga przed nim jest wolna; kierowała nim teraz żądza zemsty.

Kapitan Maghreb przyglądał się losowi *Sydonu* z

pokładu rufowego *Hermesa* z nie mniejszym przerażeniem. Skazana na zgubę galera znajdowała się sto kroków przed nim. Dźwięki łamiących się wręgów mieszały się z ostatnimi krzykami jej tonącej załogi.

– Cała stop! – ryknął zdjęty strachem Maghreb. Wiosła *Hermesa* podniesiono, a galera natychmiast zaczęła wytracać prędkość. Kapitan spojrział na *Elissar*, spodziewając się, że i tam wyciągnięto wiosła z wody. Mógł tylko patrzeć z niedowierzaniem na nadawany przez admirała sygnał do kontynuowania pościgu.

– Prędkość sterowna, obserwatorzy na pokład dziobowy! – wrzasnął Maghreb i natychmiast oderwał spojrzenie od *Elissar*, aby obrzucić wzrokiem wody przed sobą, spodziewając się, że w każdej chwili ujrzy wir, który pochłonie jego statek. Galera zwolniła do dwóch węzłów, sunąc czujnie po wodzie w poszukiwaniu skraju wiru. Maghreb mógł mieć tylko nadzieję, że *Hermes* opłynie wir na czas, aby dołączyć do *Elissar* w pogoni.

– Zwrot przez sztag – rozkazał Attyk, bez przerwy patrząc na nadciągającą kartagińską galere. Jej towarzyszka usiłowała właśnie opłynąć Charybdę. – Bądź gotów, Gajuszu – dodał. – Spróbuj tak wymanewrować, żeby nas staranować. W tym leży ich siła, a nasza słabość.

Gajusz kiwnął głową, całym sobą koncentrując się na okręcie wroga, który skreślił o trzy rumby na sterburte, chcąc przepłynąć na ukos przed dziobem *Aquili*. Gajusz wiedział, że przeciwnik spróbuje wykonać ciasny nawrót,

żeby zaatakować ich od strony burty, staranować śródkręcie. Odwrócił *Aquile* o trzy rumby na bakburte, aby skontrolować ruch wroga, utrzymując dzioby obu galer na przecinających się kursach.

Septymus zebrał swoich żołnierzy na głównym pokładzie, przygotowując drużyny abordażowe, które miały przeskoczyć nad relingami *Aquili* na kartagińską galere. Podzielili się na dwie grupy. Pierwsza grupa dwudziestu *hastati* i dwudziestu *principes* – łącząca nowych rekrutów z doświadczonymi żołnierzami – szła zając pozycję na pokładzie dziobowym. Drugą grupę, starszych *triarii*, rozmieszczono na głównym pokładzie, aby mogli stawić czoło ewentualnemu abordażowi ze statku nieprzyjaciela. Każdy zamiast ponadmetrowej tarczy *scutum* miał *hoplon*. Te lżejsze, okrągłe tarcze były greckiego projektu i świetnie nadawały się do wymagającego szybkości i zwinności abordażu. Żołnierze mieli za sobą długą musztrę mającą na celu odzwyczajenie ich od zwykłej tarczy legionów.

– Spokojnie – powiedział Septymus, wyczuwając agresję i nerwowe napięcie panujące wśród zebranych za nim ludzi. Galera wroga zbliżała się szybko.

Elissar pruća fale z prędkością jedenastu węzłów, a rzymska galera powtarzała i kontrowała każdy jej ruch. Gisko się nie spodziewał, że Rzymianie tak szybko zaangażują się w walkę; był pewien, że będą dalej pędzić co sił w stronę ujścia cieśniny w próżnej nadziei na

ucieczkę. Ta zmiana sytuacji wywołała ciąg natychmiastowych, instynktownych rozkazów, które przygotowywały galere do potyczki. Sternik ciężko pracował, aby ustawić *Elissar* w pozycji umożliwiającej taranowanie, ale jego rzymski odpowiednik dorównywał mu umiejętnościami. Galera wroga była teraz oddalona o pięćdziesiąt kroków, a jej dziób celował prosto w dziób *Elissar*. Nie będzie możliwości staranowania jej. Kiedy ich dzioby się zetkną, obie załogi powiążą je ze sobą, chcąc wejść na pokład drugiego statku.

Gisko odwrócił się od nadpływającej galery, aby wyrzeć ponad reling na rufie. *Hermes* okrążył północny skraj wiru, a jego ostrożność rozsierdziła admirała. Rozkazał *Hermesowi* dołączyć do niego podczas pogoni: ich połączone siły były na początku potrzebne, aby Rzymianie nie uciekli. Teraz *Elissar* zmierzy się z wrogiem sama. Gisko nie mógł powstrzymać wzbierającej w nim żądzy krwi i zemsty za stratę jednej z jego galer. Za nim kartagińska flota nacierała z prędkością bojową. Oceniał, że kiedy już rozpocznie potyczkę z Rzymianami, reszta floty zrówna się z nimi w ciągu kwadransa.

Admirał opuścił pokład rufowy i pomaszerował zdecydowanym krokiem na dziób, zostawiając ster pod opieką kapitana. Gisko miał sam dowodzić abordażem, stojąc nieugięcie w pierwszym szeregu. Mocniej chwycił rękojeść miecza, czując pod palcami twarde żelazo. Wyciągnął oręż nagłym ruchem. Ostrze zadźwięczało o

pochwę.

– Przygotować się do zderzenia i abordażu!

Jego ludzie ryknęli z nieskrywaną agresją. Gisko pozwolił im krzyczeć, pozwolił im napełnić serca i myśli gniewem, wściekłością, którą powali Rzymian.

– Przygotować się do rzutu! – rozkazał Septymus i dwudziestu *hastati* uniosło ciężkie oszczepy, *pila*, na wysokość ramienia.

Gajusz dokonał ostatniej korekty kursu, kiedy dwie galery zbliżały się do siebie z prędkością ofensywną. Obiema rękami mocno ścisnął wytarty drewniany rumpel, utrzymując stały kurs, zapierając się nogami w oczekiwaniu na komendę. Między okrętami było teraz już tylko dziesięć kroków odstepu.

– Atak! – ryknął Septymus.

Cała dwudziestka *hastati* cisnęła oszczepami niemal poziomo w zbite szeregi Kartagińczyków stojące na przednim pokładzie *Elissar*. Każdy oszczep miał długość dwóch i pół metra i żelazny grot, który nadawał mu straszliwą moc. Kiedy *pila* trafiały w cel, grot odłamywał się od drzewca, przez co broń stawała się bezużyteczna. Niespodziewany grad ciosów spowodował potworną rzeź wśród Kartagińczyków, przełamując ich szyk, gotów już wejść na pokład *Aquili*.

– Sterburta, wycofać się! – krzyknął Attyk, po czym ruszył biegiem w stronę dziobu.

Komenda poniosła się wyraźnie na niższy pokład, a

dobosz powtórzył ją wiosłarzom po sterburcie. Niewolnicy natychmiast zatrzymali wiosła i pociągnęli je w swoją stronę. W mgnieniu oka na zewnątrz kadłuba wystawały tylko ich ponadpółmetrowe pióra.

Gajusz lekko przesunął rumpel, aby statki się spotkały, i podwodna część dziobnicy *Aquili* wbiła się w wyciągnięte wiosła na sterburcie *Elissar*. Siła zderzenia czteroipółmetrowych wiosł z siedemdziesięcotonową rzymską triemą rozpędzoną do jedenastu węzłów rozrzuciła kartagińskich wiosłarzy niczym szmaciane lalki. Wiele wiosł pękło, a te, które wytrzymały, uderzyły trzymających je niewolników. Przykuci do miejsc mężczyźni nie mieli dokąd uciec i kiedy *Aquila* minęła już *Elissar*, kartagińska galera była na sterburcie pełna zmasakrowanych ciał.

– Haki! – rozkazał Septymus, kiedy pokład dziobowy *Aquili* zrównał się z rufą wroga.

Trzej z jego ludzi natychmiast przerzucili wyposażone w cztery zęby haki ponad wąską przestrzenią oddzielającą okręty. Kiedy znalazły punkt oparcia na pokładzie *Elissar*, żołnierze czym prędzej uchwycili przywiązane do nich liny i zaczęli z całych sił ciągnąć. Odstęp zmniejszył się do metra. Septymus podbiegł i wskoczył na reling na sterburcie, z łatwością zachowując równowagę z mieczem w jednej ręce i okrągłą tarczą w drugiej.

– Ludzie *Aquili*, za mną! – krzyknął i przeskoczył pustkę ziejącą między dwiema galerami, lądując pewnie

na pokładzie rufowym kartugińskiej jednostki.

Żołnierze zawyli, ogarnięci bitewną gorączką; bez wahania podążyli za centurionem ponad relingami wrogiego statku, krzykiem domagając się pierwszeństwa przy przelewaniu kartagińskiej krwi. Septymus natarł prosto na stojącego najbliżej człowieka i uderzył go tarczą, przewracając go swoim rozpędem, tak że zatoczył się na kogoś z tyłu. Ta grupka Kartagińczyków, która została na pokładzie rufowym, uciekła przed atakiem. Za żołnierzami wskoczyli na pokład *Elissar* Attyk i Lucjusz z siekierami w dłoniach. Ich zadanie miało zająć zaledwie kilka chwil, czas, który Septymus i jego ludzie musieli okupić własną krwią.

Okrzyki bojowe żołnierzy przesadzających reling *Elissar* podsyciły frustrację admirała wzbudzoną nagłą zmianą rozkładu sił. Dookoła słyhać było krzyki rannych i umierających ludzi, a pokład pod jego stopami wciąż się chwiało po tym, jak rzymska trirema uderzyła o sterburkę *Elissar*, łamiąc jej wiosła. Szeregi jego ludzi rozpadły się pod bezlitosnymi ciosami oszczepów i teraz panował wśród nich chaos i bezwład.

– Ludzie *Elissar*, do mnie! – wrzasnął Gisko, atakując z pokładu dziobowego.

Weterani zareagowali szybciej niż niewprawni żołnierze, więc linia natarcia była nierówna i nieskoordynowana, lecz ich zajadłość i tak poniosła ich na łeb na szyję wzdłuż burty. Uderzyli w formację

Rzymian z rozpędem, wyhamowanym na przestrzeni jednego kroku przez niemal jednolitą ścianę tarcz.

Gisko zrobił unik przed ciosem rzymskiego żołnierza i zrewanżował się cięciem w jego udo. Mężczyzna krzyknął, kiedy klinga wbiła się głęboko w ciało, lecz zanim admirał zdążył zadać ostateczny cios, jego miecz powstrzymał inny Rzymianin, który po bloku natychmiast przypuścił bezlitosny atak. Gisko zdał sobie sprawę, że choć każdy z Rzymian walczy osobno, działają też jak drużyna, nakładając zasięg swoich mieczy. Ich zgranie odbierało impet szarży Kartagińczyków. Admirał wznowił kontratak, ponagłając swoich ludzi zajadłością własnego natarcia. *Elissar* nie podda się bez walki.

Kartagińskie okrzyki bojowe rozległy się z nową energią, kiedy wróg podjął kolejną próbę przełamania rzymskiego szyku. Dźwięk ten ponaglił Attyka i Lucjusza; pot lał się z nich strumieniami, kiedy zdwoili wysiłki, żeby odciąć rumpel od steru. Podniszczone, zahartowane drewno było twarde jak stal, lecz z każdym ciosem siekiery odpryskiwały od niego małe drzazgi i jego trzon o przekroju szerokości dłoni był przecięty już do połowy.

Na głównym pokładzie Septymus dostrzegł, że w jego formacji pojawia się szczelina, i natychmiast posłał tam swoich najlepszych ludzi. Po dwóch brutalnych minutach wyłom został załatany, a fala Kartagińczyków powstrzymana. W potyczce brały już udział ostatnie

rezerwy. Następnego wyłomu w szyku nie będzie już można obronić. Jeśli Kartagińczycy się przedrą, walka stanie się chaotyczna, a wszelkie szanse na odwrót przypadną.

Rumpel w końcu ustąpił pod ciosami Attyka i Lucjusza. Nawet gdyby kartagińskiej galerze udało się znów ruszyć, byłaby bezużyteczna bez steru.

– Septymusie! – ryknął Attyk. – Odwrót!

Septymus usłyszał sygnał.

– Odwrót taktyczny! – wrzasnął, a jego ludzie natychmiast ruszyli z powrotem w stronę pokładu rufowego.

Nagłe ustąpienie oporu zaskoczyło Kartagińczyków i między dwoma szeregami otworzyła się szczelina.

Drużyna dwudziestu *triarii*, która pozostała na *Aquili*, wypuściła deszcz oszczepów we flankę kartagińskiego zastępu, powstrzymując go i dając żołnierzom chwilę, aby mogli się wspiąć na relingi rufowe i wrócić na rzymską galerę. Wkrótce większość oddziału była już na pokładzie – na statku przeciwnika została tylko mała grupka, między innymi Septymus. Pod niemal nieustającym gradem oszczepów Kartagińczycy ponownie przypuścili atak; z centrum poganiał ich demoniczny dowódca, który usiłował wyciąć w pień pozostałych rzymskich żołnierzy, promieniując wściekłością. Liny haków odcięto, kiedy Septymus – jako ostatni – przeskakiwał nad powiększającym się odstępem między galerami.

Gisko mógł jedynie patrzeć z bezsilnym gniewem na to, jak rzymski okręt ponownie wysuwa wiosła, aby przyspieszyć ucieczkę. Kartagińska flota wciąż miała do nich dwa tysiące kroków drogi, zbyt dużo, aby powstrzymać Rzymian przed dotarciem do ujścia cieśniny. Na pokładzie rufowym stali dookoła niego jego ludzie, krzycząc buntowniczo i wyzywając Rzymian od tchórzy. Gisko milczał, wodząc wzrokiem wzdłuż relingów statku wroga. Dwaj mężczyźni, których szukał, stali obok siebie na pokładzie dziobowym; wyższego z nich, centuriona, rozpoznawał z potyczki. Byli dowódcami i Punijczyk od razu zauważył, że przyglądają mu się bacznie. Admirał wyrył sobie ich oblicza w pamięci. Kiedy rzymska galera oddaliła się na sto kroków, rozpoczęła zwrot przez sztag, aby wznowić północny kurs.

– *Aquila* – przeczytał Gisko na jej rufie.

Złożył w duchu bogom przysięgę, że któregoś dnia dopadnie ten statek i zemści się na całej jego załodze.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy wiatr wypełnił ogromną połąć płótna, żagiel wydał się z trzaskiem, a ruchome olinowanie napięło się pod jego naciskiem. *Aquila* w mgnieniu oka przyspieszyła do prędkości piętnastu węzłów; jej dziobnica pruća powierzchnię morza, rozbryzgując wodę po pokładzie dziobowym. Sterowanie galera wymagało niezwykłych umiejętności i koncentracji; Attyk widział, z jaką determinacją Gajusz walczy, aby Utrzymać ster na kursie. Chwila wahania i rufa galery przecięłaby limy wiatru. Żagiel zostałby poddany nierównym naciskom, olinowanie natychmiast by się zerwało, a ożaglowanie – opadło. Co jeszcze gorsze, gdyby olinowanie wytrzymało, wiatr wyróciłby galera do góry dnem.

Attyk przyglądał się w milczeniu, jak doświadczony sternik utrzymuje delikatną równowagę między przeważającym wiatrem a statkiem, koordynując je ze sobą tak, że galera idealnie dopasowywała się do prędkości i kierunku wiatru. Pewien, że Gajusz czuwa nad okrętem, Attyk wyjrzał ponad reling rufowy, aby się upewnić, czy Kartagińczycy ich nie gonią. *Aquila* znajdowała się teraz czterysta kroków od cypla na północno-wschodnim krańcu Sycylii. Punijczycy nie popłynęli za nimi poza cieśninę.

Attykiem targały sprzeczne uczucia, kiedy zdał sobie sprawę, że jego statek uciekł. Choć wiedział, że nie miał

wyboru, po raz pierwszy w życiu zbiegł. Puste morze za *Aquilą* kpiło nieobecnością wroga z kapitana i Attyk uderzył pięścią o reling. Świadomość, że podjął właściwą decyzję, nie wystarczała, aby złagodzić hańbę odwrotu.

Septymus stał bez słowa u jego boku. Z potyczki na pokładzie galery wroga nie wróciło ośmiu żołnierzy, w tym sześciu niskich rangą *hastati*, dla których w większości była to pierwsza bitwa. Mógł się tylko modlić o to, żeby wszyscy oni zginęli od miecza i żaden ranny nie został na okręcie wroga. Gdyby zostali wzięci żywcem, spotkałby ich straszliwy los. Ich poświęcenie uratowało *Aquilę*. Septymus powtórzył w myśli ich imiona.

– Dokąd płyniemy? – zapytał w końcu.

– Do jedyne go portu na północnym wybrzeżu, który kontroluje Rzym. Do Brolium.

Septymus kiwnął głową, patrząc ponad dziobem. Od kiedy znalazł się na *Aquili*, zdążył się pogodzić z tym, że nieznane mu morza są pełne wrogów, tak samo jak nieznane mu tereny Sycylii, kiedy służył w legionach. Jako legionista był pewien, że walczy w najlepszej armii lądowej na świecie. Na widok kartagińskiej floty zdał sobie sprawę, że Rzym nie cieszy się taką samą przewagą na morzu.

Osiem godzin później *Aquila* opłynęła wschodni cypel strzegący drogi do pozostającego w rękach Rzymian portu Brolium. Attyk stał sam na dziobie; kiedy

mijały godziny, wolał побыć na osobności. Roztrząsał każdy szczegół kartagińskich okrętów, z którymi się zmierzyli, każdą, nawet najmniejszą różnicę między nimi a *Aquilą*; w jego myślach powstawał powoli obraz cięższych, mocniejszych galer, które wkrótce będą plagą wód u północnego wybrzeża Sycylii.

Myśli Attyka przerwała nagła zmiana w przechyle pokładu: Gajusz ustawiał *Aquilę* do wpłynięcia w sam środek tętniących życiem wód portu, gdzie transportowe barki czekały na okazję, aby wyrzucić ładunek na już zatłoczone nabrzeże cichego niegdyś rybackiego miasteczka. Nawet z tej odległości Attyk słyszał szum głosów pracującego tłumu, przełamywany trzaskiem bata, gdy woźnica popędzał zaprzęg wołów; oznaczało to, że kolejny załadowany po brzegi wóz ruszył drogą na południe do ukrytego za miastem ufortyfikowanego obozu legionistów. Widok dokujących i odpływających barek, rozładowywanych i przeładowywanych towarów, ludzi i zwierząt walczących o miejsce na przepełnionym nabrzeżu sprawiał wrażenie zupełnie chaotycznego, lecz Attyk wyczuwał leżący u podstaw całej operacji porządek: nikt nie podnosił gniewnie głosu, a ludzie ruszali się sprawnie i zdecydowanie. Kampania na Sycylii była pierwszą prowadzoną przez legiony poza stałym lądem, a mimo to w ciągu kilku miesięcy rzymska umiejętność zaprowadzenia porządku i dyscypliny we wszystkich przedsięwzięciach sprawiła, że żołnierze funkcjonowali tak, jakby stacjonowali tuż pod samym

Rzymem. Attyk mógł tylko spekulować, czy gdziekolwiek istnieje naturalna granica, która mogłaby uchronić jakiś lud przed na pozór nieubłaganym marszem Rzymu.

Ostre komendy Lucjusza poniosły się ponad kakofonią; w coraz ciasniejszym wewnętrznym porcie zrzucono i uwiązano żagle, po czym wysunięto wiosła. Gajusz znów musiał zrobić użytek ze swoich niezwykłych umiejętności, wymijając barkę za barką. Załogi wykrzykiwały ostrzeżenia i przekleństwa za każdym razem, kiedy *Aquila* unikała kolejnych kolizji z powolnymi, ciężkimi statkami. Attyk obrzucił wzrokiem nabrzeże, szukając luki. Szybko jakąś dostrzegł i obliczył kąty. Będzie ciasno.

– Trzy rumby na sterburtę! – ryknął, a na drugim końcu galery Gajusz przyjął jego słowa kiwnięciem głowy i zręcznym przesunięciem rumpla. Attyk pobiegł na główny pokład, aby przygotować się do zejścia na ląd.

Aquila nakierowała dziób na pojawiające się wolne miejsce po barce, która właśnie rzuciła cumy, zwracając swój pusty już kadłub w stronę środka kanału. Na nabrzeżu ludzie podnosili głosy i ręce, przywołując kolejną czekającą barkę w cenną wolną przestrzeń, zanim jeden z nadzorców zauważył skierowany prosto na nią kurs *Aquili*, z przerażeniem zdając sobie sprawę z jej niechybnego zamiaru. Lucjusz wrzasnął, żeby barka ustąpiła im drogi, kupcy ze statku transportowego instynktownie usłuchali jego komendy, bojąc się

brązowego tarana *Aquili*, a galera wsunęła się sprawnie w miejsce po barce.

Attyk, Septymus i oddziałek sześciu legionistów zbiegli po trapie, kiedy tylko dotknął on lądu, a ich zdecydowanie stłumiło wszelkie protesty poirytowanego nadzorcy.

– Czekajcie w pogotowiu! – krzyknął Attyk do Lucjusza, który zasalutował i natychmiast wydał rozkaz, aby podnieść trap i odpłynąć od nabrzeża.

Legioniści utworzyli dwójki za kapitanem i centurionem, po czym wszyscy razem pomaszerowali w stronę miasta. Niewolnicy stłoczeni na nabrzeżu usuwali się, pozwalając przejść uzbrojonym ludziom, a kiedy jedna z grupek się rozproszyła, Attyk zauważył nadchodzącego dowódcę, który prowadził za sobą *contubernium* dziesięciu żołnierzy. Był wysoki i kościsty, szedł zdecydowanym krokiem, a na twarzy miał wyraz furii. Attyk natychmiast go rozpoznał. Był to Aulus, komendant portu.

– Za kogo ty się uważasz, do cholery? – wrzasnął Aulus, obchodząc trap rozładowywanej barki i przepychając się przez kolejkę tragarzy, którzy stali mu na drodze. Zwolnił kroku, kiedy rozpoznał zbliżającego się kapitana, i rozkazał swoim ludziom się zatrzymać. – Attyku, ty grecki psie! – krzyknął z uśmiechem. – Na jaja Jowisza! Co to za szaleństwo?

Mężczyźni przywitali się po rzymsku, chwytając się nawzajem za przedramiona.

– Powinienem był wiedzieć, że to *Aquila*, tylko Gajusz potrafiłby wykonać taki manewr. I Septymus! – zakrzyknął Aulus nad ramieniem kapitana. – Jak widzę, jeszcze żyjesz.

Septymus pozwolił sobie na uśmiech w reakcji na przyjacielski przytyk, wiedząc, że Aulus nie przepada za legionistami.

– Nie mogliśmy czekać na pozwolenie, Aulusie. Musimy się natychmiast zobaczyć z dowódcą portu.

Aulusowi udzielił się niepokój młodego kapitana; jeszcze nigdy nie widział go w takim stanie.

– Attyku, na Plutona, co się dzieje? – spytał już całkiem poważnie.

– Kartagińczycy, Aulusie, cała flota. Co najmniej pięćdziesiąt statków. Płyną na północ przez Cieśninę Messyńską.

– Kartagińska flota? Na tych wodach? Na bogów...

Aulus instynktownie rozejrzał się po zebranych dookoła barkach. Te statki i towary, które przewoziły między stałym lądem a Sycylią, stanowiły podstawę całej rzymskiej kampanii na wyspie. Jednak w porównaniu z galerami były ciężkie i nieporadne. Pięćdziesiąt kartagińskich okrętów mogło narobić ogromnych szkód.

– Attyku, ta wiadomość musi natychmiast dotrzeć do dowódców legionów – powiedział Aulus, nie patrząc na kapitana. Koncentrował całą uwagę na otaczających ich barkach i już wyobrażał sobie, jak Punijczycy je niszczą.

– Dlatego muszę czym prędzej pomówić z dowódcą

portu. On będzie mógł przekazać to bezpośrednio dowódcom legionów.

– Attyku... Gnejusz Korneliusz Scypion jest tutaj.

– Starszy konsul? Tutaj? – spytał z niedowierzaniem Attyk. – Co robi na Sycylii?

– Ma poddać inspekcji legiony przed wiosenną kampanią – odparł Aulus. – Przybył ledwie dwa dni temu. Zatrzymał się w willi dowódcy.

Attyk podniósł wzrok na willę górującą nad portem. Była oddalona o kwadrans drogi piechotą, jedną trzecią tego czasu konno, lecz w spokojne dni, kiedy ulice były prawie puste. Dziś odnosiło się wrażenie, że całe miasto tonie pod lawiną ekwipunku, niewolników i wołów pociagowych. Będzie potrzebował żołnierzy, aby oczyścili im drogę do siedziby konsula.

– Septymusie! – zawołał przez ramię. – Musimy jak najszybciej dostać się do tej willi.

– Zrozumiano – odparł centurion i odwrócił się do swoich ludzi. – Oddział... Dobyć mieczy! – rozkazał, a jego słowom odpowiedział charakterystyczny odgłos oręza wyciąganego z pochew.

Na ten dźwięk cały ruch dookoła zamarł; otaczający ich ludzie zatrzymali się w pół gestu. Stojący najbliżej natychmiast się odsunęli na widok ostrych jak brzytwy kling rzymskich mieczy. Po tłumie poniósł się szmer, kiedy wieść pomknęła po nabrzeżu, i tłum zaczął się rozstępować przed żołnierzami niczym dojrzałe zboże rozgarniane podmuchem wiatru. Septymus się odwrócił,

powoli wyciągnął własny miecz i podniósł go krzepko przed sobą. Poczuł znajomy ciężar broni, przypominając sobie, jak dobył jej ostatnio, ledwie kilka godzin wcześniej.

– Za mną – powiedział do Attyka, spoglądając ponad jego głową na otwierające się przed nimi przejście. – Oddział... Biegiem!

Drużyna ruszyła jak jeden mąż w szybkim tempie, dzięki czemu miała trafić do odległego o ponad dwie mile celu w kwadrans. Aulus odprowadzał ich wzrokiem, aż zniknęli mu z oczu, zasłonięci przez niewolników, którzy wrócili do pracy, jak gdyby nic się nie stało. Lecz coś się stało, pomyślał Aulus, coś się zmieniło. Cztery legiony stacjonujące na Sycylii robiły wrażenie niemożliwych do pokonania, wydawały się najlepszą armią lądową na świecie. Teraz Kartagińczycy zaczęli wykorzystywać swoją największą przewagę jako panowie na morzach. Było jasne jak słońce, że jeśli nikt nie powstrzyma tych pięćdziesięciu punickich okrętów, wróg zagłodzi czterdzieści tysięcy najświetniejszych rzymskich wojowników.

Attyk i Septymus wspięli się na ostatnie stopnie prowadzące do ogrodu na dachu willi. Szli za dwoma ubranymi w czarne peleryny pretorianami konsula. To, że musieli się naczekać, zanim dowódca straży ich wezwał, dodatkowo rozdrażniło Attyka po gniewnej wymianie zdań, którą odbył z nim na dziedzińcu willi. Pretorianie

słynęli z arogancji: uprzywilejowana pozycja strażników senatu wyróżniała ich na tle zwykłych legionistów, a ten konkretny dowódca – były centurion z czwartego legionu – żywił szczerą pogardę dla wszelkich innych rang. Początkowo od razu odrzucił prośbę ludzi z *Aquili* o audiencję u konsula, odwracając się do nich plecami, zanim jeszcze skończyli mówić, jakby nawet odmawianie im było poniżej jego godności. Dopiero kiedy Attyk, ledwie hamując gniew, wycedził, że cała kampania jest zagrożona, dowódca straży się zatrzymał i ich wysłuchał, po czym zgodził się poprosić konsula o pozwolenie na audiencję.

Kapitan i centurion stanęli na baczność, kiedy pretorianie zatrzymali się tuż za granicą ogrodu. Gnejusz Korneliusz Scypion, starszy konsul senatu rzymskiego, sprawiał wrażenie, jakby nie zauważył ich przybycia: stał plecami do nich, powoli i metodycznie ochlapując ramiona i twarz zimną wodą z misy. Wyciągnął dłoń po ręcznik, który natychmiast podał mu potężny nubijski niewolnik. Dopiero potem odwrócił się do dwóch dowódców.

Attyk i Septymus zasalutowali jednocześnie, lecz konsul nie zareagował na ów gest, tylko nalał sobie wina do kubka. Attyk miał okazję przyjrzeć się stojącemu przed nim człowiekowi. Wiedział, że Scypion jest patrycjuszem, członkiem elity republiki rzymskiej, i jego zachowanie zdradzało wszelkie oznaki uprzywilejowanego wychowania. Był średniego wzrostu,

lecz utrzymywał taką posturę, jakby górował nad wszystkimi dookoła. Ruszał się jak wojownik, długimi, wolnymi, płynnymi ruchami, które zadawały kłam jego widocznej sile, i choć patrzył pod nogi, Attyk miał wrażenie, że jest w pełni świadom obecności każdego człowieka. Konsul spojrział na przybyszów, nie odrywając od nich oczu, kiedy wychylał łyk z kubka, i zarówno Attyk, jak i Septymus wiedzieli, że właśnie ocenia ich jeden z najpotężniejszych ludzi w republice.

– Raportujcie – rozkazał.

– Jestem kapitan Attyk Miloniusz Perennis, a to centurion żołnierzy floty, Septymus Letoniusz Kapito. Jesteśmy dowódcami triremy *Aquili* z portu Lokry, stacjonującej na Morzu Jońskim i w Cieśninie Messyńskiej. Dziś rano...

– Czekał – przerwał Scypion. – Znam nazwisko Letoniusz – kiwnął głową Septymusowi – ale nigdy nie słyszałem o Miloniuszach. Jakie są korzenie twojego rodu?

– Greckie – odpowiedział Attyk, cokolwiek zaskoczony pytaniem. – Z Brucjum.

Był to rejon na czubku buta Italii.

– Dlaczego Grek dowodzi rzymskim okrętem? – spytał konsul, usiłując wybadać młodego kapitana. Wiedział, że wiele jednostek rzymskiej floty dostarczają miasta z prowincji, a ich załogi stanowią mieszaninę ludzi z wszelkich zakątków republiki; myślał jednak, że wszystkimi galerami dowodzą rzymscy obywatele.

– Nazwisko jest greckie, ale pochodzimy z Brucjum, jesteśmy obywatelami republiki. Wstąpiłem do floty jako czternastolatek i wspiałem się po wszystkich szczeblach kariery do rangi kapitana.

Mówiąc, Attyk wyprostował się jak struna, a Scypion wyczuł w jego słowach o obywatelstwie i randze dumę oraz zdecydowanie. Przypomniawszy sobie, że Brucjum stanowiło niegdyś część Wielkiej Grecji, luźnego związku miast-państw, którego założyciele wywodzili się z kontynentalnej części Grecji. Rzym wchłonął całe te tereny niespełna pokolenie wcześniej, kiedy legiony zmyły z półwyspu płamę Pyrrusa, tak że niegdysiejsi wrogowie stali się współobywatelami.

– Raportuj dalej, kapitanie – powiedział Scypion, machając ręką. W jego myślach pojawił się teraz cień nieufności.

Attyk szybko zrelacjonował wydarzenia z poranka, podkreślając rozmiar floty wroga i jej kurs.

Scypion słuchał z niewzruszoną miną. Był przyzwyczajony do ukrywania myśli oraz uczuć przed innymi i wyszkolił się w zachowywaniu kamiennej twarzy niezależnie od tego, jakie wieści mu przynoszono. Jednak to doniesienie o flocie kartagińskich galer wstrząsnęło nim do żywego, kiedy zdał sobie sprawę z jego konsekwencji. Podniósł kubek z winem i z satysfakcją zauważył, że jego dłoń nie drży. Odwrócił się do Rzymianina.

– Centurionie, potwierdzasz ten raport?

– Tak, konsulu, każdy szczegół – odpowiedział bez wahania Septymus, czując, jak jego grecki przyjaciel jeży się na sugestię, że nie mówi całej prawdy.

Scypion spojrział w oczy obu mężczyznom po kolei, wciąż zachowując kamienną twarz. Attyk natychmiast omyłkowo zinterpretował to jako oznakę, że Scypion zupełnie nie pojął istoty ich raportu.

– Konsulu, flota płynęła na północ przez cieśninę. Za cel na pewno mają Termini lub Panormos dalej na tym wybrzeżu. Bazując tam, mogą rozmieścić siły wzdłuż całego północnego brzegu i atakować nasze barki transportowe, kiedy będą się one przeprawiać ze stałego lądu.

Scypion podniósł wzrok w chwili, gdy Attyk zaczął mówić, i słuchał uważnie, aż ten skończył. Dopiero wtedy wyraz jego twarzy się zmienił, nie na pełen zrozumienia i troski – czego spodziewał się Attyk – lecz furii.

– Jak śmiesz odzywać się bez pozwolenia? – warknął na kapitana. – Uważasz mnie za głupca? Milcz!

Attyk był oszołomiony wybuchem gniewu konsula; przeklął w duchu zachowanie rozmówcy. Jego okręt walczył zażarcie, aby uciec przed kartagińską flotą, i przez ostatnie osiem godzin Attyk popychał triremę do granic jej wytrzymałości. Według niego nie było chwili do stracenia i niezrozumiała reakcja konsula irytowała go. Dowódca portu w Brolium, człowiek, któremu miał nadzieję składać raport, rozmawiał ze swoimi kapitanami jak z równymi sobie, podczas prywatnych dyskusji

dopuszczając do siebie ich opinie i odmienne poglądy. Jednak ten człowiek, ten rzymski polityk, zachowywał swoje zdanie dla siebie i nie pytał o nie innych.

– Natychmiast pójdziecie ze mną do obozu – zawiadomił obcesowo Attyka i Septymusa. – Poczekajcie na mnie na dziedzińcu.

Dwaj mężczyźni zasalutowali i okręcili się na pięcie. Osobista straż konsula ustawiła się szybko dookoła nich i wyprowadziła z dachu.

Scypion podszedł do poręczy i wyjrzał na ciągnące się poniżej doki. Tempo pracy nie zmniejszyło się w ciągu popołudnia, lecz wyglądało na to, że robotnicy mają już za sobą najtrudniejszą część rozładunku barek. Scypionowi przemknęło przez myśl pytanie, czy – biorąc pod uwagę nowe zagrożenie czyhające na wodach za granicami portu – będą to ostatnie zapasy dostarczone legionom na Sycylii.

Hannibal Gisko siedział w swojej kabine na okręcie flagowym *Melkart*, pijąc wino ze złotego pucharu. Naczynie należało niegdyś do prefekta Akragas, miasta, które Gisko zajął ponad rok wcześniej. Jak i całą radę miasta, prefekta ukamienowano; była to kara za zamknięcie bram przed natarciem Kartagińczyków. Nie była to dobra śmierć. W rogu kabiny, na sofie, spoczywał Hamilkar Barkas, przyglądając się admirałowi w milczeniu. Dostrzegł lekki uśmiech na jego twarzy i zaczął się zastanawiać, co go wywołało, po frustracji,

która malowała się na obliczu admirała po powrocie na okręt flagowy.

Hamilkar słuchał wtedy, jak Gisko opisuje ucieczkę rzymskiej triemy, kryjąc zaskoczenie na widok gniewu admirała. Niewolnicy pracowali z wprawą i szybko, kiedy Gisko mówił, zdejmując z admirała zbroję i tunikę, obmywając jego ciało wodą z wonnościami i wmasowując oliwę w wyraźnie napięte mięśnie jego torsu i ramion. Znajoma rutyna do pewnego stopnia złagodziła frustrację admirała, lecz Hamilkar uznał, że dopiero teraz, kiedy się uśmiechał, nadeszła odpowiednia chwila na omówienie konsekwencji ucieczki rzymskiego okrętu.

– Wspomniałeś, że była to galera z floty przybrzeżnej? – spytał Hamilkar spokojnym tonem, pozbawiając głos wszelkich śladów oceny.

– Tak, lżejsza od naszych. Pewnie poluje na piratów.

Hamilkar kiwnął głową, pozwalając, aby znów zapadła cisza. Doświadczenie, którego nabył w sali posiedzeń geruzji, rady Kartaginy, podyktowało mu wybór kolejnego pytania.

– Będzie zatem uciekała wzdłuż północnego wybrzeża Sycylii?

Gisko mruknął w odpowiedzi; młody człowiek i jego obecność na pokładzie okrętu flagowego mu się nie podobały. Wraz z mianowaniem Barkasa, „wysłannika” geruzji – obserwatora i doradcy, który nie odstępował admirała na krok – ingerencja rady w sprawy wojskowe sięgnęła nowych szczytów.

– Bez wątpienia do najbliźszego rzymskiego portu, gdzie rozpowie wszystkim, że nasza flota trafiła na te wody... – Hamilkar nie ustępował, usiłując skłonić admirała do ujawnienia jego opinii na temat tej zmiany sytuacji.

– To nie ma większego znaczenia, Barkas, Rzymianie i tak wkrótce by się dowiedzieli – odparł Gisko, nie mając zamiaru przyznać, że to, iż nie udało mu się dopaść rzymskiej triremy, ma jakąkolwiek wagę.

Rozmowę przerwało im stukanie do drzwi.

– Wejść – rozkazał admirał.

Wszedł Kronos, dowódca jego osobistej straży, i stanął na baczność.

– Kapitan Maghreb z *Hermesa* stawia się na rozkaz, panie.

– Dobrze, wprowadź go, Kronosie.

Gisko wstał i nachylił się nad stołem pokrytym kartagińskimi mapami wód otaczających wschodnie i północne wybrzeża Sycylii. Dowódca straży wprowadził obstawionego przez czterech żołnierzy Maghreba, któremu wcześniej odebrano miecz i sztylet. Kapitan stanął na baczność i zasalutował.

– Stawiam się na rozkaz, admirale – powiedział, usiłując ukryć napięcie w głosie.

Nie udało mu się. Gisko usłyszał w nim strach.

– Kapitanie – zaczął admirał – przestudiowałem wszystkie nasze mapy tych wód. Nie potrafię znaleźć na nich żadnego śladu wiru, który napotkaliśmy dziś rano.

Rzymianie przechytrzyli nas dzięki lepszej znajomości tych rejonów. Nie mogliśmy wiedzieć o ich planach.

Maghreb wyraźnie się rozluźnił. Choć wciąż stał na baczność, Gisko zauważył, że ramiona kapitana nie są już tak napięte i że nie wstrzymuje już oddechu.

– Następnym razem nam nie uciekną – dodał Maghreb, wyczuwając nastrój admirała.

– Nie, kapitanie – odparł zimnym głosem Gisko.

Stali, patrząc na siebie w milczeniu, i Maghreb znów poczuł się nieswojo pod spojrzeniem admirała. Miał nieodgadniony wyraz twarzy, lecz kapitan czuł, że uniknie potępienia za ucieczkę rzymskiej galery.

Mylił się.

– Dowódcu straży! – krzyknął nagle Gisko, przerywając przytłaczającą ciszę. – Ten człowiek nie wypełnił moich rozkazów, trzeba go ukarać. Brać go!

Kronos zerknął na dwóch strażników i wskazał głową kapitana. Natychmiast rzucili się do przodu i chwycili go za ramiona. Szok Maghreb ustąpił przerażeniu i kapitan zaczął się opierać trzymającym go ludziom.

– Ale... – błagał, zdjęty strachem, nie pojmując decyzji admirała. – Sam mówiłeś, że nie mogliśmy wiedzieć o pułapce Rzymian. Zaskoczyli nas. My...

– Dosyć! – ryknął Gisko. – Miałeś rozkaz kontynuować pościg rzymskiej galery. Nie zrobiłeś tego, a wróg uciekł. Nie ma dla tego usprawiedliwienia.

– Przecież... – zaczął bezradnie Maghreb.

– Odprowadzić go, dowódcu – zarządził Gisko. –

Przywiązać go do tarana.

Na ten wyrok Maghreb natychmiast umilkł; zdrewniał z obezwładniającego przerażenia. Kronos zasalutował i wyprowadził skazanego z kabiny.

Hamilkar przyglądał się całej scenie z niedowierzaniem. Przez te dwa miesiące, kiedy śledził każdy ruch admirała, coraz dobitniej uświadamiał sobie jego podstępłą naturę. Hamilkar już wcześniej widział podobne sytuacje i za każdym razem metody dowódcy raziły jego poczucie honoru. Gisko zwykł przed atakiem uśpić czujność wroga, a Hamilkar wiedział, że nie ma to innego celu poza połechtaniem jego dobrego mniemania o sobie.

Siadając znów za stołem, Gisko zauważył wyraz twarzy Hamilkara. Zza drzwi słychać było okrzyki błagającego o litość kapitana, którego ciągnięto na pokład na spotkanie z losem.

– Nie pochwalasz tego, Barkas?

Hamilkar nie odpowiedział, czując, że Gisko nie przepada za nim z powodu jego pozycji; wiedział też, że admirał chce sprowokować konfrontację, dzięki której mógłby usprawiedliwić swoje działania.

– Powiem ci coś, młody człowieku – zaczął Gisko protekcyjnym tonem. – To strach powoduje ludźmi. Strach przed porażką. Strach przed zemstą. Strach przed...

– Hannibalem Giskonem? – przerwał Hamilkar, a w każdym jego słowie było słychać potępienie.

– Tak – odparł Gisko, jakby usiłował wytłumaczyć

swój tok rozumowania niezbyt rozgarniętemu dziecku – strach przed Hannibalem Giskonem. Maghreb miał rozkaz doścignąć rzymską galereę i nie wypełnił go. Zapłaci za to życiem.

Hamilkar ugryzł się w język, świadom, że kłótnie z ludźmi pokroju admirała są jałowe. Ten człowiek był pozbawiony honoru, nie miał pojęcia, co naprawdę motywuje innych, co daje im determinację, która pozwala na stworzenie i utrzymanie imperium. Hamilkar wstał powoli z sofy, czując na sobie lekceważące spojrzenie admirała, i poszedł w stronę drzwi. Opuścił kabinę bez słowa, zadowolony, że nie przebywa już w jego towarzystwie.

Hamilkar dotarł na pokład, kiedy Kronos i dwaj inni strażnicy przechodzili ponad relingiem dziobowym. Barkas przeszedł wzdłuż galery, ignorując dowódcę straży, kiedy mijali się w połowie długości kadłuba. Zanim zdążył dojść do pokładu dziobowego, Kronos wydał już rozkaz, aby *Melkart* znów ruszył w drogę. Hamilkar wyjrzał za reling na widocznego poniżej Maghreba. Leżał na wznak, twarzą do góry, przywiązany do tarana galery. Kiedy okręt stał w miejscu, był tylko do połowy zanurzony w wodzie; jednak kiedy kwinkwerema przyspieszyła do normalnej prędkości, zaczęły rozbijać się o niego fale. Maghreba czekało powolne, bardzo powolne utonięcie.

Hamilkar przyglądał się z podszytą przerażeniem fascynacją, jak Maghreb próbuje nabrać tchu między

kolejnymi falami. Zabłąkany bałwan napełnił jego usta wodą, a kapitan kaszłał i pluł, aby oczyścić znękane płuca. Zyskał moment wytchnienia, ale po chwili znów trafił pod powierzchnię. Potem poderwał twarz i Hamilkar ujrzał na niej wyraz najczystszej strachu. Zimne morze przerwało krzyk udreki; bez końca napływające fale były obojętne na los kapitana. Maghreb znów odkaszlnął, lecz jego płuca cały czas napełniały się wodą.

Hamilkar oceniał, że na spokojnych przybrzeżnych wodach, przy zwykłej prędkości, utonięcie zajmie Maghrebowi co najmniej pół godziny. Po obu stronach *Melkarta* zebrały się inne galery, a większość ich załóg stanęła przy relingach, aby się przyjrzeć wymierzanej kapitanowi karze. Hamilkar widział po ich minach, że admirałowi udało się osiągnąć swój cel: wzbudzić lęk w sercach. Maghreb milczał, a jego wykrzywione oblicze i młójące ramiona stanowiły jedyny dowód jego płonnej walki z morzem. Hamilkar odsunął się od relingu, aby nie widzieć kapitana.

Barkas spędził pierwsze dziesięć lat swojej wojskowej kariery na południowym wybrzeżu Iberii, gdzie stacjonował w Malace. Była to granica imperium Kartaginy, tereny nowych podbojów wywalczone od Celtów, którzy wcześniej kontrolowali odizolowany półwysep. Podczas tamtej kampanii Hamilkar wyrobił sobie reputację i zasłużył na miejsce wśród przodków swojego prastarego rodu, którzy też brali udział w owej kampanii. Tamta walka była brutalna, korzyści

terytorialne okupione wielkim wysiłkiem. Hamilkar zaprowadził wielu ludzi na spotkanie ze śmiercią, bezwzględnie zmuszając ich do przeciwstawiania się nieustannym atakom Celtów. Zawsze jednak robił to z honorem, zawsze za pomocą siły swoich ludzi połączonych więzami lojalności z Kartaginą i ich dowódcą.

Jeszcze nigdy nie spotkał się z Rzymianami na polu bitwy. Lata wcześniej Kartagina i Rzym walczyły razem jako sprzymierzeńcy z Pyrrusem z Epiru. To przymierze doprowadziło do obecnego konfliktu: ową honorową niegdyś unię Rzym zawarł, aby ocalić swoje tereny, po czym przeobraził wspólne zwycięstwo w niehonorowy najazd na Sycylię pod pretekstem ratowania mieszkańców Messyny przed armiami z Syrakuz. Inwazja ta zagroziła rozległym interesom Kartaginy na wyspie.

Kości zostały rzucone. Rzymska trirema uciekła, więc spotkanie z wrogiem w bitwie było jedynie kwestią czasu. Spojrzenie Hamilkara stężało, kiedy ta myśl przyszła mu do głowy; delectował się wizją wypędzenia Rzymian z Sycylii i ponownego zajęcia przez jego lud pozycji władców Morza Śródziemnego.

Oddział liczący sześćdziesięciu strażników, czyli połowa pełnego manipułu, stał w szyku na dziedzińcu willi; wzdłuż szeregów chodził tam i z powrotem centurion, poddając ludzi inspekcji. Na czele formacji stał *signifer*, chorąży, trzymając w górze proporzec manipułu. Łagodna bryza od lądu poruszała materiałem proporca, a

złote krążki zawieszane u dołu uderzały o siebie z brzękiem jak dzwonki na wietrze. Septymus przyjrzał się fladze i zauważył na niej symbol byka, co oznaczało, że to manipuł Drugiego legionu, jednego z czterech biorących obecnie udział w sycylijskiej kampanii. Swego czasu Septymus należał do Dziewiątego legionu, który wraz z Drugim stacjonował tuż za Brolium. Pozostałe dwa legiony, Szósty i Siódmy, miały obozy dalej na południu, blisko granicy z Syrakuzami; lokalizacja ta miała znaczenie polityczne – chodziło o to, aby kontrolować Hierona II, tyrana Syrakuz. Ich stałe miejsce oznaczało, że ciężar wiosennej kampanii najbardziej odczują dwa legiony z Brolium.

Prowadzący inspekcję centurion spojrzawszy ponad głowami swoich ludzi w stronę wejścia na dziedziniec i zauważył Septymusa oraz Attyka. Podeszedł do nich swobodnym, miarowym krokiem dowódcy manipułu, człowieka czującego się świetnie na pozycji władzy i pewnego swojego miejsca w życiu.

– Przedstawić się! – zażądał.

– Kapitan Perennis z triemy *Aquila* i centurion żołnierzy floty Kapito stawiają się na rozkaz starszego konsula – rzekł Septymus.

Centurion mruknął, a po jego minie było wyraźnie widać, co sądzi o marynarzach i piechocie morskiej. Septymus zignorował niewypowiedzianą obelgę, ale zapamiętał sobie twarz centuriona.

– Ustawić się w pierwszym szeregu – rozkazał

legionista. – Konsul jest już w drodze.

Attyk i Septymus zajęli miejsce w formacji żołnierzy. Centurion jeszcze raz rzucił okiem na zebranych ludzi, po czym stanął na czele grupy, przed chorążym. Wszyscy czekali nieruchomo na pojawienie się konsula.

Scypion przybył pięć minut później. Towarzyszył mu jego własny dowódca straży i dwunastoosobowy osobisty oddział pretorianów. Ich charakterystyczne czarne peleryny unosiły się za nimi na wietrze, kiedy maszerowali równym krokiem za dowódcą. Konsul machnął ręką, a dowódca straży rozkazał żołnierzom, aby się zatrzymali. Łomot ich podbitych ćwiekami butów niósł się głośno w cichym powietrzu popołudnia. Scypion poszedł dalej sam, aby poddać inspekcji oddział legionistów. Wyczuł bezruch stojących przed nim żołnierzy, ich dyscyplinę i jednakowość. Wszystko to go zachwycało i przywoływało wspomnienia z jego własnej służby w legionach; były to łatwiejsze czasy, kiedy zasady i rozkazy regulowały całe jego życie, tak jak teraz sprawa się miała w wypadku tych ludzi. W pierwszym szeregu formacji zauważył dwóch dowódców z *Aquili* i rzuciło mu się w oczy, że wciąż mają na sobie pełen rynsztunek bojowy. Dobrze dbali o swoje zbroje i nosili je ze swobodą, choć po obu widać było ślady stoczonych walk.

Scypion się odwrócił, usłyszawszy parsknięcie konia. Chłopak stajenny prowadził w ich stronę jasnosiwego ogiera krwi iberyjskiej, wysokiego na szesnaście piędzi.

Rozgrzano go i oporzędzono; teraz szurał prawym kopytem o bruk, a całe jego ciało było kłębem powstrzymywanej energii. Scypion podszedł do ogiera i poklepał go po grzywie i szyi, mówiąc do niego łagodnie, tonem wytrawnego jeźdźca.

– Wspaniałe zwierzę – powiedział w przestrzeń i dosiadł konia. Usadowił się wygodnie w siodle i odwrócił wierzchowca pyskiem do żołnierzy. Natychmiast zauważył, że koń jest rumakiem bojowym i reaguje na ruchy nóg oraz zmiany w rozmieszczeniu ciężaru ciała. Podczas potyczki jeździec mógłby władać orędzem obiema rękami, bez konieczności manipulowania lejcami. – Ustawić się w szyku! – rozkazał i zawrócił konia.

– Szyk marszowy! – wrzasnął centurion, a jednostka utworzyła dwadzieścia szeregów po trzech ludzi. Attyk i Septymus znaleźli się w pierwszej linii; kapitan galery cieszył się, że nie musi zmieniać pozycji, ponieważ nie był zaznajomiony ze szczegółami musztry manewrowej legionistów.

Straż konsula przeszła na czele pochodu przez podwójne odrzwia dziedzińca; za nią podążał Scypion, który musiał się schylić, przejeżdżając pod łukiem bramy. Dalej maszerował oddział żołnierzy Drugiego legionu, skręcając w prawo za bramą, aby pójść opadającą, krętą drogą do znajdującego się dwie mile dalej portu. Ulice przed nimi były puste, a zamknięte drzwi i okiennice kryły mieszkańców Brolium. Miejscowi byli przyzwyczajeni do obecności rzymskich żołnierzy, ale na

widok pretorianów w czarnych pelerynach i ewidentnie wysokiej pozycji człowieka, którego eskortowali, zatrwożeni ludzie się pochowali.

Kolumna wydostała się z Brolium i ruszyła drogą na południe do obozu. Po zatłoczonym szlaku ciągnął nieprzerwany łańcuch kupców wędrujących między miastem portowym a oferującym wiele lukratywnych okazji handlowych obozem wojskowym. Wszyscy schodzili z drogi nadchodzącym żołnierzom, wielu spychało swoje wózki z szerokiego na trzy metry traktu na ciągnące się wzdłuż niego pola. Przechodzący patrzyli z podziwem na Scypiona, majestatycznie prezentującego się w świetle zachodzącego słońca; jego zachowanie i posagowe rysy znamionowały bogactwo i wysokie pochodzenie, a rozmiar świty – ważne stanowisko.

Rzymskie obozowisko Drugiego i Dziewiątego legionu znajdowało się o milę na południe od Brolium. Był to ich obóz zimowy – *castra hiberna* – tymczasowa struktura przystosowana do długiego pobytu w czasie zimnych miesięcy. Pogoda już teraz zwiastowała nadejście wiosny, kiedy to pełna życia Ceres przeobrazi naturę, aby uczcić powrót Prozerpiny na ziemię z jej zimowego wygnania do Hadesu. Początek wiosny będzie również oznaczał początek kampanii legionów: wkrótce Rzymianie mieli wymaszerować z Brolium, aby rozpocząć walkę z Kartagińczykami zajmującymi zachodnią połowę Sycylii. Jeśli odniosą zwycięstwo, nie

wrócą i w sercu terenów należących obecnie do wroga zbudowany zostanie kolejny obóz zimowy.

Po drodze do obozu kolumna minęła wysunięte placówki legionów. Te posterunki wartowników znajdowały się o dwieście kroków od obozu przy każdym prowadzącym do niego szlaku, a stacjonowało w nich po czterech legionistów. Septymus widział, że uprzedzono ich o możliwym przybyciu konsula: wszyscy czterej stali na baczność przed wartownią, podczas gdy zazwyczaj jeden stałby na zewnątrz, a trzej odpoczywaliby w środku. Nie zapytali o hasło i pozwolili maszerującym przejść bez słowa. Wlepiali wzrok w horyzont, nie śmiać podnieść oczu na Scypiona ze strachu, że zwróca na siebie jego uwagę.

Główna część obozu miała kształt prostokąta złożonego z dwóch kwadratów – po jednym na każdy legion – a jego długa oś biegła równolegle do drogi. Cały ten teren otoczony był sporym okopem, szerokim na niemal pięć metrów i głębokim na półtora metra; wykopaną ziemię usypano za nim, aby utworzyć potężny wał obronny, na którym stał mur. Blisko głównej bramy, *Porta Praetoria*, wzmocniono go kamieniami, większość palisady jednak zbudowano z drewnianych pali wyciętych z dębczaków. Gałęzie młodych drzew zastrzono i poprzepłatano ze sobą, tworząc prawie niemożliwą do przebycia zapórę, a na każdym rogu stała wysoka wieża strażnicza ze świetnym widokiem na płaskie dno doliny.

Kolumna przeszła przez otwartą bramę obozu, znów

przez nikogo niezatrzymywana, i tuż za murami napotkała zwarte szeregi legionów Drugiego i Dziewiątego. Ustawiono ich manipułami; po każdej stronie drogi prowadzącej przez środek obozu w stronę położonej w centrum kwatery dowódców stał jeden legion. Kiedy Scypion przejechał przez bramę, legioniści ryknęli jednym głosem:

– Rzym zwycięski!

Scypion jechał miarowym tempem marszowym, nie oglądając się na boki. Był urodzonym dowódcą i serce zabiło mu szybciej, kiedy usłyszał dwadzieścia tysięcy ludzi krzyczących na jego cześć. Miał na twarzy dostoyny wyraz braterskiej dumy, jakby każdy stojący przed nim człowiek był jego młodszym bratem, bratem Rzymu. Na drugim krańcu drogi zatrzymali się wysocy rangą dowódcy legionów. Zwierzchnik pretorianów rozkazał kolumnie się zatrzymać, a Scypion zszedł z siodła i pokonał ostatnie kilka kroków pieszo.

– Pozdrowienia, starszy konsulu – rzekł wysoki, władczy człowiek stojący na czele grupy dowódców – Witaj na Sycylii. – Był to Lucjusz Postumiusz Megellus, legat rzymskich legionów i senator.

– Dziękuję, Lucjuzie – odparł Scypion, a w jego słowach nie było obłudy. Spędził w senacie ostatnie siedem lat, cały czas zyskując na wpływach i władzy. Jego kariera przysporzyła mu wielu wrogów i stojący przed nim człowiek niejednokrotnie wdał się z nim w konflikt, lecz zawsze honorowo, bez podstępów, i za to

Scypion go szanował.

Legat Megellus przedstawił Scypiona zebrany dowódcom. Prezentacje były krótkie, saluty oficjalne, ale przepisowe.

Septymus nie zwracał uwagi na grupę wodzów; patrzył na proporce powiewające nad legionem po jego lewej. Polujący wilk Dziewiątego łypał złowrogo z każdego płóciennego sztandaru, wlepiając ślepią w byłego syna swoich szeregów. Septymus nie widział Dziewiątego od ponad roku: przydział na pokład *Aquili* zerwał jego kontakt z jedynym legionem, do którego kiedykolwiek należał. Świetnie pamiętał ten moment sprzed wielu miesięcy, chwilę wyboru, kiedy postanowił przyjąć awans na stanowisko centuriona w piechocie morskiej, a nie pozostać *optio* czwartego manipułu. Była to decyzja, z którą się zmagał, lecz kiedy ją już podjął, nigdy jej nie kwestionował. Aż dotąd.

Septymus obrzucił wzrokiem szeregi, szukając chorążego czwartego manipułu. Nagle poczuł potrzebę ponownego kontaktu ze swoją starą jednostką i sztandarem, dla którego walczył i w którego cieniu żył tak długo. Rozkaz, aby kolumna ruszyła przed siebie, wydano, kiedy znalazł to, czego szukał, głęboko w sercu szeregów; ludzi stojących pod sztandarem czwartego manipułu nie było widać zza tłumu zgromadzonych dookoła żołnierzy.

– Do jakiego stopnia możemy polegać na opinii tego

człowieka? – spytał legat Megellus dowódcę portu.

– Kapitan Perennis służy Rzymowi od piętnastu lat. Osobiście znam go od dziesięciu. Wiarygodność jego słów jest niewątpliwa – odparł dowódca pewnym głosem, spoglądając na młodego kapitana.

Attyk stał nieruchomo u boku Septymusa w komnacie obrad w kwaterze dowódców. Kiedy podano jego raport w wątpliwość, zachował kamienną twarz, choć cieszył się, że może liczyć na wsparcie dowódcy portu. Zrelacjonował obecnym najważniejsze punkty swojego raportu, szczególnie skupiając się na tym, co wynikało z jego obserwacji na temat liczebności i kursu kartagińskiej floty, trzymając się faktów i zachowując dla siebie swoje opinie.

– Jak widzicie – powiedział Scypion, rozglądając się po twarzach zebranych dowódców, którzy wciąż wyglądali na porażonych tymi wieściami – Kartagińczycy znacznie podnieśli stawkę. W najlepszym razie czeka nas zmniejszenie dostaw, w najgorszym zaś głodowanie i ruina.

Mówiąc, Scypion zachował nieodgadniony wyraz twarzy, a ludzie wyczekiwali jego następnych słów. Megellus uśmiechnął się pod nosem. Widział już, jak starszy konsul toczy dyskusje z innymi, i wiedział, że ma on zwyczaj przeciągania ciszy, która niepokoiła niektórych, szczególnie młodszych rozmówców; czuli się zobowiązani wypełnić pustkę. Jeden z młodszych trybunów pierwszy przerwał milczenie.

– Musimy przyspieszyć kampanię i uderzyć, póki wciąż jesteśmy silni! – wypalił.

To ośmieliło innych młodych trybunów, którzy przychyliłi się do jego poglądu, bezładnie wzywając do natychmiastowej akcji, bezzwłocznych przeciwdziałań.

– Dość! – rozkazał Megellus, przekrzykując narastający hałas.

Znów zapadła cisza.

– Jakie jest twoje zdanie, konsulu? – spytał Scypiona.

Ten opuścił wzrok na mapy leżące na stole, przyglądając się zarysowi północnego wybrzeża Sycylii na jednej z nich. Punijczycy od dwudziestu lat okupowali całe tereny na zachód od Halaesy, a linia podziału wpływów przebiegała około pięćdziesięciu mil na zachód od Brolium. Pięćdziesiąt mil na wschód od Brolium leżało królestwo Syrakuz. Ta linia terytorialna oddzielała naturalną przeszkodę w postaci Etny i obustronna umowa o nieagresji. Rzymskie legiony wypełniły tę próżnię, więc ich punkty przeładunkowe jak dotąd wciąż stanowiły ściśle strzeżoną tajemnicę.

– Uważam, że jak na razie czas nam sprzyja – zaczął Scypion. Teraz wszyscy spijali mu słowa z ust; kiwali głowami dowódcy, którzy jeszcze przed chwilą doradzali pośpiech. – Kartagińczycy kontrolują porty na zachód od nas – ciągnął, wskazując Termini i Panormos. – Trochę potrwa, zanim odkryją i potwierdzą przebieg naszych szlaków zaopatrzeniowych. To da nam szansę na wprowadzenie w życie drobnych środków zaradczych,

takich jak używanie określonych tras i tworzenie mniejszych flot barek, co utrudni ich wykrycie. Będę miał też czas na konsultację z senatem, zanim postanowię, jakim sposobem najlepiej będzie unicestwić to nowe zagrożenie. Jak na razie legiony muszą zachowywać się tak, jakby nic się nie zmieniło. Wciąż mamy kampanię do wygrania i wroga do pobicia.

Dowódcy jednogłośnie wyrazili zgodę, ufając starszemu konsulowi, który robił wrażenie całkowicie pewnego swojej oceny sytuacji. Scypion nakazał ciszę uniesieniem ręki i spojrzał na Attyka, który stał teraz poza kręgiem dowódców otaczających stół. Wysiłkiem woli zbagatelizował instynktowny brak zaufania wobec tego Greka, wiedząc, że musi wykorzystać jego doświadczenie.

– Kapitanie Perennis, jesteś jedynym tutaj dowódcą floty. Jaki jest twój pogląd na ten temat?

Wszyscy dowódcy odwrócili się w stronę Attyka, część z minami wyrażającymi pogardę i lekkie zdumienie, że pyta się o zdanie zwykłego kapitana. Attyka znów zaskoczyło pytanie konsula. Spodziewał się, że kiedy tylko złoży raport, zostanie odprawiony, więc wraz z Septymusem wycofał się na tyły grupy. Teraz ponownie znalazł się w centrum uwagi.

– Zgadzam się, że może będziemy mieć czas, dopóki Kartagińczycy będą organizować blokadę północnego i wschodniego wybrzeża. Odradzałbym jednak wysyłanie dostaw, kiedy już się ona rozpocznie, nawet przy użyciu

innych tras czy mniejszych flot, jak proponujesz. – Attyk dostrzegł, że część trybunów jeży się na ten sprzeciw wobec opinii konsula, lecz mina Scypiona, jak zawsze kamienna, nie wyrażała nagany. – Uważam, że Kartagińczycy to najlepsi żeglarze na świecie – ciągnął. – Potrafią mistrzowsko rozplanować kwestie zaopatrzenia i taktyki na morzu. Wszelkie próby ominięcia ich blokady skończą się porażką.

Otwarte pochwały pod adresem wroga znów wywołały gniewne szemranie ze strony niektórych trybunów, lecz Attyk mówił dalej, niezrażony:

– Jediną skuteczną strategią będzie pokonanie ich w boju i zniszczenie tej blokady – zakończył, a jego opinię przywitała lodowata cisza.

Dwaj trybunowie prychnęli z pogardą i odwrócili się plecami do kapitana, ponownie skupiając uwagę na konsulu, czekając, aż agresywnie odrzuci pogląd Attyka, lecz Scypion kiwnął tylko głową.

– Dziękuję, kapitanie – powiedział i znów zwrócił się do reszty dowódców. – Może i czas jest po naszej stronie, lecz kolejne kilka tygodni ma zasadnicze znaczenie, jeśli mamy opanować to zagrożenie. Brak zdecydowania z naszej strony będzie miał katastroficzne skutki. Wyjadę zatem do Rzymu natychmiast. Senat musi się o tym dowiedzieć, i to ja muszę przekazać tę wieść. Ponieważ drogą morską wciąż można dotrzeć do Rzymu najszybciej, powierzę swoje życie tym, którzy już raz pokonali Punijczyków. Popłynę tam na *Aquili*.

Attyk i Septymus wyprostowali się, kiedy wszyscy znów na nich spojrzeli. Wyznaczono im kurs – do Rzymu, do serca republiki i cywilizowanego świata, w roli eskorty najpotężniejszego człowieka w Wiecznym Mieście.

– Wyjeżdżamy o świcie – powiedział Scypion, odprawiając dowódców *Aquili*.

– Marku, ty stary draniu! – krzyknął Septymus, kiedy wraz z Attykiem wszedł do kantyny niższych rangą dowódców i natychmiast rozpoznał swojego byłego przełożonego z czwartego manipułu Dziewiątego legionu.

– Septymus!

Mężczyźni spotkali się pośrodku pomieszczenia i przywitali z radosnymi uśmiechami; widzieli się po raz pierwszy od ponad roku, od czasu bitwy pod Akragas. Wysoki, szczupły Marek był dziesięć lat starszy od Septymusa, i choć zbliżał się już do końca swojego najlepszego wieku, wciąż miał muskularną sylwetkę i żelazną wolę oraz poczucie dyscypliny.

– Jak się miewa Antoninus? – spytał Marek. – Wciąż jest tym samym starym tyranem?

– Jest tak twardy jak zawsze – odparł Septymus, dumny z reputacji swojego ojca jako jednego z najostrzejszych centurionów dowodzących manipułami Dziewiątego. – Marku – ciągnął, odwracając się do Attyka – oto kapitan Attyk Miloniusz Perennis z *Aquili*.

Centurion już miał wyciągnąć rękę, lecz powstrzymał

gest, a jego wzrok nagle nabrał wrogości.

– Grek? Na bogów, Septymusie, przekląłem dzień, kiedy przyjąłeś swój „awans” na stanowisko centuriona w piechocie morskiej, a teraz jeszcze okazuje się, że dowodzisz pospołu z tymi samymi ludźmi, z którymi twój ojciec i ja walczyliśmy pod Benewentem.

Attyk zrobił krok do przodu, zirytowany niczym nieuzasadnioną obelgą, lecz Septymus zaszedł mu drogę, blokując ramieniem jego rękę, którą posługiwał się mieczem.

– Attyk walczy po stronie republiki równie długo jak ja i połowa ludzi w tym pomieszczeniu. Jego lojalność nie podlega kwestii.

Marek już miał się odciąć, lecz ugryzł się w język z myślą o więzach przyjaźni łączących go z Septymusem i tym, jakim autorytetem był dla niego Antoninus, ojciec Septymusa. Powoli znów wyciągnął rękę z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

Attyk się nie ruszył i wciąż patrzył wilkiem.

– Każdy przyjaciel Septymusa jest sprzymierzeńcem Dziewiątego – zachęcił go Marek.

Słowa te zrobiły na Attyku wrażenie nieszczerych, lecz uścisnął dłoń centuriona.

– Kapitan floty, co? – spytał Marek, mierząc go wzrokiem. – Co sprowadza ciebie i tego wyrzutka Dziewiątego legionu do naszego obozu?

– Ponure wieści – powiedział Septymus zupełnie już poważnym głosem.

Marek wskazał głową zatłoczony stół i wszyscy trzej usiedli. Inni centurionowie przyglądali się w milczeniu, a wielu nachyliło się, aby usłyszeć wieści, które spowodowały taką zmianę zachowania młodego żeglarza.

– Mów – nakłonił Marek Septymusa.

– Kartagińczycy – zaczął tamten – cała ich flota, Marku. Przy północnym wybrzeżu. W ciągu kilku tygodni spodziewamy się całkowitej blokady.

– Na miłosiernego Jowisza – szepnął Marek.

Jak wszyscy inni centurionowie, i on z konieczności pilnie się uczył taktyki związanej z dostawami. Powodzenie i gotowość jego manipułu do walki w dużym stopniu zależały od tego, jak dobrze był zaopatrzony. Brak dostaw oznaczał brak zamiennych zbroi, oręża i tysięcy prostych, lecz niezbędnych artykułów, dzięki którym można było utrzymać nowoczesną, skuteczną armię na polu bitwy.

– Co więc zamierzamy? – spytał w końcu Marek, przerywając ciszę; młodsi centurionowie nie śmieli się odezwać przed najbardziej doświadczonym człowiekiem w pomieszczeniu.

– My płyniemy do Rzymu – odparł Septymus – aby eskortować starszego konsula do senatu.

– A legiony?

– Scypion zarządził, aby działały tak, jakby nic się nie zmieniło – powiedział Septymus, przypominając sobie, co powiedział konsul podczas wcześniejszego spotkania – więc Dziewiąty i Drugi pomaszerują na bitwę

zgodnie z planem.

– Wymaszerujemy zgodnie z planem, jasne – odciął się Marek. W jego głosie słyhać było gniew: siły, które były poza jego kontrolą, groziły sparalizowaniem jego legionu, jego manipułu, jego ludzi. – Ale jeśli powstanie blokada, ten plan szybko się zmieni. Staniemy się niedobitkami, a nie wojownikami, będziemy szukać resztek pożywienia, a nie ścigać wroga.

Zgromadzeni znów zamilkli, kiedy każdy z nich rozmyślał nad tą odmianą losu.

– Septymusie – odezwał się nagle Marek twardym głosem – Antoninus był dla mnie jak ojciec i służba w randze *optio* w jego manipule pod Benewentem była zaszczytem, za który z dumą się odwdzieczyłem, mianując ciebie moim zastępcą. Wiem, że miałeś inny powód, aby przyjąć awans poza Dziewiątym legionem po bitwie pod Akragas, i wiem też, że jak twój ojciec jesteś człowiekiem honoru.

Septymus kiwnął głową, myśląc o silnych więzach łączących dwóch najwyższych rangą dowódców każdego manipułu.

– Kiedy byłeś moim *optio*, zawsze się nawzajem wspieraliśmy – ciągnął Marek. – Teraz znów odwołuję się do tej więzi, Septymusie. Jeśli powstanie blokada, ty i twój kapitan musicie ją przełamać. Zróbcie wszystko, co będzie konieczne. Czeka nas sześciomiesięczna kampania i muszę wiedzieć, że nas osłaniacie, że dzięki wam będziemy mogli walczyć, a Kartagińczycy nie

uniemożliwią nam działania.

Marek wstał, a Septymus kiwnął głową.

– Czy mam twoje słowo? – zapytał stanowczo, tonem właściwym centurionowi manipułu, dowódcy stu dwudziestu ludzi.

Septymus też się podniósł.

– Tak, centurionie – odpowiedział. Byli równi ranga, lecz doświadczenie Marka sprawiało, że Septymus czuł dla niego respekt i okazywał go.

Marek spojrział na Attyka, zauważając jego zaciętą minę.

– A ty, Greku, czy będziesz walczył za legiony?

Attyk wstał powoli obok swojego przyjaciela.

– Będę walczył – odparł prosto po chwili milczenia.

– Dobrze – odpowiedział Marek.

Wyciągnął dłoń, a Septymus uścisnął ją uroczyście. Attyk znieruchomiał na moment, zanim zrobił to samo, a na jego wahanie Marek uśmiechnął się kątem ust.

– Jak nazywa się twój okręt? – spytał centurion.

– *Aquila* – odpowiedział Attyk, prostując plecy.

Marek kiwnął głową, zapamiętując nazwę.

– Udanych łowów, ludzie *Aquili* – powiedział.

– Dajcie im posmakować zimnego żelaza, wilki z Dziewiątego – odparł Septymus, a więź z legionem, który go ukształtował, nadała moc jego słowom. Na chwilę zapragnął się znów znaleźć w szeregach czwartego manipułu.

Wszyscy obecni wstali bez rozkazu. Septymus i

Attyk zasalutowali im, a oni jednocześnie odwzajemnili gest – wszyscy poza Markiem. Przez moment patrzył Septymusowi w oczy i kiwnął prawie niedostrzegalnie głową, potwierdzając słowa, które dopiero co padły. Drugi i Dziewiąty legion, Byk i Wilk, wymaszerują z tego obozu na sycylijskie pola bitwy. Te dwie urodzone do bitwy bestie będą walczyć, lecz będą także pochłaniać, czerpiąc siłę z dostaw, bez których osłabną i zostaną pokonane przez swoją ofiarę. Za ich siłę odpowiadał teraz Septymus, który oddałby życie, aby je obronić, nie dlatego, że takiej ofiary żądała rzymska republika, lecz dlatego, że prosili o nią ludzie legionów, ludzie tacy jak Marek.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kolumna powracająca z obozu legionowego dotarła do portu w Brolium na godzinę przed zachodem słońca. Scypion odprawił dowódców *Aquili* krótkim rozkazem, dodając, że mają być gotowi do wypłynięcia o świcie. Zawrócił konia w stronę willi i podążył wąskimi, wijącymi się uliczkami miasta portowego, które, tak jak wcześniej, były opustoszałe. Już po chwili znalazł się na dziedzińcu willi; zszedł z siodła i puścił wolno straż.

Konsul podążył do swojej kwatery. Czekał tam jego osobisty pomocnik, nubijski niewolnik Chalil, którego Scypion wybrał osobiście na targu niewolników w Rzymie, oraz dwie niewolnice ze świeżymi ręcznikami i ciepłą, wonną wodą. Zanim Scypion został senatorem, robił karierę wojskową. Jego pozycja społeczna jako przedstawiciela rodu patrycjusza pozwoliła mu na wstąpienie do legionów w randze trybuna, lecz w ciągu dekady – w wieku dwudziestu ośmiu lat – dzięki bojowości i ambicji zdążył wywalczyć sobie stopień legata, głównodowodzącego rzymskiego legionu. Użył tego stanowiska i koneksji swojego wpływowego rodu, aby wstąpić do senatu, gdzie teraz, w wieku zaledwie trzydziestu pięciu lat, pełnił funkcję starszego konsula. Był to najwyższy wybieralny urząd w republice.

Choć potyczki, które zdarzyło mu się toczyć z innymi ambitnymi senatorami, były równie zajadłe jak te, które

rozgrywał na polu bitwy, brakowało im elementu fizycznego zagrożenia, konfrontacji sił dwóch ludzi. Scypion delectował się tym uczuciem i teraz doświadczał go za pośrednictwem wojowników, których trenował na arenę. Chalil był jednym z jego obecnych uczniów, wysokim, muskularnym, potężnie zbudowanym Nubijczykiem, którego oczy – choć bystre i szeroko otwarte – wyglądały tak, jakby kryły skłonność do buntu wynikającą z tego, że nie urodził się w niewoli, lecz do niej trafił. Scypion nagiął go do swojej woli, wiedział, że niewolnik zabije, jeśli mu tylko rozkaże, lecz był też świadom, że niebezpiecznie jest trzymać takiego człowieka we własnym domu, odwracać się do niego plecami, pozwalać mu choćby zbliżać się do siebie, kiedy spał. Właśnie to niebezpieczeństwo, którego brakowało w senacie, Scypion uważał za odurzające. Było ono siłą napędową jego kariery w legionach, a teraz pchało go w stronę pól bitewnych Sycylii, aby mógł znów się znaleźć między wojownikami Rzymu.

Scypion pozwolił Chalilowi pomóc mu się rozebrać, a niewolnice obmyły jego ciało wodą i wmasowały ciepłą oliwę w jego tors. Ubrały go w czystą tunikę z białego lnu i cofnęły się pod drzwi, czekając na kolejne polecenia.

Po zakończeniu zwyczajowych zabiegów higienicznych Scypion zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. Narastające podniecenie związane z czekającą go podróżą dodawało mu skrzydeł. Myśli o ponownym zmierzeniu się ze śmiertelnym niebezpieczeństwem

potęgowały jego niecierpliwość.

– Przygotuj mój wyjazd do Rzymu o świcie – rozkazał Chalilowi, który natychmiast odwrócił się i wyszedł.

Dwie niewolnice ruszyły za nim.

– Czekajcie – powiedział konsul, a cała trójka się zatrzymała. – Ty zostań – rozkazał jednej z kobiet.

Reszta wyszła, zamykając za sobą drzwi. Kobieta czekała z ciężką misą stygnącej wody w dłoniach. Była wysoką Sycylijką o ciemnej karnacji, wielkich brązowych oczach i długich włosach. Szczupłe nogi podkreślała krótka stola, którą miała na sobie, a sznur opasujący biodra uwydatniał ich kształt. Scypion oceniał, że ma nie więcej niż dwadzieścia lat. Wskazał głową łóżko polowe w kącie pokoju, a ona poszła w jego stronę, po drodze odstawiając misę na ziemię. Ten prosty gest jeszcze wzmógł żądzę konsula. Wyraz twarzy dziewczyny pozostał niezmienny; kładła się na łóżku z uniozoną miną właściwą wszystkim służącym.

Scypion wezwał ją do swojej kwatery w nocy po przybyciu do Brolium, lecz tym razem było inaczej. Dziewczyna widziała, że Rzymianin ledwo powstrzymuje nagły przypływ pożądania. Scypion nigdy się nie zastanawiał, dlaczego nadciągające niebezpieczeństwo tak na niego działa, po prostu dawał upust swoim najniższym żądom. Następnego dnia ruszy pod żaglami z powrotem do Rzymu i wszystkim na pokładzie będzie musiał zaprezentować spokojne oblicze rzymskiego

dowódcy. Konieczne będzie ukrycie podniecenia i zapachu bitewnego, które mogły się ujawnić w jego wyrazie twarzy. Tylko teraz – kiedy w zaciszu własnej kwatery szedł powoli w stronę kobiety – mógł ulec emocjom, a krótkie spółkowanie dawało mu szansę na złagodzenie ekscytacji spowodowanej zbliżającymi się niebezpieczeństwami.

Słońce stało się wspomnieniem dla ludzi na pokładzie *Aquili*, kiedy przygotowali się do wyruszenia o świcie. Na niebie wciąż jeszcze widać było resztki poświaty, lecz szybko znikwały, wycofując się przed nadejściem nocy. Cyple po obu stronach portu zaczynały wyglądać jak cienie na tle bardziej odbijającej światło powierzchni morza.

Lucjusz podszedł do stojącego na pokładzie Attyka.

– Będziemy gotowi do drogi o świcie, kapitanie. Ostatnie dostawy właśnie przybywają z baraków portowych.

– Świetnie, Lucjuszu. Każ uprzątnąć moją kabinę i przygotować ją dla konsula.

– Tak jest, kapitanie – odparł Lucjusz i odmaszerował.

Attyk oparł się o reling na sterburcie. Dookoła niego wciąż trwały gorączkowe przygotowania. Jak zawsze odgłosem najczęściej rozdzierającym powietrze były wrzaski Lucjusza; jego słowa były jak razy batem dla niedbałych czy leniwych załogantów. Dla Attyka jego

głos stanowił część życia na statku w tym samym stopniu co skrzypienie desek pokładu albo uderzenia fal o kadłub trzy metry poniżej. Przestał zwracać uwagę na dźwięki, kiedy jego wzrok napotkał barki rozmieszczone w porcie. W prawie całkowitych ciemnościach niewyraźnie dostrzegał ich kształty, kadłuby kołyszące się powoli na uwięzi cum; prąd odpływu utrzymywał je równoległe do siebie nawzajem i prostopadle do brzegu. Ten sam prąd odciągał *Aquile* od nabrzeża. Reagowała na to, jak przystało na istotę stworzoną do bycia na morzu, jakby chciała już odpłynąć, napinając lekko liny, które zatrzymywały ją na miejscu.

W uszach brzmiały Attykowi słowa Marka, byłego centuriona Septymusa: „Musicie zrobić wszystko, co będzie konieczne”, powiedział. Attyk pamiętał, że Septymus zgodził się bez wahania, ujawniając niezniszczalną więź między byłymi towarzyszami broni i współobywatelami Rzymu.

Jako potomek Wielkiej Grecji i żeglarz Attyk nigdy nie czuł się związany z rzymskimi żołnierzami z legionów lądowych. Zawsze najważniejszy był dla niego jego okręt, załoga i mieszkańcy wybrzeża Morza Jońskiego, których chronił, a nie republika stworzona przez ludzi zupełnie innych niż jego krajanie z rodzinnych Lokrów.

Przodkowie Attyka napływali z Grecji na przestrzeni wielu pokoleń, powoli się rozwijając i przystosowując miejscową kulturę do swojej. Rzymskie legiony natomiast opanowywały kolejne rejony w ciągu kilku lat, krzewiąc

po drodze własne wartości i ideały, błyskawicznie wchłaniając w republikę całe ludy.

Attyk znajdował się na granicy dwóch światów: jego przyjaźń z Septymusem coraz bardziej zbliżała go do Rzymu i legionów, podczas gdy ludzie pokroju Scypiona i Marka blokowali mu tę drogę brakiem zaufania i odwieczną wrogością. W głębi duszy Attyk słyszał, jak jego przodkowie szepczą przygany i lamenty nad tymi kontaktami z Rzymem, przypominając mu o prastarej lojalności względem jego ludu, który ponad pięćset lat dominował na południu Italii.

Nadszedł świt, niosąc woń suchych ziem północnej Sycylii. Attyk wstał z koi w jednej z mniejszych kabin na rufie *Aquili* i wyrzął przez otwarty luk na port. Zobaczył, że wszystkie barki transportowe przygotowują się do odpłynięcia, wykorzystując zmianę pływu, która pomagała im w nawigowaniu w okolicy ujścia portu.

Zacumowane barki robiły wrażenie ociężałych: przypominały wyrzucone na brzeg wieloryby leżące na grzbietach w słońcu. Jednak w ruchu, kiedy ich potężne żagle pchały je po falach, przeobrażały się w żyjące istoty, a Attyk był pełen podziwu dla umiejętności żeglarskich koniecznych do kontrolowania tych jednostek na otwartym morzu. Przez chwilę martwił się, że wpłyną na wody, na których będą ich szukać Kartagińczycy, lecz szybko odrzucił tę myśl. Punijczycy kontrolowali tylko Termini i Panormos, porty położone ponad sto mil dalej na wybrzeżu, i nie mogli wiedzieć o działaniach Rzymian

w Brolium. Bez miejscowych źródeł informacji potrwa wiele tygodni, zanim odkryją, że to właśnie to miejsce jest ośrodkiem wyładunku zaopatrzenia dla całej kampanii. Dopiero wtedy będą mogli rozpocząć skuteczną blokadę. Zanim to się stanie, odpływająca flota barek już dawno znajdzie się bezpiecznie w domu.

Attyk wyszedł z kabiny na pokład. Lucjusz od razu wezwał go na tylny pokład, po czym odwrócił się i wskazał palcem ponad relingiem rufowym. Sto kroków dalej widać było prowadzony przez Scypiona w stronę *Aquili* oddział pretorianów; nadjeżdżali na tle wschodzącego szybko słońca. Czysty błękit nieba wskazywał, że czeka ich ładna pogoda i prędkie żeglowanie. Kapitan wysłał gońca pod pokład, aby przekazał Septymusowi, że zbliża się Scypion i żeby spotkał się z nim u szczytu trapu. Konsul spodziewał się, że przywitają go na galerze jej dowódcy.

– Tam, panie – wskazał mężczyzna, a jego ręka się trzęsła – nisko na horyzoncie. To cypel, przylądek Orlando. Brolium leży o trzy mile na zachód.

– Jesteś pewien? – spytał Gisko, a w jego głosie słychać było groźbę, że pirata spotka ten sam los, co jego towarzyszy.

– Tak, panie, przysięgam – zaskomlał. – Byliśmy na tych wodach przez cztery tygodnie. Widzieliśmy, jak rzymskie barki wiele razy wpływają i wypływają z Brolium, choć były zbyt duże, żebyśmy je atakowali.

Ostatnia flota ponad dwóch tuzinów barek przybyła ledwie trzy dni temu.

Gisko mruknął pod nosem, patrząc w poprzedzającej świt szarudze na ciemną masę lądu na horyzoncie.

– Zabrać mi go sprzed oczu – zażądał – i wyrzucić za burzę.

Pirat błagał o litość, kiedy strażnicy podnieśli go z pokładu. Dwoma szybkimi krokami zbliżyli się do relingu i przerzucili ponad nim mężczyznę; jego krzyki ucichły, kiedy uderzył o powierzchnię wody trzy metry poniżej. W mgnieniu oka zniknął pod falami.

Gisko wyszczerzył zęby. Bogowie byli mu dziś przychylni. Poprzedniego dnia, kiedy płynęli na północ przez cieśninę, jedna z galer na ariergardzie floty schwytała piracką birenę. Większość załogi natychmiast zgładzono – Kartagińczycy darzyli piratów taką samą nienawiścią, jak wszyscy inni ludzie morza – lecz wyższych rangą dowódców sprowadzono na okręt flagowy, gdzie zostali poddani torturom, aby można było wydobyć z nich wiadomości dotyczące działalności rzymskiej floty w tym rejonie. Pierwotny plan admirała zakładał, że kiedy flota dotrze już do Panormos, rozpocznie szeroko zakrojone poszukiwania portu przeładunkowego Rzymian, lecz los się do niego uśmiechnął i piraci dostarczyli mu informacji, których potrzebował, aby przenieść walkę na terytoria wroga.

– Kapitanie Mago – rzekł – sygnał dla floty: pierwsze cztery oddziały mają zostać na stanowiskach z

Melkartem. Pozostałe sześć ma jak najszybciej udać się do Panormos. Niech dowódcy oddziałów stawiają się na okręcie flagowym.

– Tak jest, admirale – odparł Mago i ruszył na rufę, aby zasygnalizować rozkazy okrętom znajdującym się za nimi.

Po chwili cztery oddziały odłączyły się od floty; każdy składał się z jednej kwinkweremy prowadzącej cztery triremy. *Melkart* także złamał szyk.

Kwadrans później czterej dowódcy oddziałów weszli na pokład *Melkarta*. Gisko spotkał się z nimi na pokładzie dziobowym.

– Dostawy Rzymian przyływają do portu Brolium. Znajduje się on tam – Gisko wskazał odległe wybrzeże – dwa rumby na zachód od tego cypla. Odpłyniemy sześć mil na północ stąd i zastawimy pułapkę na ich szlaku. Rozmieścić okręty dziobami w kierunku lądu, na wiosłach. Chcę, żeby sylwetki waszych galer były jak najmniejsze. Jeśli zostaniemy zauważeni przy takiej odległości od brzegu, barki transportowe będą zbyt daleko od portu, aby uciec. Kwinkweremy na flankach. Ja zajmę środek szyku. Szybko ustawcie się za nimi i zagnajcie je w moją stronę. Zmiażdżymy je między sobą.

– Tak jest, admirale. – Kapitanowie zaszalutowali i odwrócili się, aby opuścić pokład.

– Jeszcze jedno – dodał Gisko, zatrzymując ich – żadnych jeńców. Każda barka ma zostać zatopiona. Bez wyjątków. Zrozumiano?

– Tak jest, admirale – powtórzyli i odeszli.

A teraz, pomyślał Gisko, podnosząc wzrok na jaśniejące niebo, niech no się pojawia.

Druzus Akwiliusz Melus, kapitan barki transportowej *Onus*, był zdenerwowany. Po Brolium poniosła się wieść, że trirema, która poprzedniego dnia wpłynęła pospiesznie do portu, napotkała kartagińskie galery. Krążyły sprzeczne plotki, część mówiła, że flota podróżowała na wschód, inne – że na zachód, a oceny liczebności wahały się od trzech okrętów do ponad stu. Jedno jednak było jasne, i co do jednego wszyscy się zgadzali: dni przewożenia dostaw ze stałego lądu do Brolium były policzone. Melus miał nadzieję, że nie odnosiło się to do dni jego życia.

Kapitan podniósł wzrok na grotzagiel i sprawdził jego ustawienie, gdy barka powoli opuszczała port. Jego statek miał sześćdziesiąt metrów długości i dziewięć szerokości: był to moloch mórz, dorównujący długością kwinkweremie, lecz szerszy i wznoszący się dwukrotnie wyżej ponad linię wody. Wiała lekka bryza od lądu i kapitan ocenił, że najlepsza prędkość po wypłynięciu z portu nie będzie większa niż pięć węzłów. Przeprawa do Neapolu zajmie w takim wypadku prawie dwa dni. Obejrzał się przez ramię na trzydzieści dwie inne barki płynące niespiesznie pod żaglami. W ciągu dnia oddalały się od siebie; nowe okręty wyprzedzą starsze, doświadczone załogi będą szybsze niż te mniej wprawne.

Każdy statek miał własne tempo. Koło zmroku najlepiej będzie utrzymać odległość pół mili od siebie nawzajem, aby uniknąć kolizji w ciemnościach. Teraz zbita w całość flotylla barek przypominała Melusowi stado owiec, a ich wybrzuszone białe groty rozpościerały się po całym porcie. Cóż to był za widok! Kapitan spojrzął w niebo. Był pogodny dzień, który zapowiadał łatwą żeglugę. Wspaniała pogoda do nawigacji. Dwa dni, powtórzył sobie w duchu, dwa dni i dom.

Aquila odbiła od nabrzeża, kiedy ostatnia z barek podniosła kotwicę i żagle. Większe jednostki brnęły powoli pod żaglami, a Gajusz zrećźnie je wymijał, wykorzystując jej większą zwrotność na wiosłach. Scypion stał samotnie na pokładzie rufowym, pilnie studiując działania uwijającej się dookoła załogi; była to jego pierwsza przeprawa galerą. W porównaniu z jego przybyciem trzy dni wcześniej na pokładzie jednej z barek, teraz konsul podróżował z małym bagażem. Na okręcie wojennym niewiele jest cennej przestrzeni, tak więc jego świta składała się wyłącznie z dowódcy straży i czterech pretorianów, a także Nubijczyka Chalila. W każdym innym miejscu tak zmniejszona straż byłaby lekkomyślnością, lecz na odciętej od świata galerze sprawiała wrażenie niemal przesadnej. Jedynym potencjalnym wrogiem byli Kartagińczycy i jeśli jakimś sposobem zaatakowaliby *Aquilę*, to, że straż Scypiona liczyła cztery osoby zamiast dwudziestu czterech, nie

miałoby większego znaczenia.

Kiedy *Aquila* wyprzedzała flotę barek, Attyk przyglądał się ukradkiem konsulowi. Lucjusz wydał rozkaz do postawienia żagli, aby do siły wioślarzy dołączył wiatr. Połączenie wiosł i żagli używane przez galere miało utrzymać ją w awangardzie floty, z niewielkim odstępem między nią a galerami. Do Attyka podszedł Septymus.

– Rzym! – wykrzyknął z uśmiechem i klepnął Attyka w ramię.

Kapitan musiał się uśmiechnąć: radość przyjaciela z powrotu do domu była zaraźliwa.

Kiedy Attyk był młodszy i w żyłach krążyła mu właściwa młodości potężna żądza podróżowania, chciał pojechać do Rzymu i wszystkich innych wielkich miast republiki, a stamtąd na odległe brzegi Morza Śródziemnego, ogromnego akwenu oblewającego wybrzeża całego znanego świata. Z wiekiem ta ambicja się zawężała, utemperowana realiami jego obowiązków względem okrętu i załogi. Jednak pragnienie zobaczenia Rzymu, serca republiki, go nie opuściło; chciał poznać atmosferę miasta, które potrafiło natchnąć ludzi do podbicia otaczającego ich świata.

Kapitan Melus wlepił wzrok w galere sunącą bez wysiłku po wodzie. Kiedy opuścili port, wiatr się wzmógł, więc teraz – dwie godziny drogi od Brolium – jego okręt wciąż znajdował się w promieniu mili od

prowadzących statków, po lewej stronie floty. Melus przez dwadzieścia lat służył na galerze handlowej, dopracowując się rangi bosmana. Przysługujące mu zyski zebrane w tym czasie pozwoliły mu kupić część udziałów *Onusa*, co – dzięki sycylijskiej kampanii i niemal nieustannym dostawom – okazało się dochodową inwestycją. Wszystko to się zmieni po rozpoczęciu blokady i Melus przeklinał Fortunę za jej kapryśną naturę.

Nagle na jego oczach galera zrzuciła grota. Nawet z odległości mili kapitan widział, że jej pokład zaczyna tętnić życiem. Coś było nie tak.

– Statek na horyzoncie!

Melus się odwrócił. Krzyk dobiegł ze szczytu masztu. Podniósł oczy i zobaczył, że obserwator wskazuje prosto przed siebie. Z kwaśnym uczuciem przerażenia w trzewiach kapitan pobiegł na pokład dziobowy. Spoglądając ponad relingiem, czekał na pojawienie się opisywanego statku; znajdował się sześć metrów niżej niż obserwator, więc nie od razu zobaczył to, co on.

Tam! – rozległo się w jego głowie. – Na naszym kursie!

Zamrugał szybko, aby wyostrzyć wzrok, po czym skupił go na niespodziewanym widoku, którego się jednak obawiał. Nie dostrzegał żadnych szczegółów poza tym, że okręt był zwrócony dziobem prosto na nich: jego dziób celował w dziób galery Melusa niczym strzała. Wydawało mu się... nie, był pewien... była to galera.

– Kolejne dwa statki przed nami! Oba po rumbie na

sterburcie i bakburcie! – krzyknął znów obserwator.

Melus słyszał strach w jego głosie: mężczyzna zdał sobie sprawę z tego, co widzi. Po chwili kapitan już sam widział dwa kolejne statki, po obu burtach pierwszego. Zasadzka. Co do tego, kim są nowo przybyli, nie było żadnych wątpliwości.

Melus już miał dać znak do podniesienia alarmu, kiedy usłyszał donośne nuty trąbki sygnałowej dobiegające od strony floty, zza jego pleców. Podczas mgły trąbek tych używano do ostrzegania innych statków, aby uniknąć kolizji. Przy ładnej pogodzie ich dźwięki oznaczały śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Jeszcze dwa statki na kursie! – okrzyki obserwatora były już paniczne. – Dwa rumby po sterburcie i bakburcie!

Kapitan ignorował dobiegające z góry wrzaski, usiłując pojąć ostrzegawcze sygnały, które słyszał. Nie docierały do niego z okolicznych statków, które też na pewno dostrzegły statki przed nimi, lecz z tyłów floty.

Nie mogli ich jeszcze zobaczyć! – podpowiadał kapitanowi rozsądek. Chyba że... Poczł nagłe ukłucie bólu w brzuchu, kiedy owładnęło nim przerażenie.

– Litości... – wyszeptał, uświadamiając sobie, co się dzieje. – Otoczyli nas... jesteśmy w pułapce.

– Przygotować się do ataku! – ryknął Attyk, a jego rozkazy nakładały się na wielokrotne sygnały trąbek dobiegające od strony floty transportowej. Na horyzoncie

rysowało się pięć galer, a obserwator donosił o kolejnych czterech na flankach. Rzymianie dali się złapać w zasadzkę. – Gajuszu! Dwa rumby na sterburte. Lucjusz, rozkazy dla wioślarzy, prędkość ofensywna!

– Stać!

Attyk odwrócił się i zobaczył za sobą Scypiona z twarzą wykrzywioną furia.

– Wy tłumacz się, kapitanie!

– Mam zamiar złamać wiosła po bakburcie znajdującej się na zewnątrz galery. Jeśli ją unieruchomimy, w szyku wroga utworzy się przerwa, która pozwoli uciec części barek – wyjaśnił szybko Attyk.

– Do Hadesu z barkami. Masz rozkazy dowieźć mnie bezpiecznie do Rzymu!

– Z całym szacunkiem, konsulu – warknął Attyk z zaciętą miną – nie możemy zostawić barek na łaskę Punijczyków. Bez naszej pomocy ich załogi zostaną wybite co do jednego.

– Ja dowodzę tą galera, kapitanie, i moje bezpieczeństwo jest najważniejsze!

Attyk podszedł bliżej i nachylił się instynktownie w stronę konsula, aby wzmocnić swoje argumenty. Dowódca straży Scypiona zauważył to i natychmiast dobył miecza, mylnie sądząc, że poza Attyka to wstęp do ataku. W mgnieniu oka czterej pretorianie poszli jego śladem. Gajusz i Lucjusz odruchowo też wyciągnęli sztylety.

Tylko Attyk i Scypion stali nieruchomo, z

kamiennymi wyrazami zbliżonych do siebie na szerokość dłoni twarzy. Attyk czuł, jak serce wali mu w piersi, jak gotuje się w nim żądza walki, a myśli pędzą, kierowane dwoma sprzecznymi głosami krzyczącymi mu w duszy. Jeden wzywał do ostrożności, wiedząc, że Scypion może zabić każdego nieposłusznego mu człowieka bez konsekwencji czy wyrzutów sumienia. Drugi żądał sprzeciwu, przypominając, że waży się los setek załogantów floty transportowej. Po obu rękach Attyka stali uzbrojeni w miecze pretorianie konsula, którzy na pokładzie rufowym mieli przewagę liczebną nad jego własnymi ludźmi. Życie ich wszystkich wisiało na włosku.

– Gajuszu! Ster lewo na burtę! – krzyknął Attyk.

Jego rozkaz spotkał się z milczeniem, więc kapitan odwrócił się do sternika. Gajusz się nie ruszył, a całe jego ciało było spięte, gotowe do natarcia w razie najdrobniejszej oznaki, że pretorianie stojący naprzeciwko niego zaatakują.

– Już, Gajuszu! – wrzasnął kapitan, przerywając pełen napięcia moment, który utrzymywał grupkę ludzi na tylnym pokładzie w pełnej gotowości. Sternik od razu usłuchał, schował sztylet i chwycił rumpel, odwracając dziób od nadpływającej kartagińskiej galery.

Scypion dalej stał jak wryty, nie spuszczać wzroku z Attyka i czując, że gniew wciąż jeszcze może nim zawładnąć. Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymał chęć wydania rozkazu zabicia kapitana i tym samym

wyeliminowania tej zniewagi dla jego władzy. Górę wziął zdrowy rozsądek: konsul wiedział, że przynajmniej na razie kapitan jest bezcenny.

– Odejść! – zakomenderował i jego strażnicy w mgnieniu oka wykonali rozkaz. – Kapitanie? – zwrócił się do Attyka cichym, złowrogim głosem i odciągnął go do relingu. – Ten okręt należy do Rzymu, kapitanie, a na jego pokładzie ja uosabiam Rzym. Załoga może i czeka na twoje rozkazy, ale pamiętaj, Perennis, ja tutaj dowodzę. Następnym razem nie wahaj się przed wypełnieniem moich rozkazów.

– Tak jest, konsulu – odparł Attyk, tłumiąc w sobie resztki sprzeciwu i pozwalając Scypionowi nagiąć się do jego żelaznej woli.

– Prędkość ofensywna! – rozkazał z satysfakcją Gisko. – Kurs na płynącą na czele barcę.

Melkart ożył pod jego stopami; dwustu siedemdziesięciu wioślarzy na czterech poziomach zabrało się do pracy potrzebnej do nadania kwinkweremie żądanego tempa. Jak owce na rzeź, pomyślał Gisko z uśmiechem. Przyspieszający rytm ruchów wiosła odpowiadał coraz szybszemu biciu jego serca. Rzymianie nie mogli uciec. Pozostałe kwinkweremy już zamykały pułapkę z drugiej strony floty transportowej, odcinając jej drogę powrotną do Brolium. Walka z nieuzbrojonymi barkami nie będzie niczym innym jak ćwiczeniem dla sterników galer, szansą na udoskonalenie ich umiejętności

taranowania statków wroga i wycofywania się. Gisko oceniał, że rzymskich barek jest sporo ponad dwa tuziny. Daleko po prawej wyprzedzała flotę samotna galera, płynąc kursem kolizyjnym wobec prawej flanki kartagińskiego szyku. Admirał żałował, że nie jest ona w zasięgu jego statku, ale po chwili odrzucił tę myśl. Tego dnia dość rzymskiej krwi rozleje się po lalach.

– Utrzymać kurs! – ryknął Melus w stronę rufy.

Odstęp między jego barką a Kartagińczykami zmniejszał się szybko, kiedy *Onus* skierował swój dziób w stronę środkowej galery. Trzask łamanych belek sprawił, że kapitan oderwał wzrok od nadciągającego wroga i spojrzął za siebie. Dwie barki transportowe przypadkowo wpadły na siebie podczas gorączkowej próby ucieczki. Już są martwi, pomyślał ze straszną pewnością Melus, wiedząc, że jeśli on sam nie znajdzie sposobu na uniknięcie pułapki, załoga *Onusa* ponad wszelką wątpliwość podaży za nimi do Elizjum.

Odezwało się jego dwudziestoletnie doświadczenie na galerach handlowych. Mieli tylko jedno wyjście. Galery były lepiej uzbrojone, lecz barki miały przewagę pod względem rozmiarów: były niemal dwa razy większe od kwinkweremy. Melus wiedział, że podczas konfrontacji z okrętami tych rozmiarów galery nie mogą taranować dziobem w dziób. Mogły jedynie atakować – i taranować – burty. Jediną szansą na ucieczkę było natarcie prosto na nadpływającą galere z nadzieją, że

Kartagińczycy skręca.

To dziwne, pomyślał Gisko, zauważając, że barka, którą miała na celu jego galera, nie zawróciła. Płynęła prosto na *Melkarta*; odstęp między nimi wynosił teraz dwieście kroków i szybko się zmniejszał. Rozmyślając nad czołowym zderzeniem z większym okrętem, Gisko odruchowo zaparł się w miejscu rękami. Z bijącym sercem wyobrażał sobie, jak *Melkart* przedziurawia dziób barki przy prędkości do taranowania. Kolizja ta byłaby przerażająca: połączona prędkość jednostek wynosiła prawie dwadzieścia węzłów. *Melkart* przetrwałby, w to Gisko nie wątpił, lecz uległby katastrofalnym uszkodzeniom, a ofiar byłoby mnóstwo. Ale co z opowieścią? – pomyślał. Co z krążącą po flocie opowieścią o tym, jak Gisko zmierzył się ze statkiem dwukrotnie większym niż jego własny i staranował jego dziób? Nikt już nigdy nie zwątpi w odwagę Hannibala Giskona.

– Prędkość do taranowania! – ryknął admirał. – Przygotować się na zderzenie! Kronos!

Dowódca osobistej straży admirała natychmiast stawiał się u jego boku.

– Wyślij dwóch ludzi na pokład rufowy. Jeśli sternik zmieni kurs wbrew moim rozkazom, zabić go.

– Tak jest, admirale – odparł Kronos i zniknął.

Kiedy *Melkart* osiągał największą prędkość, admirał utwierdził się w swoim postanowieniu.

Aquila minęła dziób kartagińskiej galery w odległości dwustu kroków. Attyk czekał na to, że okręt wroga zmieni kurs na kolizyjny, usiłując siłą woli nakłonić Kartagińczyków, aby skręcili i wymusili potyczkę, co umożliwiłoby mu obejście rozkazów konsula. Punicka jednostka podążała jednak bez wahania przed siebie: perspektywa znacznie liczniejszych łatwych celów stanowiła zbyt wielką pokusę dla kartagińskiego dowódcy. Attyk przeklął puste wody rozpościerające się przed jego galera. Wśród floty transportowej za jego plecami panował teraz całkowity chaos – każda barka usiłowała wymknąć się z pułapki. Nie dysponowały szybkością ani zwrotnością galer i ich próby ucieczki były beznadziejne.

Kartagińska galera nie skręcała i nie zmieniała kursu. Melus powtórzył w myślach swój plan i nie znalazł w nim żadnego słabego punktu. Wróg powinien skręcić. Zderzenie czołowe potwornie uszkodziłoby galere; przeciwnik mógłby tego z łatwością uniknąć, gdyby zmienił kurs i rozpoczął pościg.

Dowodzi nią szalenie, pomyślał Melus, ściskając rumpel trzęsącą się ręką. Szarpały nim wątpliwości i przerażenie. Oceniał odległość między zbliżającymi się do siebie jednostkami. Galera wroga była sto kroków od niego, a jej taran mknął jak strzała swoim nieustępliwym kursem.

Osiemdziesiąt kroków.

Melus wyraźnie słyszał nieprzerwane walenie w bęben wyznaczające rytm prędkości do taranowania. Dźwięk ten wytrącał go z równowagi, podważał jego wcześniej niezachwianą decyzję.

Sześćdziesiąt kroków.

Kapitanem szarpnęło nagłe pragnienie, aby zawrócić i uciec. Zamknął oczy, aby je stłumić, kurczowo chwytając się wiary, że wciąż istnieje możliwość, iż to Kartagińczycy ustąpią ze szlaku.

Czterdzieści kroków.

Melus otworzył oczy. Zbliżający się nieustępliwie dziób punickiej galery wypełniał całe jego pole widzenia. Kapitanowi zabrakło tchu, kiedy opuściła go odwaga, a rozsądek skapitulował przed wizją zniszczenia *Onusa* i jego załogi, wizją losu, którego nie można byłoby znieść, którego można byłoby jeszcze uniknąć, gdyby skręcił...

Całym ciężarem napał na rumpel, zwracając *Onusa* ostro na bakburtę. Wiatr wiał prosto od rufy, więc barka zareagowała natychmiast, a jej dziób szybko przeciął kurs nadpływającej galery. Kapitan uwiesił się na rumplu, w myślach poganiając okręt, aby jeszcze prędzej zmieniał trasę. Nie odrywał wzroku od brązowego tarana galery wroga, mknącego w ich kierunku na wysokości fal. Modlił się, aby Kartagińczycy zostali na tym samym kursie, żeby widok tylu innych celów okazał się dla nich zbyt wielką pokusą.

W jego głowie rozbrzmiewał ryk wściekłości i

strachu: Weźcie ich, nie mnie. Tamtych zabijcie, ale mnie oszczędźcie...

Te milczące krzyki urwały się na widok taranu zmieniającego pozycję tak, aby wycelować prosto w wystawioną na cios burtę *Onusa*.

Gisko zaklął, kiedy rzymska barka zmieniła kurs na taki, który nie groził już czołową kolizją. Stał twardo na pokładzie rufowym *Melkarta* z ciałem napiętym z wyczekiwania i umysłem uczepionym myśli o taranie zatapiającym się głęboko w dziób barki, o niemal samobójczym ciosie, który do głębi wstrząśnie obiema jednostkami. Reakcja na ten niespodziewany uśmiech losu zajęła mu kilka cennych chwil, aż w jego umyśle rozbrzmiał głos, który rykiem nakazał mu działać.

– Ster prawo na burtę! Taranować śródkręcie!

Melkart wpłynął momentalnie na swój ostateczny kurs. Taran łamał fale pchane wiatrem w jego stronę.

Kwinkwerema uderzyła w barcę z prędkością trzynastu węzłów. Tępy czubek tarana roztrzaskał dębowy kadłub rzymskiego statku i wbił się głęboko z całą siłą rozpędu ważącej dziewięćdziesiąt ton galery. Stępka zamortyzowała uderzenie, lecz nagła utrata prędkości sprawiła, że wioślarze zupełnie stracili rytm i *Melkart* stanął w miejscu.

– Łucznicy! – wrzasnął Gisko. Natychmiast zapalono groty strzał owinięte materiałem nasączonym żywicą i wystrzelono je w stronę ogromnego grotzągła

unieruchomionej barki. Przez chwilę nic się nie działo i można było odnieść wrażenie, że strzały chybiły; potem na wielkiej płachcie płótna zaczęły się pojawiać małe języki ognia. Utrzymały się, a w końcu wybuchły potężnym płomieniem, pożerając żagiel.

– Odwrót!

Rozkazy wydane wioślarzom były zwięzłe i wielokrotnie przećwiczone; *Melkart* wycofał się powoli, wysuwając taran z kadłuba śmiertelnie ранego statku. Woda wlewała się potokami przez dziurę ziejącą poniżej linii wody.

– Zrzucić go! Na litość Fortuny, zrzucić go, zanim ogień się rozprzestrzeni! – ryknął *Melus*, patrząc, jak płomienie obejmują wielki żagiel, począwszy od jednego z rogów. W mgnieniu oka zajęło się też olinowanie i maszt. Załoga *Onusa* wielokrotnie powtarzała podczas musztry ćwiczenia, które teraz kierowały jej ruchami; gnani przerażeniem ludzie biegali po drewnianym pokładzie, który szalejący nad nimi ogień tak bardzo chciał dopaść.

Pędzone wiatrem płomienie pożerały żagiel i na oczach *Melusa* pierwsze jego płonące fragmenty zaczęły opadać na pokład. Ludzie przypadli do nich z fanatyczną wrogością, okładając ogień namoczonymi szmatami. Jeden mężczyzna krzyknął, kiedy płonący fragment płótna spadł na niego, zapalając jego włosy i ubrania. Przez chwilę biegał bez celu po pokładzie, a potem

wypadł za burzę.

Pokład przechylił się gwałtownie, kiedy kartagińska galera wycofała taran; wielu ludzi upadło. Zajął się już cały grot i jego fragmenty opadały tak licznie, że wysiłki załogi spęzły na niczym. Melus spojrzął nad płonącym pokładem na galere wroga. Kierowała się teraz w stronę pozostałych barek transportowych za *Onusem*, a jej załoga wiwatowała na widok tonącego rzymskiego statku.

Melus trzymał się mocno rumpla, a pokład przechylał się coraz bardziej pod jego stopami; *Onus* tonął szybko, od dzioba. Po twarzy kapitana płynęły obficie gorzkie łzy wstydu za jego tchórzostwo, przez które ściągnął na swoich towarzyszy potępienie, usiłując ocalić własne życie. Obezwładniła go fala frustracji i żalu – wiedział, że powinien być zostać na kursie, który doprowadziłby do kolizji. Rezultatem byłoby całkowite zniszczenie *Onusa*, lecz Melus zdawał sobie teraz sprawę, że ich los był przypieczętowany już w chwili, kiedy ledwie kilka godzin wcześniej wypływali z Brolium. Skręcając, stracił jedyną szansę na jakikolwiek odwet za zniszczenie jego okrętu i śmierć załogi, jedyną okazję do wysłania choć części wroga do Hadesu razem z nimi.

Melkart przyspieszył do prędkości ofensywnej, a sternik wyszukiwał następną ofiarę. Gisko rozejrzał się po rzezi, którą działało jego dwadzieścia okrętów. Część galer ścigała barki, które usiłowały wyłamać się z grupy i uciec, podczas gdy reszta wpłynęła prosto w środek floty

transportowej i nękała większe statki, powodując panikę i kolejne kolizje.

Admirał dostrzegł w wodzie przed sobą grupkę ludzi, Rzymian, którzy wyskoczyli z jakiejś płonącej jednostki. Trzymali się razem, pomagając sobie nawzajem, gdy ich statek osuwał się pod powierzchnię fal niecałe sześć metrów dalej.

– Sternik, jeden rumb na sterburte! – rozkazał Gisko, a sternik natychmiast dostrzegł jego cel. Ustawił *Melkarta* precyzyjnie na kursie.

Dziewięćdziesięcotonowa galera zbliżyła się do grupy. Jeden z mężczyzn nagle ją dostrzegł i krzykami ostrzegł innych. Hamilkar przyglądał się całej scenie bez komentarza: okrutne namierzanie bezbronnych ludzi w wodzie budziło jego pogardę. Jak wszyscy inni na pokładzie wiwatował, kiedy *Melkart* zatopił pierwszą ofiarę, rozkoszując się niszczeniem floty wroga i wychwalając Tanit, fenicką boginię losu, za niezwykle łut szczęścia, dzięki któremu Rzymianie wpadli im w ręce.

Gorączkowe błagania Rzymian ucichły, kiedy *Melkart* uderzył, a wielu łuczników na tylnym pokładzie podbiegło do relingu z nadzieją, że będą mogli dobić tych, którzy przeżyli. Nie przeżył jednak nikt. Hamilkar przyglądał się admirałowi, wlepiającemu wzrok w ciała Rzymian unoszące się za statkiem. Zdumiewała go dwoistość natury dowódcy. Był wybitnym żeglarzem: świadczyły o tym choćby doskonale zastawiona przezeń pułapka i umiejętność zrozumienia oraz przechytrzenia

wroga. Był też jednak zdolny do niebywałego okrucieństwa, płonęła w nim niegasnąca żądza krwi, która wiele kosztowała jego wrogów.

Hamilkar przypomniał sobie wytyczne towarzyszące jego mianowaniu. Jako cień miał poszerzyć zasięg rady Kartaginy i upewnić się, że Gisko nie powtórzy swojej haniebnej porażki spod Akragas. Barkas wielokrotnie w głębi duszy kwestionował ten tok działania, zastanawiając się, dlaczego pozwolono admirałowi dalej dowodzić. Dopiero teraz, w ferworze bitwy, w pełni zrozumiał decyzję rady. Jeśli Rzym miał zostać pokonany na Sycylii, ludzie tak bezwzględni jak Gisko byli konieczni przy każdej potyczce. W ciągu swojej pięćsetletniej historii Kartagina ani razu nie dała sobie odebrać żadnego terytorium. Sycylia nie mogła stać się wyjątkiem od tej reguły.

Gisko odwrócił się, kiedy rzymscy marynarze znikali pod wodą, i natychmiast zauważył spojrzenie Hamilkara. Ten nie odrywał od niego wzroku; wezbrało w nim nowe poczucie obowiązku, aby stworzyć jednolitą jednostkę dowodzenia z admirałem. Gisko zauważył jego wyraz twarzy i mylnie wziął go za dzieloną z nim satysfakcję ze śmierci bezbronnych rzymskich żeglarzy.

– To będzie wiadomość dla Rzymu i jego legionów – powiedział Gisko, a w jego słowach płonął ogień zwycięstwa. – Od tej chwili, od tego dnia, morza należą do Kartaginy.

Hamilkar kiwnął głową. Brzegi przepaści, którą

tworzyło między nimi odmienne rozumienie honoru, połączył most wspólnej wiary w ich sprawę.

– Staliśmy się posłańcami Mota, boga śmierci. Jego przekaz brzmi: „Śmierć Rzymianom”.

Hamilkar z wciąż zaciętą miną chłonał te słowa oraz zdecydowanie i determinację zaprawionego w bojach admirała. Gisko walczył z nienawiści do wroga, Hamilkar – ponieważ wierzył w Kartaginę. Ich ostateczny cel był taki sam i kiedy Hamilkar powtórzył przysięgę admirała, nawiązało się między nimi porozumienie.

– Śmierć Rzymianom!

Aquila mknęła na północ przez puste morza. Był to koniec długiego dnia, więc płynęła na żaglach, a wioślarze odpoczywali na swoich stanowiskach pod pokładem, opierając się o wiosła, które były całym ich życiem. Attyk stał na pokładzie rufowym, spoglądając na słońce chylące się szybko ku zachodowi. Dołączył tam do niego Septymus; obaj milczeli, a myślami byli z flotą transportową, która została za horyzontem.

Światło niknącego słońca sprawiło, że niebo płonęło czerwienią. Było to odpowiednie tło dla masakry, która dokonała się tego dnia, jakby bogowie przyjmowali do siebie dusze umarłych, a ich drogę do Klizjum znaczyło splamione krwią niebo. Attyk patrzył na bitwę tak długo, jak było to możliwe – w miarę jak *Aquila* bez przeszkód się oddalała, szczegóły szybko niknęły, aż została tylko wielka chmura czarnego dymu. Widok ten zawstydzał i

jego, i centuriona, który stał przy nim bez słowa.

W twarz wiała Attykowi lekka bryza, kiedy odwrócił się od zachodu słońca, aby ogarnąć wzrokiem spokojny pokład okrętu. Stał na rufie przez cały dzień, w sumie ponad czternaście godzin. Przez cały ten czas sił dodawał mu gniew i gorzka frustracja spowodowana tym, że nie mógł użyć strasznej broni pod swoimi stopami w obronie ziomków, którzy ginęli tłumnie tuż poza jego zasięgiem. Teraz ta wytrzymałość zaczynała go opuszczać, a bitwa już stawała się w jego myślach pojedynczym wydarzeniem, a nie ciągiem odosobnionych potworności.

Scypion zszedł pod pokład, kiedy tylko stało się jasne, że *Aquila* bezpiecznie ucieknie. Attyk zauważył, że konsul ani razu nie obejrzał się na skazaną na klęskę flotę. Przywołał znów w myślach swoją wcześniejszą konfrontację ze Scypionem i choć zdał sobie sprawę, że kwestionowanie autorytetu konsula było lekkomyślne, miał też pewność, że sam posłużył się sprawiedliwym i honorowym argumentem. Myśl o chłodnej obojętności, z jaką Scypion się odnosił do losu floty transportowej, ponownie rozpałała w Attyku złagodzony wcześniej gniew; postanowił przestać się przejmować ewentualnymi konsekwencjami tego, że podał w wątpliwość rozkaz konsula.

Potem zaczął myśleć o Punijczykach. Ich blokady nie spodziewano się jeszcze przez wiele tygodni, a jednak jakimś sposobem udało się im zlokalizować trasę dostawczą Rzymian i zaskoczyć ich, odcinając Sycylię od

stałego lądu, co było wyrokiem śmierci dla czterdziestu tysięcy legionistów.

Kiedy niebo już ciemniało, kapitan ponownie przeanalizował w myślach ich pułapkę. Była perfekcyjnie zorganizowana; wskazywała na ich niewiarygodne umiejętności nawigacyjne. Co więcej, Kartagińczycy – zbudowawszy swoje imperium dzięki flocie – dysponowali wieloma tuzinami galer ponad te pięćdziesiąt, które widział Attyk. Teraz cała ta morska potęga miała się zmierzyć z tuzinem trirem rzymskiej republiki, lżejszymi, mniejszymi galerami zbudowanymi z myślą o patrolach przybrzeżnych i potyczkach. Przewaga wroga była miażdżąca.

Aquila umykała na północ, a na wieczornym niebie zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy. Dzięki temu Gajusz mógł po raz pierwszy dokładnie określić kurs i Attyk poczuł, jak pokład przechyla się nieco, kiedy sternik dokonał poprawki. Płynęli teraz prosto do Rzymu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Scypion leżał na koi w głównej kabinie i pozwalał Chalilowi masować swoje ramiona i plecy. Opuścił pokład rufowy wiele godzin wcześniej; wolał spędzić czas pod pokładem, z dala od maluczkich. Wciąż myślał o konfrontacji z kapitanem. Człowiek ten otwarcie mu się sprzeciwił; Scypion nie miał zamiaru mu tego zapomnieć. Żałował, że stracił panowanie nad sobą. To potknięcie ujawniło jego prywatne myśli, i to z tego powodu – nawet bardziej niż za jawną niesubordynację – przeklinał w duchu kapitana za upieranie się przy swoim zdaniu.

W senacie pozory i podstępny stanowią warunek przetrwania. Polityk musiał zawsze robić wrażenie spokojnego, nigdy nie pozwalać prawdziwym emocjom wyjść na jaw. Opanowawszy swoje uczucia, mógł je dowolnie przywoływać: ta umiejętność budziła poparcie ludu i pozostałych senatorów i była nieodzowna, jeśli miało się zająć pozycję przywódcy.

Pod pozorami opanowania kryła się sztuka zwodzenia innych, talent do symulowania wtedy, kiedy wymagała tego sytuacja, tworzenia pozorów i manipulowania tłuszcą, aż toczyła cudze walki, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Scypion uosabiał takiego właśnie męża stanu, a jego wzlot na szczyty hierarchii rzymskiej władzy świadczył o tym, jak potrafił panować nad sobą samym i innymi. U podłoża tej cechy leżała jego

kontrola nad własnymi emocjami.

Konsul użył jej teraz, aby uporządkować myśli i zepchnąć samokrytykę w głąb umysłu. Dyscyplina Scypiona – oraz silne, wprawne dłonie Chalila – pomogła mu się rozluźnić i już po chwili spał, odsunawszy od siebie gniew na kapitana, aby w odpowiedniej chwili móc go znów przywołać.

Czując, że jego pan zapadł w sen, Chalil zmniejszył nacisk dłoni, a potem oderwał je od naoliwionej skóry. Nagle i niespodziewanie wezbrała w nim fala ukrywanej zazwyczaj nienawiści, grożąc, że go pochłonie; powstrzymał ją wysiłkiem woli tak wielkim, że zatrzęśły mu się ramiona. Codzienne upokorzenia spowodowane tym, że musiał spełniać czyjś każdy kaprys, stanowiły niegojącą się ranę na jego dumie, a świadomość, że mógłby z łatwością zabić Rzymianina, płonęła w jego żyłach niczym ogień. Odetchnął głęboko, usiłując obudzić w sobie cierpliwość, której nabrał w ciągu czterech lat, od kiedy stał się niewolnikiem.

Został schwytany w wieku siedemnastu lat. Jego rodzina postanowiła zostać w Napacie, kiedy reszta nubijskiego ludu królestwa Kusz wyemigrowała do Meroe. Ten wybór wiele ich kosztował. Miasto podupadło i stało się głównym celem ataków Persów, którzy bezustannie łupili wschodnie wybrzeże Afryki. Podczas zaledwie jednego natarcia pokonali żalosne siły obrońców miasta i wzięli wszystkich mieszkańców do niewoli. Chalil ostatnio widział swoją rodzinę na targu

niewolników na północnym brzegu Egiptu: jego matkę i dwie siostry sprzedano do burdeli w Aleksandrii, a ojciec trafił do kopalni soli w Tuzli. Chalila wysłano w łańcuchach do Rzymu za cenę nędznych pięciu sestercji.

Pierwsze dwa lata spędził, harując jak wół w wytwórni cegieł ogniotrwałych w Tyburze, na wschód od Rzymu. Piekielny upał i bezustanna praca nadały jego ciału i umysłowi siłę skały, co zwróciło uwagę jego pana, który dostrzegł szansę osiągnięcia sporego zysku na sprzedaży kościstego chłopca kupionego za bezcen dwa lata wcześniej. Chalil trafił do domu Scypiona, co wyraźnie objawiło dwoistość każdego wyroku losu. Z jednej strony Chalil nauczył się sztuki walki oraz zabijania; umiejętność ta przemawiała do drzemiącego w nim okrucieństwa i zajadłej agresji. Z drugiej – rzymski senator traktował Chalila jak zabawkę, psa do wytresowania do walki i wysłania na arenę wraz z innymi psami. Wstyd niewolnictwa nie zmniejszył się przez te cztery lata, a nienawiść płonęła w nim jak piece Tyburu.

Nowa fala poczucia hańby ogarnęła jego serce i Chalil powoli odsunął dłonie, wcześniej ułożone nad szyją Scypiona. Gdyby teraz zabił konsula, sam zginąłby w ciągu kilku chwil, a nie był gotowy na śmierć. Cierpliwość i los nauczyły go, że zemstę i wolność można osiągnąć jednocześnie, że któregoś dnia nadarzy się odpowiednia okazja, a wtedy będzie mógł odnaleźć rodzinę i uratować ją z więzów niewoli, które kępowały ich wszystkich. Mógł poczekać.

Opuściwszy kabinę, Nubijczyk zgasił latarnię i cicho zamknął za sobą drzwi, aby ponownie zająć stanowisko na zejściówce. Oparł potężne ciało o gródź i opuścił podbródek, rozluźniając mięśnie karku. Stłumił gniew i głęboko schował nienawiść, aby móc ukryć przed panem prawdziwe uczucia. Dysponował ogromną samokontrolą i po kilku chwilach był już spokojny. Potem, jak tylu innych ludzi na cichej teraz *Aquili*, zasnął.

Sześć godzin później wzeszło słońce, ponownie zastając Attyka i Septymusa na tylnym pokładzie *Aquili*. Kapitan jak zawsze obudził się tuż przed świtem; nabrał tego nawyku podczas lat spędzonych w randze marynarza, ponieważ o świcie zmieniała się wachta. Ubrał się szybko i poszedł na pokład, gdzie czekał już centurion. Omówili wydarzenia ostatnich dwóch dni, lecz – jakby za obopólną zgodą – unikali lematu bitwy. Każdy z nich podjął własne zdecydowane postanowienia, złożył w duchu przysięgi dotyczące zemsty i wysokiej ceny.

Septymus urwał rozmowę i się rozejrzał. Morze oblewało okręt ze wszystkich stron, co było dla niego nietypowym widokiem, ponieważ *Aquila* zazwyczaj poruszała się na wodach przybrzeżnych. Odnosił wrażenie, jakby statek nie miał żadnego konkretnego kursu, jakby mknął po falach bez celu. Ta myśl wytrąciła go z równowagi.

– Jaki mamy kurs? – spytał. Zdawał sobie sprawę, że zmierzają do Rzymu, lecz chciał usłyszeć wyczerpujące

informacje świadczące o tym, że Attyk dokładnie wie, jak się tam dostaną.

– Płyniemy na północ, przez Morze Tyrreńskie, szlakiem handlowym do Neapolu. Dotrzemy do brzegu nieco na południe od tego miasta, a potem podążymy na północny zachód wzdłuż linii brzegowej do Rzymu.

Septymus zwrócił uwagę na swobodną pewność siebie kapitana.

– Jeszcze nigdy nie byłem na statku poza zasięgiem wzroku od lądu – dodał centurion, nie dostrzegając na gładkim morzu żadnego punktu odniesienia.

Attyk odwrócił się do niego i uśmiechnął.

– Mnie się to zdarzyło po raz pierwszy, kiedy miałem osiem lat – stwierdził – i byłem sam. Łowiłem ryby przy brzegu w łódce, kiedy zerwał się sztorm. Prawie zerwał mi żagiel, ale udało mi się go uwiązać i przetrwać nawałnicę do zapadnięcia nocy. Do tego czasu fale zdążyły już znieść mnie na morze.

– Jak przeżyłeś? – spytał Septymus, usiłując sobie przypomnieć, jak to jest mieć osiem lat.

– Popłynąłem do domu według gwiazd – odparł rzeczowo Attyk, śmiejąc się w duchu z tego prostego opisu swego powrotu, przeczącego bezgranicznemu przerażeniu, jakie wtedy czuł.

– Już jako ośmiolatek potrafiłeś kierować się gwiazdami? – spytał Septymus. Wątpił, czy małe dziecko potrafiłoby dokonać czegoś takiego.

– Septymusie, jednym z moich pierwszych

wspomnień jest to, jak dziadek uczył mnie wszystkiego o gwiazdach. Powiedział, że są największym sprzymierzeńcem rybaka w walce z kapryśną naturą morza. Ono jest niepewne, lecz gwiazdy są stałe i rybak może powierzyć im swoje życie. Tamtej nocy im zaufałem i przetrwałem.

– Zawsze wybrałbym ziemię i solidną drogę pod stopami – powiedział Septymus. Wiedział, że nigdy nie posiada takich umiejętności żeglarskich jak Attyk, który czuł na morzu swobodę wynikającą z tego, że mierzył się z nim od dziecka i za każdym razem wygrywał.

– A ja mocny wiatr i dobry statek – odparł Attyk.

Septymus, uśmiechnąwszy się na tę ripostę, wrócił na główny pokład, do zebranych tam żołnierzy. Ludzie byli zgaszeni, a ucieczka z miejsca potyczki, do której doszło poprzedniego dnia, była dla nich źródłem gorzkiego wstydu. Septymus wyczuł ich nastrój, zastanawiając się, jak ta sytuacja odbije się na ludziach. Rutyna była najważniejszym narzędziem dowódcy, a w wypadku żołnierzy Septymusa dyktowała rozpoczęcie każdego dnia od musztry. W ciągu półgodziny będą się obficie pocić, zmęczeni pełnym treningiem bitewnym, a konieczna podczas niego koncentracja oczyści ich umysły z buntowniczych myśli. Wojownicy ustawili się w szeregach i zaczęli rozgrzewkę. Ćwiczone ruchy wykonali już wcześniej tysiące razy, lecz Septymus nauczył ich, że każdej lekcji, która może im kiedyś uratować życie, warto uczyć się wielokrotnie.

Kiedy centurion zakończył pojedynek treningowy ze swoim zastępcą, Kwintusem, po plecach spływał mu pot. *Optio* także dyszał ciężko; zmęczył go ciąg szybkich ruchów konieczny do odparowania ataków centuriona.

– Dobrze – wysapał Septymus. – Bardzo dobrze.

Dookoła nich pary ludzi z centurii walczyły ciężkimi drewnianymi mieczami do musztry, które budują mięśnie wszystkich i nabijają siniaki nieuważnym. Septymus kazał im ćwiczyć cios znad głowy i wszyscy włączyli teraz ów ruch do swojego coraz szerszego zakresu umiejętności.

– Przejmij dowodzenie, Kwintusie – powiedział Septymus i schylił się po swoją tunikę, którą rzucił na pokład godzinę wcześniej, kiedy słońce wisiało nisko nad horyzontem. Idąc na tylny pokład, czuł, jak chłodna bryza morska odświeża jego ciało; po porannych ćwiczeniach miał beztroski nastrój.

Konsul stał przy relingu na pokładzie rufowym, a towarzyszyli mu dwaj pretorianie i wysoki nubijski niewolnik. Przechodząc przez pokład, Septymus czuł na sobie badawcze spojrzenie Scypiona, który odwrócił się i powiedział kilka słów do stojącego nieruchomo u jego boku Nubijczyka. Ten kiwnął głową, nie spuszczając wzroku z centuriona. Septymus wszedł na pokład rufowy, dołączając przy sterze do Attyka, który właśnie wydawał rozkazy grupie marynarzy. Kiedy centurion się zbliżył, załoganci rozeszli się i rozproszyli po statku, aby

wypełnić swoje zadania. Attyk podniósł oczy na wielki żagiel, niemal instynktownie raz po raz sprawdzając jego ustawienie, linię wiatru, napięcie olinowania i niezliczone inne drobiazgi, które działały się jednocześnie, kiedy okręt mknął po falach.

– Od jak dawna konsul tu jest? – spytał Septymus.

– Jakieś pół godziny. Obserwował ćwiczenia twoich ludzi. Zdaje się, że dyskutuje o nich ze swoim niewolnikiem.

Septymus kiwnął głową, przeczuwając, że czeka go wezwanie, zanim jeszcze padły słowa.

– Centurionie! – usłyszał i obróciwszy się, zobaczył, że konsul wzywa go gestem.

Septymus przeciął pokład rufowy i stanął na baczność przed Scypionem.

– Twoi ludzie robią wrażenie, dobrze ich szkolisz – powiedział chłodno konsul.

Septymus słyszał w jego głosie wyzwanie.

– Dziękuję, konsulu.

Scypion uważnie przyglądał się centurionowi; wyglądało na to, że waży coś w myślach.

– Chciałbym, żebyś stoczył pojedynek z moim niewolnikiem. Jest gladiatorem z mojej szkoły i ucieszyłby się z wyzwania.

– Z radością skorzystam z tej szansy, konsulu – odparł Septymus i zasalutował Scypionowi jeszcze raz, po czym poprowadził Chalila na główny pokład.

Po drodze zerknął na Attyka. Kiedy centurion trafił

na *Aquile*, kapitan szkolił go w indywidualnej walce, lecz w ciągu trzech miesięcy naturalny talent do fechtunku byłego legionisty przerósł przeciętne umiejętności Attyka, który już dawno nie widział, żeby ktokolwiek pokonał Septymusa w starciu. Uśmiechnął się szeroko, z wyczekiwaniem.

Żołnierze przerwali ćwiczenia, kiedy zauważyli zbliżającą się parę. Jasne było, co się święci: Septymus ponownie zdjął tunikę i zaczął rozgrzewkę. Ludzie szybko utworzyli półokrąg od strony dziobu, aby każdy widział pojedynek. Stawiane szeptem zakłady i słowa poparcia stawały się coraz głośniejsze, gdy Chalil ściągnął własną tunikę, odsłaniając potężne ciało. Wysokości zakładów renegotjowano, kiedy niewolnik chwycił drewniany miecz; obchodził się z nim swobodnie i widać było, że oręż ten nie jest mu obcy. Dwaj mężczyźni stanęli twarzą w twarz i wydawało się, że cały ruch na statku zamarł.

– Jak masz na imię, niewolniku? – spytał Septymus, wypluwając z siebie ostatnie słowo z pogardą, aby sprowokować gniew przeciwnika.

– Chalil.

– A zatem, Chalilu, nauczę cię dzisiaj kilku rzeczy – drażnił się z nim Septymus, ruszając w prawo i otwierając niewielki okrag.

– Dopiero wtedy, kiedy już upokorzę cię na oczach twoich ludzi, Rzymianinie – odparł złowrogim tonem Chalil.

Ta groźba i fakt, że niewolnik miał czelność zwracać się tak agresywnie do wolnego człowieka, zdumiały centuriona. Chalil zauważył jego zaskoczenie i wykorzystał ten moment, aby zaatakować. Septymus nie był na to przygotowany i musiał się cofnąć, kiedy Nubijczyk zasypał go gradem ciosów. Centurion przeklinał w duchu samego siebie za chwilową utratę koncentracji; prosta sztuczka Nubijczyka przerwała tok jego myśli i naraziła go na zajadły atak.

Septymus przypuścił kontratak, odpierając klingę Nubijczyka i celując w dół: chciał wytrącić przeciwnika z równowagi i przejść do ofensywy. Już po chwili wiedział, że trafił na równego sobie. Miał za sobą znacznie dłuższe doświadczenie z mieczem, lecz głównie w legionach, i tylko dziesięć miesięcy treningu w walce indywidualnej. Chalil uczył się jej ponad dwa razy dłużej, u najlepszych trenerów gladiatorów, których mógł zatrudnić Scypion. Septymus miał po swojej stronie równowagę i wyczucie czasu, Chalil – wprawę i technikę; obaj próbowali pokierować starciem tak, żeby móc wykorzystać swoje mocne strony.

Septymus ponownie się cofnął, kiedy Chalil przeszedł do ciągu dwunastu ruchów, płynnej sekwencji ciosów, które dwukrotnie przedarły się przez linię obrony Septymusa, przy jego torsie i górnej części uda. Centurion przyjął ciosy ze stęknieniem. Ciężki drewniany miecz na pewno zostawi siniaki. Ruszył do kontrataku; jego pchnięcia były mniej precyzyjne niż Chalila, lecz ten i tak

był zmuszony do szybkiej reakcji, jeśli chciał uniknąć rany. Septymus narzucił szybkie tempo, nie dając Nubijczykowi ani chwili między atakiem a kontratakiem. Bezlitosny rytm potyczki zaczął odciskać swoje piętno i Chalil jęknął głośno, kiedy Septymus uderzył go w brzuch ręką miecza. Gladiator znów natarł, rycząc z gniewu, lecz Septymus użył jako obrony swojego wyjątkowego poczucia równowagi, zmuszając Chalila, żeby przy ostatnim ciosie zbyt daleko wyciągnął rękę z mieczem, co pozwoliło centurionowi natychmiast przystąpić do ofensywy.

Attyk przyglądał się w milczeniu zza przedniego relingu pokładu rufowego. Na początku pojedynku wraz z resztą załogi dopingował Septymusa, lecz teraz tylko przyglądał się z fascynacją rozwojowi walki. Umiejętności mężczyzn były niezwykle wyrównane. Po prawie dziesięciu minutach potyczki wyraźnie było widać, że ramię, którym Chalil posługuje się mieczem, odczuwa już skutki przedłużonego wysiłku. Jego ciosy padały wolniej, lecz ich sekwencje były nie mniej niebezpieczne i Septymus musiał się nieźle nabiedzić, żeby odeprzeć kolejne ataki.

Walczyli dalej, spływając potem; każdemu ciosowi towarzyszyło teraz stęknienie wysiłku. Nikt nie zadał jeszcze śmiertelnego pchnięcia, lecz obaj nosili na ciałach ślady razów.

– Dość!

Wszyscy odwrócili głowy w stronę, z której padł

rozkaz – wszyscy poza walczącymi, którzy odsunęli się od siebie niemal niedostrzegalnie, nie odrywając od siebie oczu i dysząc jednocześnie. Scypion zszedł na główny pokład i podszedł do dwóch mężczyzn. Zmierzył obu wzrokiem, jakby porównując ich w myślach i wyciągając z walki sobie tylko znane wnioski.

Przed pojedynkiem Scypion był pewien, że Chalil będzie lepszy. Jednak już w chwilę po rozpoczęciu jego bystre oko dostrzegło wyraźną słabą stronę Nubijczyka. Gladiatorzy rzadko walczyli na śmierć i życie, tym bardziej jeśli chodziło o wojowników kalibru Chalila; ich pojedynki oglądano głównie dla sztuki szermierczej. Centurion natomiast już wiele razy stoczył potyczki, w których stawką było życie, i nie potrafił walczyć inaczej. Centurion musiał zabić lub zginąć; gladiator wygrywał, raniąc przeciwnika. Nie znając śmiertelnego niebezpieczeństwa, Chalil nigdy nie dorówna centurionowi. Scypion był jednak pewien, że w walce na śmierć i życie w Chalilu obudziłaby się jego żelazna determinacja i nikt – a z pewnością nie tępy centurion – nie mógłby go pokonać.

– Dobrze walczysz, centurionie – powiedział Scypion tonem, który zdradzał, jak puste są jego słowa.

– Dziękuję, konsulu – odparł Septymus, stając na baczność.

Scypion skinął krótko głową Chalilowi i odwróciwszy się w stronę luku prowadzącego do kabin pod pokładem, zniknął bez słowa. Za nim podążyli jego

strażnicy i Nubijczyk. Dopiero wtedy żołnierze przerwali ciszę: nagłe zakończenie walki od razu wywołało kłótnie, kto zwyciężył i jak rozstrzygnąć zakłady.

Septymus pozwolił się im spierać, odprowadzając wzrokiem przeciwnika, nawet kiedy pozostało mu tylko wpatrywanie się w pusty luk. Jeszcze nigdy nie walczył z tak zdolnym wojownikiem. Instynktownie spróbował rozruszać poważnie stłuczony bark. Przez resztę dnia czekał, aż niewolnik wróci na pokład, aby móc omówić z nim pojedynek i niebywałe sekwencje ciosów, które robiły wrażenie tak niewymagających wysiłku. Czekał na próżno: ani Chalil, ani Scypion już się tego dnia nie pojawili.

Attyk ledwie potrafił uwierzyć własnym oczom. Gdziekolwiek spojrzał, morze było pełne wszelkiego rodzaju jednostek pływających, od najmniejszych łódek, przez galery handlowe, po potężne barki transportujące zboże. Attyk miał przemożne wrażenie wszechogarniającego ruchu, bezustannej, gorączkowej aktywności. Kursy podróżujących we wszystkich kierunkach statków się krzyżowały: część wyruszała do odległych celów, a inne docierały do końca podróży tutaj, w Ostii, porcie Rzymu.

Na *Aquili* zauważono ład poprzedniego dnia o zmierzchu. Galera zwróciła dziób na północny zachód, aby popłynąć wzdłuż poszarpanego wybrzeża półwyspu włoskiego. W ciągu nocy minęli po prawej Neapol,

którego światła – rozsypane po zatoce w kształcie półksiężyca i na wzgórzach za nią – wyglądały jak lustrzane odbicie nieba. Bryza od lądu wypełniła powietrze zapachem dymu z niezliczonych domowych palenisk, a także piżmową wonią ludzi z zatłoczonego, niewidocznego miasta.

Poza miastem widać już było tylko pojedyncze światełka znaczące wioski rybackie. Stały ląd znów pociemniał; o jego istnieniu po sterburcie galery świadczyła tajemnicza obecność, którą czuli wszyscy obecni na pokładzie, która wciąż przyciągała ich wzrok do mrocznych zarysów Italii.

W nocy do *Aquili* zaczęły dołączać inne statki podróżujące tym samym szlakiem do Rzymu; było ich coraz więcej, aż świt – który zastał galereę jakieś dziesięć mil od Ostii – ukazał na otaczających ją falach całe zastępy innych jednostek. Tłoczyły się one u ujścia portu, w którym znajdowała się *Aquila*.

Mniejsze jednostki robiły galerze miejsce na sam widok jej brązowego tarana. Dalej Gajusz zabrał się do wymijania wielkich barek transportowych. Zwrotniejsza na wiosłach *Aquila* ustępowała drogi mniej nadającym się do manewrów statkom żaglowym, zgodnie z odwiecznymi zasadami uprzejmości przestrzeganyymi przez wszystkich wytrawnych marynarzy.

Leżącą u ujścia Tybru Ostię założył ponad trzysta lat wcześniej Ankus Marcjusz, czwarty król Rzymu, a rozwój i dobrobyt zawdzięczała położeniu blisko Rzymu.

Ta symbiotyczna relacja sprawiła, że mała niegdyś wioska rybacka stała się dla handlu bramą do największego miasta świata. Teraz *Aquila* wiozła jeden z najcenniejszych ładunków, jakie kiedykolwiek trafiły do owego portu: niezwykle ważną wiadomość dla senatu, którą miał przekazać sam dowódca Rzymu, wiadomość, od której zależał los czterdziestu tysięcy legionistów na Sycylii.

Lucjusz stał na pokładzie rufowym przy sterniku kierującym *Aquilę* do portu. Wiele lat wcześniej, kiedy Lucjusz zajmował stanowisko bosmana, stacjonował na wodach otaczających Ostię, świetnie więc znał nabrzeże i rozkład doków. Wyznaczał galerze kurs na *castrum*, obóz wojskowy pełniący również funkcję portu galer z rzymskiej armii, które patrolowały pobliskie szlaki morskie.

Attyk towarzyszył tej dwójce, słuchając, jak Lucjusz wymienia nadzwyczaj liczne narodowości reprezentowane przez statki handlowe otaczające galere. Jednostki te przybyły z każdego krańca Morza Śródziemnego, z Galii i Iberii, z Ilirii leżącej na wybrzeżu *mare Superum*, naprzeciwko wschodniego brzegu Italii, a także z Grecji i Egiptu. Były to miejsca, o których odwiedzeniu Attyk marzył jako chłopiec, a teraz sama bliskość mieszkańców tych ziem pobudzała jego wyobraźnię. Rozglądając się tu i tam, od sterburty po bakburte, nagle zauważył, że po pokładzie rufowym w jego stronę idzie konsul.

– Kapitanie Perennis – zaczął z zimnym wyrazem twarzy Scypion – kiedy już zacumujemy, ty i centurion Kapito będziecie mi towarzyszyć do miasta. Zostaniecie tam, aż osobiście udzielię wam pozwolenia na wyjazd.

– Tak jest, konsulu – odparł Attyk, zastanawiając się, dlaczego ich obecność jest tak niezbędna; wiedział jednak, że nie śmie o to zapytać.

Scypion odwrócił się na pięcie i pomaszerował na główny pokład, gdzie czekali jego strażnicy i niewolnik. Septymus wszedł na pokład rufowy z drugiej strony i zbliżył się do Attyka.

– A zatem już wiesz – powiedział, wskazując głową kierunek, w którym odszedł konsul.

– Tak – odparł Attyk, wciąż zastanawiając się nad powodem decyzji Scypiona. – Jak sądzisz, dlaczego chce, żebyśmy byli w mieście?

– Nie wiem. Jedno natomiast nie ulega wątpliwości: ma nas w garści. Słyszałeś jego rozkaz. Nie możemy wyjechać, dopóki osobiście nam na to nie pozwoli.

– Zauważyłem – powiedział Attyk, zdając sobie sprawę, że prosta komenda, aby towarzyszyć konsulowi, w rzeczywistości wcale taka nie była. Znał konsula zaledwie od trzech dni, lecz już był całkowicie pewien, że Scypion nigdy nie wykonuje ruchu, nie znając jego konsekwencji o trzy kroki naprzód.

– Nieważne – wtrącił nagle z uśmiechem Septymus, wyczuwając zmartwienie przyjaciela. – Teraz na pewno uda mi się pokazać ci atrakcje Rzymu.

Attyk otrząsnął się z niepokoju i też wyszczerzył zęby, klepiąc Septymusa po ramieniu.

– Lepiej, żebyś miał rację co do Rzymu. Zbyt długo czekałem na wizytę w tym mieście, żeby znieść rozczarowanie.

– Rozczarowanie? – wykrzyknął centurion z udawanym zdumieniem. – Attyku, mój druhu, zanim skończymy, będziesz wychwalał dzień, w którym poznałeś konsula.

Zaraźliwy entuzjazm Septymusa rozbawił Attyka. Miał poczucie, że jego wyobrażenie o mieście – wizja pełna wspaniałych świątyń i eleganckich placów – bardzo się różni od tego, co pokaże mu Septymus.

Castrum znajdowało się na północnym skraju tętniącego życiem portu. Była to siedziba największego oddziału rzymskich okrętów wojennych: sześciu z liczącej dwanaście galer floty republiki. Ta grupa statków bezustannie patrolowała szlaki morskie otaczające Rzym, zapewniając nieprzerwany przepływ handlu, tak ważny dla rozwoju miasta. Co ważniejsze, eskortowały one wielkie transporty zboża przywożone ogromnymi barkami z Kampanii, odległej o ponad dwa dni żeglugi na południowy wschód.

Kiedy *Aquila* zbliżała się do celu, Attyk zobaczył, że cztery z galer Ostii są na morzu; pozostałe triremy, *Libertas* i *Tygrys*, były zacumowane w doku. *Aquila* zwolniła na wprawny gest Gajusza, a z dziobu i rufy

rzucono liny czekającym na ładzie niewolnikom, którzy szybko przywiązali je do polerów. Na rozkaz wciągnięto na pokład wiosła z obu burt, a załoga *Aquili* zaczęła wybierać cumy, aż galera ustawiła się równolegle do nabrzeża. Opuszczono trap, a Scypion i jego świta, za którą podążali Attyk i Septymus, natychmiast zeszli na ład. Na widok pretorianów wszyscy w okolicy zastygli, po czym usunęli się z drogi, tworząc przejście od *Aquili* do baraków; nie byli pewni, co oznacza nagła wizyta wysokiego rangą senatora, przybyłego na pokładzie niewidzianej wcześniej galery spoza floty Ostii.

Kiedy grupa zbliżała się do dwupiętrowych baraków, spod bramy prowadzącej na dziedziniec wyłonił się dowódca portu na czele dziesięciu żołnierzy. Szedł zdecydowanym krokiem, aby zbadać przyczyny niezapowiedzianego przybycia galery do jego portu; Scypion maszerował równie pewnie, dwie grupy więc szybko się do siebie zbliżyły. Konsul zauważył, że dowódca portu zwolnił nieco, usiłując rozpoznać nadchodzącą postać, o której wysokim stanowisku świadczyła odziana w czarne peleryny straż. Dowódca zatrzymał swój oddział w odległości dziesięciu kroków i rozkazał ludziom stanąć na baczność, wiedząc, że kimkolwiek jest człowiek prowadzący pretorianów, pozycją przewyższa jego samego. Scypion podniósł rękę o dwa kroki od dowódcy, a jego straż momentalnie się zatrzymała.

– Dowódco, jestem starszym konsulem i nazywam

się Gnejusz Korneliusz Scypion. Potrzebuję natychmiast ośmiu najlepszych wierzchowców, na których pojedziemy do Rzymu. Mój niewolnik i nasz bagaż mają podążyć za nami z eskortą.

– Tak jest, konsulu – odparł dowódca portu. Jego myśli gnały, kiedy usiłował zrozumieć powód nagłej obecności najpotężniejszego z Rzymian w wojskowym obozie w Ostii.

– Już! – krzyknął Scypion. Chwilowe wahanie dowódcy podsyciło jego niecierpliwość: chciał już być w Rzymie.

To natychmiast odniosło efekt; dowódca odwrócił się na pięcie i rozkazał swoim ludziom pobiec do stajni, zebrać i przygotować wierzchowce. Znów spojrzął na konsula, lecz ten już go wymijał, idąc w stronę wejścia na dziedziniec, skąd można było trafić do stajni. Dowódca został na chwilę za odchodzącą grupą, aż oprzytomniał i ruszył jej śladem.

Baraki w Ostii wyglądały niemal identycznie jak w Brolium, na północnym wybrzeżu Sycylii. Jak wszystkie inne w republice zbudowano je na podstawie standardowego projektu: były to dwupiętrowe budynki ustawione w kwadrat, a w środku każdej pierzei znajdowało się łukowate wejście na położony wewnątrz dziedziniec. Stajnie były umiejscowione za wschodnią bramą, i to przez nią teraz żołnierze wyprowadzili osiem koni lekkiej jazdy. Należały do rasy maremanno, pochodzącej z równin Etrurii. W porównaniu z innymi

rasami konie te były niezbyt atrakcyjne i choć niezbyt szybkie, były silne i potrafiły ciężko pracować, dzięki czemu idealnie nadawały się do trudnego życia w legionach.

Scypion, czterej strażnicy, ich dowódca oraz dwaj ludzie z *Aquili* wsiedli na koń i wyjechali przez południową bramę, po czym skręcili w lewo, na wschód, w zatłoczoną drogę portową prowadzącą do miasta. Kiedy jechali wzdłuż nabrzeża, feeria widoków i zapachów napływających z ruchliwego portu znów przyprawiła Attyka o zawrót głowy. Barki transportowe, które przybyły z wszystkich krańców znanego świata, wyrzucały ładunki na pomost; dookoła stali miejscy kupcy, gotowi dobić targu ze stałym kontrahentem lub niedoświadczonym początkującym. Złoto szybko przechodziło z ręki do ręki, kiedy zgadzano się na warunki umowy, a towary odnosiła armia niewolników, czekająca za plecami każdego handlarza. Attyk nigdy jeszcze nie widział takiej obfitości dóbr, takiej manifestacji nienasycenia: zachłanni kupcy pożerali każdy nowy ładunek przywieziony przez barki. Na pierwszej ćwiartce mili nabrzeża widział bele jedwabiu tak liczne, że można byłoby ubrać cały legion; egzotyczne zwierzęta drapiące pazurami i warczące na niewolników, którzy zręcznie przenosili ich klatki; śpiewające ptaki wszelkich rozmiarów i barw, a między tym wszystkim – niezliczone amfory wina i kosze z jedzeniem. Wydawało się niemożliwe, żeby jakiegokolwiek miasto mogło

pochłonąć taką obfitość, lecz Attyk odniósł wrażenie, że to samo dzieje się każdego dnia, że głodne miasto pożre to wszystko i następnego dnia wróci po więcej.

Kiedy poczuł, że ktoś ciągnie go za ramię, oderwał się od tej pozornie chaotycznej sceny. Septymus wskazał głową w lewo, sygnalizując nagłą zmianę kierunku jazdy pozostałych. Attyk skręcił, aby podążyć za nimi; oddalali się teraz od portu, zmierzając w stronę miasta. I tam ulice pełne były wszelkiego rodzaju towarów, tym razem przewożonych w głąb lądu do odległego o ponad dwanaście mil Rzymu. Jeźdźcy przemykali się między licznymi niewolnikami i tragarzami, co spowalniało jazdę, dopóki nie wyjechali na otwarte tereny wiejskie. Po sześciu milach dotarli do via Aurelia, zbudowanej niewiele wcześniej drogi biegnącej na północ, wzdłuż wybrzeża. Skręcili na południe i po dziesięciu minutach przejechali Pons Aemilius, wspaniały most o kamiennych filarach i drewnianej głównej konstrukcji złożonej z pięciu łuków, przerzucony nad szerokim na sto kroków Tybrem. Attyk mógł tylko podziwiać wyczyn inżynieryjny; wychylił się z siodła, aby spojrzeć na wodę płynącą wartko dziewięć metrów poniżej.

– Jeszcze nic nie widziałeś – powiedział Septymus z uśmiechem, kiedy zauważył, że jego przyjaciel przygląda się każdemu szczegółowi mostu.

Attyk podniósł wzrok, a Septymus kiwnął głową w stronę prowadzącej w dal drogi i wyłaniającego się przed nimi widoku: Rzymu.

Wjechali do miasta przez Porta Flumentana, jedną z dwunastu bram w murach Serwiusza, które na długości prawie siedmiu mil opasywały cały Rzym. Tę potężną barierę ochronną, szeroką na trzy i pół metra i wysoką na sześć metrów, zbudował szósty król Rzymu po tym, jak ponad sto trzydzieści lat wcześniej miasto zdobyła licząca siedemdziesiąt tysięcy wojów galijska armia Brennusa. Kiedy przejeżdżali pod wielkim łukiem bramy, opatrzonym wszechobecnym napisem SPQR - *Senatus Populusque Romanus*, „senat i lud rzymski” – spojrzenie Attyka przyciągnął szczyt Palatynu, wznoszący się sześćdziesiąt metrów nad poziomem dna doliny, w której półbóg Romulus niemal pięć wieków wcześniej ułożył kamienie węgielne Rzymu.

Grupa jechała tętniącymi życiem ulicami, po czym skręciła na północ, w dolinę między Palatynem a Kapitołem, zwieńczonym świątynią trzech głównych bóstw, Jowisza, Marsa i Kwiryna. Attyk nigdy wcześniej nie widział takich tłumów. Spędziwszy całe dorosłe życie na morzu, szybko przyzwyczał się do dzielenia niewielkiej przestrzeni z innymi; mała powierzchnia galery odciętej od reszty świata na morzu tworzyła na pokładzie klaustrofobiczną, niesprzyjającą intymności atmosferę. Jednak w porównaniu ze ścisaniem na ulicach i w budynkach, które go otaczały, statek robił wrażenie przestronnego. *Insulae*, ciasno ustawione kamienice, wznosiły się na wysokość pięciu lub więcej pięter, a ich balkony tworzyły coś na kształt dachu, który właściwie

uniemożliwiał promieniom słońca dotarcie do ulicy. Attyk czuł się w tym korytarzu zdecydowanie nieswojo i z ulgą zauważył przed sobą koniec uliczki i jaśniejszą, otwartą przestrzeń za nim.

Jako ostatni z grupy wyjechał z wąskiej alejki na Forum Magnum, centralny plac wielkiego miasta. Patrzył na to dostojne serce republiki z bezmiernym zachwytem. Kiedy był młody, jego dziadek raczył go opowieściami o wspaniałych Atenach, mieście, które jego przodkowie nazywali domem, zanim ród Miloniuszów uciekł przed Aleksandrem Macedońskim do południowej Italii. Były to historie o wspaniałych świątyniach i podobnych bogom posagach, kolebce i ojczyźnie cywilizacji, mieście, które mogli stworzyć tylko Grecy. W dzieciństwie Attyk pozwolił swojej wyobraźni stworzyć miasto o niebywałym majestacie; potem często myślał o tej wizji z lekceważeniem, jako zrodzonej z przechwałek starca stęsknionego za krajem rodzinnym. Teraz – stojąc na skraju okazałego Forum Magnum – Attyk ujrzał właśnie te wizje z dzieciństwa, przeniesione do miasta, które z pewnością przewyższało inne pod względem splendoru i potęgi.

Septymus ściągnął lejce konia i wrócił, aby stanąć u boku oniemiałego przyjaciela.

– I jak? – spytał z uśmiechem. – Co o tym sądzisz?
– Na bogów, Septymusie, nie sądziłem, że będzie tak... tak...

– Duży? – odpowiedział centurion.

– Chciałem powiedzieć „wspaniały” – odparł Attyk. Natychmiast zrozumiał, dlaczego rozpościerające się przed nim miasto mogło skupiać moc, którą sprawowało nad całym półwyspem. – Ojciec mojego ojca przeklinał Rzym, kiedy żołnierze legionów trafili do Lokr. Twierdził, że oni i miasto, z którego pochodzili, są gorsi od ludzi i miast Grecji – ciągnął, potrząśnięciem głowy krytykując opinię przodka.

Septymus zaczął wyliczać atrakcje Forum, kiedy grupa przejeżdżała przez owo gwarne miejsce, na którym toczyło się życie polityczne i kwitł handel. Po lewej stała okrągła, wysoka świątynia Westy, dziewiczej bogini domu i rodziny. Septymus wyjaśnił, że wewnątrz nietykalne westalki dogładają wiecznego ognia Westy, symbolizującego źródło życia; poprzez wschodnią bramę świątyni płomień był połączony ze swoją praprzyczyną, słońcem. Westalki – niegdyś córki króla Rzymu – pochodziły z najważniejszych rzymskich rodów, a ich trzydziestoletni ślub czystości oraz przyjęcie do jedynej w religii Rzymu poczty kapłanek przynosiły im i ich rodom wielki zaszczyt i prestiż.

Obok świątyni znajdowała się Regia. Początkowo pełniła funkcję siedziby królów, lecz teraz, kiedy władzę sprawował senat, w budynku rezydowała postać o bardziej uduchowionej roli: *pontifex maximus*, najwyższy kapłan republiki. Imponująca prostopadłościenna świątynia mieściła tarczę i włócznię boga wojny, Marsa, i to dzięki tym symbolom kapłan egzekwował boskie

prawa Rzymu i utrzymywał *pax dear um*. Attyk słuchał w pełnym podziwu milczeniu, kiedy Septymus wyjaśniał, że w chwilach zagrożenia włócznia wpada w drzenie; sam Mars ostrzegał lud, że Rzym jest w niebezpieczeństwie.

Przyjaciele skręcili w lewo, jadąc za konsulem na ukos przez Forum. Minęli *umbilicus Urbis* – oficjalny środek miasta, od którego mierzono wszelkie odległości, zarówno w ramach Rzymu, jak i całej republiki. Był to niezwracający uwagi niespełna dwumetrowy obelisk z marmuru o przekątnej półtora metra, a jednak Attyk czuł, że jego skromność w zestawieniu z tak wystawnym otoczeniem tylko dodaje mu znaczenia jako środkowi całego znanego świata.

Septymus wskazał palcem ich cel na północno-wschodnim krańcu Forum: kurię Hostyliusza (*Curia Hostilia*), miejsce obrad senatu i centrum całej rzymskiej polityki. Dach budynku wznosił się ponad inne, a jego niezwykła fasada, symbol siły i porządku, dominowała nad otoczeniem. Attyk oderwał wzrok od tego imponującego widoku, aby zerknąć na jadącego na czele konsula. W każdej chwili spodziewał się rozkazu, aby oddział zatrzymał się i zszedł z koni przed ozdobionym kolumnami wejściem kurii.

Kiedy zbliżali się do siedziby senatu, Scypion ukradkiem przyglądał się prowadzącym do niej schodom. Jego własny dom leżał zaledwie pół mili od Forum, za północnym zboczem wznoszącego się po ich lewej

Kapitolu, i tam kierował się konsul. Senatorowie stojący na schodach zaczęli go rozpoznawać i wielu niższych rangą podbiegło, aby zapytać o powody jego nagłego przybycia, a inni – Scypion wiedział, że są po stronie jego przeciwników – pospieszyli w stronę wejścia, aby ostrzec owych wrogów o jego przyjeździe. Kiedy jego koń zrównał się ze stopniami, otaczało go kilka osób; wszyscy mieli na sobie zwyczajowe wełniane togi senatorów, choć każdy z nich mógł sobie pozwolić na znacznie wytworniejsze materie.

– Konsulu – zaczął jeden z nich – nie spodziewaliśmy się ciebie jeszcze przez co najmniej tydzień. Jakie przynosisz wieści?

– Cierpliwości, Fabiuszu – odparł z uśmiechem Scypion – przez ostatnie dwa dni przebyłem długą drogę i chcę się wykapać i przebrać, zanim zrelacjonuję senatowi niezwykle poważną kwestię. Proszę, zawiadom tych, którzy mogą przybyć, że wrócę po południu – dodał, wiedząc, że każdy zrobi, co w jego mocy, aby usłyszeć wieści z pierwszej ręki.

– Oczywiście, konsulu – odparł Fabiusz, niski rangą, niedawno wybrany senator, ledwie powściągając ciekawość.

Wszyscy ruszyli po schodach do kurii; Scypion z zadowoleniem zauważył, że już są pogrążeni w rozmowie na temat charakteru „niezwykle poważnej kwestii”, o której wspomniał. Wiedział, że już niedługo cały senat będzie omawiał te nieujawnione jeszcze wiadomości, a w

kurii będzie wrzeć od spekulacji. Scypion miał zamiar odczekać z przybyciem do ostatniej chwili i pozwolić, by napięcie osiągnęło szczyt. Dopiero wtedy zawiadomi senat o blokadzie Kartagińczyków grożącej sycylijskiej kampanii. Będzie to idealny moment do zaprezentowania jedyne­go możliwego rozwiązania – jego rozwiązania; przeciwnicy nie będą mieli szansy na sformułowanie kontrpropozycji. Szykował się jego kolejny triumf.

Gajusz Duiliusz, młodszy konsul, usadowił się wygodnie w pierwszym z trzech rzędów siedzeń w wewnętrznej komnacie kurii. Był *homo novus*, nowym człowiekiem: pierwszym przedstawicielem swojego rodu, którego wybrano do senatu. Duiliusz był niezwykle dumny z tego osiągnięcia, i słusznie, na wszystko bowiem zapracował sam. Przez ostatnie piętnaście lat ze skromnej pozycji doszedł do pozycji drugiego najpotężniejszego człowieka w Rzymie. Kiedy miał dziewiętnaście lat, jego rodzice i dwie młodsze siostry padli ofiarą jednej z wielu zaraz, które szalały na terenach wiejskich otaczających Rzym; Duiliusz został jedynym mieszkańcem skromnej rodzinnej willi przy via Appia. Ta ważna arteria komunikacyjna do dalekiego Brundyzjum u a południowym wschodzie półwyspu była niezwykle ruchliwą trasą; bramę majątku Duiliusza mijała nieustająca rzeka kupców jadących do odległej o cztery mile stolicy.

Jako właściciel posiadłości mógł podejmować własne

decyzje, zaryzykował więc i postanowił wykorzystać jej idealne położenie. Używając swoich ziem jako zabezpieczenia, zapożyczył się u rzymskich lichwiarzy, którzy aż nazbyt chętnie zawierali z nim umowy, pewni, że młody człowiek nie wywiąże się ze spłacania pożyczek, a oni będą mogli zająć jego tereny. Za uzyskane pieniądze kupił niewolników oraz nasiona i wkrótce na każdej piędzi jego ornej ziemi rosły świeże płody rolne. Targi Rzymu zawsze zaopatrywali rolnicy spoza miasta, właściciele niewielkich pól, często specjalizujący się w konkretnych, sezonowych uprawach; choć pracowali osobno, starali się nie robić konkurencji sąsiadom. Przez lata ceny zachowały względnie stabilny poziom. Duiliusz miał zamiar zmienić ten system.

Podczas pierwszego sezonu – wykorzystując do sadzenia całą dostępną ziemię, włącznie z ogrodami, dumą swojej matki – Duiliusz miał większe pola niż cztery średniej wielkości gospodarstwa. Lekceważąc delikatną równowagę utrzymywaną przez innych rolników, uprawiał wszystko, co się dało. Stosował dwustopniowy płodozmian, dzięki czemu jego pola dostarczały owoce przez cały rok. Podczas pierwszych zbiorów Duiliusz składał każdemu przejeżdżającemu kupcowi propozycję nie do odrzucenia. Wykorzystując fakt, że rozporządzał większą ilością towaru, sprzedawał im świeże plony po cenach niższych niż rynkowe, po czym kupcy przewozili produkty zaledwie cztery mile dalej, do miasta, gdzie mogli sprzedać je z zyskiem na

targach.

W ciągu pierwszego roku stać go było na zakup własnych wozów do transportowania plonów do Rzymu, a po kolejnych dwóch spłacił wszystkie długi. Nie zadowolili go sukces własnego majątku, szybko więc zaciągnął jeszcze większe pożyczki i kupił dwa sąsiadujące gospodarstwa, płacąc właścicielom cenę wyższą niż rynkowa; i tym razem przeznaczył je w całości pod uprawę. Wtedy po raz pierwszy zasmakował potęgi pieniądza.

Kiedy ceny świeżych plonów na targach zaczęły spadać z powodu niespodziewanej konkurencji, rolnicy się sprzeciwili, zbiorowo wywierając nacisk na senat, aby przywrócił poprzedni stan rzeczy. Duiliusz zrobił użytek z nowo nabytego bogactwa, aby zapewnić sobie korzystny rezultat wynikłego głosowania. Przy okazji wyciągnął z całej sytuacji dwie cenne lekcje. Pierwszą było to, że pieniądze gwarantują lojalność pozbawionych skrupułów ludzi. Drugą – to, że wiadomości są najcenniejsze. Jeszcze przed samym głosowaniem dokładnie wiedział, kogo kontroluje, a kogo nie, lecz także – co ważniejsze – kogo nigdy nie będzie kontrolował i do kogo nie ma nawet odwagi się zwrócić. Z biegiem czasu ujednolicił te dwa odkrycia w jedną zasadę: „Pieniądze są tylko środkiem; prawdziwym bogactwem jest informacja”.

Teraz, piętnaście lat po śmierci rodziców, Duiliusz był właścicielem największego pola w okolicy miasta. Wiele innych gospodarstw próbowało naśladować jego

strategię i osiągnięcia, lecz udało się to nielicznym, a nikomu w tym samym stopniu. Zapewniał targom Rzymu osiemdziesiąt procent wszystkich świeżych owoców i warzyw, bezwzględnie eliminując z rynku drobnych dostawców. Ludzie ci mogli tylko patrzeć, jak ich źródło utrzymania wysycha z dnia na dzień, a płacz ich głodnych dzieci sprawił, że na przestrzeni lat już trzykrotnie próbowali doprowadzić do zamordowania Duiliusza. Każda nieudana próba ściągała na nich straszliwą zemstę ze strony senatu, w którym zasiadał: stanowisko otrzymał z łatwością wiele lat wcześniej dzięki głosom wdzięcznych obywateli Rzymu, zadowolonych z niższych cen. Senator przy każdej okazji bez pardonu ciemiężył rolników i zarówno winni zamachów, jak i niewinni musieli w ramach kary wymierzanej w imieniu państwa opuszczać swoje ziemie, które natychmiast trafiały na sprzedaż, a Duiliusz od razu kupował je za pół ceny.

Sześć miesięcy wcześniej, dzięki fortunie, która wprowadziła go w kręgi rzymskiej elity, zapewnił sobie nominację na stanowisko starszego konsula ze strony jednego ze służalczych, niskich rangą senatorów. Głosowanie dużo go kosztowało i niemal odniosło skutek, lecz ostatecznie niewielką przewagą głosów pokonał go Gnejusz Korneliusz Scypion, jeden z najzamożniejszych ludzi w Rzymie; Duiliusz wiedział, że nigdy nie będzie w stanie nim sterować. Ta pierwsza od piętnastu lat porażka gorzko go rozczarowała, a wrogość między

przeciwnikami podzieliła senat na trzy facje: nieugiętych sprzymierzeńcem Duiliusza, wiernych stronników Scypiona i podatną na wpływy większość, która ukradkiem sprzedawała swoje głosy temu, kto więcej zapłacił.

Lucjusz Manliusz Wulson Longus, niedawno wybrany senator, szybko przyzwyczał wzrok do ciemności panujących we wnętrzu i omiół komnatę spojrzeniem, szukając człowieka, którego aprobaty pragnął bardziej niż czegokolwiek innego. Dostrzegł konsula i przeciął pokój; jego pojawienie się przerwało potok gładkich słówek, którymi Duiliusz zarzucał siedzącego obok niego senatora; już wielokrotnie zapewnił sobie pieniędzmi jego poparcie.

– O co chodzi, Longusie? – spytał szorstko, podnosząc z irytacją wzrok.

– Wrócił Scypion! – odparł młodzieniec, szybko wyrzucając z siebie słowa; bardzo chciał być pierwszym, który poinformuje o tym konsula.

– Co... ? Kiedy? – spytał Duiliusz, wstając nad zapomnianym już senatorem, a jego głos rozległ się donośnie w cichej komnacie.

– Chwilę temu. Właśnie widziałem, jak przejeżdża przez Forum.

Duiliusz gorączkowo usiłował zrozumieć powód nagłego powrotu starszego konsula. Dlaczego z górami tydzień za wcześnie? Dlaczego się nie zapowiedział? Jego rozmyślenia przerwał stuk młotka o marmurową mównicę

stojącą pośrodku pomieszczenia. Uniósł wzrok i zauważył, że młotek trzyma jeden z żółtodziobów Scypiona.

– Starszy konsul powrócił z Sycylii, aby poinformować nas o niezwykle poważnej kwestii – ogłosił, przyciągając uwagę wszystkich zebranych.

– Jakiej kwestii? – wtrącił pytanie Duiliusz, budząc irytację mówcy.

– Nie wiem, konsulu – odparł Fabiusz, uradowany niewiedzą przeciwnika Scypiona. – Starszy konsul powróci do kurii po południu, aby osobiście pomówić z tymi członkami senatu, którzy będą mogli się stawić.

Fabiusz opuścił mównicę i natychmiast otoczyli go sprzymierzeńcy Scypiona, którzy zarzucili go pytaniami, choć nie miał na nie żadnej odpowiedzi.

Duiliusz rozejrzał się po pomieszczeniu i zobaczył, że jego własna grupa popleczników patrzy nań wyczekująco. Twarze mieli pozbawione wyrazu, a ich myśli wypełniały te same pytania.

Głupcy, pomyślał Duiliusz, czy nie rozumieją? Teraz można zrobić tylko jedno.

Zdecydowanym krokiem wymaszerował z komnaty; odprowadziła go cisza i spojrzenia wszystkich senatorów.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Attyk i Septymus ruszyli za Scypionem i jego strażą na dziedziniec rzymskiej willi konsula. Dom stał nisko na północnym zboczu Kapitolu i roztaczała się z niego nieprzerwana panorama rozległych terenów zalewowych Tybru, widocznych za murami Serwiusza. Na tej wysokości powietrze było świeższe niż w ciasnych ulicach między czynszówkami, *insulae*, i Attyk głęboko wdychał pachnącą ziemią bryzę. Obaj zeszli z koni i podążyli za Scypionem do domu, słysząc, jak ciężka drewniana brama dziedzińca zatrzaskuje się za nimi i zamyka świat na zewnątrz. Trzej mężczyźni weszli do atrium, wielkiego niezadaszonego pomieszczenia stanowiącego centrum domu i otoczonego z każdej strony wysokimi portykami. Ich dachy opadały do wewnątrz, aby deszczówka spływała po nich do płytkiego basenu zajmującego pokaźną powierzchnię przestrzeni atrium. Choć Septymus słyszał o takich rezydencjach, jeszcze nigdy w żadnej nie był. Dla Attyka dom ten stanowił indywidualną wersję bogactwa, które widział na Forum. W atrium panował bezruch i prawie całkowita cisza, ponieważ nie docierał tam zgiełk ulicy; dom robił wrażenie opuszczonego. Naprzeciwko wejścia atrium było otwarte i prowadziło w głąb domu. Konsul poszedł w tamtą stronę, a pozostali podążyli za nim w pełnym podziwu milczeniu, lecz on nagle się zatrzymał i

odwrócił.

– Poczekajcie tutaj – zarządził. – Moja służba przyjdzie po was i zaprowadzi do jednej z łaźni. Potem zgłóście się do wartowni i czekajcie na moje rozkazy.

– Tak jest, konsulu – odparli dwaj mężczyźni jednym głosem, kiedy senator już szedł dalej.

Rozglądając się po atrium, Septymus gwizdnął cicho. Było skąpo umeblowane, co podkreślało jego sporą przestrzeń, lecz te nieliczne przedmioty, które było widać – od wspaniale wyrzeźbionych popiersi przedstawicieli rodu po zdobione złotem mozaiki na ścianach – świadczyły o zamożności pana domu. Chwilę później pojawił się niewolnik. Bez słowa poprowadził ich w głąb ogromnej posiadłości.

Scypion zanurzył się powoli w niemal wrzącej wodzie. Od pary unoszącej się w łaźni już oblał się potem i choć jego ciało było rozgrzane od wilgotnego powietrza, umysł protestował przeciwko jeszcze gorętszej wodzie w wykładanej mozaiką wannie. Walczył z ukropem, aż temperatura jego ciała dostosowała się do otoczenia, po czym położył się, aby oczyścić umysł. Miał wiele do rozważenia, lecz zawsze uważał, że wypełnianie prostych życiowych rytuałów w rodzaju kąpieli jest świetnym sposobem na uporządkowanie myśli. Pierwszym krokiem tego procesu było skupienie się na owym rutynowym działaniu. Dopiero wtedy Scypion mógł osiągnąć spokój konieczny do dostrzeżenia ukrytego rozwiązania każdego

problemu.

– Jeszcze podgrzać – mruknął. Dotarli doń uderzenia bosych stóp niewolnika o podłogę: mężczyzna odbiegł, aby dołożyć do ognia, który obsługiwał system ogrzewania podpodłogowego w wielkim *caldarium*. Ponownie odczuł zmianę, kiedy gorąco się wzmogło, serce zaczęło mu bić szybciej, a on sam poczuł zawroty głowy i lekką euforię.

Kiedy nie mógł już dłużej wytrzymać, dał niewolnikom sygnał, żeby podnieśli go z wanny. Dwaj muskularni mężczyźni, którzy do tej pory pocili się ze stoickim spokojem w rozgrzanej łaźni, podbiegli i wyciągnęli niemal bezwładnego senatora, po czym ułożyli go na marmurowym stole przykrytym ręcznikiem. Niewolnica wtarła perfumowaną oliwę w każdy rozgrzany, rozluźniony mięsień, po czym usunęła ją skrobaczką, zakrzywionym metalowym narzędziem do ściągania ze skóry brudu. Scypion – który po raz pierwszy od wielu dni miał poczucie, że jest czysty – poszedł do *tepidarium*, letniej kąpieli w sąsiednim pokoju, i jeszcze raz zanurzył się w czystej jak kryształ wodzie, zaczerpniętej bezpośrednio z warstwy wodonośnej położonej pod łaźnią. Woda była tym razem niewiele cieplejsza od temperatury ciała. Scypion leżał na plecach w ciszy, a jedyną osobą, która mu towarzyszyła, był niewolnik, zawsze gotów natychmiast spełnić każdy rozkaz. Scypion absolutnie nie zwracał na niego uwagi, uważając go jedynie za element wyposażenia jego

prywatnej łaźni; po ciasnocie galery, która przywiozła go tutaj z Sycylii, rozkoszował się samotnością.

Jego rozmyślania przerwało ciche pukanie do drzwi. Scypion otworzył oczy, wiedząc, kto stoi po drugiej stronie, i uśmiechając się na myśl o zobaczeniu znajomej twarzy.

Zamarł na chwilę, przedłużając moment wyczekiwania.

– Wejść – powiedział.

Drzwi uchyliły się do środka i stanęła w nich kobieta. Poruszała się z wyćwiczoną swobodą nabytą dzięki swojej pozycji społecznej; wyglądała przez to na wyższą. Była klasycznie piękna: miała ciemnobrązowe oczy i długie kasztanowate włosy, a jej usta były lekko rozchylone w półuśmiechu. Usiadła obok wanny, twarzą do męża.

– Witaj w domu, Gnejuszu – powiedziała, a jej głos zabrzmiał słodko.

– Dobrze do niego wrócić, Fabiolo – odparł. Słysząc było, że cieszy się na widok żony i że mówi szczerze.

Fabiola miała na sobie elegancką, lekką stolę z wełny, rozchyloną nieco nad kolanem: widok pięknej linii wewnętrznej strony jej uda pobudził lędźwie Scypiona, przywołując wspomnienie nocy, które dzielili w zaciszu sypialni. Kobieta zauważyła zmianę w wyrazie twarzy męża i uśmiechnęła się pod nosem, czerpiąc przyjemność z tego, że podnieca najpotężniejszego mężczyznę w Rzymie.

– Nie spodziewałam się ciebie tak szybko – powiedziała z troską.

– Sytuacja armii na Sycylii bardzo się pogorszyła – wyjaśnił Scypion. – Kartagińczycy zablokowali wybrzeże i szlaki naszych dostaw. Jeśli ktoś nie pomoże naszej armii, nie przetrwa ona całego sezonu.

Konsul przyglądał się żonie uważnie, czekając na jej reakcję. Była bardzo inteligentną kobietą i Scypion często omawiał z nią swoje pomysły. Jej opinie na każdy temat zawsze były cenne, a konsul wiedział, że jej reakcje pokrywają się z jego własnymi poglądami.

– To szansa – powiedziała po długiej chwili – szansa dla ciebie, Gnejuszu.

Scypion kiwnął głową.

– Też tak uważam. Nasze siły pobiły już Punijczyków na lądzie. Odparcie ich znów w stronę morza, z którego przybyli, byłoby tylko kwestią czasu. Kolejne zwycięstwo dla legionów. Kolejna prowincja dla republiki. Nic nowego i ekscytującego dla ludu rzymskiego.

– Lecz teraz Kartagińczycy podnieśli stawkę – dodała Fabiola, zachęcając Scypiona, aby dokończył myśl, choć już wiedziała, jaki będzie jego wniosek.

– Tak – ciągnął jej mąż – podnieśli stawkę i zmienili zasady gry. Naszych legionów jeszcze nigdy nie postawiono przed takim wyzwaniem. Zagrożenie rozpali wyobraźnię i emocje plebsu. Te nowe komplikacje sprawiają, że nieistotna wcześniej kampania na Sycylii

przyciągnie ich uwagę.

– A ty uratujesz legiony – powiedziała z uśmiechem Fabiola, czując dreszcz podniecenia na myśl o tym, że jej mąż zadecyduje o losie tak wielu ludzi.

– Uratuję legiony – zgodził się Scypion. – Stworzę flotę, która pokona Kartagińczyków, a lud będzie się radował z tej nowej demonstracji siły, z tego, jak zwiększy się zasięg naszej władzy.

– Będą cię uwielbiać, zażądają, abyś wbrew tradycji został na stanowisku jeszcze przez rok. – Fabiola nawiązała do osiągnięcia, o którym wielokrotnie rozmawiali.

– I w końcu złamię te idiotyczne zasady, które ograniczają długość mojej kadencji, i będę starszym konsulem o rok dłużej – zakończył Scypion z triumfalnym uśmiechem.

Fabiola wstała nagle, patrząc mężowi w oczy; emanująca z niego władza działała na nią odurzająco, łądowała powietrze w łaźni niewidoczną energią, która przyciągała ją do niego. Aż do bólu chciała czerpać prosto z jej źródła.

– Zostaw nas – rozkazała niewolnikowi, który natychmiast zniknął za drzwiami.

Podeszła do skraju wanny i rozpięła sprzączki utrzymujące stolę na ramionach, pozwalając, aby szata opadła na ziemię. Pod spodem ukazała się jedwabna, zakrywająca uda *tunica intima*. Fabiola zeszła wolno po marmurowych schodach wanny do sięgającej talii ciepłej

wody. Stała naprzeciwko męża, po czym ugięła kolana, zanurzając się całkowicie, i znów się wyprostowała.

Jedwabna tunika oblepiała teraz jej ciało; wypukłość piersi podkreślały pełne wyczekiwania, głębokie oddechy, a o ekscytacji Fabioli świadczyły pociemniałe kręgi sutków widoczne przez materiał.

Scypion, który wciąż siedział na półce wmurowanej w ścianę wanny, wyprostował plecy, a jego żona zbliżała się powoli. Przyglądał się, jak chwyta rąbek tuniki i podnosi ją. Gdy już się do niego zbliżyła, wyciągnął ramiona i podtrzymał ją, kiedy opierała kolana po obu stronach jego bioder. Żar między nimi narastał, w miarę jak poruszali się coraz szybciej, a ich jęki odbijały się echem od wykładanych marmurem ścian; ekscytująca gra o władzę tylko wzmagала ich pożądanie.

Amalryk, łaziebny Scypiona, nasłuchiwał w milczeniu po drugiej stronie drzwi *tepidarium*. To, że chwilę wcześniej go odprawiono, było zaskakujące, lecz nie śmiał przegapić okazji. Przez grube dębowe deski słyszeć było niewyraźnie krzyki jego pana i pani, a Amalryk wiedział, że teraz nie ma już czasu do stracenia. W domu pełnym niewolników było niewiele tajemnic, a intymne spotkania konsula i jego żony zawsze stanowiły temat soczystych ploteczek dla niewolnic. Ta schadzka będzie jak wszystkie inne: pełna pasji i wigoru, lecz, co ważniejsze, krótka. Wkrótce żona opuści konsula, a on natychmiast wezwie Amalryka. Musiał się spieszyć.

Upuściwszy lniane ręczniki na podłogę, odwrócił się i pobiegł do kwatery niewolników na tyłach domu, modląc się, aby na czas znaleźć Tiago, stajennego.

– Ręczniki! – zawołał niecierpliwie Scypion, głośniej niż za pierwszym razem. Po wyjściu żony ponownie położył się w wodzie. Wyrażona przez Fabiolę milcząca aprobatą założeń jego planu odnowiła zaufanie Scypiona w jego słuszność. Jeśli odpowiednio się do tego zabierze, podbój Sycylii może dać mu upragnioną władzę i nieśmiertelność. Jeszcze nigdy nie był tego tak pewien.

Scypion spojrzał gniewnie w stronę drzwi, którymi wcześniej wyszedł łaziebny. Nie nawykł do wydawania dwa razy tego samego polecenia, tym bardziej niewolnikowi, i obiecał sobie, że mężczyzna otrzyma surową karę, jeśli okaże się, że odszedł ze stanowiska.

– Ręczniki! – ryknął i zaczął się podnosić z wody, ale drzwi otworzyły się z rozmachem i pojawił się niewolnik. – Co ma znaczyć ta zwłoka? – spytał z wściekłością Scypion, kiedy mężczyzna już biegł, aby podać mu ręcznik.

– Tysiącrotnie przepraszam, panie. – Amalryk pochylił głowę i przybrał służalczy ton w obecności człowieka, który pod wpływem kaprysu mógł kazać go stracić. – Nie słyszałem twojego wezwania przez grube dębowe drzwi.

Scypion spojrzał z góry na stojącego przed nim człowieka. Niewolnik oddychał ciężko, jakby z wysiłku,

lecz zapewne raczej ze strachu. Nie wydawało się prawdopodobne, aby celowo kazał konsulowi czekać.

Scypion wyrwał mu ręcznik i mijając go, wyszedł na korytarz. Zawołał nadzorcę niewolników, który przybył natychmiast.

– Sześć batów dla tego człowieka – rozkazał Scypion, a nadzorca wkroczył do *tepidarium*, aby chwycić winowajcę. Następnym razem będzie bardziej uważał, pomyślał beztróska Scypion i poszedł do *frigidarium*, pokoju mieszczącego zimną kąpiel i kończącego rytuał.

Amalryk kątem oka przyglądał się wychodzącemu konsulowi. Nie podnosił głowy i zachowywał kamienny wyraz twarzy, lecz w duchu się uśmiechał. Sześć batów: niewielka cena za srebro, które otrzyma od swojego prawdziwego pana.

Scypion wmaszerował na dziedziniec swojej posiadłości, kiedy słońce zaczynało zachodzić za wzgórza otaczających Rzym wiejskich okolic. Zbliżała się wiosna, więc ta chłodna pogoda miała wkrótce ustąpić cieplejszym wiatrom, niosącym zapach kwiatów z wypielegnowanych ogrodów przydomowych. Konsul nabrał głęboko powietrza i wstrzymał na chwilę oddech; wezbrało w nim ogromne zadowolenie. Minał kurię mniej niż półtorej godziny wcześniej, lecz dzięki krótkiej przerwie – kąpeli, lekkiemu posiłkowi, spotkaniu z żoną – odzyskał tyle energii, że czuł się niezwyciężony.

Zauważył, że dwaj dowódcy *Aquili* zgodnie z rozkazem czekają wraz z jego osobistą strażą. Skinął głową dowódcy i otwarto bramę prowadzącą na ulicę. Scypion zajął miejsce za czterema pretorianami – za nim szło kolejnych sześciu – i oddział ruszył z powrotem na Forum Magnum. Idąc ulicami swojego miasta, konsul zawsze miał poczucie satysfakcji i ważności. Ludzie zatrzymywali się i gapili na mijającego ich senatora, a wielu pokazywało palcami nowo przybyłym charakterystyczną postać najpotężniejszego człowieka w Rzymie.

Grupa dotarła do cienistego wschodniego zbocza Kapitolu. Po lewej Scypion zauważył ruch na Forum Holitorium, rynku sprzedającym wyłącznie owoce, warzywa i oliwę. Uśmiechnął się w duchu na widok tego źródła bogactwa jego rywala. Scypion był potomkiem w linii prostej jednego z założycieli rzymskiego senatu, powstałego niemal trzysta lat wcześniej. Dzięki temu należał do *patricii*, patrycjuszy, rzymskiej elity wysoko urodzonych, wciąż stanowiącej większość w senacie. Jego przeciwnik, Duiliusz, pochodził natomiast z ekwitów, warstwy średniej; dorobił się pozycji dzięki „nowym pieniądzą”, używając swojego bogactwa niczym tępego narzędzia i bezwstydnie kupując władzę. Scypion zdawał sobie sprawę, że jest w tym oskarżeniu ironia, i on bowiem osiągał swoje cele dzięki zamożności i wpływom, które jej zawdzięczał. Uważał jednak, że robi to w bardziej subtelny, wyrafinowany i delikatny sposób,

właściwy jego szlachetniejszemu pochodzeniu.

Poczuł narastające napięcie i podniecenie, kiedy skręcił za róg na wciąż skąpane w popołudniowym świetle Forum Magnum. Kuria wznosiła się po prawej, a pretorianie zgodnie zwrócili się w stronę schodów prowadzących do siedziby senatu. Konsul wciąż myślał o swoim młodszym koledze, rozkoszując się tym, że go uprzedził. Pozycja Duiliusza była dla niego wspaniałym punktem wyjścia do objęcia w przyszłym roku obecnego stanowiska Scypiona. Nic z tego, pomyślał konsul. Kartagińczycy to uniemożliwią. Dali Scypionowi szansę na zapisanie swojego imienia w historii i usunięcie z niej Duiliusza. Wchodząc po schodach do samego serca republiki, konsul spojrzął na portyki po obu stronach wejścia do wewnętrznej komnaty. Z dumą zauważył, że u szczytu schodów ustawiono jednego z niższych rangą senatorów, aby wypatrywał jego przyścia. Kiedy mężczyzna dostrzegł przywódcę Rzymu, okręcił się na pięcie i pobiegł do środka, aby ogłosić, że przybył Gnejusz Korneliusz Scypion.

Zmrużonymi w świetle zachodzącego słońca oczami Attyk patrzył na wewnętrzny dziedziniec przylegający do wartowni domu Scypiona; rozmyślał nad wydarzeniami kilku ostatnich dni. Odwrócił się do Septymusa. Centurion wykorzystywał wymuszoną bezczynność oczekiwania na rozkazy konsula, leżąc na wznak na łóżku polowym w skąpo umeblowanej kwaterze.

– W Brolium Marek powiedział, że podczas blokady legiony staną się niedobitkami, a nie wojownikami, będą szukać resztek pożywienia, a nie ścigać wroga – powiedział Attyk. – Co właściwie miał na myśli? Jak szybko legiony stracą zdolność skutecznej walki?

Septymus zawahał się na chwilę, zanim odpowiedział.

– Kiedy Drugi i Dziewiąty wyczerpią zapasy, odcięte od dostaw zmierzają się z trzema brakami, z których dwa będą w stanie przetrwać.

Attyk podszedł do własnego łóżka i usiadł.

– O jakich dwóch mówisz? – spytał.

– O jedzeniu i ekwipunku – odparł Septymus, siadając twarzą do przyjaciela. – Wyżywienie zawsze stanowi problem dla armii. Gorący posiłek w brzuchu żołnierza dodaje mu sił i podnosi morale. Puste brzuchy powodują niezadowolenie. Jeśli zapasy pożywienia, które wiozą ze sobą legiony, się skończą, ludzie będą głodni, choć nie umrą z głodu. Znalazłszy się na terytorium wroga, armia znajdzie jedzenie, ogołacając mijane gospodarstwa ze zwierząt i ziarna; zostawi za sobą szlak głodu, lecz dzięki temu ludzie z Drugiego i Dziewiątego będą mogli iść dalej.

– Marek nazwał to szukaniem resztek – zwrócił uwagę Attyk – i nie był zachwycony tą perspektywą.

Septymus przytaknął z poważną miną.

– To ryzykowna taktyka: drużyny szukające pożywienia mogą wpaść w pułapkę zastawioną przez

wroga, a podczas marszu przez jałowe, górzyste tereny poszukiwania staną się bardziej desperackie i szerzej zakrojone.

Attyk powoli pojmował wyzwania czekające armię podczas kampanii.

– Powiedziałeś, że przeszkoda związana z ekwipunkiem też jest do pokonania – podsunął.

Septymus znów pokiwał głową.

– Kiedy skończy się już zapasowe wyposażenie, ludzie zaczną łątać sprzęt. Są niezliczone sposoby na utrzymanie ekwipunku legionisty w stanie umożliwiającym użytkowanie, choć rezultat nie sprawdziłby się podczas inspekcji na placu defiladowym. Jedynym niezbędnym elementem ekwipunku jest oręż: krótki miecz, oszczepy i tarcza. Zbroja ma drugorzędne znaczenie, choć chronieni przez kirys i hełm ludzie walczą agresywniej. Tak czy inaczej, legiony zaczną walczyć i ci, którzy zginą, dostarczą zapasowego uzbrojenia ocalałym.

– Jaki zatem jest trzeci brak? – spytał Attyk. – Ten, którego armia nie przetrwa?

– Brak najważniejszych zapasów dla każdej armii, Attyku: ludzi.

– Przecież Drugi i Dziewiąty legion liczą razem prawie dwadzieścia tysięcy. Z pewnością upłynie wiele miesięcy, zanim straty staną się dość duże, aby wpłynąć na zdolność do walki? – zauważył Attyk.

Septymus pokręcił głową.

– Ogółem może i liczą dwadzieścia tysięcy, ale siła legionu opiera się nie na samej liczebności, lecz na pojedynczych formacjach w jego obrębie.

Na widok zdziwionej miny przyjaciela centurion mówił dalej:

– Manipuł składa się ze stu dwudziestu ludzi. W każdej chwili co najmniej kilku żołnierzy jest zwolnionych ze służby ze względu na stan zdrowia. Po rozpoczęciu konfliktu problem się nasili, w miarę jak ranni będą dołączać do grupy niezdolnych do walki. Kampania tego rodzaju będzie obfitować w drobniejsze potyczki, które osłabiają wszystkie walczące manipuły. Ponieważ ze stałego ładu nie będą docierały posiłki, kolejne manipuły będą usuwane z wykazu czynnych oddziałów, a wkrótce potem zaczną znikać, ponieważ będą rozwiązywane, aby uzupełnić inne jednostki. Zapamiętaj sobie moje słowa, Attyku, to naturalne wyczerpywanie się najbardziej podstawowego materiału składowego armii, spowodowane chorobami, ranami i śmiercią, wraz z niemożliwością uzupełnienia go zniszczy Drugi i Dziewiąty w ciągu kilku miesięcy.

Attyk nabrał powoli powietrza, rozmyślając nad odmalowanym przez Septymusa wyraźnym obrazem końca rzymskiej armii. Przypominała ona pojedynczego żołnierza: utrata ludzi była niczym rany odniesione w walce, które goiły się, kiedy przysyłano nowe zastępy, podczas gdy blizny hartowały. Bez możliwości odradzania się armia – jak i każdy wojownik – zginie od

ran, a jej krew wsiąknie w suchą glebę Sycylii.

– Senatorowie! – zaczął Scypion, a jego głos przyciągnął uwagę trzystu ludzi reprezentujących siłę polityczną republiki. Wyprostowany jak struna konsul stał za mównicą umieszczoną pośrodku półokręgu zakreślonego przez rzędy siedzeń w wewnętrznej komnacie kurii.

Zaledwie chwilę wcześniej jego przybycie zapowiedział *princeps senatus*, pierwszy w senacie: była to ceremonialna, niemal pozbawiona władzy pozycja przyznawana jednemu z senatorów o najdłuższym stażu. Scypion przemierzył komnatę zdecydowanym krokiem, a senatorowie wstali jednocześnie na znak szacunku dla jego stanowiska; zauważył z satysfakcją, że obecni są niemal wszyscy, również Duiliusz.

Scypion odczekał chwilę, zanim zaczął mówić.

– Senatorowie, przynoszę straszliwe wieści o naszej kampanii mającej usunąć kartagińską horde z wybrzeży miłej nam Sycylii. Aby dostarczyć wam tę wiadomość, przybyłem w wielkim pośpiechu, wystawiając się na ogromne osobiste ryzyko. Wy, ludzie odwagi i intelektu, trzymacie klucz do ocalenia odważnych żołnierzy legionów walczących teraz za morzem.

Duiliusz czuł napięcie zgromadzonych: spijali słowa z ust konsula. Choć wiedział, co Scypion ogłosi, nie potrafił powstrzymać dreszczu wyczekiwania; był też pełen podziwu dla jego elokwencji i umiejętności

kontrolowania tłumu. Uśmiechnął się w duchu na słowa „wy, ludzie odwagi i intelektu”. Wiedział, że Scypion – jak i on sam – niezbyt szanuje pozostałych senatorów, lecz tak świetnie nimi manipulował, iż sądzili, że ten opis jest jak najbardziej uzasadniony; wierzyli też, że każdy z nich z osobna i wszyscy razem dzierżą władzę nad Rzymem. Ona jednak spoczywała wyłącznie na barkach ludzi w rodzaju Scypiona i Duiliusza.

Kiedy młodszy konsul opuścił kurie uprzedzony o powrocie Scypiona, wiedział, że może zrobić tylko jedno. Jego decyzją kierowała dawno przyswojona lekcja o wysokiej cenie informacji. Pospieszył do swojej miejskiej rezydencji za Forum Holitorium i natychmiast wezwał Appiusza, najwyższego rangą sługę, wyzwolenca, który pozornie był gospodarzem jego posiadłości, lecz tak naprawdę nadzorował siatkę agentów rozmieszczonych w domach najważniejszych senatorów. Czterej z nich znajdowali się w gospodarstwie Scypiona: wszyscy byli wyzwolencami sprzedanymi do domu jako niewolnicy, aby mogli śledzić najpotężniejszego rywala Duiliusza. Młodszy konsul niemal przez godzinę niecierpliwie chodził tam i z powrotem po atrium, zanim w końcu Appiusz przybył z wyczekiwanymi wieściami. Duiliusz wysłuchał jego raportu w milczeniu, po czym wyminął służącego i wrócił do senatu.

Teraz, kiedy siedział w kurii i patrzył na przemawiającego Scypiona, w jego myślach panował spokój; cenny czas, który dali mu szpiedzy, pozwolił mu

przygotować kontrpropozycję dla taktyki Scypiona. Kiedy konsul zbliżał się do kulminacji swojej mowy – ogłoszenia groźby ze strony Kartagińczyków – Duiliusz zerknął kątem oka na podenerwowanego Longusa, niskiego rangą senatora, którego zwerbował do pomocy przy swoim planie. Mógł tylko mieć nadzieję, że młody fircyk podoła wyzwaniu.

– I tak oto, bracia senatorowie – kończył Scypion – z trwogą w sercu zawiadamiam was, że Kartagińczycy zablokowali północne wybrzeże Sycylii i odcięli nasze walczone legiony od dostaw. Punijczycy chcą sparaliżować naszą kampanię i jeśli się z nimi nie uporamy, z pewnością zniszczą naszą armię na Sycylii, co daje im możliwość natarcia na serce republiki: sam Rzym!

Wszyscy zebrani aż się zachłysnęli; na chwilę zapadła cisza, a potem wybuchnęła kakofonia głosów, kiedy senatorowie dali upust strachowi. Wielu lamentowało o zagładzie i klęsce: ostatnie słowa Scypiona, w których wspomniał o zagrożeniu wobec samego Rzymu, podsyciły ich troskę i przerażenie. Scypion rozejrzał się powoli po komnacie, przesuając wzrokiem po morzu zmartwionych twarzy. Nie sądził, żeby na krótką czy nawet dłuższą metę Rzymowi cokolwiek groziło, lecz wiedział, że wielu senatorów nie służyło w legionach i nie do końca rozumie, co dla armii oznacza brak dostaw. Chciał sprawić, aby zagrożenie ze strony Kartagińczyków wydało się bliższe bogatym,

zadowolonym z siebie, odizolowanym od świata senatorom. Musiał stworzyć sytuację groźną dla Rzymu. Kiedy napotkał wzrokiem Gajusza Duiliusza, dostrzegł zaskoczony, że i on spokojnie, z kamienną twarzą rozgląda się po komnacie, jakby Scypion ogłosił wysokość tegorocznych zbiorów ziarna w Kampanii. Scypion poczuł na chwilę podziw dla takiego opanowania i już miał mówić dalej, kiedy Duiliusz nagle odwrócił wzrok w jego stronę. Na jedno uderzenie serca ich spojrzenia się spotkały, a Scypion miał wrażenie, że odczytał coś w oczach rywala. Podniósł młotek i zaczął uderzać nim o mównicę; obecni powoli się uspokoili.

– Bracia senatorowie – zaczął, z pojednawczego zmieniając swój ton na stanowczy – Rzym musi się przeciwstawić tej groźbie. Musimy pokonać Punijczyków i wypędzić ich z naszych mórz.

– Jak? – zawołał ktoś, a pytanie od razu odbiło się wielokrotnym echem.

– Budując własną flotę! – krzyknął Scypion, podnosząc głos ponad pytania. – Zaprzęgając potęgę Rzymu do stworzenia floty, która pokona ich blokadę i usunie nam z drogi ich galery. Pokonując ich, tak jak pokonaliśmy każdego wroga, który śmiał przeciwstawić się władzy Rzymu. Pozwólcie mnie, waszemu przywódcy, Gnejuszowi Korneliuszowi Scypionowi, powieść flotę do walki na chwałę republiki!

W całej komnacie zerwały się wiwaty; senatorowie chwycili się iskielki nadziei na zwycięstwo, którą

oferował im Scypion. Byli jak motłoch – całkowicie kierowały nimi emocje. Konsul przygnębił ich wieścią o pozornie niemożliwym do odparcia zagrożeniu ze strony Kartagińczyków, po czym nagle obiecał im, że jeszcze nie wszystko stracone. Wiwaty trwały dobre pięć minut; Scypion stał nieruchomo przy mównicy z władcym wyrazem twarzy i w dumnej pozie, promieniując siłą i zdecydowaniem. W miarę jak hałas zaczął zamierać, Scypion przygotowywał się do decydującego momentu swojego planu, kiedy to senat wielką przewagą głosów miał poprzeć jego strategię i wybrać go na dowódcę nowej floty. Gdy podnosił młotek, aby ostatecznie uciszyć tłum, jakiś głos przyciągnął uwagę jego i wszystkich innych.

– Bracia senatorowie – rzekł Longus nieco drżącym głosem, a w komnacie zapadło milczenie. – To dzięki błogosławieństwu Minerwy, najmądrzejszej z bogiń, dowodzi nami Gnejusz Korneliusz Scypion.

Po senacie poniosły się głosy zgody, a Scypion kiwnął głową z wdzięcznością, której tak naprawdę nie czuł; gorączkowo usiłował zrozumieć powód przemowy Longusa. Wiedział, że jest on pionkiem Duiliusza. Młody senator podniósł głos, aby słyhać go było mimo gwaru.

– Starszy konsul doprawdy przedstawił nam sposób na pokonanie Punijczyków. Dzięki przewodnictwu bogini jego intelekt wypracował rozwiązanie, które ocali legiony i sam Rzym. Jest naszym wodzem i uosabia naszą władzę.

Longus przerwał raz jeszcze, kiedy przytakiwano

jego słowom. Poczekał, aż znów zapadnie cisza, zanim wyrecytował przygotowaną mowę, którą kazał mu wygłosić Duiliusz.

– Właśnie dlatego, że Gnejusz Korneliusz Scypion jest naszym wodzem i najpotężniejszym senatorem, obawiam się pełnej niebezpieczeństw sytuacji, w której by się znalazł, gdyby miał poprowadzić flotę do walki z nieznaną siłą Kartagińczyków. Pozbawiony jego potężnej osobowości senat z pewnością wkrótce przepadnie w konfrontacji z nowym, silnym wrogiem. Przedstawiam wam zatem, bracia senatorowie, propozycję: niech starszy konsul faktycznie dowodzi kampanią morską przeciwko Punijczykom, lecz stąd, z senatu, z serca władzy Rzymu. Bezpośrednie zarządzanie flotą powinno przypaść młodszemu konsulowi, Gajuszowi Duiliuszowi.

Po nagłym końcu mowy Longusa zapadła chwila ciszy, po czym siedzibę senatu znów wypełniły podniesione głosy. Scypion oderwał wściekle spojrzenie od młodego senatora i zwrócił je w stronę Duiliusza, który – tak jak wcześniej – siedział niewzruszenie pośrodku dolnego rzędu siedzeń, na wprost mównicy. Patrzył na Longusa; kiwnął lekko głową, po czym odwrócił głowę i dostrzegł, że Scypion wlepia w niego wzrok. Na ustach Duiliusza pojawił się lekki uśmiech, kiedy senatorowie zaczęli się domagać, aby przemówił. Wstał powoli.

– Zgadzam się ze słowami senatora i pokornie przyjmuję jego propozycję, abym to ja poprowadził flotę

do walki.

Duiliusz usiadł, a jego prosta wypowiedź ponownie rozpałała ogień debaty szalejący po komnacie. Scypion zastukał młotkiem w mównicę, próbując odzyskać panowanie nad senatem, lecz już wiedział, że swoją niespodziewaną przemową Longus skradł mu moment chwały. Wrócił myślą do znaczącego spojrzenia, którym obdarzył go podczas mowy Duiliusz, i rozpoznał kryjące się w nim uczucie: był to wyzywający triumf. Scypiona przechytrzone, a kiedy zdał sobie z tego sprawę, wezbrał w nim gniew tak wściekły, że walił młotkiem jeszcze chwilę po tym, jak ostatni głos ucichł w reakcji na agresywne uderzenia.

– Bracia senatorowie! – krzyknął Scypion, niepotrzebnie podnosząc głos. Usłyszał własny ton i natychmiast wysiłkiem woli opanował emocje. Przerwał i nabrał głęboko tchu, zanim zaczął mówić dalej. – Bracia senatorowie. Z pokorą przyjmuję waszą troskę o mnie i moje bezpieczeństwo jako dowódcy senatu. Lecz powiem wam jedno: prawdziwą władzę senatu dzierżą jego przedstawiciele. Jako starszy konsul poprowadzę flotę, wiedząc, że władza nad Rzymem jest bezpieczna w waszych rękach.

Scypion patrzył, jak wielu ludzi kręci głowami. Zaryzykował ostatni raz, modląc się, aby resztki zaufania w jego plan wzięły górę.

– A zatem, pewien waszej rozsądnej oceny sytuacji, wzywam do głosowania – ciągnął z całym przekonaniem,

jakie potrafił z siebie wykrzesać. – Oto moja propozycja: zbudujemy flotę, a ja powiodę ją do walki.

Choć wcześniej, kiedy tylko Scypion ogłosił zamiar przewodzenia flocie, wiwatowano i popierano go jednogłośnie, teraz słyhać było tylko szmer rozmów. Po chwili rozległy się głośnie spory, a senat się podzielił. Poplecznicy Scypiona popierali swojego przywódcę, Duiliusza – swojego. Niezdecydowana większość wahała się, wołając o dłuższą debatę, niepewna, czyją ma wziąć stronę. Ich opinia przeważała i głosowanie odłożono; chwila Scypiona przepadła, zastąpiona zmudnymi debatami. Starszy konsul ustąpił miejsca przy mównicy i zajął je *princeps senatus*, który miał prowadzić dyskusję. Scypion musiał całą siłą woli powściągnąć furję, aby móc spokojnie wrócić na miejsce między senatorami.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kroki zbliżającego się oddziału straży wybudziły Septymusa z lekkiej drzemki. Znajomy odgłos w połączeniu z nieznanym mu otoczeniem sprawiły, że natychmiast oprzytomniał. Attyk już stał pośrodku ich kwatery, wlepiając wzrok w drzwi. Nigdy nie tracił czujności. Drzwi się otworzyły i pojawił się w nich dowódca straży Scypiona. Obrzucił spojrzeniem obu mężczyzn.

– Możecie iść, ale muszę wiedzieć, gdzie będziecie, w razie gdyby konsul chciał was wezwać.

Ta obcesowa wypowiedź zbiła przyjaciół z tropu i chwilę potrwało, zanim Septymus odparł:

– Będziemy w rezydencji rodu Kapitonów, moim domu rodzinnym, w dzielnicy Celius – rzekł.

– Albo w *castrum* w Ostii, na naszym statku – dodał Attyk.

Dowódca straży kiwnął głową i odsunął się od drzwi, po czym odprowadził swój oddział.

– To co? – spytał Attyk, odwracając się do Septymusa, zadowolony, że mogą odejść. – Idziemy do twojego domu rodzinnego?

– Tak – odparł centurion z uśmiechem – jak tylko pokażę ci niektóre atrakcje Rzymu.

Septymus wstał i ruszył w stronę zalanego późnym słońcem dziedzińca.

– A jeśli konsul przyśle po nas, kiedy będziemy zwiedzać? – spytał Attyk.

– Niemożliwe, żeby dziś nas szukał, skoro dopiero co nas odprawił.

– A zatem jutro będziemy w twoim domu rodzinnym. Czy to da nam dość czasu, żeby zobaczyć wszystkie ważne miejsca?

– Wierz mi, Attyku: jeśli chodzi o rzeczy, które ci pokażę, jedna noc absolutnie nie wystarczy... ale jedna noc to wszystko, co większość ludzi potrafi wytrzymać.

Scypion wpadł do *tablinum*, swojego gabinetu, zrywając z siebie po drodze togę. Ryknął, aby przyniesiono mu wina, a mgnienie oka później pojawił się niewolnik ze złotym pucharem. Scypion chwycił naczynie i opróżnił je jednym haustem, a garbnikowy, kwaśny smak wina tylko zaostrzył palący go w piersi gniew. Niewolnik podniósł amfore, aby ponownie napełnić kielich, ale Scypion wyciągnął mu ją z ręki i go odprawił. Kiedy niewolnik opuścił pomieszczenie, weszła Fabiola. Na widok rozwścieczonego męża przybrała stroskany wyraz twarzy. Scypion okręcił się na pięcie i zobaczył, że jego żona stoi przed zamkniętymi już drzwiami.

– Głupcy! – warknął. – Słabi, niekompetentni głupcy.

Fabiola była zbyt mądra, aby pytać o powód jego furii. Widziała już wcześniej takie napady u męża, choć nigdy nie były aż tak intensywne. Każdy, kto dobrze znał sposób działania senatu, wiedział, że to ocięzały,

frustrująco zachowawczy twór. Biorąc pod uwagę, że składało się nań trzystu najbardziej zadufanych w sobie ludzi w Rzymie, plany jednego człowieka, czy nawet grupy – nawet te oparte na najlepszych intencjach i najdokładniej przemyślane – często krzyżowała zwykła gadanina i sprzeczki. Było jasne, że taktyka, którą wcześniej omawiali, się nie powiodła. Pytanie o powód tylko zaogniłoby gniew Scypiona i choć mąż nigdy jej nie uderzył, Fabiola już dawno zdała sobie sprawę, że ma on ledwo hamowaną skłonność do przemocy.

– Trzy godziny! – ciągnął. – Ci głupcy debatowali przez trzy godziny. Są jak paplające niewolnice na targu. Trzy godziny i nie przeprowadzili nawet głosowania na temat zbudowania floty, nie mówiąc już o wyborze jej dowódcy. – Wychylił jeszcze jeden kielich wina, znów duszkiem. Wcale go to nie uspokoiło. – Ten drań Duiliusz. To jego robota. Kazał jednemu ze swoich chłystków zakwestionować moją propozycję. Zadał tylko proste pytanie, ale był to cios w samo sedno. Wyglądało to prawie tak, jakby był na to przygotowany, jakby wiedział o blokadzie, zanim ją ogłosiłem. Jego drobny przytyk ukazał słaby punkt w moim planie, zaledwie maleńką rysę. – Scypion dalej chodził po pokoju, zaciskając dłonie w pięści tak mocno, że zbieleły mu kostki. – Ale to wystarczyło, żeby niezdecydowani starcy zawahali się i zaczęli rozprawiać. Wkrótce nie byli nawet pewni, czy flota w ogóle jest potrzebna, a jeśli tak, to trzeba było omówić, kto za nią zapłaci. Teraz potrwa

tydzień, zanim odbędzie się głosowanie. Tydzień zamiast chwili... a wszystko przez Gajusza Duiliusza.

Wzburzona nastrojem męża Fabiola mogła tylko patrzeć, jak Scypion daje upust wściekłości. Kiedy gardłował, zwróciła uwagę na jedno: coś o tym, że wydawało się, iż Duiliusz jeszcze przed faktem wiedział, co ma zamiar ogłosić Scypion. Wyciszyła emocje i przestała uważnie słuchać męża, aby to przemyśleć.

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej była przekonana, że ktoś musiał donieść Duiliuszowi. Ale kto? I kiedy? Oczywiście na galerze, na której Scypion przyплыł z Sycylii, było pełno ludzi, którzy wiedzieli o blokadzie, lecz była ona zacumowana w Ostii; *castrum* leżało w odległości dwunastu mil po zatłoczonej drodze i niełatwo byłoby się tam dostać cywilowi. Odrzuciła tę możliwość i skupiła się na bardziej oczywistych źródłach: pretorianach Scypiona, kapitanie i centurionie z galery oraz domowych niewolnikach. Stawało się coraz bardziej jasne, że zdradził jeden z ich domowników.

Wciąż przyglądała się mężowi w milczeniu, czekając, aż się uspokoi. Dopiero wtedy podejdzie do niego i spróbuje doradzić mu oraz go pocieszyć. Kiedy Scypion będzie już bardziej sobą – sądziła, że może następnego dnia – poinformuje go o swoich podejrzeniach. Jeśli w domu jest szpieg, Fabiola była pewna, że kiedy już zostanie odnaleziony, dane jej będzie zobaczyć całą gwałtowność, o którą zawsze podejrzewała męża.

Tarcza zachodzącego słońca dotykała już wyższych budynków w Rzymie, kiedy Septymus prowadził Attyka do łaźni. Choć znajdowała się nie więcej niż sto kroków od Forum Magnum, Attyka uderzyło to, jak bardzo jej otoczenie różni się od wypełnionego strzelistymi świątyniami i posagami centralnego placu miasta. Ulice były tam wąskie, budynki mieszkalne wznosiły się nad nimi na wysokość ośmiu pięter, a chodniki w tej plebejskiej dzielnicy pokrywały ludzkie i zwierzęce odchody, których smrodem nasiąkały same mury okolicznych domów.

Attyk natychmiast przeniósł się myślami do Lokr i zaułków, które były dla niego domem przez pierwsze czternaście lat życia; długich letnich dni, kiedy to łowił ryby z ojcem i miał pełny brzuch, oraz ciężkich, mroźnych zim, podczas których sztormy uniemożliwiały flocie wypłynięcie, a biedniejsi Lokryjczycy przymierali głodem. W te ciemne zimowe dni Attyk uciekał z rodzinnej chałupy i przez całe dni szukał resztek pożywienia na uliczkach nie różniących się zbytnio od tych, które otaczały go teraz. Pomyślał o tym, jak daleko zawędrował od dzieciństwa.

– Po zmroku nie przeszedłbym tymi ulicami z oddziałem dziesięciu legionistów – powiedział Septymus z krzywym uśmiechem, a Attyk wyczuł w jego głosie odrobinę pogardy.

Po obu stronach głównego wejścia do łaźni stali dwaj rośli mężczyźni o wyglądzie bandytów. Pozwolili jednak

przejąć Septymusowi i Attykowi bez pytania, a w środku natychmiast rozpoznała centuriona starsza kobieta, która witała gości.

– Moi starsi bracia, Tyberiusz i Klaudiusz, przyprowadzili mnie tu po raz pierwszy w moje szesnaste urodziny – wyjaśnił z uśmiechem Septymus – i od tamtej pory wracam tu co najmniej raz w roku.

Wyciągnął garść srebra i obaj weszli do apodyterionu, przedsionka, gdzie niewolnice szybko odebrały im ekwipunek i ubrania, po czym zaprowadziły ich do *caldarium*, wielkiego, wyłożonego kaflami pomieszczenia, które zajmował basen z parującą, pachnącą wodą. Attyk mruknął głośno z zadowoleniem, wślizgując się do kąpieli. Gorąca woda szybko i przyjemnie rozgrzała jego mięśnie, usuwając z nich napięcie. Uczucie było cudowne; Attyk pocił się cierpliwie, aż niemal nieznośne gorąco zmusiło go do wyjścia z wanny. Niewolnica od razu powiodła go w stronę niskiego stołu, gdzie wtarła oliwę w jego skórę, po czym usunęła ją skrobaczką; potem pokazano Attykowi – który jeszcze nigdy wcześniej nie czuł się równie czysty – drogę do *tepidarium*, gdzie w letniej kąpieli wylegiwał się już Septymus. Wchodząc do wody, Attyk znów jęknął, a Septymus zaśmiał się głośno.

– No i co sądzisz? – spytał.

– Na bogów, Septymusie, to jest dopiero życie – powiedział wesoło.

W tej samej chwili weszły dwie piękne młode

kobiety niosące tace z jedzeniem i wielką amforę wina. Septymus podążył wzrokiem za spojrzeniem przyjaciela.

– W Rzymie jest wiele łaźni, przyjacielu, lecz akurat ta oferuje jeszcze jedną, dodatkową usługę – dodał z uśmiechem Septymus, biorąc kielich wina.

Kobiety ruszały się po pomieszczeniu szybko i sprawnie, na każde wezwanie przynosząc jedzenie i wino, a ich lekka, beztroska rozmowa sprawiła, że przyjaciele natychmiast poczuli się swobodnie. W ciągu półgodziny Attyka ogarnęło przemożne zadowolenie, a jego otumaniony winem umysł rozkoszował się brzmieniem przyciszonych kobiecych głosów, które, jak mu się wydawało, wypełniały powietrze. Uniósł kielich, aby znów go napełniono, lecz tym razem jedna z młodych kobiet wyciągnęła mu naczynie z ręki i zaprowadziła go do małego pokoju leżącego przy *tepidarium*. Cicho zamknęła drzwi i odwróciła się do Attyka, jednocześnie zsuwając tunikę. Attyk westchnął mimowolnie; jej uroda i potężny afrodyzjak, jakim jest młodość, połączyły się, wzbudzając jego pożądanie. Z pośpiechu jego ruchy stały się niezgrabne, lecz doświadczona dziewczyna od razu przejęła kontrolę nad sytuacją i usadziła go na niskim łóżku w rogu pokoju. Muskała jego tors i przesuwiała palcami po gęstych włosach na jego klatce piersiowej, umiejętnie podsycając jego żądze, po czym pchnęła go, żeby położył się na wznak, i usiadła na nim okrakiem, pozwalając mu się całkowicie odprężyć; jej ruchy były wolne i hipnotyzujące.

Po wszystkim leżeli przytuleni na łóżku, a ona znów łagodnie pieściła jego ciało, głaszcząc je leniwie. Attyk pierwszy raz w życiu czuł się tak zaspokojony i zapadł w głęboki sen; na resztę nocy zapomniał o świecie poza murami łaźni.

Idąc, Septymus wygiął plecy, aby rozciągnąć mięśnie biegnące wzdłuż kręgosłupa. Przyjaciele obudzili się o świcie i zorientowali, że są sami w swoich pokojach w łaźni. Ubrawszy się, Septymus pożegnał kobietę, która wcześniej ich przywitała – obiecując, że wróci – i obaj ponownie wyszli na tętniące życiem ulice. Attyk ledwie potrafił uwierzyć, że spokojna przestrzeń łaźni istnieje za murami wznoszącego się za nim budynku, tak inna od pełnych gorączkowego ruchu, zaniedbanych zaułków, które ją otaczały; ta myśl otrzeźwiła go w drodze na Forum Magnum. Po drodze zatrzymali ulicznego handlarza i kupili trochę jedzenia, ponieważ resztki wina w ich ciałach zaostrzyły im apetyt. Szli dalej w milczeniu, każdy zatopiony we własnych myślach.

– Już za następnym rogiem... – przerwał nagle ciszę Septymus.

– Co? – spytał Attyk, przytomniejąc.

– Mój dom – odparł z uśmiechem Septymus. – Jest za następnym rogiem.

Attyk zauważył, że na wzmiankę o domu przyjaciel przyspieszył kroku, więc też ruszył szybciej. Zamieszкана przez ekwitów dzielnica Celius była całkowicie odmienna

od biedniejszych okolic o wąskich uliczkach i wysokich domach; żadna z różnic nie umknęła Attykowi.

– Kogo zastaniemy? – spytał, zdając sobie sprawę, że podczas trwającej od dziesięciu miesięcy znajomości z Septymusem ani razu nie rozmawiali o jego rodzinie.

– Z tego, co wiem, choć nie byłem w domu od ponad dwóch lat, wszystkich, a zatem moich rodziców i dwóch starszych braci... oraz zapewne młodszą siostrę.

Attyk zauważył, że na wzmiankę o siostrze na twarzy Septymusa pojawił się wyraz powagi; zaczął się zastanawiać, jak wygląda rodzina przyjaciela. Kobiety mają pewnie ciemną karnację, jak on, a mężczyźni wyglądają jak jego starsze wersje.

Ulica mknęła im szybko pod stopami i już wkrótce dotarli do wejścia domu: skromnej, lecz solidnej drewnianej bramy wstawionej w bielony kamienny mur, który otaczał posesję. Na małej tabliczce przy bramie widniało nazwisko „Kapito”. Septymus zastukał i odsunął się od wejścia, aby poczekać. Już miał zapukać jeszcze raz, kiedy brama otworzyła się z rozmachem i stanął w niej mężczyzna. Podpierał się pod boki i badawczo przyglądał niezapowiedzianym gościom, wysuwając podbródek. Widać było, że rozpoznał jednego z nowo przybyłych, kiedy opuścił ręce, a na jego twarzy pojawił się radosny uśmiech.

– Na bogów... Septymus!

– Domicjanie – przywitał go serdecznie Septymus. Służący, którego znał od dzieciństwa, stał przez chwilę

bez ruchu, po czym pobiegł do domu, aby ogłosić niespodziewany powrót.

Gdy się znaleźli na małym dziedzińcu, Attyk przyjrzał się wewnętrznej zabudowie, też o prostych, bielonych murach. Po lewej była mała stajnia i piętrowa stodoła; przez jej otwarte drzwi widać było sterty słomy i worki ziarna. Prosto przed nimi stała rezydencja rodzinna, również piętrowa; w jej szeroką fasadę wstawiono okna z okiennicami. Kiedy zbliżali się do drzwi, Attyk słyszał zza nich radosne okrzyki: rozchodziły się wieści o powrocie Septymusa.

Nagle przed dom wypadła dojrzała kobieta i pospieszyła w ich stronę. Była wysoka, szczupła i miała szlachetne, niemal królewskie rysy. Jak podejrzewał Attyk, miała ciemną karnację, wielkie, orzechowe oczy i czarne loki. Objęła Septymusa i ucałowała go w policzek, a w kącikach jej oczu widać było łzy radości spowodowane widokiem najmłodszego syna.

– Och, Septymusie – niemal zaszlochała. – Witaj w domu. Witaj w domu.

Septymus wyplątał się z uścisku, zawstydzony otwartym okazywaniem uczuć przy Attyku. Kapitan tylko się uśmiechnął. Za nimi pojawił się starszy mężczyzna, a Attyk od razu się zorientował, że musi to być ojciec jego przyjaciela. Podobieństwo było uderzające: ta sama krzepka budowa, te same niesforne ciemne włosy. Ojciec Septymusa miał też jednak okropną bliznę po lewej stronie twarzy, biegnącą od czoła do policzka i

przecinającą oko, które było mlecznobiałe. Poza tą raną wyglądał jak starszy o dwadzieścia lat Septymus.

Centurion przywitał się z nim ciepło w stylu legionistów, chwytając jego przedramię.

– Witaj w domu, synu – powiedział mężczyzna głębokim, zachrypniętym głosem.

– Dobrze jest tu wrócić, ojcze – odparł Septymus, prostując się na baczność, tak jak zrobiłby to w obecności wyższego ranga.

– Te oznaczenia na twojej zbroi – ciągnął jego ojciec, dotykając kirysu Septymusa – czy to insygnia żołnierza floty?

– Centuriona floty – odpowiedział z dumą Septymus. Po raz pierwszy prezentował się w ten sposób ojcu, który osiągnął tę samą rangę w Dziewiątym legionie.

– Centuriona floty – powtórzył pogardliwie starszy mężczyzna, jakby drugie słowo kalalo pierwsze. – Lepiej być *optio* w Dziewiątym, gdzie twoja ranga wzbudzała jakiś szacunek.

– Dowodzenie na statku nie przynosi hańby – sprzeciwił się Septymus, lecz jego ojciec zakończył wymianę zdań machnięciem ręki i zwrócił się w stronę Attyka; Septymusowi nie pozostało nic innego, jak tylko przedstawić mu przyjaciela.

– Ojcze, matko, oto kapitan *Aquili*, Attyk Miloniusz Perennis. Attyku, oto Antoninus oraz Salonina – powiedział Septymus, wskazując dłonią rodziców.

Attyk skinął głową Saloninie, po czym przywitał się

z Antoninusem. Mężczyzna chwycił jego rękę mocno i stanowczo: prosty gest zdradzał, jaka drzemie w nim siła.

– Miloniusz... Grek? – spytał Antoninus z nieodgadnioną miną.

– Tak – odpowiedział nieufnie Attyk – z Lokr.

Antoninus kiwnął powoli głową, nie puszczając przedramienia Attyka i przeszywając go wzrokiem. Puścił go dopiero, kiedy Salonina odwróciła się i gestem ręki zaprosiła wszystkich do domu. Za drzwiami znajdowało się atrium, podobne do tego, które widzieli w domu Scypiona, lecz prostsze: otaczające je kolumny były pozbawione ozdób, a basenu nie wyłożono płytkami. Przeszli przez nie do *triklinium*, głównej jadalni. Pośrodku stał stół otoczony trzema sofami; jego czwarty bok wychodził na kuchnię, z której niewolnicy wynosili świeże owoce i chleb. Wszyscy usiedli. Pan domu spoczął u szczytu stołu, jego żona po prawej, a Attyk i Septymus zajęli trzecią sofę.

– A gdzie Tyberiusz i Klaudiusz? – spytał Septymus.
– I Hadria? Jest w domu?

Antoninus pokręcił głową.

– Twoi bracia udali się wraz ze swoim partnerem, Nerwą z rodu Karantus, w podróż handlową na południe. Hadria jest na miejscu, w domu twojej ciotki na Wiminale.

– Nadal wspomina o Waleriuszu? – spytał Septymus, patrząc na matkę.

– Nie – odpowiedziała łagodnie Salonina. –

Pograżyła się w głębokiej żałobie po jego stracie, lecz sądzę, że jej serce znów jest wolne.

– Tak szybko? – W głosie Septymusa pobrzmiwała ostra nuta.

– Od jego śmierci upłynął prawie rok, Septymusie – odparła Salonina – a w wieku dwudziestu lat nie może długo być wdową.

– Znasz rzymskie prawo, Septymusie – dodał Antoninus. – Musi ponownie wyjść za mąż w ciągu dwóch lat, aby uregulować sprawę spadku po Waleriuszu. Jego ojciec, Kaśka, już zatrzymuje mnie na forum i pyta, czy znalazłem jakichś zalotników.

Septymus już miał się odezwać, lecz ugryzł się w język, kiedy zalała go fala wspomnień dotyczących utraconego przyjaciela.

– Domicjanie! – krzyknął Antoninus, a służący natychmiast się pojawił. – Wyślij do Hadrii gońca z wiadomością, że wrócił Septymus.

Mężczyzna skinął głową i od razu odszedł.

Septymus zaczął opowiadać rodzicom o szczegółach swojego życia z poprzednich dwóch lat; wiele się wydarzyło i wiele zmieniło. Dwie godziny później, w porze przedpołudniowego posiłku, dopiero zaczął relacjonować zajścia z ostatnich czterech dni.

– Maszerują, admirale – oznajmił mężczyzna, kiedy udzielono mu głosu.

– Kiedy ruszyli i dokąd idą?

– Wczoraj o świcie. Kierują się na zachód.

Hannibal Gisko kiwnął głową i odprawił posłańca. Wstał z za stołu o marmurowym blacie i przeszedł między targanymi wiatrem bawełnianymi zasłonami na balkon. Taras znajdował się na najwyższym z trzech pięter budynku stojącego tuż nad brzegiem morza w Panormos, wspaniałym naturalnym porcie, gdzie stacjonowała teraz rosnąca kartagińska flota. Gisko przyglądał się z satysfakcją, jak ostatnie z sześćdziesięciu statków tworzących posiłki rzuca kotwice dwieście kroków od nabrzeża. Podstawowa część floty popłynęła wzdłuż zachodniego wybrzeża Sycylii z rozkazami zablokowania wciąż kontrolowanego przez Rzymian Akragas. Okręty przywiozły ze sobą cenny ładunek: żołnierzy, dzięki którym liczebność zastępów admirała urosła do dwudziestu pięciu tysięcy.

Spoglądając na tętniący życiem port, Gisko obliczał tempo marszu Rzymian, pewien, że nie zdają sobie sprawy, iż wie o ich mchach. Zimą rzymski obóz był nieustannie śledzony, zarówno z otaczających go wzgórz, jak i od wewnątrz: przekupieni miejscowi handlarze dostarczyli Kartagińczykom szczegółowych opisów dotyczących rozmiarów i siły armii kryjącej się za palisadą obozu. Meldunki docierały do Panormos regularnie za pomocą pomysłowej metody zapożyczanej od Persów: gołębi pocztowych. Uskrzydleni posłańcy dali Kartagińczykom niewiarygodną przewagę nad wrogiem, który nie odkrył jeszcze niezwykłych umiejętności gołębi;

w taki oto sposób, niecałe trzydzieści sześć godzin po wymarszu Rzymian, Gisko otrzymał szansę na wyprzedzenie ich o krok.

Zastanowił się nad słowami posłańca. Rzymianie opuścili zimowy obóz poprzedniego dnia i ruszyli na zachód. Bez wątpienia skierowali się do Segesty i Makelli, leżących na południe od Panormos. Te dwa miasta-państwa, choć położone daleko na terenach Kartagińczyków, buntowniczo stanęły po stronie Rzymu tuż po jego zwycięstwie pod Akragas. Gisko zarządził rozpoczęcie oblężenia obu miast i był pewien, że jest tylko kwestią czasu, nim znów znajdą się pod jego kontrolą. Już zdecydował, jaki los spotka ich mieszkańców; miał on zadziałać odstrasząco na wszystkie inne miasta-państwa na jego ziemiach, które rozważały przejście na stronę wroga. To osobiste postanowienie zemsty mogło się spełnić, gdyby tylko udało mu się opóźnić lub – jeszcze lepiej – zatrzymać rzymski marsz.

Gisko natychmiast odrzucił koncepcję otwartego natarcia. Rzymska armia była znacznie lepsza w walce na lądzie niż jego własna; dowiodła tego kartagińska porażka pod Akragas. Jeśli miał pokonać wroga, będzie musiał utrzymać swoją strategię brania Rzymian głodem.

Legiony znajdowały się nie więcej niż tydzień drogi od granicy między terytoriami walczących; podział ten ciągnął się na południe od leżącego na północnym wybrzeżu miasta Karonia. To tam najdalej dotarli

Rzymianie podczas poprzedniego sezonu. Linia ta przebiegała niemal dokładnie w pół drogi między ich zimowym leżem a Panormos, główną siedzibą Kartagińczyków; jeśli więc Gisko chciał spowolnić ich marsz, musiał dotrzeć tam pierwszy. Odwrócił się raptownie, zszedł z balkonu i wezwał adiutanta. Mężczyzna pojawił się natychmiast.

– Zbierz dowódców na odprawę w głównej sali i wyślij rozkaz kawalerii, aby była gotowa do wymarszu przed zmierzchem.

– Tak jest, admirale – odparł adiutant i wyszedł.

Gisko stanął za stołem i przyjrzał się szczegółowej mapie Sycylii. Pierwsi rzymscy żołnierze wylądowali na wyspie zaledwie cztery lata wcześniej. Początkowo Kartagińczycy uważali przybycie Rzymian za niewiele znaczący kłopot: nawet nie przeciwstawili się ich lądowaniu w Messynie, pewni, że mogą pokonać ich, kiedy tylko zechcą. Mylili się, pomyślał z goryczą Gisko. Okazało się, że Rzymianie są lepsi w walce na lądzie. Obecnie kontrolowali całą wschodnią połowę wyspy. Gisko miał zamiar naprawić błąd polegający na niewykorzystaniu ich słabości na morzu. Łącząc swoje siły lądowe i morskie, Kartagińczycy jak najbardziej byli godnym przeciwnikiem dla Rzymian. W założeniu admirała obie części punickiej armii miały pracować razem, aby odciąć wroga od dostaw i zniszczyć go. Żadna armia nie może funkcjonować sama. Gisko chciał dopilnować, żeby Rzymianie dobrze przyswoili tę lekcję.

Attyk przysłuchiwał się bez słowa, jak Septymus i jego ojciec omawiają zagrożenie czyhające na legiony na Sycylii. Resztki posiłku ledwie chwilę wcześniej usunęli ze stołu milczący niewolnicy; kapitan zauważył, że wielu z nich nadstawia uszu, aby usłyszeć niezwykle wieści relacjonowane przez Septymusa. Centurion czasami zwracał się do niego, aby coś potwierdził lub się z nim zgodził, lecz Antoninus nie spojrział na niego ani razu; rozmawiając z synem o swoim starym legionie, nieświadomie dotykał blizny na twarzy.

Nagle w błądzące myśli Attyka wdarł się krzyk, pisk radości, na który wszyscy odwrócili głowy w stronę wejścia do jadalni. Na oczach urzeczonego Attyka do środka wpadła młoda kobieta i rzuciła się Septymusowi w ramiona. Grek jeszcze nigdy nie widział nikogo tak pięknego.

Hadria miała na sobie prostą białą stolę przepasaną w talii wąskim warkoczem z rzemieni. Nie była wysoka – sięgała Septymusowi zaledwie do piersi – lecz jej nogi były długie i opalone; sprawiała wrażenie, jakby tańczyła w powietrzu. Jej całe ciało promieniowało żywotnością i zdrowiem, a na twarzy widać było czyste szczęście, kiedy śmiała się do brata, rozchylając zmysłowe usta. W odróżnieniu od Septymusa Hadria miała jasną, nieskazitelną cerę, świadczącą o jej młodości. Sięgające ramion jasnobrązowe włosy miały pasma koloru blond, rozjaśnione słońcem, co podkreślało światło w jej szarych

oczach. Attyk pierwszy raz widział tak wyrazistą twarz; czułość, jaką Hadria żywiła dla brata, mógł dostrzec każdy.

Septymus roześmiał się – radość siostry była zaraźliwa – i wypuścił dziewczynę z objęć dopiero po dłuższej chwili. Dopiero wtedy odwrócił się do przyjaciela.

– Attyku, chciałbym przedstawić ci moją siostrę, Hadrię.

– Miło cię poznać, Hadrio – powiedział oczarowany Attyk.

– Ciebie również – odparła skromnie Hadria, mierząc go niepokojącym, przenikliwym spojrzeniem.

Oderwała od niego wzrok i kiedy wszyscy wracali na swoje miejsca, podbiegła, aby usiąść obok matki. W jej obecności nastrój dookoła stołu jeszcze się poprawił.

W ciągu półgodziny rozmowa zeszła na błahe, wesołe tematy; Septymus raczył siostrę opowieściami z czasu swojej nieobecności w domu. Hadria słuchała z wyteżoną uwagą, nie spuszczać z niego wzroku i zadając nieczęste, lecz bystre pytania: była idealnym słuchaczem. Fakt, że Septymus odwzajemniał jej spojrzenie, pozwolił Attykowi dyskretnie przyglądać się Hadrii. Analizował każdy szczegół jej profilu, obezwładniony jej urodą. Pozostali wciągnęli go do lżejszej rozmowy, która toczyła się do późnego popołudnia.

Wieczór się zakończył, kiedy Salonina ogłosiła, że

już późno, i wyciągnęła rękę do Hadrii, prosząc córkę gestem, aby wyszła wraz z nią z pokoju. Hadria jęknęła żartobliwie i płynnym ruchem zeskoczyła z sofy. Ucałowała ojca i brata w policzki, po czym życzyła Attykowi dobrej nocy, ozdabiając proste słowa szerokim uśmiechem.

Attyk zrewanżował się tą samą uprzejmością i odprowadził Hadrię wzrokiem. Kiedy oderwał od niej spojrzenie, Septymus i Antoninus wrócili do tematu legionów na Sycylii.

Następnego ranka Attyk wstał wcześniej i przeszedł przez atrium do jadalni, aby zjeść śniadanie. Czteroosobowa rodzina Kapitonów zgromadziła się już w ciasnym kręgu dookoła niskiego stołu i rozmawiała z ożywieniem. Nie od razu dostrzegli przybycie Attyka, więc nie byli świadomi, że ich obserwuje. Jak na rodzinę, która spędzała sporo czasu osobno, byli sobie bardzo bliscy. Z wybuchów śmiechu i wesołych min całej grupy Attyk wywnioskował, że prowadzą lekką, błahą rozmowę, typową rodzinną pogawędkę o codziennych sprawach.

Wzrok Attyka spoczął na Hadrii. Miała na sobie bladoniebieską stolę, która idealnie podkreślała kolor jej oczu i jasną skórę. Słuchała opowieści snutej przez ojca, śmiejąc się i klaszcząc w dłonie po jego puentach; jej radość udzieliła się rodzicom, którzy śmiali się wraz z nią.

– Attyku! – zawołała, kiedy zauważyła Greka. –
Czekaliśmy na ciebie.

Poza promiennym uśmiechem Hadrii Attyk na mgnienie oka ujrzał na jej twarzy intrygujące, intensywne spojrzenie, które wyrażało coś więcej niż sympatię; spojrzenie to tylko wzmoгло jego przeświadczenie, że patrzy na najpiękniejszą kobietę, jaką w życiu widział.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

A zatem, szanowni senatorowie, wzywam, abyśmy poddali pod głosowanie moją poprawioną propozycję. Niech izba się podzieli i rozstrzygnie tę sprawę.

Scypion usiadł i rozejrzał się po zatłoczonej komnacie ze skrywanym obrzydzeniem. W reakcji na nowe wezwanie do głosowania wszyscy prowadzili ciche rozmowy z sąsiadami. Scypion oceniał, że wybór sposobu przerwania kartagińskiej blokady zajmie senatowi tydzień. Mylił się. Debata toczyła się już dziesiąty dzień, a niekończące się dyskusje i głosowania dotyczące absurdalnie mało znaczących kwestii niemal wyczerpały jego cierpliwość. Piątego dnia senat postanowił w końcu, że flota faktycznie jest potrzebna. Następne dwa dni trwało podejmowanie decyzji na temat liczby statków, kolejne dwa – postanowienie, jak flota będzie finansowana. Dopiero teraz senatorowie poruszyli temat dowodzenia kampanią.

Prowadzący obrady uderzył młotkiem w mównicę i przywołał zgromadzenie do porządku.

– Biorąc pod uwagę wniosek starszego konsula oraz wyrażone wcześniej poglądy młodszego, podzielimy teraz izbę. Wszyscy, którzy są za, niech staną pod wschodnią ścianą, głosujący przeciwko niech przejdą pod zachodnią.

Scypion nie podniósł się ze swojego siedzenia w pierwszym rzędzie: jego miejsce przed wschodnią ścianą

stanowiło wezwanie dla zwolenników, aby stanęli po jego stronie. W duchu starszy konsul gardził słowem „zwolennicy”. Ostatnie dziesięć dni spędził na nakłanianiu i dyskretnym przekupywaniu połowy z nich, aby uzyskać ich poparcie. Tylko mała mniejszość faktycznie miała odwagę głosować zgodnie z własnym przekonaniem o tym, co jest najlepsze dla Rzymu. Resztę trzeba było prowadzić niczym bydło.

Siedzący pośrodku komnaty Gajusz Duiliusz wstał nagle. Scypion wlepił w niego czujny wzrok. W rzeczywistości z trzystu głosów senatu w tej debacie liczyły się tylko dwa: jego samego i Duiliusza. To, w którą stronę odwróci się młodszy konsul, na dobre czy na złe rozstrzygnie sprawę. Scypion przyglądał się spokojnej minie przeciwnika, czując nowy przypływ nienawiści do niego. Duiliusz bezustannie psuł mu szyki, lecz zawsze przez pośredników, tak subtelnie i sprytnie, że nigdy tak naprawdę nie zagroził całemu planowi. Dzięki temu podjęto ważne decyzje, takie jak ta o zbudowaniu floty, lecz Duiliusz podkopał autorytet Scypiona, kwestionując jego propozycje. Starszy konsul musiał za każdym razem ustępować, także przy okazji ostatniego postulatu dotyczącego dowodzenia, więc czekał na reakcję Duiliusza, czując, jak w gardle wzbiera mu żółć odrazy. Nie był pewien, czy będzie się w stanie opanować, jeśli młodszy konsul kolejny raz zagłosuje przeciwko niemu.

Kiedy napięcie w komnacie sięgnęło szczytu, Gajusz Duiliusz się odwrócił.

Od początku debaty Duiliusz zgadzał się z podstawowymi założeniami taktyki Scypiona. Flota była potrzebna, to nie ulegało wątpliwości. Biorąc pod uwagę przewagę Kartagińczyków w kwestii umiejętności żeglarskich, trzeba było przewyższyć ich pod względem liczebnym. Tego prostego, logicznego wniosku nie trzeba było omawiać. Tworzenie floty należało sfinansować ze środków miasta, a w razie braków finansowych – nałożyć specjalny podatek. Ten fakt też był niezaprzeczalny. Mimo to Duiliusz przy każdej okazji kwestionował słowa Scypiona.

To przedsięwzięcie było drogie, lecz konieczne. Duiliusz musiał pokazać Scypionowi, że potrafi bez końca obstawać przy swoich ambicjach w bagnie senatu, jeśli starszy konsul nie ustąpi w najważniejszej kwestii, jaką był wybór dowódcy floty. Debaty były męczące, a głosowania żmudne, lecz teraz, kiedy senatorowie wstali, aby zagłosować, Duiliusz czuł, że otacza go prawdziwa potęga. Od początku wiedział, co leży u podstaw propozycji Scypiona: pragnienie władzy, takie jak jego. Kiedy cały senat obejrzał się, żeby zobaczyć, w którą stronę się zwróci, Duiliusz poczuł, że trzyma w rękach władzę nad Rzymem.

Scypion zmienił swoją taktykę dotyczącą przywództwa. Nie miał wyboru. Faktycznie popłynie z flotą i będzie głównodowodzącym, lecz Duiliusz do niego dołączy. Obejmie zwierzchnictwo nad awangardą i będzie

dowódcą taktycznym, podczas gdy Scypion zostanie głównym strategiem, a jego pozycja na tyłach floty stworzy iluzję bezpieczeństwa, którego wymagał senat. Duiliusz pokierował dyskusją tak, aby zwrócić uwagę Scypiona na ów kompromis, a starszy konsul na niego przystał; obaj wiedzieli, że kiedy flota zniknie z zasięgu wzroku Rzymu i senatu, walka o władzę zacznie się od nowa. Lecz teraz, tego dnia i w tej chwili, Duiliusz panował nad Rzymem i rozkoszował się tym uczuciem.

Duiliusz odwrócił się i ruszył w stronę wschodniej ściany. Jego stronnicy natychmiast poszli za nim, więc po drugiej stronie komnaty została żałosna grupka dwudziestu senatorów. Zgromadzeni przywitali wiwatami ostateczną decyzję i zakończenie debaty; napięcie poprzednich dziesięciu dni uszło z nich w tej chwili wspólnej ulgi. Scypion wstał i otoczyli go senatorowie, którzy gratulowali mu, klepiąc go po ramionach i plecach. Tak samo wieszowali Duiliuszowi – obu uważano teraz za zbawców rzymskiej kampanii, choć Scypion układał to sobie tak, że to wyróżnienie przypadnie tylko jemu. Podszedł do Duiliusza wśród tłumy wznoszących okrzyki senatorów i wspaniałomyślnie wyciągnął doń rękę w geście symbolizującym wspólną odpowiedzialność za czekające ich bitwy. Duiliusz uścisnął jego dłoń, a tłum znów zgotował im owację. Obaj mężczyźni przybrali wylewne wyrazy twarzy, odzwierciedlające podniosłość chwili i nastrój tłumy. W obu wypadkach były one udawane. Kiedy spojrzeli sobie w oczy, tylko

najuważniejszy obserwator zauważyłby chwilowe porozumienie. Dla Scypiona i Duiliusza powierzchowna solidarność kryła wyzwanie. Od tej pory chwała Rzymu zajmowała drugie miejsce za walką o władzę, którą roznieciła między nimi kartagińska blokada. Obaj wiedzieli, że pan Rzymu może być tylko jeden.

– Nie, nie, nie, Gajuszu – argumentował Lucjusz – nie możemy polegać na tym, że każdy sternik będzie równie utalentowany jak ty. Na wszystkich nowo zbudowanych statkach pływać będą w najlepszym razie rybacy i kupcy.

– Mimo to – odparł Gajusz – taran wciąż jest najlepszą metodą na to, żeby załoga żółtodziobów pokonała doświadczonych marynarzy. Nie mamy dość czasu, aby nauczyć legionistów abordażu!

Attyk przyglądał się w milczeniu, pozwalając, aby obaj mężczyźni otwarcie wyrazili w sporze swoje opinie; ich wiedza i doświadczenie były decydujące, jeśli mieli znaleźć jakieś rozwiązanie. Wszyscy trzej siedzieli w zamkniętej głównej kabinie *Aquili*; trirema wciąż była zacumowana przy nabrzeżu w Ostii.

Attyk został w domu rodu Kapitonów przez trzy dni, dwa dni dłużej niż Hadria, która na pilne wezwanie ze strony ciotki wróciła do domu krewniaczki na Wiminale. Brak wieści i rozkazów z senatu nadwreżył cierpliwość Attyka i trzeciego dnia obudził się z przemożnym pragnieniem zobaczenia swojego statku. Po przybyciu do

Ostii poświęcił *Aquili* całą energię i czas. Dzięki zasobnym magazynom obozu, które zaopatrywały liczącą tuzin statków flotę Ostii, wymieniono całe olinowanie galery i jej grotzagiel. Wioślarzy zakwaterowano w barakach dla niewolników położonych za obozem, a ich pokłady dokładnie wyczyszczono. Niewolnicy wciąż nurkowali pod galereę, usuwając z jej kadłuba pąkle i mięczaki. Po wyczyszczeniu galery jej maksymalna prędkość wzrastała o pół węzła.

Trzej najwyżsi rangą marynarze *Aquili* rozmawiali o taktyce od ponad godziny; kapitan pełnił rolę adwokata diabła zarówno wobec swojego zastępcy, jak i sternika. Kiedy tylko zgadzali się na jakiś temat, Attyk odrzucał ich rozwiązanie, znajdując błąd w rozumowaniu, a dwaj mężczyźni ponownie wszczynali dyskusję. Omówili wszelkie możliwe taktyki i to, jak Kartagińczycy zareagują na każde posunięcie Rzymian. Cała trójka już dwukrotnie widziała Punijczyków w akcji i nie miała wątpliwości co do potęgi i determinacji wroga. Każdy scenariusz kończył się tym samym wnioskiem, rozbijał się o brak równowagi w tej samej kwestii: kwestii doświadczenia.

Nową rzymską flotę mieli stworzyć cywilni marynarze i legionieści przyzwyczajeni do walki na lądzie. Ich brak wprawy oznaczał, że taktyka oparta na taranowaniu raczej nie będzie możliwa, ponieważ opanowanie koniecznych manewrów trwało miesiącami: kąt i prędkość natarcia musiały być dokładnie

wymierzone. Rzymskie statki były lżejsze i jeśli błąd przekraczał dziesięć stopni, taran mógł się po prostu ześlizgnąć z solidniejszego kartagińskiego kadłuba, zamiast go przebić. Wezwanie do wejścia w prędkość do taranowania też musiało nastąpić w określonym momencie. Jeśli padnie zbyt późno, statek nie będzie miał koniecznego rozpędu, jeśli zbyt wcześnie – wioślarze będą wykończeni po pierwszych kilku potyczkach; było prawdopodobne, że konfrontacja na dużą skalę potrwa kilka godzin.

Podpłynięcie równoległe do statku wroga w celu dokonania abordażu wymagało znacznie mniej umiejętności: kąt nie był tak istotny, trzeba było jedynie utrzymać wystarczającą prędkość, aby wyprzedzić przeciwnika. Trzej rozmówcy zgodzili się, że kupcy – a nawet rybacy – mogą nauczyć się tego prostego manewru w ciągu najwyżej tygodnia. Problem braku doświadczenia zaczęli teraz omawiać w odniesieniu do legionistów. Wyszkolenie ich na żołnierzy piechoty morskiej zajmie kilka miesięcy; umiejętność przejścia na pokład okrętu wroga z powodzeniem i w wystarczającej liczebności była kluczowa w pierwszych kilku minutach każdego starcia. Na pokładzie nie będą dysponowali zwyczajowymi ponadmetrowymi tarczami *scutum*, lecz *hoplon*, a lata musztry odbywanej jako jednostki lądowe na nic się nie zdadzą.

– Gajuszu, Lucjuszu – powiedział Attyk, próbując wrócić do głównego wątku dyskusji – zgodziliśmy się, że

w czasie, którym dysponujemy, załogi można nauczyć abordażu, lecz nie taranowania.

– Tak – potwierdzili.

– Ustaliliśmy też, że nie zdążymy wyszkolić legionistów we wdzieraniu się na pokład wroga i walczeniu tradycyjnymi sposobami.

– Zgadza się – znów odparli obaj mężczyźni; tym razem Lucjusz westchnął, ponieważ ich dyskusja niezmiennie krążyła dookoła tego tematu.

– No dobrze. Musimy się skupić na rozwiązaniu tylko jednego z tych problemów. Myślę, że trudniej będzie poradzić sobie z kwestią żeglowania, więc proponuję, żebyśmy zajęli się abordażem. Trzeba wymyślić sposób, żeby nasi żołnierze znaleźli się na pokładach wroga w dostatecznej liczbie i z tarczami *scutum*. Jeśli to się uda, będą niepokonani.

– Jeśli to się uda... – powtórzył Gajusz, koncentrując się na problemie.

W kabinie znów zapadła cisza; cała trójka zaczęła rozmyślać. Wciąż jeszcze nie znaleźli rozwiązania, kiedy godzinę później do drzwi zastukał posłaniec.

– Zbliża się goniec! – zawołał z dziedzińca Domicjan. Pobiegł do atrium, po drodze powtarzając wieść.

Septymus dosłyszał ją na mniejszym, zamkniętym dziedzińcu na tyłach rezydencji, gdzie ćwiczył z mieczem. Rzucił drewniany oręż na ziemię i przeszedł

przez dom, w połowie drogi napotykając służącego.

– Nadjeżdża goniec – oświadczył Domicjan.

Septymus kiwnął głową i go wyminął. Kiedy wychodził głównymi drzwiami domu, przez bramę wjechał pretorianin. Zauważył Septymusa i czym prędzej się do niego zbliżył.

– Mam wiadomość dla centuriona Kapitona i kapitana Perennisa z *Aquili* – oświadczył.

– Jestem Kapito. Kapitan Perennis jest w *castrum* w Ostii – odparł Septymus.

Pretorianin kiwnął głową. Drugi posłaniec, który pojechał prosto do Ostii, odnajdzie kapitana. Siedząc w siodle, żołnierz zmierzył Septymusa wzrokiem: stojący przed nim mężczyzna miał na sobie przepoconą tunikę, a czarne, zmierzwione włosy nadawały mu dziki wygląd. Raczej nie wyglądał na centuriona. Pieprzona piechota morska, pomyślał pretorianin.

– Mój pan, starszy konsul Scypion, rozkazuje...

– Zejdź z konia i dostarcz wiadomość jak należy – przerwał mu Septymus ostrym głosem. Dostrzegł, że chwilę wcześniej na twarz strażnika wpłynął nieświadomy wyraz pogardy.

Pretorianin zawahał się, ale tylko na moment; groźba, którą podszyty był rozkaz, obudziła w nim instynkt żołnierza. Zszedł na ziemię.

– Mój pan...

– Jak należy! – przerwał jeszcze raz Septymus tonem jak stal. – Zwracasz się do wyższego rangą, żołnierzu.

Dam ci ostatnią szansę. – Wyprostował się jak struna. Górował o pół głowy nad pretorianinem. Strażnik zyskał całkowitą pewność, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo, choć on był uzbrojony, a centurion nie.

Energicznie stanął na baczność i zasalutował, uderzając pięścią o metalowy kirys. Zgodnie z przepisami wlepił teraz wzrok przed siebie.

– Melduję – zaczął – że mój pan, starszy konsul Scypion, rozkazuje ci natychmiast się stawić w jego miejskiej rezydencji.

Septymus odczekał chwilę w milczeniu, po części wciąż się zastanawiając, czy powinien uderzyć strażnika za niesubordynację. Pretorianin sprawiał wrażenie, jakby czytał mu w myślach, i instynktownie przygotował się na cios.

– Świetnie – powiedział nagle Septymus. – Możesz odejść – dodał, dochodząc do wniosku, że odsyłanie strażnika do Scypiona z podbitym okiem nie jest najlepszym wyjściem.

Pretorianin ponownie zasalutował i dosiadł konia, po czym zawrócił i odgalopował.

– Domicjanie!

– Tak, Septymusie? – spytał służący, wychodząc zza głównych drzwi, z którego to miejsca przysłuchiwał się rozmowie.

– Rozkaż adiutantowi, aby przygotował mój ekwipunek, i niech jeden ze stajennych osiodła konia.

Domicjan przyjął rozkaz i odszedł. Septymus pomaszerował do głównej bramy i przyglądał się, jak pretorianin powoli odjeżdża zatłoczoną ulicą. Potem wrócił do domu i po chwili znów go opuścił, tym razem w pełnym rynsztunku. Wsiadł na konia, którego lejce trzymał stajenny, i wyjechał przez główną bramę galopem.

Attyk zbliżał się do rezydencji konsula powoli; na krętych uliczkach jego wierzchowiec mógł poruszać się najwyżej kłusem. Przyjechał z Ostii śladem pretorianina, który dostarczył wezwanie, pozwalając strażnikowi zaprowadzić się do miasta i samego domu. Attyk nawykł do rozległych przestrzeni mórz – choć dzięki słońcu i gwiazdom potrafił wyznaczyć każdy kurs na pozbawionej punktów odniesienia powierzchni wody, poczucie kierunku całkowicie go zawodziło na ciasnych ulicach Rzymu. Kiedy skręcił na obwiedziony murami dziedziniec posiadłości Scypiona, zobaczył, że obok wejścia do atrium stoi Septymus.

– Najwyższa pora! – zawołał centurion. – Musiałem tu na ciebie czekać.

Attyk skinął głową z uśmiechem pewien, że przyjaciela też zżera ciekawość.

– Wiesz, dlaczego nas wezwał? – spytał, schodząc na ziemię.

– Nie. Przejeżdżając przez Forum, słyszałem tylko, że senat zatwierdził budowę floty i że dowodzić nią

będzie zarówno Scypion, jak i Duiliusz.

– Duiliusz? – zdziwił się Attyk.

– Tegoroczny młodszy konsul. Jest właścicielem połowy ziem otaczających miasto i zaopatruje większość targów w plony ze swoich pól.

Attyk skinął głową, zdając sobie sprawę, że wie bardzo niewiele o najważniejszych obywatelach miasta i głównych graczach w senacie.

W środku czekał na nich dowódca pretorianów.

– Chodźcie za mną – rozkazał opryskliwie, choć nie przewyższał stopniem ani kapitana, ani centuriona.

– Jak zawsze serdeczny – mruknął Septymus.

Dowódca przeprowadził ich przez wiele pokojów; część była wyraźnie przeznaczona na przyjęcia i spożywanie posiłków, a inne sprawiały wrażenie, jakby istniały tylko po to, żeby mieścić zdobiące je dzieła sztuki i rzeźby. Posiadłość była rozległa; prosty dziedziniec i atrium miały zwodniczo skromne rozmiary, biorąc pod uwagę, jak głęboki był dom. Natknęli się na Scypiona na wewnętrznym dziedzińcu. Siedział sam w cieniu płóciennego dachu i wyglądał na głęboko zamyślonego. Kiedy weszli, nie podniósł oczu.

Dowódca straży się ulotnił, a ludzie z *Aquili* podeszli do konsula sami.

– Kapitan Perennis i centurion Kapito stawiają się na wezwanie – ogłosił Attyk, kiedy obaj stanęli na baczność.

– Ach, tak – rzekł Scypion, podnosząc wzrok, jakby dopiero teraz ich zauważył. – Senat postanowił zbudować

flotę stu pięćdziesięciu trirem. Macie się zgłosić do Publiusza Korneliusza Lentulusa, głównego budowniczego okrętów w Ostii, i pomóc mu w tym zadaniu, a dokładniej: opowiedzieć mu o waszych wrażeniach dotyczących wroga i jego umiejętności.

– Tak jest, konsulu – odpowiedzieli przyjaciele.

Czekali na dalsze rozkazy, lecz żadne już nie padły. Scypion znów przeniósł wzrok na swoje notatki, jakby zapomniał o dwóch dowódcach. Minęła dłuższa chwila.

– Możecie odejść! – powiedział w końcu starszy konsul, a Attyk i Septymus odwrócili się i zostawili go samego.

Przeszli z powrotem przez dom i wrócili na główny dziedziniec, gdzie czekał chłopiec stajenny, trzymając lejce ich koni.

– Na bogów, Septymusie – wyszeptał Attyk z twarzą zastygłą w wyrazie zdumienia. – Sto pięćdziesiąt galer. To potężne zadanie. Zajmie co najmniej pół roku, a potem będą musieli znaleźć dla nich wszystkich załogi.

– Attyku, Attyku... – skarcił go żartobliwie Septymus, rozbawiony zadziwieniem przyjaciela. – Rozejrzyj się, człowieku. Spójrz na miasto. Stworzył je Scypion i jemu podobni ludzie z senatu. Jeśli postanowili, że należy zbudować sto pięćdziesiąt galer, to tak się stanie... i to nie w pół roku. Wiedzą, że zagrożenie nadciągnie szybciej, a statki będą potrzebne wcześniej. Założę się, że wyznaczono o połowę krótszy termin i że już zbierane są załogi.

Attyk pokręcił głową z niedowierzaniem. Z pewnością senat nałożył na Rzym zbyt wielki ciężar.

Septymus spojrział na niebo. Południe minęło godzinę wcześniej.

– Mamy jeszcze czas, żeby się spotkać z tym głównym budowniczym dzisiaj – powiedział, dosiadając konia.

Attyk pokiwał głową i też wskoczył na siodło, po czym zawrócił wierzchowca, aby wyjechać za Septymusem przez główną bramę. Usiłował wyobrazić sobie tak ogromną flotę, lecz nie potrafił. Rozsądek podpowiadał mu, że zbudowanie jej w czasie, który mają do dyspozycji, jest niemożliwe. Za sześć miesięcy sezon się skończy, a cała Sycylia będzie usiana ciałami zagłodzonych żołnierzy Drugiego i Dziewiątego legionu. Mieli w najlepszym razie trzy miesiące na przerwanie blokady.

Słowa Septymusa odbiły się echem w jego głowie, kiedy jechali w stronę Forum Magnum, a jego wzrok przyciągnęły wspaniałe budynki otaczające plac. Naprawdę były dziełami wielkich, zdeterminowanych ludzi, którzy wyznaczali sobie zadania i urzeczywistniali je bez względu na koszt i konsekwencje. Być może jego przyjaciel miał rację: może senat obarczył Rzym taką misją, wiedząc, że miasto jej podoła. Rozmyślając o niej, nieświadomie spiał konia; gnała go wrodzona niecierpliwość, żeby już się zabrać do roboty. Wyprzedził Septymusa i objął prowadzenie. Kiedy minęli Porta

Flumentana, na drodze do Ostii ich konie gnały już galopem.

– Znowu atakują!

Marek Fabiusz Buteo okręcił się w kierunku, z którego rozległo się ostrzeżenie, w samą porę, aby zobaczyć, jak z lasu po lewej stronie maszerującej kolumny wyłania się kolejna szarża kawalerii.

– Ustawić się! – ryknął centurion i pobiegł zająć pozycję przed pierwszym wozem transportowym.

Za nim podążył chorąży manipułu: sztandar wyznaczył oś formacji.

Kiedy Marek biegł, jednostka rzymskiej jazdy przedarła się przez szczelinę w taborze z ekwipunkiem. Jeźdźcy pochylali nisko głowy, usiłując wykrzesać ze swoich wierzchowców jak największą prędkość. Kartagińska kawaleria znajdowała się w odległości ponad trzystu kroków. Pełnym galopem pokonają tę odległość w ciągu dwudziestu sekund. Rzymianie musieli stawić im czoło jak najszybciej i jak najdalej od cennych dostaw, więc pędzili jak opętani; pozornie niekończące się ataki sprawiały, że w żyłach płonął im amok bitewny, który przewycięzał zmęczenie zarówno koni, jak i ludzi.

– Utworzyć szereg! – krzyknął Marek, kiedy manipuł zbierał się dookoła niego.

Usłyszawszy ten rozkaz, żołnierze przygotowali się na natarcie wroga. Komenda oznaczała, że nie będzie odwrotu, żadnego awaryjnego punktu zbornego. Nie

nastąpi żadna zmiana szyku: będą walczyć tam, gdzie stoją, i wszyscy znali przyczynę. Nie mogli zostawić zapasów bez straży.

Ataki zaczęły się pięć dni wcześniej, zanim jeszcze legiony przekroczyły linię dzielącą terytoria obu stron. Pierwsze natarcie z zaskoczenia zasiało największe zniszczenie. Choć manipuły strzegące dostaw – między innymi czwarty manipuł Dziewiątego legionu pod dowództwem Marka – zareagowały natychmiast na szarżę jazdy, nie były w stanie dać odporu szybkiej i zwrotnej jednostce wroga. Pozbawieni wsparcia ze strony własnej kawalerii, rozproszonej wzdłuż całej długiej na trzy mile kolumny, żołnierze piechoty nie mogli zrobić wiele ponad utrzymaniem pozycji i bronieniem się. W chwili starcia podczas pierwszego ataku Marek zdał sobie sprawę, co stanowi prawdziwy cel wroga. Choć od głównej masy kawalerii odrywały się małe oddziały, aby związać walką piechotę, nie próbowały się przedrzeć poza nią czy przebić przez ochronną ścianę tarcz legionistów. Zamiast tego koncentrowały się na wozach z zapasami. W ich stronę poszybowały tuziny płonących strzał, a włócznicy celowali w zaprzężone woły. Skutek był katastrofalny. Kartagińczycy przerwali natarcie już po pięciu szalonych minutach, wprowadziwszy w taborze dostawczym całkowity chaos. Marek, jak i inni centurionowie, rozkazał ludziom ugasić płomienie, a do dowódców legionów wysłano gorączkowe prośby o wsparcie. Tamten pierwszy atak kosztował ich dziesiątą część

wszystkich zapasów.

Pierwszej nocy rozbili obóz na miejscu ataku; inżynierowie pospiesznie wznieśli ochronną palisadę stosowaną przez legiony maszerujące przez tereny nieprzyjaciela. Natarcie zostało dokładnie zanalizowane, a dowódcy legionów szczegółowo przepytali centurionów, którzy byli jego świadkami. Wprowadzono pewne zmiany i wzmocniono siły obronne. Wcielono w życie takie środki zaradcze, jak specjalny oddział kawalerii i straży ogniowej, które miały chronić łatwopalne zapasy.

Zasadzki osiągnęły największą intensywność trzeciego dnia, kiedy nad brodem zaatakowały Rzymian połączone siły piechoty i jazdy wroga. Rzymianie błyskawicznie zareagowali, odpłacając im pięknym za nadobne i odpierając atak; największe straty z rąk zdeterminowanych legionistów poniosła zuchwała kartagińska piechota. Po tym potknięciu Kartagińczycy wrócili do konnych ataków i teraz, piątego dnia, godzinę po południu, Marek i jego ludzie musieli się przeciwstawić kolejnemu natarciu, czwartemu od tego ranka.

Kiedy dwie siły się zderzyły, Marek z odległości stu pięćdziesięciu kroków usłyszał chrzęst stali, kości, ciał ludzi i koni. Starcie było brutalne; zażarta wojowniczość obu stron zmieniła potyczkę w bezlitosną rzeź. Ludzie z czwartego manipułu mogli się tylko przyglądać bezładnej jatce w milczeniu, obnażając zęby z nienawiści do

niedostępnego dla nich wroga.

– Na flance!

Marek natychmiast dostrzegł zagrożenie. Z ukrycia w lesie wypadła kolejna pięćdziesiątka jazdy wroga. Kierowali się na pozycję manipułu, wymijając walczącą rzymską kawalerię i zmierzając prosto w stronę taboru z ekwipunkiem. Padł rozkaz, aby rzymska rezerwowa kawaleria ruszyła naprzeciw tej drugiej fali ataku, lecz Marek wiedział, że nie zdąży: zajmowała pozycję na tyłach taboru.

– Do broni! – krzyknął centurion, a jego żołnierze wydali z siebie atawistyczny wrzask i wysunęli oszczepy między tarczami, wystawiając w stronę nadciągających jeźdźców ścianę śmiercionośnej stali.

Woły ustawione za ludźmi ryczały z przerażenia, a odgłos ten mieszał się z okrzykami bojowymi pędzących Punijczyków. Marek pochylił się do przodu i mocno zaparł wyciągniętą do tyłu lewą nogą, przygotowując się na spotkanie z falą ludzi i koni nadciągającą z przerażającą szybkością trzydziestu mil na godzinę. Ziemia pod jego stopami drżała.

– *Hastati!* – krzyknął. Wróg znajdował się o sto kroków od niego. – Atak!

Hastati czwartego manipułu zamachnęli się z całej siły – żądza zgładzenia wroga dodała im energii – i nad ścianą tarcz rozległ się szum czterdziestu wypuszczonych jednocześnie *pila*. Oszczepy wyglądały tak, jakby na chwilę zawisły w powietrzu, po czym opadły na

nadciągającą formację. Śmiercionośny grad powalił część ludzi i koni na ziemię, lecz szarża ledwo zwolniła, a Kartagińczycy przegalopowali po poległych towarzyszach ze zdwojoną energią i determinacją.

– Spokojnie, chłopcy! – krzyknął Marek, a jego opanowany głos dodał żołnierzom otuchy.

Szarża kawalerii skręciła w ostatniej chwili i popędziła wzdłuż linii tarcz; wymusiły to ostre groty oszczepów. Kartagińczycy wypuścili salwę płonących strzał i włóczni w stronę widocznych za szeregiem legionistów cennych zapasów. Jeden z jeźdźców skręcił zbyt wolno i jego wierzchowiec uderzył o nakładające się tarcze na czele manipułu. Potężny rumak bojowy przebił się przez tę ścianę, wyrzucając dwóch żołnierzy w stronę wołów i taboru. Zginęli natychmiast. Zwierzę gruchnęło z obrzydliwym traskiem o wysokie jak dorosły mężczyzna koło jednego z wozów. Kartagiński jeździec wylądował daleko wśród szeregów legionistów, gdzie natychmiast zginął pod ciosami pół tuzina kling.

Kiedy ostatni z konnych minął Marka, centurion zarządził drugą salwę oszczepami, tym razem skierowaną w stronę nieosłoniętych tyłów wroga. *Pila* znów zebrały żniwo, lecz nieprzyjaciel i tym razem się nie zawahał. Kiedy Kartagińczykom skończyły się strzały i włócznie, na sygnał rogu dowódcy kawalerii wyplątali się z potyczek z Rzymianami i rozpoczęli odwrót w stronę lasu. Pole rozciągające się przed obrońcami w mgnieniu oka opustoszało. Atak trwał najwyżej cztery minuty.

Marek rozkazał swojemu manipułowi się przegrupować i rozejrzał się, dokonując bilansu strat. Wróg zostawił za sobą na polu może tuzin zmarłych lub umierających, a wśród rzymskiej kawalerii ofiar było kilka; zginęli też dwaj legioniści zgnieceni przez kartagińskiego konia. Znad czterech z dwudziestu wyładowanych wozów znów unosił się dym, lecz straż ogniowa pracowała skutecznie i zagrożenie wkrótce usunięto. Centurion naliczył osiem martwych wołów, co równało się zaprzęgowi jednego wozu.

Marek oceniał, że podczas pięciu dni ataków stracili prawie jedną czwartą taboru z dostawami. Z *castrum hibernum* we Floreście wymaszerowali dziesięć dni wcześniej, więc do Makelli, pierwszego obleżonego miasta, mieli jeszcze cztery dni marszu. Cztery dni, pomyślał Marek; cztery dni do zbudowania bardziej trwałej palisady obronnej podczas prób zakończenia obleżenia Makelli. Kolejne cztery dni ataków na dostawy, zanim będą odpowiednio chronieni. Jeśli stan rzeczy się utrzyma, przybędą do pierwszego celu z połową zapasów. Będą mogli zaopatrzyć się w mieście, kiedy obleżenie już się zakończy, lecz tylko w jedzenie i podstawowy ekwipunek. Reszta przepadła na dobre – inne zapasy będzie można odtworzyć dopiero po usunięciu kartagińskiej blokady – Utworzyć szyk! – rozkazał, powtarzając podobne rozkazy padające na całej długości kolumny; gaszono już ostatnie pożary, a poganiacze ponownie zmienili rozmieszczenie zmniejszonej liczby

wołów w zaprzęgach. Czwarty manipuł ustawił się za sztandarem. Dwa dni wcześniej, podczas ataku, nieco się nadpalił i na ten widok Marek czuł przyływ dumy: podniszczony sztandar był odpowiednim symbolem wojowników pod jego komendą i dumnym przypomnieniem o tych dziewięciu, których stracił w ciągu ostatnich pięciu dni.

Legiony dotrą do Makelli, to nie ulegało wątpliwości, lecz zapłacą za to wysoką cenę. Wróg wiedział, jak i gdzie uderzyć. Nacierał niespodziewanie, z agresją wywołaną przeczcuciem łatwego mordu i tym, że przeciwnik jest osłabiony, zdesperowany i odcięty od ojczyzny. Legiony dotrą do Makelli, lecz Marek podejrzewał, że nie dalej – otwarty szyk marszowy stanowił zbyt łatwy cel dla starannie wymierzonych ataków. W Makelli stawiają opór i zakończą oblężenie, choć sami będą oblegani; nie przez widocznego wroga wyzywającego ich do otwartej walki, lecz przez ukrytego nieprzyjaciela, który nękał ich zasadzkami i nadwątlał ich siły.

– Marsz! – krzyknął Marek i choć myślał o ich mrocznej przyszłości, nieświadomie zdał sobie sprawę, że po kolumnie poniosła się fala przekazywanego od człowieka do człowieka rozkazu. Oprzytomniał na trzask batów poganiaczy wołów. Ludzie dookoła niego wzdrygnęli się na ten głośny dźwięk. Nerwy mieli napięte czekaniem na kolejny sygnał o ataku i wiedzieli, że ten dzień jeszcze długo się nie skończy.

– Wejść.

Attyk otworzył drzwi i wszedł do małego pomieszczenia w północnym skrzydle *castrum* w Ostii. Towarzyszył mu Septymus i obecność dwóch mężczyzn sprawiła, że w małym pokoju zrobiło się bardzo ciasno. Publiusz Korneliusz Lentulus, główny budowniczy floty Rzymu, siedział za stołem i przyglądał się modelowi triremy z lekkiego drewna. Dookoła niego, na stole i zawieszonych na ścianach półkach, piętrzyły się kawałki pergaminu, a tych, które spadły z przepelnionych powierzchni, nikt nie zebrał z podłogi. Lentulus był starszym mężczyzną o rzadkich włosach i siwiejącej brodzie. Uniósł twarz lekko zaskoczony, jakby nieczęsto miewał w gabinecie gości.

– Słucham?

– Kapitan Perennis i centurion Kapito z *Aquili* – przedstawił ich Attyk.

– Ach, tak – powiedział serdecznie Lentulus, wstając – moi eksperci od Kartagińczyków.

Attyk się uśmiechnął. Biorąc pod uwagę poziom ich wiedzy, nazywanie ich ekspertami było nieco przesadne.

Lentulus wyprowadził ich do większego pokoju po drugiej stronie korytarza. Odnosiło się wrażenie, że i tam panuje chaos, lecz ograniczał się on tylko do blatu ogromnego stołu pośrodku pomieszczenia. Otaczały go krzesła, z których cztery zajmowali pomocnicy Lentulusa. Wstali, kiedy mistrz wszedł, lecz on nakazał im usiąść

niecierpliwym gestem ręki, jakby nie oczekiwał od nich tej uprzejmości.

– Oto kapitan Perennis i centurion Kapito z *Aquili* – ogłosił.

Czterej młodzi rzemieślnicy przyjrzeni się dowódcom z wielkim zainteresowaniem. Jeszcze nigdy nie widzieli kartagińskiego okrętu wojennego, a wrodzona ciekawość, jaką darzyli wszelkie sprawy związane z morzem, przeniosła się na ludzi, choć w normalnych okolicznościach uważaliby ich wyłącznie za balast na zaprojektowanych przez siebie wspaniałych statkach.

Lentulus przewodził rozmowie, lecz pozwolił im zadawać większość pytań. Attyk szczegółowo opisał jednostki, które napotkał, począwszy od ich prędkości i zwrotności, a kończąc na rozmiarach i zanurzeniu. Czerpiąc ze wspomnień z walki na kartagińskiej galerze, Septymus potwierdził wiadomości dotyczące planu pokładu i rozmieszczenia luków; cechy pokładu do pewnego stopnia mówiły o konstrukcjach kryjących się pod nim. Pytania były wnikliwe i na wiele Attyk nie był w stanie odpowiedzieć, ponieważ jego wiedza ograniczała się do kwestii żeglowności, a co do projektu statków mógł dostarczyć jedynie osobistych opinii. Każde pozbawione odpowiedzi pytanie wzbudzało żywiołową debatę między prowadzącymi z sobą nawzajem ostrą rywalizację pomocnikami. Przy dwóch okazjach tylko interwencje Lentulusa zapobiegły bójce.

Dyskusja trwała ponad dwie godziny i kiedy Attyk i

Septymus wyszli w końcu, słońce zdążyło się schować za horyzontem. Wrócili na *Aquilę* w milczeniu, wyczerpani intensywnym spotkaniem. Attyk nie miał okazji zadać żadnego z własnych pytań, szczególnie o to, jak Lentulus wyobraża sobie harmonogram prac nad tworzeniem floty, lecz nie odniósł wrażenia, że budowniczy i jego ludzie marnują czas. Kapitan pomyślał, że projekt i koncepcja to jedno, a realizacja założeń i zbudowanie samego statku to coś zupełnie innego.

Następnego ranka Attyk obudził się jak zwykle tuż przed świtem. Włożył lekką tunikę i wyszedł na pokład. Poranek był rześki, wiała świeża bryza bez odrobiny chłodu, która obiecywała cieplejszą, wiosenną pogodę. Przy nabrzeżu handlowym za *castrum* już zaczął się ruch. Słabe światło przedświtu wystarczyło, aby statki mogły wpłynąć do portu, po którym niesły się przytłumione okrzyki dowódców, i zacząć rozładunek. Attyk rozkazał jednemu z załogantów przynieść jedzenie, po czym usadowił się z nim na pokładzie rufowym. Septymus dołączył do niego pół godziny po wschodzie słońca i wspólnie ruszyli do warsztatu Lentulusa.

Kiedy przybyli, budowniczy właśnie pakował do torby pospiesznie wykonane projekty i raporty o zapotrzebowaniach. Zaprowadził dowódców na przygotowującą się do wypłynięcia barcę, tłumacząc, że czeka ich podróż do Fiumicino, miasta położonego dwie mile na północ od Ostii przy ujściu rzeczki, od której

miasto wzięło swoją nazwę. We trzech weszli na pokład i barka natychmiast odbiła od brzegu, mijając po drodze *Aquile*, jedyną zacumowaną teraz w porcie galere. Wiadomość o kartagińskiej flocie na południu rozeszła się po Ostii i Rzymie i kupcy zaczęli się gorączkowo domagać dodatkowych eskort, ponieważ plotki rozdmuchały czyhające za horyzontem zagrożenie do straszliwych rozmiarów. Senat natychmiast się zgodził, obawiając się paniki, która mogłaby przegnać kupców z brzegów Rzymu, teraz więc cała flota Ostii krążyła nieustannie po morzu.

Barka wydostała się z portu z łatwością, ponieważ o tej porze szlaki wodne były względnie puste. Lentulus zasypał Attyka pytaniami na temat szczegółów jego spotkania z Kartagińczykami; nie spał przez większość nocy i wraz z pomocnikami odkrył kolejne zagadki dotyczące projektu okrętów wroga. Attyk odpowiedział na wszelkie pytania, na które znał odpowiedzi. Wciąż byli pogrążeni w rozmowie, kiedy barka znalazła się w zasięgu wzroku od miasta.

Było ono niewielkie i skromne, właściwie wioska rybacka, która przez lata niezbyt się zmieniła. Bliskość stolicy potężnej republiki tego nie zmieniła, ponieważ lądowe i morskie szlaki handlowe omijały miasteczko – wysepkę pośrodku rwącej rzeki ludzkości. Płaska, szeroka plaża ciągnęła się na północ i południe, a jej piasek miał nietypowy, czarny kolor, spowodowany wysokim poziomem żelazonośnych osadów. Tuż przy ujściu rzeki,

od północy, wyciągnięto na ubity piasek dwie ogromne barki handlowe, a cztery kolejne czekały o pół mili od brzegu.

Kiedy ich barka zrównała się z lekko przechylnymi statkami handlowymi, Attyk zwrócił uwagę na gorączkowy ruch panujący na ich pokładach i dookoła nich. Wyładowywano potężne kłody drewna dębowego i sosnowego, po czym opuszczano je na czekające wozy, które wyciągały je powyżej linii przyływu. Barka osiadła na brzegu pięćdziesiąt kroków od bardziej wysuniętego na północ statku handlowego i wszyscy zeszli na ląd, zeskakując z wysokości ponad dwóch metrów w sięgające kostek fale. Attyk natychmiast zauważył, że podłoże jest twarde jak skała i choć zeskoczył ze sporej wysokości, nie zostawił w czarnym piasku odcisków stóp.

Pełnego przyływu spodziewano się za dwie godziny, więc na rufach wyciągniętych na brzeg jednostek woda sięgała już metra, a niewolnicy i załogi statków pracowali jak w amoku, aby wyładować ostatnie wręgi. Kiedy woda osiągnie najwyższy poziom, okręty znów wypłyną, co ułatwi ich zwiększona wyporność po opróżnieniu ładowni. Ich miejsce miały zająć cztery jednostki czekające dalej od brzegu.

Niewolnicy sortowali wyładowane belki pod przewodnictwem dwóch czeladników Lentulusa. Jeden z nich oddzielał dębinę od drzewa sosnowego, a potem jeszcze układał je w grupy pod względem długości, obwodu i przybliżonego wieku. Drugi przyglądał się

dokładnie każdej belce, szukając śladów gnicia czy zakażenia grzybem, odrzucając nawet te nieco podejrzane. Jak na tak młodych ludzi pracowali pewnie i sprawnie; widać było, że całe życie poświęcili swojemu rzemiosłu.

Ludzie z *Aquili* wspięli się za Lentulusem nad plażę, po czym pokonali grzbiet utworzonej przez wiatr wydmy, aby spojrzeć na rozpościerające się dalej równiny. Na ten widok Attyk i Septymus stanęli jak wryci. Tuż za linią wydm ustawiono istne miasto namiotów: trójkąty białego płótna ciągnęły się na odległość mili na północ od wioski. Między namiotami krążyli zdecydowanym krokiem ludzie, z których wielu niosło narzędzia. Byli wśród nich stolarze, kowale, skutnicy i inni. Ile czasu upłynęło, zastanawiał się oniemiały Attyk, dwa dni? Dwa dni, od kiedy senat oficjalnie ogłosił zamiar zbudowania floty? Miasto działało niewiarygodnie szybko i wyglądało na to, że dla tak uporządkowanego społeczeństwa zorganizowanie się nie stanowi żadnego problemu. Attyk po raz pierwszy pomyślał o czekającym ich zadaniu z ostrożnym optymizmem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Hannibal Gisko przyglądał się poczynaniom Rzymian ze wzgórz otaczających Makellę. Przybył do Panormos dwa dni wcześniej, za jednym zamachem pokonując odległość dwudziestu mil. Był świadkiem ostatnich ataków na rzymski tabor z ekwipunkiem, które odbyły się na końcowym odcinku jego marszu. Środki zaradcze i defensywy Rzymian sprawiły, że zasadzki były właściwie nieskuteczne, a jednak kiedy jego jazda wycofywała się na bezpieczną pozycję na wzgórzach, Gisko zauważył drobne straty w maszerującej kolumnie: martwego wołu, płonący wóz. Rzymianie ruszyli ponownie w drogę, zostawiając za sobą małą stertę dymiących zapasów, zaledwie kroplę krwi rannej bestii. Gisko był jednak pewien, że w połączeniu z wszystkimi atakami z poprzednich dni rany te sięgają głęboko.

Do stojącego na wzgórzu admirała dołączył Hamilkar. Ich początkowo niełatwe stosunki rozwinęły się w bardziej taktyczne przymierze. Gisko, admirał z tytułu i żeglarz z natury, polegał na większym doświadczeniu na lądzie Hamilkara i nauczył się ufać jego instynktowi. Uznał też, że korzystnie będzie zawrzeć przyjaźń z dziedzicem prastarego rodu Barkidów, którego członkowie twierdzili, że wywodzą się w prostej linii od samej królowej Dydony, legendarnej założycielki Kartaginy. Klan miał też stałe miejsce w senacie;

zajmował je teraz ojciec Hamilkara, a on sam często robił aluzje do swojej bliskiej relacji z ojcem. Gisko miał zamiar wykorzystać ją do własnych celów.

– Więźniowie zarządzający własnym więzieniem – powiedział z uśmiechem Barkas na widok końcówki kolumny skracającej do wnętrza prostokątnej palisady.

Gisko też się uśmiechnął na ten komentarz. Całkiem dobrze opisywał rzeczywistość. Hamilkar namówił admirała, aby zakończyć obleżenie Makelli, argumentując, że zdobycie jej nie jest już konieczne. Rzymianie mogli sobie wziąć miasto, a Hamilkar był pewien, że cena, którą musieli zapłacić za jego wolność, i tak przerosła ich oczekiwania.

Manipuł Marka jako jeden z ostatnich przeszedł przez bród na rzece Eleuterio i wspiał się na łagodne wzniesienie w stronę zbudowanej za nim palisady. Pobliskie tereny wiejskie były ciche, w położonych na tarasach winnicach nikt nie pracował, a otoczona murami Makella – odległa o niecałe pół mili – wyglądała spokojnie w świetle późnego popołudnia. Wzrok centuriona przyciągnęły okoliczne wzgórza; najwyższe wznosiło się na północy. Był pewien, że wróg jest niedaleko, że obserwuje każdy ich ruch, i uczucie to bardzo mu się nie podobało.

Czwarty manipuł Dziewiątego nie zajmował już pozycji na linii frontu, a przynajmniej nie w dokumentach legionów. Ostatnie dziewięć dni kosztowało Marka

piętnastu zabitych i dwudziestu sześciu rannych, z których piętnastu szło w szeregach, a jedenastu leżało gdzieś na wozach w taborze. Osobiście sprawdziwszy tego ranka stan rannych, centurion odszedł zgorzkniały i zły: wiedział, że przed końcem dnia straci co najmniej czterech kolejnych ludzi, ponieważ ich rany były śmiertelne. Manipuł czekało zwolnienie z obowiązków dopóty, dopóki nie znajdą się rezerwy, które, jak wiedział Marek, nigdy nie przybędą, a przynajmniej na pewno nie z Rzymu. Teraz jego losy mogły potoczyć się dwoma torami: albo inny manipuł zostanie zlikwidowany wcześniej i niedobitki uzupełnią jego szeregi, albo to jego żołnierze trafią do innych oddziałów. Dla dumnego wojownika obie perspektywy były gorzkie.

Lucjusz Postumiusz Megellus, dowódca Drugiego i Dziewiątego, usłyszał rozkaz zamknięcia bramy, przebywając w swoim namiocie ustawionym pośrodku obozu. Na ten okrzyk ogarnęła go głęboka ulga, a potem natychmiast skarcił sam siebie za to uczucie, przeklinając w duchu Kartagińczyków, którzy nękali jego kolumnę przez ostatnie dziewięć dni i gonili Rzymian jak wilki, aż doprowadzili do tego, że teraz Megellus czuł się bezpiecznie tylko za palisadą.

Ponieważ obóz był tylko tymczasowy, zbudowano ją z niemal dwumetrowych, zaostrzonych u góry pali z dębowego drewna zwanych *sudes*, które podróżowały wraz z kolumną. Idące na czele manipuły rozpoczęły budowę obozu na trzy godziny przed zmrokiem:

wyznaczyły układające się w prostokąt granice i zaczęły pracować nad okopem, rowem o szerokości trzech metrów i głębokości półtora. Wykopaną ziemię odrzucono do środka, aby stworzyła nasyp, w który wbito *sudes*, poprzeplatane drobniejszymi gałązkami dębowymi. Obóz budowano każdego wieczoru marszu i rozbierano każdego ranka ze sprawnością wynikającą z rutyny i wprawy. Ciężka praca związana z budowaniem go odchodziła każdego kolejnego dnia marszu w niepamięć.

Megellus zamierzał zmienić teraz konstrukcję obozu. Rozkaże, aby zmieniono go w *castrum stativum*, stały obóz. Palisada będzie solidniejsza. Z pobliskiej rzeki zebrane zostaną kamienie, które wzmocnią narażone na atak miejsca murów koło bramy. Na czterech rogach obozu staną wieże, dzięki którym będzie można uprzedzać o ewentualnym nadejściu wroga.

Legat stłumił gorzkie rozczarowanie, które pojawiło się na tak wczesnym etapie kampanii. Zwiadowcy wrócili z miasta z wieściami, że wróg uciekł na widok nadchodzącej kolumny, choć Megellus podejrzewał, że Kartagińczycy po prostu woleli się wycofać, niż rozpocząć walkę z wrogiem, który i tak z czasem zostanie pokonany, i to w sposób, który będzie kosztował znacznie mniej punickiej krwi.

Megellus miał zamiar rankiem potwierdzić raporty, wysyłając pod bramy miasta dziesięć manipułów. Taka demonstracja siły zrobi wrażenie na radzie Makelli i da jej poczucie zwycięstwa, co z kolei uzasadni decyzję, aby

poprzeć Rzym, a nie Kartaginę. Potem chciał rozdzielić swoje siły i wysłać Drugi legion do leżącej o trzy dni marszu dalej Segesty, znów z misją zakończenia oblężenia, które z pewnością już do tej pory ustąpi. Po drodze wróg zaatakuj ich zapasy i legion znów poniesie straty. Kwatermistrz oceniał, że przepadła już prawie połowa ekwipunku, z którym wyruszyli.

Drugi legion zajmie Segestę, lecz nie pójdzie dalej. Zbuduje drugi stały obóz, bratnią wyspę na morzu wrogich terenów. Kampania utknie w miejscu, a armia zostanie zmuszona do zajęcia defensywnej pozycji, aby chronić swoje cenne, teraz niemożliwe do uzupełnienia zapasy. Nie godzi się tak walczyć, pomyślał gorzko Megellus, przyzwyczajony do otwartych, zażartych bitew.

Wyszedł ze swojego namiotu i rozejrzał się po obozie tętniącym pospiesznymi przygotowaniami do nocnego odpoczynku. W zapadających ciemnościach patrzył, jak *vigilae*, nocni wartownicy, zajmują stanowiska na murach i badają wzrokiem okoliczne tereny, szukając śladów niewidzialnego wroga. Tej nocy nie będzie ataków, pomyślał sarkastycznie Megellus. Po co Kartagińczycy mieliby atakować nieruchomą teraz rzymską armię? Zaledwie dwa tygodnie wcześniej zawiadomił swoich ludzi, że kampania potoczy się jakby nigdy nic, jakby nie nałożono blokady, lecz kartagińska taktyka przypuszczania ataków koncentrujących się na zapasach pokrzyżowała legatowi plany. Punijczycy dobyli oręza z katastrofalnym skutkiem. Legiony były teraz

sparaliżowane, osłabione i odcięte od domu.

Główną troską Megellusa było to, jak długo jeszcze legiony wytrwają na wrogim terytorium, ponieważ bez nowych dostaw wkrótce będą musiały zawrócić – i jak daleko będą się musiały wycofać. Odpowiedź na pierwsze pytanie była tylko kwestią czasu. A druga kwestia? Jeśli legiony w końcu się wycofają, Kartagińczycy puszczą się za nimi w pościg, co do tego nie było wątpliwości; wróg nabierał sił i pewności, w miarę jak Rzymianie je tracili. Megellus z przerażeniem sam odpowiedział sobie na to pytanie. Wiedział, co by zrobił, gdyby sytuacja się odwróciła. Ścigałby wroga do upadłego. Punijczycy wykażą się taką samą determinacją, z jaką działali przez ostatnie dziewięć dni; pogonią legiony aż za ustaloną podczas poprzedniej kampanii linię podziału terytorialnego. Rzymianie będą zmuszeni cofnąć się za swój zimowy obóz, a w końcu, jeśli nikt nie powstrzyma Kartagińczyków, aż do samego morza.

Attyk kucnął i nabrał w dłoń nieco wody z płytkich fal przyboju, po czym ochlapał sobie nią twarz, usiłując się orzeźwić. Sto kroków od niego na kotwicy spoczywała *Aquila*, a światło zachodzącego słońca odbijało się od grzbietów fal uderzających o jej kadłub. Attyk wstał, odwrócił się plecami do brzegu i powoli ruszył w górę łagodnego wzniesienia plaży w Fiumicino, rozciągając po drodze zmęczone mięśnie pleców. Zerknął ostatni raz przez ramię i zobaczył, że dwaj załoganci,

którzy przewieźli go łodzią na brzeg, już śpią na jej dnie. Po kolejnym szesnastogodzinnym dniu spędzonym na szkoleniu świeżo zaciągniętych rekrutów Attyk nie mógł odmówić im prawa do wypoczynku. Sam w duchu przeklinał późne wezwanie od prefekta obozu, które uniemożliwiło mu powrót do własnej kabiny.

Poprosił o spotkanie z Tuditanusem pięć dni wcześniej, kiedy wydano galerom harmonogramy szkoleń. Swój plan otrzymała też *Aquila* – dostała za zadanie poprowadzenie musztry przybywających codziennie do Fiumicino nowych załóg. Attyk natychmiast zszedł wtedy na brzeg, aby zobaczyć się z prefektem obozu, lecz jego prośbę o spotkanie odrzucono, tak samo jak wszystkie kolejne. Aż do teraz.

Kiedy kapitan szedł plażą, ponownie uderzyło go, jak wiele się dookoła dzieje. Przez ostatni tydzień przyglądał się, jak do nadbrzeżnej wioski przybywają kolejne barki i kolumny maszerujących żołnierzy, aby zapełnić brzeg dostawami, a miasto namiotów – marynarzami i żołnierzami. W miasteczku mieszkało teraz jakieś dziesięć tysięcy ludzi, z czego połowę stanowili rzemieślnicy, którzy pracowali od świtu do nocy, aby zmienić surowe kłody drewna w smukłe drzewce i wręgi dla powstającej floty. Teraz więc na piasku ponad linią przyływu wznosiły się szkielety dwudziestu trirem.

Otoczony palisadą namiot prefekta stał w pewnej odległości od reszty obozu, na małym wzniesieniu górującym nad Fiumicino. Attyk przedstawił się przy

bramie i został wpuszczony, ponieważ strażnicy się go spodziewali. Uchylił głowę, wchodząc do namiotu, po czym stanął na baczność. Jego wzrok szybko przyzwyczaił się do panującego w środku mroku. Tuditanus siedział w milczeniu za stołem, zgłębiając leżące na nim zwoje, i mruknął coś do siebie, zanim podniósł głowę, aby przyjąć Attyka. Były centurion manipułu i weteran wojny z Pyrrusem zajmował teraz najwyższe stanowisko w legionach dostępne dla ekwitów i robił wrażenie człowieka bardzo zadowolonego ze swojej pozycji społecznej.

Patrzył Attykowi w oczy przez długą chwilę, po czym podniósł się i obszedł stół, aby zająć miejsce przed nim.

– Prosiłeś o spotkanie ze mną, kapitanie? – spytał niecierpliwie.

Attyk ugryzł się w język.

– Tak, prefekcie – odparł spokojnie. – Chodzi o plan musztry wydany galerom.

– Mów dalej... – powiedział powoli Tuditanus zirytowanym głosem.

– Sądzę, że wyznaczone nam podejście jest nieprawidłowe – wyrzucił z siebie Attyk, zdecydowany dokończyć myśl. – Nie zdążymy nauczyć nowych załóg taranowania. Naszym priorytetem musi być wyszkolenie ich w manewrach koniecznych do abordażu.

– Sądysz, że rzymscy żeglarze nie są w stanie nauczyć się taranowania?

- Nie, prefekcie, nie w czasie, którym dysponujemy.
- Którym dysponujemy?
- Którym dysponują legiony na Sycylii.

Tuditanus kiwnął głową, choć Attyk wyraźnie widział, że nie na znak zgody.

- Jesteś Grekiem, prawda, kapitanie?
- Tak, ale nie rozumiem...
- I sądzisz, że rozkazy twojego rzymskiego dowódcy są nierozważne? – przerwał mu Tuditanus.

Attyk ponownie powstrzymał się przed wyrażeniem swojej opinii, rozgniewany tym kolejnym spotkaniem z rzymską arogancją. Odetchnął głęboko, szukając sposobu na przekonanie prefekta o tym, że rozkazy są błędne, lecz nie w tych słowach.

– Wiem, że Lentulus wybrał tradycyjny projekt, aby przyspieszyć budowę, ponieważ jego pomocnicy i wielu rzemieślników budowali już wcześniej takie galery. Wiem też jednak, że kartagińskie okręty są silniejsze od naszych, a ich załogi lepiej wytrenowane. Jeśli będziemy polegać na taranach, nasze zwycięstwo nie jest pewne.

Tuditanus wrócił za stół i pochylił się do przodu, zaciskając pięści.

– Wy, Grecy, wszyscy jesteście tacy sami. Nie doceniasz Rzymu, Perennis, jesteś tak samo zadufany w sobie jak twoi przodkowie.

Attyk już chciał znów zaprotestować, lecz Tuditanus uciszył go podniesieniem ręki.

- Pozwól, że jasno postawię sprawę – ciągnął,

wlepiając w Attyka przenikliwy wzrok – załogi nauczą się taranować, i to będzie twoim celem. Jeśli dowiem się, że postępujesz inaczej, każę wychłostać ciebie i twoją załogę na oczach całego obozu. Teraz zejź mi z oczu.

Attyk zasalutował i odwrócił się na pięcie, a w brzuchu wzbierała mu fala żółci, choć usiłował powstrzymać gniew. Chwilę później był już nad wodą. Kopnął burtę łódki, żeby zbudzić dwóch załogantów, którzy natychmiast siedli do wiosł i zaczęli nimi szybko pracować, kiedy tylko zauważyli gniewny nastrój kapitana.

Scypion dotarł do szczytu chłostanej wiatrem wydmy na tyłach plaży na południe od Fiumicino i zatrzymał się, pozwalając wierzchowcowi odetchnąć po dwunastomilowym galopie z miasta. Jego oddział straży, złożony z czterech konnych pretorianów, stanął dziesięć kroków za nim. Starszy konsul opuścił swoją miejską rezydencję w półmroku, godzinę przed świtem, i teraz – czterdzieści minut później – czuł się tak, jakby przybył na brzeg jakiejś odległej krainy. Plaża była pusta i wyglądała jak nie z tego świata w porównaniu z ciasnymi, zatłoczonymi uliczkami stolicy i ruchliwym szlakiem handlowym od północy, via Aurelia, prowadzącym pięć mil w głąb lądu. Scypion nabrał głęboko powietrza, a oczyszczająca, nasycona solą bryza od morza odświeżyła mu twarz.

Ostateczne decyzje w kwestii floty podjęto ponad

tydzień wcześniej, a on od tamtej pory pracował bez wytchnienia nad planem robót, ponieważ jako głównodowodzący floty ponosił za niego odpowiedzialność. Mając do dyspozycji całą władzę i poparcie senatu, Scypion wydał serię daleko idących dekretów, które niezmiernie przyspieszyły pracę. Spośród kupców z Ostii zaciągnięto całe załogi. Z okolicznych latyfundiów i miast odkomenderowano armię niewolników; ich siła miała być wykorzystana do stworzenia floty, a potem wprowadzenia jej w ruch – wszystkich czekała praca przy wiosłach statków, które sami zbudowali. Zarekwirowano też floty barek transportowych, a surowe materiały o istotnym znaczeniu, które przewoziły, przechwycono z rozkazu senatu. Dekrety były bezwzględne. Scypion nie wątpił, że w ich rezultacie wielu kupców już straciło źródło utrzymania, lecz nie miał wyrzutów sumienia. Rzymowi groziło niebezpieczeństwo, więc Rzym musiał zareagować. Jeśli dla dobra większości trzeba było poświęcić jednostki, trudno. Historia zapamięta ludzi takich jak Scypion i chwałę Rzymu. Nikt nie będzie pamiętał o ofiarach.

Konsul spojrział na północ, na plażę po drugiej stronie wioski rybackiej położonej u ujścia rzeki. Okolica ta już zaczynała tętnić życiem: zbliżający się wschód słońca zwiastował początek dnia pracy. Scypion spiął konia i pojechał kłusem na mocno ubity piasek, a jego straż podążyła za nim. Przecięli rzekę na skraju ujścia, gdzie ziemia spotykała się z napływającymi falami. Był tam

naturalny bród, którego płytka woda rozpryskiwała się wysoko, kiedy końskie kopyta zakłóciły jej powierzchnię. Po przedostaniu się na drugą stronę grupa skręciła w górę plaży, mijając po drodze szkielet częściowo ukończonej triremy. Ponieważ Scypion był tam po raz pierwszy, zwracał uwagę na każdy szczegół: niekończące się listy zadań, które nadzorował w Rzymie, zrealizowano na plaży w Fiumicino. Konstrukcja galery była niemal niewidoczna zza lasu podpierających ją belek, lecz Scypion dostrzegał smukłe linie kryjącego się pod nimi okrętu. Już teraz, choć galera była dopiero częściowo zbudowana i zamknięta w klatce rusztowania, widać było, że będzie mknęła po wodzie, a Scypion poczuł podziw dla rzemiosła swoich braci Rzymian.

Naliczył w sumie dwadzieścia szkieletów, tyle, ile widział w poprzednim tygodniu na jednej z list. Kiedy podjęto decyzję o zbudowaniu floty, materiałów i wykwalifikowanych robotników w najbliższej okolicy Rzymu wystarczało do zbudowania tylko tych dwudziestu statków. Wciąż przybywały dostawy, dzięki którym powstanie kolejne sto trzydzieści galer, lecz te, które stały przed Scypionem, pierwsze trafią na morze. Konsul dotarł do miasta namiotów i podążył w stronę kwatery prefekta obozu. W środku płonąła lampa – mieszkaniec namiotu już pilnie pracował. Scypion osobiście wybrał Tuditanusa, z dwóch powodów: po pierwsze Tuditanus był bardzo wymagający i rygorystycznie trzymał się wszelkich planów, a po drugie służył Scypionowi. Choć z pozoru

podlegał senatowi, tak naprawdę odpowiadał tylko i wyłącznie przed konsulem.

Septymus obudził się pół godziny przed świtem, wynurzając się z ciemnej mgły zmęczenia. Wstając, spojrzął na drugą stronę mrocznej kabiny, na śpiącego Attyka: przyjaciel leżał z rozrzuconymi kończynami, jakby ktoś pozbawił go przytomności uderzeniem. Septymus wyszedł na palcach z kabiny, zabierając po drodze miecz i tarczę, i wspiał się na pokład. Panował na nim spokój; wraz z nadejściem świtu pełniący straż ludzie kończyli wachtę. Centurion nakazał jednemu z nich przynieść mu jedzenie, po czym umył twarz, bezskutecznie usiłując się odświeżyć. Attyk pojawił się chwilę później, a Septymus zauważył, że poza wycieńczeniem na twarzy kapitana maluje się gniew.

– Domyślam się, że spotkanie z Tuditanusem nie poszło najlepiej? – zrzędził, kiedy Attyk chwycił misę z wodą i wylał sobie jej zawartość na głowę. Kapitan opisał mu swoje obawy tydzień wcześniej. Centurion natychmiast zgodził się z dysponującym większym doświadczeniem przyjacielem i wraz z nim niecierpliwie czekał na wezwanie od Tuditanusa.

– Ten drań całkowicie mnie zignorował. Powiedział, że nie doceniam Rzymian – odpowiedział Attyk i uderzył pięścią o reling, wyglądając na plażę.

– Może ma rację, Attyku – rzekł Septymus. – Lentulus to mądry człowiek, a i Tuditanus nie jest

głupcem.

– Myślisz więc, że się mylę, skoro nie jestem Rzymianinem? – odciął się Attyk, znów rozzłoszczony.

– Tego nie powiedziałem – odparł Septymus spokojnym głosem. Czuł, że kapitan zaraz straci panowanie nad sobą.

Attyk powściągnął gniew, wiedząc, że nie powinien kierować go na przyjaciela.

– I co teraz? – spytał Septymus.

– Teraz potrzebuję twojej pomocy. Nie mogę jeszcze ryzykować uczenia rekrutów manewrów do abordażu, ale legionistom musimy dać szansę. Czy ty możesz wyszkolić ich w niektórych technikach potrzebnych do wejścia na pokład statku wroga?

– Moje rozkazy mówią, że mam im zademonstrować to, co wiemy o kartagińskiej taktyce, ale myślę, że daje mi to możliwość nauczania ich podstaw – powiedział z uśmiechem Septymus. Podobał mu się pomysł obejścia ograniczeń nałożonych przez prefekta obozu.

Attyk kiwnął głową z wdzięcznością, po czym zauważył, że od plaży odbija spora grupa łódek pełnych rekrutów, którzy mieli spędzić dzień na *Aquili*. Na ten widok Septymus udał się na główny pokład, przegramolił ponad relingiem i zszedł po sznurowej drabince do łódki uwiązanej u burty galery. Czekał tam na niego jeden z załogantów *Aquili*; spotykali się rutynowo od tygodnia w tym samym miejscu i czasie. Kiedy Septymus usiadł, wiosłarz odepchnął się od burty i ruszył w stronę brzegu.

Septymus wyskoczył z łódki do sięgającej kostek wody i poszedł na plażę. Okolica dookoła niego budziła się do życia, a zaspani ludzie próbowali oprzytomnieć, przechadzając się po piasku i rozciągając mięśnie. Czekał ich długi dzień. Septymus pokonał wydnię i ruszył w stronę pospiesznie wzniesionego obozu treningowego na północnym krańcu miasteczka namiotów. Był to spory kwadrat ziemi, gdzie mieszkali żołnierze Czwartego legionu, który przybył na początku tygodnia. Septymus otrzymał zadanie poinstruowania jednego z manipułów na temat umiejętności bojowych Kartagińczyków, a szczególnie tego, jak przygotowywano ich do indywidualnych potyczek.

Przy bramie obozu zatrzymali go dwaj wartownicy z nocnej straży, czujni i bystrzy, choć ich wachta trwała już trzy godziny. Legion prowadzony silną ręką, pomyślał Septymus, przedstawiając się. Przeszedł przez bramę i dotarł do kwater swoich ludzi. Zauważył, że przy ognisku stoi Kwintus, jego *optio*, i dwaj *principes* z dwudziestoosobowego oddziału z *Aquili*. Toczyli cichą rozmowę, nie podnosząc głosów w ciszy przedświt.

Optio zauważył nadchodzącego dowódcę i zbliżył się do niego, zostawiając żołnierzy samych.

- Dzień dobry, centurionie.
- Dzień dobry, Kwintusie. Wszędzie spokój?
- Jak w grobie. Po robocie, do której ich gonimy, legioniści śpią jak niemowlęta.

Septymus się uśmiechnął. Ludzie Czwartego

zdecydowanie nie przypominali niemowląt. Jako część północnej armii legion ten znajdował się w sercu wszystkich znaczących konfliktów, które się toczyły, kiedy Rzym powiększał swoje terytoria na północy. Jego symbolem był dzik – odpowiedni emblemat, ponieważ jego żołnierze byli brutalni i uparci. Septymus zdał sobie sprawę, że ta druga cecha dodatkowo utrudni mu czekające go zadanie.

Kiedy zabrzmiał sygnał trąbki wzywający na apel, Septymus zwrócił się do zastępcy:

– Kwintusie, chcę trochę zmienić plan musztry i nauczyć legionistów podstaw abordażu.

– Tak jest, centurionie – odpowiedział Kwintus, a w jego głosie pobrzmiewała nutka sceptycyzmu.

Septymus ukończył ten trening zaledwie dziesięć miesięcy wcześniej, więc wciąż dobrze pamiętał związane z abordażem techniki i kroki. Chciał jednak pozwolić Kwintusowi – żołnierzowi piechoty morskiej z dwoma latami doświadczenia – przejąć kontrolę nad porządkiem szkolenia.

– Jak według ciebie najlepiej będzie się do tego zabrać?

– Zapoznamy ich z tarczą *hoplon*.

Septymus kiwnął głową, wiedząc, że ta część treningu będzie najtrudniejsza dla żołnierzy przyzwyczajonych do używania *scutum*.

– Musimy od czegoś zacząć, a im wcześniej legioniści zdadzą sobie sprawę, że nie mają tarczy, która

osłania ich tors i nogi jednocześnie, tym lepiej – ciągnął Kwintus.

– Zgadza się – powiedział Septymus, kiedy ludzie z piątego manipułu Czwartego legionu ustawiali się w szyku na placu.

W jego stronę ruszył ich centurion, Marek Juniusz Sylanus, a Septymus jęknął w duchu. Sylanus ani trochę nie szanował piechoty morskiej i przypominał o tym nieustannie zarówno Septymusowi, jak i ludziom ze swojego manipułu.

– Co dziś w planie, marynarzu? – spytał protekcjonalnie.

Sprowokowany tonem centuriona Septymus wyprostował się, a był wyższy od rozmówcy.

– Wciąż to samo, Sylanusie: uczenie twoich chłopców, jak się walczy.

Sylanus obruszył się na tę zniewagę pod adresem jego żołnierzy.

– Słuchaj no – warknął – rozkazy to rozkazy, co oznacza, że mój manipuł musi całymi dniami siedzieć tutaj i patrzeć na płasy twoich ludzi, ale niech ci nawet przez głowę nie przemknie, że możesz go nauczyć czegokolwiek o prawdziwej walce. – Obrócił się na pięcie i wrócił do swoich ludzi. Septymus odprowadził go wzrokiem, zły na siebie, że pozwolił mu się podburzyć do kolejnej wymiany obelg. Jeśli chciał przygotować legionistów do walki na morzu, musiał mieć Sylanusa po swojej stronie.

Godzinę później – kiedy Kwintus zakończył swoją prezentację dla zebranego czwartego manipułu – Septymus zapytał, czy są pytania, lecz nie było żadnych. Centurion wiedział, że to nie dlatego, iż ludzie całkowicie zrozumieli technikę walczenia z okrągłą tarczą, lecz raczej z powodu pogardy, którą legioniści żywili dla obcej im tarczy *hoplon*. Źródło tej pogardy stanowił Sylanus, który emanował lekceważeniem dla żołnierzy piechoty morskiej i ich metody walki, a tym samym dla Kartagińczyków. Septymus spojrział mu przeciągle w oczy. Wiedział, że spośród ludzi piątego manipułu Sylanusa trzeba będzie wyszkolić pierwszego.

Lucjusz Fulfidiasz wyciągnął rękę ze swojego miejsca na dziobie łódki i chwycił drabinkę sznurową. Płynnym ruchem oparł stopy na najniższym szczeblu i szybko wspiął się na pokład *Aquili*. Pozostali czterej mężczyźni z łódki podążyli jego śladem. Był kapitanem w nowo stworzonej grupie dowódców, wybranym ze względu na doświadczenie w dowodzeniu statkami handlowymi, a czterej pozostali pełnili funkcje jego zastępcy, sternika, bosmana i dobosza. Szybko podpłynęły do nich cztery kolejne łódki, a w każdej siedziała piątka ludzi o tych samych rangach. Znalazłszy się na pokładzie, Fulfidiasz poszedł wraz z innymi biorącymi udział w treningu kapitanami na rufę, gdzie obok sternika pewnie stał młody dowódca triremy. Na jego widok Fulfidiasz uśmiechnął się szyderczo w duchu.

Nie lubił go i tego, co się z nim wiązało: niewolniczej pracy wymuszonej przez Rzym. Ten szczeniak sam nie był nawet Rzymianinem, tylko cholernym Grekiem. Kim on, na Hades, był, żeby dowodzić galerą republiki?

Fulfidiasz był kupcem z Neapolu i właścicielem zwrotnej biremy o nazwie *Sol*. Statek był niewielki – ładownię miał maleńką w porównaniu z gigantycznymi barkami handlowymi – lecz szybki, a jego niewielkie zanurzenie pozwalało mu cumować w każdym porcie. To dzięki tej elastyczności i szybkości Fulfidiasz wyrobił sobie pozycję na targach Ostii i Rzymu. Ponad dziesięć lat pracował na reputację człowieka, który pierwszy przybywał na targ z najlepszym wyborem z pierwszych zbiorów każdego sezonu. Nie były to towary dla pospólstwa, lecz dla zamożnych Rzymian, którzy lubili podkreślać swoją pozycję i bogactwo, podając podczas przyjęć pierwsze plony danej pory roku. Fulfidiasz handlował głównie młodymi winami z wybrzeży Galii oraz młodymi jagniętami i prosiętami z Kampanii. Był to dochodowy interes: bogacze płacili wygórowane ceny za posiadanie pewnych towarów ledwie kilka tygodni wcześniej niż inni przedstawiciele ich sfery.

Dwa tygodnie wcześniej, kiedy rzymska armia zaczęła przeczesywać Ostię w poszukiwaniu załóg do nowej floty, *Sol* stał w suchym doku na czas napraw szkód poczynionych na jego kadłubie przez obmierzłe świdraki, które wgryzły się głęboko we wręgi biremy. Ponieważ jego statek był tymczasowo unieruchomiony,

Fulfidiasz nie miał gdzie się podziać i został zaciągnięty do służby wojskowej na życzenie senatu.

Kiedy czekał na pokładzie rufowym, aż pozostałe załogi dotrą na *Aquile*, wrócił myślami do własnego statku. Teraz na pewno już pływa, ponieważ kiedy kapitana zaciągnięto do armii, do końca napraw brakowało tylko trzech dni. Birema na pewno stała na kotwicy w porcie w Ostii, zamiast przy sprzyjającym wietrze zmierzać na południe, do Kampanii, gdzie nadejście wiosny oznaczało początek sezonu na jagnięcinę. Fulfidiasz wiedział, że w ciągu tygodnia będzie już za późno, żeby wyruszyć, a inny kupiec go wyprzedzi i pierwszy sprowadzi cenne jagnięta. Targ w Ostii nie miał ani trochę lojalności czy honoru, jeśli stawało to na drodze zysku, więc ludzie, którzy zazwyczaj robili interesy z Fulfidiaszem, natychmiast przerzucą się na nowego dostawcę. Kontakty i warunki negocjacji, które starannie gromadził przez dziesięć lat, przepadną podczas jednego sezonu.

Kiedy trirema odbiła od brzegu, młody dowódca zaczął tłumaczyć, jaka czeka ich tego dnia musztra. Fulfidiasz nie słuchał. Pływał na galerach handlowych od ponad trzydziestu lat i był całkowicie przekonany, że ten szczeniak nie może go niczego nauczyć. Kapitan *Sol* szalał w duszy z wściekłości na niesprawiedliwy los, na niesprawiedliwy ustrój, który bezkarnie pozbawił go środków utrzymania. Zmuszono go do służby – wiedział, że skutkiem odmowy będzie wygnanie ze szlaków

wodnych Rzymu, więc się na nią zgodził, choć obecny był tylko ciałem. Według Fulfidiasza sama obecność stanowiła wypełnienie jego strony tego nieuczciwego kontraktu.

Attyk zakończył opis treningu czekającego tego dnia kapitanów i sterników zebranych na tylnym pokładzie, kiedy *Aquila* zmierzała na otwarte morze. Z dziesięciu obecnych jakichś sześciu sprawiało wrażenie, że uważnie słucha; było ich więcej niż poprzedniego dnia. Pozostali wyglądali na nieobecnych, a dwaj mieli otwarcie wrogi wyraz twarzy. Attyk rozumiał ich frustrację i gniew. On wybrał życie, które prowadził, życie poświęcone flocie. Otaczający go ludzie również wybrali swoje ścieżki, aż Rzym postanowił, że mają spełnić jego zachciankę.

Attyk robił, co mógł, aby instruować ludzi z szacunkiem, ponieważ wiedział, że część z nich ma większe doświadczenie w pływaniu po morzach niż on, choć na cywilnych statkach. Wielu strażników i kapitanów pływało już na galerach i dobrze się orientowało w podstawach, lecz brakowało im umiejętności taktycznego myślenia i szybkiego podejmowania decyzji, które były konieczne u wojskowego dowódcy. Na morzu i podczas bitwy granica dzieląca zwycięstwo od porażki często przebiegała między ludźmi, którzy kierowali potyczką, a tymi, którzy tylko reagowali na ataki wroga. Aby osiągnąć zwycięstwo na morzu, kapitan musiał się wykazać inicjatywą.

Oddalając się od brzegu, *Aquila* przecięła ruchliwy szlak morski prowadzący z północy na południe. Zwrotna trirema płynęła na wiosłach, Gajusz więc ustępował jednostkom płynącym na żaglach. Attyk obejrzał się przez ramię na oddalający się brzeg. Wypolerowane szkielety nowych trirem rysowały się na tle czarnych piasków Fiumicino jak kość słoniowa na czarnym marmurze. Ich cel był jasny nawet dla niewprawnego oka. Wiadomość o nich rozniosła się po Ostii i Rzymie – a tak naprawdę po całej republice – w wyniku przecinających się szlaków handlowych. To, że Rzym nie mógł utrzymać niczego w tajemnicy, było nieuniknioną konsekwencją obrotu towarami. Nie pomogłoby tutaj nawet umieszczenie obozu z dala od szlaków: po prostu zbyt wielu ludzi przybywało na miejsce, od załóg okrętów dostarczających surowych materiałów po kupców zaopatrujących obóz. Było tylko kwestią czasu, zanim Punijczycy poznają wszelkie konieczne informacje na temat nowej floty Rzymu.

Attyk przeklął w duchu, myśląc o tym, jak niewielką mają szansę w potyczce. W tej chwili Rzymianie nie mieli przewagi nad Kartagińczykami pod żadnym względem. Plotki o flocie w końcu dotrą na południe i element zaskoczenia przepadnie. Okręty wroga były cięższe i miały bardziej doświadczoną załogę, świetnie wyszkoloną w taranowaniu, a nowo zaciągnięci rzymscy marynarze byli beznadziejnie niewykwalifikowani. Rzymscy legioniści z pewnością byli godnymi przeciwnikami dla

Kartagińczyków, lecz za sprawą Tuditanusa brakowało im umiejętności związanych z abordażem, więc nie będą w stanie przenieść potyczki na pokład wroga.

Kiedy *Aquila* minęła ostatnie okręty na szlaku, Attyk ponownie odwrócił się do rekrutów. Czas zacząć. Plan musztry był żmudny i bezlitosny, a ludzie – zdecydowanie niegotowi do bitwy. Był w stanie nauczyć ich podstaw każdego manewru, lecz w ostatecznym rozrachunku liczyło się doświadczenie. Mógł mieć tylko nadzieję, że starczy im czasu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jak dawno napisano ten raport? – ryknął Gisko.

– Co najmniej dziesięć dni temu – odparł posłaniec, wijąc się pod wściekłym spojrzeniem admirała.

– Dziesięć dni! Dziesięć dni i dopiero teraz do mnie dociera?

Gisko ruszył przed siebie, ściskając zmięty pergamin w pięści. Zamachnął się, gotów uderzyć posłańca. Mężczyzna cofnął się i uniósł ramię, aby się osłonić, świadom, że furia admirała i tak przełamie jego opór. Gisko stanął jak wryty i spojrzał z odrazą na kulącego się mężczyznę.

– Precz! – krzyknął, a goniec uciekł.

Admirał się odwrócił i podszedł do stołu ustawionego pośrodku jego namiotu, wysoko na wzgórzach wznoszących się nad Makellą.

Ostatnie pięć dni upłynęło spokojnie. Rzymianie ukryli się bezpiecznie w obozie położonym za murami miasta. Dwa dni po przybyciu do Makelli wysłali połowę swoich sił na zachód, do Segesty, chcąc znów zakończyć oblężenie, które Gisko zdążył już sam przerwać. Admirał towarzyszył Hamilkarowi podczas trzydniowej misji, której celem było podążanie za maszerującymi Rzymianami i atakowanie ich zapasów. Osobiście nadzorował dwie z zasadzek. Tak jak wcześniej każdy z ich ataków z osobna był względnie mało skuteczny, lecz

wszystkie razem poczyniły spore szkody w niemożliwym do uzupełnienia zaopatrzeniu Rzymian. Toczące się od dwóch tygodni potyczki kosztowały admirała ponad czterystu konnych, lecz za to odebrał legionom zdolność manewrowania. Była to nierówna transakcja, ale na jego korzyść, i był z niej zadowolony.

Aż dotąd. Wiadomości zawarte w dokumencie, który trzymał w ręku, zmieniały wszystko. Na początku patrzył na niego z niedowierzaniem. Upłynęło zaledwie kilka tygodni – najwyżej cztery – od rozpoczęcia blokady, a jednak, jeśli wierzyć raportowi, Rzymianie już budowali flotę, która miała walczyć z jego własną. Jak to możliwe, że działali tak szybko i ostro? Ich potęga na lądzie była oczywista i tak wielka, że Gisko nie miał zamiaru ich zaatakować, nie uzyskawszy wcześniej sporej przewagi. Rzymska flota jednak zawsze była bez znaczenia w porównaniu z kartagińską. Rzymskie galery były lekkie i szybkie, lecz miały słabe kadłuby i nie mogły się równać z punickimi statkami.

Na wodach przy zachodnim i północnym wybrzeżu Sycylii znajdowało się sto dziesięć galer z jego floty. Rzymianie chyba nie mają czelności szykować się do pokonania ich? Gisko wiedział jednak z doświadczenia, że nieprzyjaciel nigdy niczego nie robi połowicznie. Raport oparty był na dwóch źródłach: jednym fakcie i jednej pogłosce. Faktem była lokalizacja nowej floty: dwie mile na północ od Ostii, na wybrzeżu. Pogłoska mówiła o jej rozmiarze, opisywanym jako „ponad sto”. Tę

część meldunku trzeba było zweryfikować. Gisko wezwał adiutanta i wydał mu polecenie, aby przygotowano jego konia. Miał zamiar natychmiast wyjechać do Panormos. Raport nie wspomniał ani słowem o jednej kwestii, która jednak nie ulegała wątpliwości: Rzymianie chcieli przejąć inicjatywę w walce. I dobrze, pomyślał Gisko, przypasując miecz. Będziemy na nich czekać.

– Kiedy zatem będą mogły wypłynąć? – spytał Scypion.

Był to jego drugi dzień w obozie i jak dotąd zdążył się dowiedzieć wszystkiego na temat prawie każdego aspektu operacji. Pozostało jeszcze tylko to jedno kluczowe pytanie.

– Za cztery dni – odparł Tuditanus.

– Jesteś pewien?

– Tak, kadłuby dwudziestu galer ukończono wczoraj. Teraz to już tylko kwestia wyposażenia wnętrza. Zostało ono do tego celu niezwykle uproszczone.

– W jaki sposób? – dopytywał się Scypion. Temat ten wzbudził jego wrodzoną ciekawość.

– Nie będzie tam nic poza grodziami oraz górnym i dolnym pokładem. Żadnych kabin, pokładów towarowych czy miejsc do spania.

Scypion pokiwał głową ze zrozumieniem. Flotę budowano z myślą o bitwie, konfrontacji, która nastąpi raczej prędzej niż później. Na tym etapie nie było potrzeby myśleć o funkcjonalności statków w kwestiach

wykraczających poza nadciągające starcie; wciąż nie było pewne, co będzie się działo potem.

– Nie wspominaj senatowi o tym planie. Spytany odpowiadaj, że flota będzie gotowa za sześć dni. Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że zajmie to cztery dni.

– Tak jest, konsulu – odparł Tuditanus, który nigdy nie kwestionował decyzji Scypiona. Otrzymywane od niego złoto wystarczyło, aby prefekt był wobec niego lojalny.

Scypion odprawił Tuditanusa i rozsiadł się wygodnie na sofie w swoim sporym namiocie. Za cztery dni pierwsza dwudziestka galer rzymskiej floty będzie gotowa do wypłynięcia. Decyzja senatu na temat dowództwa zostanie wypełniona, lecz na jego własnych warunkach. To on obejmie komendę nad ową pierwszą dwudziestką. Najważniejsze było teraz przejęcie inicjatywy. Lud rzymski niecierpliwie wyczekiwał wiadomości na temat nowej floty, chciał wiedzieć, że zagrożenie ze strony Kartagińczyków uda się zażegnać. Człowiek, który poprowadzi pierwszą flotę, zostanie zapamiętany. Będzie nim Scypion. Wpłynie na czele dwudziestu nowych galer do Ostii i zejdzie triumfalnie na nabrzeże, a tło złożone z nowych trirem będzie demonstracją siły, która już zawsze przywiedzie na myśl właśnie jego. Konsul wyobrażał sobie każdy detal tego wydarzenia. To będzie idealny dzień.

Galopując wzdłuż via Aurelia w stronę Rzymu, Septymus poczuł, jak wzbiera w nim wrażenie niezwyklej

wolności. Zerknął przez ramię i dostrzegł pędzącego tuż za nim Attyka. Kapitan miał taką samą minę jak on. Niespodziewana przepustka dała obu mężczyznom okazję, aby uciec z ciasnego Fiumicino na dwadzieścia cztery godziny. Jasno zdawali sobie sprawę z tego, że to ostatni wolny dzień przed ponownym wypłynięciem na południe, Septymus więc postanowił jeszcze ten jeden raz odwiedzić rodzinę. Attyk, dla którego miasto było całkowicie obce, spytał, czy może mu towarzyszyć, a Septymus natychmiast się zgodził.

Godzinę po opuszczeniu obozu dotarli do willi Kapitonów. Tak jak wcześniej Salonina – świadoma, że syn odwiedza dom być może po raz ostatni – wysłała gońca po córkę. Hadria przybyła przed wieczerzą, do której cała rodzina zasiadła razem, nie wspominając o ewentualności, że może się to więcej nie powtórzyć.

Posiłek trwał trzy godziny, jednak kiedy Salonina w końcu ogłosiła, że ma zamiar udać się na spoczynek, Attyk był rozczarowany tym, jak szybko minął wieczór. Jej mąż Antoninus wstał razem z nią i oboje pożegnali się z resztą. Stół był już pusty poza kielichami wina i na wpół pustą amforą; służący zdążyli uprzątnąć resztki posiłku. Attyk, Hadria i Septymus milczeli. Attyk pochylił się i wziął swoje naczynie, uśmiechając się do Hadrii, która odwzajemniła się tym samym. Starał się siłą woli sprawić, żeby Septymusa przy nich nie było, żeby zostawił jego i Hadrię samych, choć nie był pewien, co by zrobił, gdyby taka okazja się nadarzyła. Cisza się przeciągała.

Hadria poczuła lekki zawrót głowy. Miły wieczór oraz wino, które wypła, sprawiły, że zalała ją fala błogości i uśmiechała się bez śladu zażenowania. Podczas wieczerzy zauważyła, że Attyk znów patrzy na nią przenikliwym wzrokiem. Przypomniała sobie swoje pierwsze wrażenia na jego temat, te sprzed kilku tygodni. Uderzyło ją, jaki jest przystojny, jak jego ciemna grecka karnacja kontrastuje z zielonymi oczami. Pamiętała też, jak czuła na sobie tamtego wieczoru jego ukradkowe spojrzenia, od których przebiegały ją dreszcze. Przez wiele dni potem trawiło ją poczucie winy, ponieważ jej pociąg do Attyka robił na niej wrażenie zdrady względem Waleriusza. Jednak teraz – jak i wtedy – nie chciała, aby wieczór się kończył, więc czekała, ciesząc się bliskością Attyka.

Septymus bardzo się starał powściągnąć narastający niepokój spowodowany tym, czego był świadkiem, cały czas się zastanawiając, czy źle ocenia spojrzenia, które Attyk wymieniał z jego siostrą. Jego towarzysz lat dziecięcych, Waleriusz, nie żył od roku, i choć Salonina wspominała, że serce Hadrii jest wolne, Septymus miał wrażenie, że jakiegokolwiek uczucia między jego przyjacielem i siostrą są nie na miejscu.

– Attyku – przerwała w końcu ciszę Hadria – opowiedz mi o swoim statku. Dlaczego nazywa się *Aquila*?

– Nazwa pochodzi od gwiazdozbioru – powiedział Attyk i zaczął opisywać pozycje pięciu dużych gwiazd,

które tworzyły konstelację Orła.

Hadria nachyliła się, słuchając uważnie.

– Orzeł był wiernym sługą Jowisza, króla bogów – tłumaczył Attyk. – Podczas wojny, którą Jowisz toczył z tytanami, prznosił jego pioruny z niebios na ziemię. Kiedy Jowisz wygrał bitwę, unieśmiertelnił go w układzie gwiazd, co było nagrodą za jego lojalność.

Hadria zauważyła, że Attyk mówi cicho. Snuta jego głębokim, dźwięcznym głosem prastara opowieść nabrała intensywności i pasji, odzwierciedlających jego ewidentną więź ze statkiem.

– Lojalność – powiedział nagle Septymus, wyrywając Hadrię z zamięszania – fundament każdej przyjaźni. Zgodzisz się, Attyku?

– Co? – Attyk zerknął na Septymusa, którego mina była nieodgadniona.

Hadria też nie potrafiła odczytać wyrazu twarzy brata, lecz z całą pewnością właściwą rodzeństwu rozpoznawała ton jego głosu. Nie dało się zaprzeczyć, że kryła się w nim groźba. Zaczęła się gorączkowo zastanawiać, jaka może być przyczyna wrogości Septymusa, aż w końcu zrozumiała: Waleriusz.

– Septymusie – powiedziała, przerywając bratu, który właśnie miał powtórzyć pytanie – już późno, a ja jestem zmęczona. Czy zechciałbyś odprowadzić mnie do sypialni?

Jej niespodziewana prośba i miły ton sprawiły, że Septymus ugryzł się w język. Hadria wstała i ruszyła do

wyjścia, a brat ją dogonił. Zerknęła przez ramię na Attyka, który wyglądał na zdezorientowanego nagłą zmianą sytuacji.

– Dobranoc, Attyku – powiedziała, usiłując zachować spokojny ton.

– Dobranoc, Hadrio. Dobranoc, Septymusie.

Centurion nie odpowiedział na tę uprzejmość i rodzeństwo wyszło z pokoju.

Nagłe zakończenie wieczoru i pospieszne wyjście Hadrii zbiło Attyka z tropu. Był boleśnie rozczarowany tym, że Septymus nie opuścił ich dwojga po wieczerzy, jednak miał nadzieję, że uda mu się zaaranżować chwilę sam na sam z Hadrią. Mimo frustracji uśmiechnął się pod nosem. Może będzie jeszcze jakaś okazja.

Pod swoimi drzwiami Hadria odwróciła się, aby pożegnać się z bratem. Wciąż wyglądał na lekko zirytowanego, lecz ona udawała, że tego nie zauważa, i ucałowała go lekko w policzek. Czuły gest sprawił, że na twarz Septymusa powrócił lekki uśmiech.

– Dobranoc, Septymusie – powiedziała.

– Hadrio – rzekł Septymus, chwytając siostrę lekko za ramię i powstrzymując ją przed odejściem. – Czy nie oplakujesz już Waleriusza?

Hadria westchnęła z dobrodusznym wyrazem twarzy. Wyczuwała, że dręczy to brata.

– Myślę o nim codziennie, Septymusie, ale nauczyłam się żyć bez niego.

Septymus kiwnął głową, zapatrzony gdzieś w dal. Wspominał wydarzenia sprzed roku, bitwę pod Akragas, kiedy stał ramię w ramię z Waleriuszem pośrodku szyku, a ostateczna szarża kartagińskiej ciężkiej kawalerii pędziła prosto na nich.

– A zatem weźmiesz ponownie ślub? – spytał cicho.

– Raczej nie mam wyboru w tej kwestii, bracie, ale tak, wezmę ponownie ślub. Mam tylko nadzieję, że będzie to ktoś godzien pamięci Waleriusza.

Septymus znów kiwnął głową, tym razem patrząc siostrze w oczy.

– A ja mam nadzieję, że nigdy już nie poczujesz bólu straty – odparł, delikatnie i czule ściskając jej przedramię.

– Dobranoc, Hadrio – dodał z uśmiechem.

Hadria odwzajemniła uśmiech i zamknęła drzwi. Stała w ciemnościach, słuchając oddalających się kroków brata. Wspominała słowa, które powiedział na pożegnanie, i czuła, że jego nadzieja obejmuje ich oboje. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że właśnie go okłamała. W ciągu ostatnich kilku tygodni zdarzyło się wiele dni, kiedy w ogóle nie myślała o Waleriuszu, lecz o innym mężczyźnie, który wkradł się do jej serca.

– No i gdzie oni są, na Hades? – zaklął Marek, a jego dłoń odruchowo powędrowała w stronę rękojeści miecza. Przesunął wzrokiem po niemal nieprzeniknionej linii drzew.

– Nie wiem, centurionie. Pobiegli za jeleniem w

tamtą kępę drzew jakieś dziesięć minut temu – odparł Koryn, jego zastępca, wskazując palcem gęsty zagajnik na szczycie wzgórza.

– Tylko dwóch?

– Tak, centurionie. Legioniści Gracjan i Nerwa.

Marek wyobraził sobie obu mężczyzn.

– Zostawiłem jasne i bezwarunkowe rozkazy, że najmniejszą grupą, która może się odłączyć od manipułu, jest *contubernium*.

– Tak jest, centurionie – odpowiedział Koryn, wiedząc, że zwięzłe odpowiedzi i pełna zgoda to najbezpieczniejszy wybór podczas rozmowy z przełożonym, szczególnie tak jak Marek słynącym z przywiązywania wielkiej wagi do dyscypliny.

Marek znów zaklął i poszedł w stronę zagajnika, unosząc nieco tarczę, aby osłonić bok. Ponownie przyjrzał się drzewom, opierając się pokusie zawołania żołnierzy. Jego manipuł znajdował się daleko na terytorium wroga, trzy mile od obozu w Makelli, i otwarte zdradzanie ich pozycji mogło mieć fatalne skutki.

Centurion nieświadomie poruszył prawym ramieniem. Skurcze zdarzały mu się coraz częściej: jego ciało reagowało na brak soli. Jej racje wstrzymano ponad tydzień wcześniej i teraz Marek – jak i każdy inny żołnierz Dziewiątego legionu – doświadczał początków jej niedoboru. Ruch ramieniem sprawił, że obolały mięsień się rozluźnił, a Marek mógł znów skoncentrować się na bezustannie mu towarzyszącym bólu pustego

brzucha.

Prowiant legionu był prawie na wyczerpaniu i – ponieważ zarówno obóz, jak i niedalekie miasto były w praktyce obleżone – żołnierze byli zmuszeni zacząć szukać pożywienia. Był to zwyczajowy sposób postępowania armii w terenie, lecz niósł znaczne ryzyko. Kartagińczycy wiedzieli, w jak trudnej sytuacji są Rzymianie pod względem aprowizacji, więc przypuszczali wyjątkowo intensywne i zjadłe ataki na drużyny szukające jedzenia. Legat Megellus musiał wysyłać na pobliskie tereny wiejskie jednostki nie mniejsze niż manipuł, a żołnierze szukali zapasów coraz dalej.

Czwarty manipuł Dziewiątego legionu wyruszył o świcie, aby przetrząsnąć dolinę na północ od obozu. Oddział Marka znów się szczyił niemal pełną liczebnością; po śmierci centuriona Waleriusza rozwiązano jego siódmy manipuł, aby żołnierze uzupełnili inne jednostki. Napływ ludzi z siódmego, dumnych wojowników, którzy źle znieśli rozpad swojego manipułu, stworzył w oddziale Marka atmosferę gniewu i odizolowania, drastycznie obniżając morale.

Centurion zerknął przez ramię na zebranych ludzi. Co do jednego mieli ponure, rozwścieczone miny. Podczas konfrontacji z przeciwnikiem takie wyrazy twarzy świadczyły o zjadłości walczącego legionu. Teraz znamionowały niskie morale i gotujące się w ludziach niezadowolenie. Po trzech godzinach

poszukiwań na towarzyszącym im wozie znajdowała się tylko dziczyzna i dzikie ptaki w ilości, która ledwie wystarczyłaby do nakarmienia samego manipułu. Kartagińczycy ogołocili okolicę z żywego inwentarza i zapasów zboża, tworząc wyspę głodnych ludzi na morzu złupionej ziemi, a desperacja jego podwładnych była wyraźnie wyczuwalna. To ona powodowała brak dyscypliny i doprowadziła do nierozważnego wyskoku Gracjana i Nerwy.

Marek ponownie obejrzał się na drzewa i splunął z gniewem. Wiedział, że kiedy dwaj legioniści wrócą, będzie musiał ich surowo ukarać za niesubordynację. Mógł mieć tylko nadzieję, że wrócą z pustymi rękami. Jeśli przytaszczą na ramionach jelenia, ludzie wzniosą na ich widok wiwat, który natychmiast zmieni się w urazę, jeśli Marek każe ich wychłostać za zlekceważenie rozkazu. Dyscyplina była brutalna, lecz absolutnie konieczna, jeśli chciało się utrzymać ludzi w ryzach. W tak trudnej sytuacji każde potknięcie w sprawowaniu władzy nad legionami mogło się skończyć wybuchem anarchii.

Marek cały się spał, kiedy zauważył jakiś ruch w zagajniku.

– Najwyższa pora, do licha – zaklął z zaciętą miną. Kątem oka dostrzegł kolejne poruszenie w drzewach, jakieś pięćdziesiąt kroków od pierwszego. Zareagował, zanim jego umysł zgłębił ich możliwą przyczynę.

– Tarcze do góry! – zdążył ryknąć, a pierwsza salwa

strzał wypadła z poszycia leśnego.

Legioniści przystąpili do akcji z szybkością błyskawicy. Opieszałość zniknęła, zastąpiona wytrenowanymi ruchami.

Marek poczuł, jak strzały wałę w jego tarczę. Mknęły po poziomej trajektorii, więc ich groty wbijały się głęboko w skórę. Jedna z nich przemknęła nad jego tarczą i uderzyła go w ramię z taką mocą, że stracił równowagę. Za nim groty jednocześnie gruchnęły o ścianę tarcz, która chroniła legionistów przed atakiem z zaskoczenia.

– Ustawić się w szyku dookoła centuriona! – krzyknął *optio*.

Manipuł zajął pozycję jak jeden mąż, otaczając Marka i łącząc się w całość.

Marek ze stęknieniem chwycił strzałę tkwiącą w jego ramieniu. Rana robiła wrażenie odrętwiąłej, choć wiedział, że to uczucie nie potrwa długo, i usiłował złamać strzałę, zanim poczuje ból. Drzewce ustąpiło w momencie, kiedy nadleciała druga salwa. Po pierwszym pospiesznym natarciu Kartagińczycy celowali już uważniej i Marek słyszał krzyki swoich ludzi padających ofiarą ataku.

– *Testudo!*

Flanki natychmiast się zawinęły i manipuł utworzył dwa szeregi: tylny podniósł tarcze w powietrze i nachylił je, tworząc ochronną skorupę przypominającą żółwia. Grad strzał urwał się równie nagle, jak się rozpoczął, a w zagajniku znów zapanował bezruch.

– Spokojnie, czekać na komendę! – krzyknął Marek do swoich ludzi, którzy czekali z mieczami wysuniętymi między tarcze i wzrokiem wlepionym przed siebie.

Legioniści zamarli w milczeniu i można było odnieść wrażenie, że grupa drzew tchnie agresją. Nagle dał się słyszeć pojedynczy okrzyk wojenny, przypominający niski pomruk, którego źródła nie dało się określić w poszyciu. Po chwili zaczął narastać i osiągnął kulminację, po czym Kartagińczycy wypadli z lasu.

– *Orbis!* – Marek przekrzyczał pełen furii odgłos.

Legioniści, którzy spodziewali się tej komendy, natychmiast zmienili pozycje i zanim wróg pokonał połowę drogi, utworzyli obronną formację w kształcie koła. Przedni szereg Kartagińczyków uderzył o zwartą ścianę tarcz z całym rozpędem, którego nabrał, zbiegając ze wzgórza. Napierali ramionami, chcąc przełamać zbrojny mur i wystawić na ciosy kryjące się za nim ciała.

Rzymianie ugięli się pod naciskiem przeciwnika, po czym zapierając się nogami – zahartowanymi w niekończących się marszach – zaczęli odtwarzać kształt szyku, co zmusiło kartagiński oddział do rozlania się wzdłuż ich formacji.

– Dać im żelaza!

Legioniści zaatakowali z wrzaskiem i rozpoczęli rytmiczną serię ciosów wyćwiczonych przez lata musztry. Marek wsunął ramię dalej za tarczę i zaczął napierać na wroga. Dzięki tej nowej fali ataku między jego tarczą a następną otworzyła się mała szpara, przez którą jego

gladius mógł dosięgnąć ciała i kości. Miecz trafił w cel i Marek wycofał zakrwawioną klingę, tak że luka się zamknęła, a on mógł się przygotować do kolejnego pchnięcia.

Szyk złamał się po lewej, kiedy padł jeden z legionistów, a flanki się przesunęły, aby załatać wyrwę. Punickie i rzymskie okrzyki bojowe mieszały się teraz ze zwykłymi okrzykami rannych ludzi. Krwawa rzeź trwała dalej, a Kartagińczycy nie przestawali napierać – chcieli się przebić przez linię obrony Rzymian. Jako dowódca Marek oderwał myśli od bitewnej wrzawy, aby się rozejrzeć za oznakami słabości czy paniki. Ludzie padali po obu stronach, lecz żadna nie ustępowała. Marek wiedział, że jeśli ma nastąpić przełom, musi zaatakować.

– Manipuł! Przygotować się do manewru!

Komendę usłyszeli wszyscy Rzymianie. Napięli mięśnie w oczekiwaniu na zmianę formacji.

– Klin!

Legioniści znów zmienili ustawienie, jakby poruszała nimi niewidzialna ręka, tworząc klin, którego czubek stanowił środek szyku. Ten nagły manewr zbił Kartagińczyków z tropu: przed ich flankami nagle ziała pustka, a cały impet rzymskiego natarcia musiało przyjąć na siebie centrum formacji.

– Naprzód! – krzyknął Marek, prąc przed siebie na czele klina.

Szereg wroga zatoczył się do tyłu po tym ciosie, a ponieważ był płytki, nie mógł wytrzymać nacisku

rzymskich tarcz i pękł nagle, całkowicie tracąc zwartość.

Kiedy nieprzyjaciel się odwrócił, Marek poczuł, że napór na jego tarczę ustępuje, a jego *gladius* automatycznie uderzył w wystawione na cios plecy jednego z Kartagińczyków. Po klindze spłynęła czarna krew z nerki mężczyzny. W miarę jak przeciwnicy uciekali, po rzymskich szeregach przetoczyła się fala – legioniści, w których wezbrała żądza krwi, krzykami wzywali do rzezi. To, że nagle przestała im grozić nieuchronna śmierć, spowodowało ich do pełnego furii mordowania każdego, kto stał przed ich szeregiem.

– Stać! – ryk Marka był jak trzask batem, który przerwał zapamiętały atak.

Legioniści zatrzymali się, a wpojone im posłuszeństwo względem polecenia centuriona sprowadziło ich pragnienie odwetu do wykrzykiwania wyzwania i obelg pod adresem wycofujących się Kartagińczyków.

– *Testudo!* – rozkazał Marek, a żołnierze powtórnie utworzyli ochronną barierę. Ostatni wojownicy wroga wrócili do zagajnika na szczycie wzgórza. W mgnieniu oka kartagińscy łucznicy znów rozpoczęli śmierny grad strzał. Celowali tym starannie, że chcieli odegrać się na Rzymianach.

– Dać sygnał do natarcia? – spytał Koryn.

Kiedy Marek zastanawiał się nad odpowiedzią, zobaczył, że dwaj Kartagińczycy wypadają zza skraju zagajnika i zbiegają na łeb na szyję po drugim zboczu

wzniesienia. Zdał sobie sprawę, że to posłańcy.

– Nie, wycofujemy się. Tutaj, na otwartym terenie, nasze umiejętności taktyczne dają nam przewagę. W lesie każdy walczyłby za siebie. Musimy wrócić do Makelli, zanim przybędą punickie posiłki, a oni sami odzyskają animusz.

Na krzyk dobiegający z lewej obaj dowódcy się odwrócili. Padł kolejny legionista; strzała trafiła w szparę w zbroi między klatką piersiową a szyją. Na ten widok ludzie otaczający martwego żołnierza najeżyli się z gniewu. Ich nieosłonięta pozycja nie dawała im żadnej szansy na odwet. Instynktownie zbliżyli się o krok do zagajnika, a każdy z nich wyczekiwał komendy do natarcia na kartagińską pozycję.

Marek wyczuł ich nastrój i podkreślił swój autorytet, wysyłając ludzi, aby chronili konie zaprzęgnięte do wozu stojącego pięćdziesiąt kroków za manipułem. Formacja żółwia wycofała się powoli, zbierając po drodze rannych i używając odwróconych tarcz jako noszy dla tych, którzy nie byli w stanie iść. Grad strzał wciąż dosięgał wszystkich, którzy znajdowali się poza formacją. Manipuł ustawił się dookoła wozu, a skąpe owoce polowania wyrzucono, aby zrobić miejsce rannym. Ludzie z czwartego manipułu leżeli obok żołnierzy z siódmego: wspólnie toczona bitwa i przelana krew stworzyły między nimi nowe więzi, unieważniając wcześniejsze konflikty lojalności.

Manipuł oddalił się powoli, wciąż osłaniając się

tarczami w razie kolejnej salwy strzał lub wznowionego ataku. Marek przebiegł wzrokiem po wznoszącym się przed nim wzgórzu. Miecz miał schowany w pochwie, a rękę przyciskał do ramienia, aby zahamować upływ krwi. Martwi Rzymianie i Kartagińczycy leżeli razem, a z ich rozrzuconych bezładnie obok siebie ciał kpił Pluton, bóg podziemia, który nie respektował podziałów między rangami i ludami, tylko uważał każdego zmarłego za nowego poddanego. Marek naliczył ponad tuzin ofiar po stronie Rzymian, ludzi, którzy wytrwali w sytuacji, kiedy inni mogliby uciec. Wóz za jego plecami mieścił kolejnych dwunastu. Deski wozu już przesiąkły ich krwią, a jej nieprzerwana strużka zostawiła ślad na całej ich drodze powrotnej do Makelli.

Kiedy znaleźli się poza zasięgiem łuku od zagajnika, Marek rozkazał manipułowi ruszyć szybkim marszem. Droga za nimi była pusta, a centurion wiedział, że pościg nie był konieczny: nieprzyjaciel jasno przekazał swoją wiadomość. Okolice Makelli należały do Kartagińczyków i samotny rzymski manipuł przebywający poza obozem nie był już bezpieczny. Od tej pory Dziewiąty legion miał dwie alternatywy: albo zostać w obozie i umrzeć z głodu, albo zaatakować całą siłą. Trzeciej drogi nie było.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Septymus wyszedł na oświetlony słońcem dziedziniec pół godziny po świcie i zobaczył, że jego rodzice oraz Attyk już tam są. Kapitan siedział na jednej z klaczy z nowo utworzonych baraków w Fiumicino. Miała wszelkie znamiona konia wojskowego: szeroką pierś i korpus oraz służalcze zachowanie, które świadczyło o tym, jak ciężkie było jej życie. Septymus zatrzymał się i przez chwilę patrzył na przyjaciela uważnie, niepewny swoich uczuć. Przez to, jak raptownie jego siostra zakończyła poprzedni wieczór, jego wyzwanie pod adresem Attyka pozostało niewypowiedziane, a teraz, kiedy czekali na Hadrię, znów rozmyślał nad przeciągłymi spojrzeniami, które wymieniała z kapitanem. Wspomnienie to nie dawało mu spokoju.

Hadria pojawiła się w drzwiach chwilę później i zawahała się nieco przed wejściem na dziedziniec. Idąc w stronę Septymusa, patrzyła prosto na niego; jego nieuchronny wyjazd budził w niej całą burzę uczuć. Kątem oka dostrzegła, że Attyk wlepia w nią wzrok, i siłą woli powstrzymała się przed odwzajemnieniem jego spojrzenia. Wiedziała, że jeśli to zrobi, zdradzi swoje uczucia przed bratem. Dotarła do Septymusa i objęła go mocno, ze łzami w oczach, modląc się w duchu aby i on, i mężczyzna, którego nie mogła objąć, wrócili do domu bezpiecznie. Kiedy go puściła, poczuła, że szuka z nią

kontaktu wzrokowego. Odwzajemniła go z pełną premedytacją, choć jej serce niczego nie pragnęło bardziej niż ostatniego zerknięcia na Attyka.

Nagle obawy o syna, które żywiła Salonina, znalazły ujście w gorzkim łkaniu, a Septymus odwrócił się do niej. Przytuliła syna żarliwie, szepcząc modlitwę o jego bezpieczeństwo, a Hadria zauważyła, że brat poświęca matce całą uwagę. Wykorzystała okazję i spojrzała na Attyka. Ich oczy spotkały się na jedno uderzenie serca i przepłynęła między nimi fala uczucia. Hadria bezgłośnie wypowiedziała wiadomość, której nie widział nikt poza Attykiem, i znów pospiesznie odwróciła głowę, kiedy Septymus wypuszczał matkę z objęć. Jeszcze raz uściśnął dłoń ojcu i dosiadł wierzchowca.

Attyk spiął swojego konia i wyjechał na ruchliwą ulicę, wlepiając wzrok przed siebie. Nie śmiał obejrzeć się przez ramię, ponieważ słyszał, że Septymus podąża za nim. Konie szybko odnalazły swobodne tempo, a Attyk nieświadomie kierował koniem między coraz liczniejszymi mieszkańcami budzącego się miasta. Głowę miał pełną myśli o Hadrii i tym, co właśnie zobaczył na dziedzińcu. Zmieszanie spowodowane jej pospiesznym odejściem od stołu poprzedniego wieczoru zniknęło bez śladu dzięki wiadomości, którą bezgłośnie wypowiedziała, tak krótkiej, że niemal ją przegapił. Lecz teraz, kiedy wspominał tę chwilę, był pewien nie tylko tego, co powiedziała, ale też tego, co czuła, jej wiadomość bowiem brzmiała: „Musimy się znów

zobaczyć”.

Pół godziny później obaj jeźdźcy ponownie znaleźli się na via Aurelia i pędzili na północ. Attyk bardzo chciał się czegoś więcej dowiedzieć na temat Hadrii, a ponieważ ciasnymi uliczkami miasta musieli jechać gęsiego, co uniemożliwiało rozmowę, teraz pozwolił swojemu koniowi nieco zwolnić, aby Septymus mógł go dogonić i jechać równolegle z nim.

– Powinniśmy być z powrotem w obozie za dwadzieścia minut – przerwał ciszę Attyk. Nie chciał od razu zaczynać rozmowy o Hadrii.

Septymus kiwnął głową, nie dając poznać, o czym myśli – a też myślał o siostrze. Podczas półgodzinnej jazdy przez miasto postanowił, że musi porozmawiać z Attykiem otwarcie, aby uprzedzić wszelkie intencje, jakie mógł żywić wobec jego siostry.

– Attyku, według prawa Hadria musi ponownie wyjść za mąż w tym roku – powiedział bez ogródek, odwracając się w siodle w stronę przyjaciela.

– Wiem, Septymusie, twój ojciec wspomniał o tym podczas mojej ostatniej wizyty – odparł ostrożnie Attyk, zbity z tropu niespodziewanym komentarzem centuriona.

– Zdajesz sobie zatem sprawę, że nie może przyjmować awansów od nikogo poza zalotnikiem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał gniewnie Attyk, choć znał już odpowiedź, którą dało się wywnioskować z uwagi Septymusa.

– Widziałem, jak na nią patrzysz – odciął się

Septymus, ściągnając lejce swojego konia z wrogą miną – i chęć przez to powiedzieć, żebyś trzymał się od niej z daleka.

– A dlaczego nie mógłbym być zalotnikiem? – warknął Attyk, zatrzymując i własnego wierzchowca.

Septymus już miał wyjawić powód swojego żądania, kiedy zdał sobie sprawę, jak słabe i żalosne kierują nim pobudki. Nagle zalała go fala wstydu, a jego duma sprawiła, że rozgniewał się na Attyka za postawienie go w takiej sytuacji – Nigdy nie będziesz mógł wziąć jej za żonę, Attyku – syknął.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ nie jesteś odpowiednim kandydatem! – krzyknął Septymus, a jego słowa były teraz tak wypaczone, żeby przysłużyć się jego celowi.

Na chwilę zapadła cisza. Attyk wzdrygnął się, jakby go ktoś uderzył.

– Dlaczego? – powtórzył. Jego koń przebierał niespokojnie nogami, a Attyk wychylił się z siodła, zbliżając twarz do oblicza Septymusa.

– Bo nie jesteś Rzymianinem. – W Septymusie wzbierał niekontrolowany gniew. – Hadria musi wyjść za kogoś ze swojej sfery, za rzymskiego ekwite.

– Może Hadria powinna sama podjąć decyzję w tej kwestii – powiedział Attyk.

Septymus zawrócił konia, żeby móc się oddalić, po czym ostatni raz spojrzął na Attyka, a na jego twarzy malowała się determinacja.

– Chciałem cię o to zapytać, Attyku, ale teraz nakazuję ci: trzymaj się z dala od Hadrii!

Centurion spiał konia i odgalopował, przepychając się między powolniejszymi podróżnikami na zatłoczonej drodze i ignorując ich pełne irytacji pokrzykiwania.

Attyk mógł tylko odprowadzić go wzrokiem. Kipiał z gniewu na myśl o tym, co się właśnie wydarzyło i jak był głupi, sądząc, że Septymus różni się od aroganckich Rzymian, wywyższających się ponad wszystkich dookoła.

– Musimy ich wywabić, sprawić, żeby zaangażowali część swojej floty w potyczkę, której nie będą w stanie się oprzeć.

– A potem? – spytał Gisko.

– Potem ich schwytamy. Przejmiemy kontrolę nad ich oddziałem i dowiemy się, na czym naprawdę opiera się ich siła.

Admirał kiwnął głową, zgadzając się z rozumowaniem Hamilkara. W tej chwili najbardziej trzeba im było informacji. Wróg budował flotę: tyle wiedzieli. Tajemnicą było jednak, jakiego typu okrętów użyją, kiedy uruchomią flotę i jak będzie liczna.

Gisko wiedział, że Rzymianie są świadomi istnienia jego pięćdziesięciu statków. Galera, która uciekła mu w Cieśninie Messyńskiej, na pewno zameldowała o ich sile, a utrata rzymskiej floty transportowej tylko potwierdziła obecność Punijczyków. Sądził, że nie zdają sobie sprawy z tego, iż kolejne sześćdziesiąt okrętów przyplęnęło

wzdłuż zachodniego wybrzeża. Nie mógł być jednak tego pewien, a już na początku swojej wojskowej kariery nauczył się, że podczas robienia planów najlepiej zakładać najgorsze. Założył, że wiedzą. Ostatnim elementem planu – elementem, co do którego był pewien, że nie zna go nikt – było to, iż namówił Hamilkara, aby wrócił do Kartaginy i zorganizował trzecią flotę: główną flotę samej świętej Kartaginy.

Gisko zamknął oczy i wyobraził sobie rzymską galere, którą widział w Cieśninie Messyńskiej. Aż zacisnął zęby z gniewu, lecz odsunął od siebie emocje i skoncentrował się na szczegółach. Był to szybki okręt, szybszy niż kartagińska trirema, choć nie mógł się równać z kwinkweremami – czwarty rząd wioślarzy nadawał im dość rozpędu, aby mogły wyprzedzić wszelkie mniejsze jednostki. Czy ta trirema była typową przedstawicielką rzymskiej floty? Czy wróg miał własne kwinkweremy? Czy na nową flotę będą składać się oba rodzaje okrętów? Rzymska trirema była lżejsza od jego okrętów i miała mniejsze zanurzenie, przez co szybciej cięła fale. Czy teraz Rzymianie użyją cięższych jednostek, które będą mogły się łatwiej przeciwstawić jego flocie? Czy poznali sekrety konstrukcji punickich okrętów, nowe koncepcje wcielone w życie przez mistrzów rzemiosła kartagińskiego imperium, które pozwalały im na połączenie siły i szybkości? Jeśli schwytali którykolwiek z jego statków, te tajemnice ujawnią się przed każdym wprawnym okiem. Od czasu przybycia na północną

Sycylię jego flota straciła cztery statki: trzy zaginęły podczas sztormu w drodze z Panormos do blokady, a tydzień wcześniej Boodes doniósł o stracie galery wysłanej na patrol. Czy i ona przepadła z powodu złej pogody, czy przechwycili ją Rzymianie? Na zbyt wiele pytań nie było odpowiedzi, i Gisko wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju.

Hamilkar przyglądał mu się uważnie, jakby na nowo. Trzy dni wcześniej, po uporczywych namowach admirała, zgodził się popłynąć do Kartaginy i przejąć dowództwo nad jej flotą. Zgodę na to mógł wyrazić wyłącznie członek rady, na przykład jego ojciec, a Hamilkar doskonale zdawał sobie sprawę, że Gisko usiłuje wykorzystać jego kontakty w radzie do własnych celów. Barkas wiedział też, że prosząc o oddanie floty do ich dyspozycji w imieniu admirała, wiąże z nim swój los. Nie miał na to ochoty, więc na początku się opierał, lecz w końcu ustąpił, kiedy zdał sobie sprawę, że prośba admirała przysłuży się dobru Kartaginy. Punijczycy byli narodem żeglarzy i dobrze się czuli na morzach. Flota stanowiła podstawową siłę imperium i Hamilkar miał świadomość, że nadszedł czas, aby ją wykorzystać.

– Jak zatem ich wywabimy? – spytał nagle Gisko, odwracając się do siedzącego za nim Hamilkara i napotykać jego wzrok.

– Użyjemy tej samej taktyki, jakiej nasi przodkowie użyli przeciwko Agatoklesowi, tyranowi Syrakuz. Zaoferujemy im miasto – odpowiedział Hamilkar. W

ciągu ostatnich kilku dni wpadł na ten pomysł, rozwinął go i gruntownie przemyślał.

Prostota koncepcji sprawiła, że Gisko się uśmiechnął; ta taktyka zadziałała w walce z innym wrogiem ponad czterdzieści lat wcześniej. Agatokles, ówczesny władca Syrakuz – położonych na południowo-zachodnim skraju Sycylii – złamał zasady panującego wtedy niepewnego pokoju, atakując Messynę, kartagiński bastion, i przejmując nad nim kontrolę. Kartagińczycy posiadali wtedy jeszcze tylko jedną placówkę: Akragas na zachodzie. Ich dowódca, Maharbal, nie dysponował dostatecznie dużą siłą, aby przedrzeć się przez całą Sycylię i odzyskać Messynę, obmyślił więc plan, dzięki któremu wróg miał przyjść do niego. Zaoferował Agatoklesowi Akragas.

Jeden z radnych miasta stawiał się przed Agatoklesem, twierdząc, że miejscowi są gotowi do powstania przeciwko kartagińskim ciemżycielom. Dowódca Syrakuz natychmiast połknął haczyk i poprowadził swoją armię na drugą stronę wyspy, aby wyzwolić Akragas – tylko po to, aby zastać bramy zamknięte. Rozgniewany rozpoczął oblężenie miasta, choć znajdował się ponad sto mil od własnego bezpiecznego terytorium. Był to błąd, na który czekał Maharbal: natarł z kartagińską armią na nieprzyjaciela, zatraskując go w pułapce między swoimi zastępami a wrogi mu miastem.

Wynikła w rezultacie tych wydarzeń bitwa była katastrofą dla Agatoklesa, pokonanego przez własną

chciwość i brak rozwagi. Gisko był pewien, że pierwsza z tych cech występuje u Rzymian nader często – dlaczego budują republikę, jeśli nie po to, aby zaspokoić swój apetyt na ziemię i bogactwa innych? Ale czy byli nierozważni? Admirał przebiegł w myślach listę miast pozostających pod kontrolą Kartagińczyków. Uśmiechnął się, kiedy nasunęła mu się lokalizacja idealnie dopasowana do jego celów. Nie będzie musiał polegać na braku rozwagi Rzymian, ponieważ miasto, które wybrał, sprawi wrażenie łatwego łupu. Znajdowało się na wyspie u północnego wybrzeża Sycylii, położonej z dala od blokady i wszelkich dostrzegalnych zagrożeń ze strony Kartagińczyków. Nazywało się Lipara.

Gajusz Duiliusz siedział cierpliwie, kiedy prefekt obozu w Fiumicino składał meldunek senatowi. Sterany walkami były centurion wyglądał dziwnie nie na miejscu w otaczanej uroczą czcią wewnętrzną komnacie kurii, lecz nie sprawiał wrażenia, jakby towarzystwo senatorów choć trochę go onieśmielało. Duiliusz domyślał się, że podczas swojej wojskowej kariery Tuditanus miał okazję stawić czoło groźniejszym wrogom niż ta grupka rozleniwionych starców.

Młodszy konsul zamyślił się, kiedy prefekt opisywał postępy w budowie floty. Duiliusz znał już najważniejsze informacje zawarte w raporcie, nie dlatego, że widział notatki Tuditanusa, lecz dzięki doniesieniom sześciu szpiegów umieszczonych w obozie, którzy dzień i noc

dostarczali mu nowych wiadomości. Dlatego też nie był jeszcze w obozie, choć doskonale wiedział o wizycie, którą odbył tam poprzedniego dnia Scypion. Na tę myśl odwrócił głowę w stronę starszego konsula siedzącego teraz pośrodku dolnego rzędu półkolistych ław. Ocknął się, kiedy dotarło do niego, że w raporcie pojawiła się nieściskość.

– Prefekcie – przerwał Tuditanusowi – powiedziałaś, że pierwszy oddział dwudziestu galer będzie gotów za sześć dni?

– Tak jest, senatorze – odparł pewnym głosem Tuditanus.

– Nie wcześniej? – spytał Duiliusz, a za tym pozornie niewinnym pytaniem kryło się niedowierzanie.

– Nie, senatorze. Za sześć dni.

Tuditanus patrzył młodszemu konsulowi w oczy. Scypion uprzedził go, że może się spodziewać tego pytania, ponieważ wiedział, że w tak wielkim obozie trudno będzie zachować cokolwiek w tajemnicy, a szczególnie przed Duiliuszem.

– Rozumiem – powiedział w końcu Duiliusz i wstał. – Senatorowie – ogłosił – w waszej obecności pokornie proszę starszego konsula, aby pozwolił mi powieść flotę na morze, kiedy będzie już gotowa.

Prośbę tę przywitał cichy aplauz. Scypion podniósł się, aby odpowiedzieć.

– Młodszy konsul może osobiście poprowadzić flotę na morze za sześć dni – powiedział, zrećnie unikając

pułapki zastawionej przez Duiliusza.

Znów dała się słyszeć owacja, a Duiliusz kiwnął głową Scypionowi. Obaj wiedzieli, że nie jest to gest wdzięczności.

Duiliusz wrócił na miejsce. Jego szpiedzy zawiadomili go, że galery będą gotowe do drogi za trzy, najdalej cztery dni. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak wielką szansę otrzyma pierwszy dowódca floty na morzu, nawet jeśli jej dziewiczy rejs ma się odbyć tylko na trasie z miejsca budowy do *castrum* w Ostii. Była to szansa na wbicie ludowi do głów świadomości, kto jest dowódcą floty, świadomości niezależnej od wszelkich ustaleń poczynionych w senacie. Władza w Rzymie była rządami motłochu. Jeśli lud wybierze Scypiona na dowódcę floty, przypomnienie o umowie dotyczącej dzielenia się dowództwem na nic się Duiliuszowi nie zda. Tłuszcza zapamięta tylko jedno imię. Duiliusz musiał w jakiś sposób sprawić, żeby było to jego imię.

Attyk z podziwem przyglądał się lśniącom kadłubom dwudziestu trirem stojących na plaży tuż ponad linią przyływu. Wraz z Septymusem wrócił do Fiumicino dwa dni wcześniej i obaj natychmiast ponownie zajęli się realizowaniem planu treningów, choć centurion spędzał teraz cały swój czas w obozie Czwartego legionu. Przypomniawszy sobie ich nagłą kłótnię podczas drogi z Rzymu oraz żądanie Septymusa, aby trzymał się z dala od Hadrii, i wezbrał w nim gniew. Siłą woli odegnał

wspomnienie i zamiast tego skoncentrował się na *Aquili*. Galera oddała cumy i wydano rozkaz do wypłynięcia.

Attyka frustrowało uczenie nowych rekrutów taranowania, skoro rozsądek żądał, żeby uczyć ich abordażu, lecz wiedział przynajmniej, że tego dnia czeka ich szkolenie w kwestii o przełomowym znaczeniu niezależnie od metody ataku. Wszyscy ludzie pod jego opieką już byli sprawnymi żeglarzami, w wielu wypadkach więc chodziło jedynie o przystosowanie ich umiejętności do pływania galera i nauczanie ich, jak najlepiej nią manewrować i wybierać najodpowiedniejszą prędkość. Tego dnia lekcja miała się koncentrować na tym drugim elemencie.

Aquila odpłynęła prędkością sterowną, wynoszącą dwa węzły. Tempa tego nie narzucała bliskość szlaków morskich ciągnących się prostopadle do jej kursu – Gajusz z łatwością potrafił pokonać ten trudny fragment trasy przy normalnej prędkości – lecz potrzeba zaoszczędzenia sił wioślarzy na czas zbliżającej się lekcji, która miała się odbyć ich kosztem. Attyk zachował ją na koniec, wiedząc, że jest najważniejsza dla wszystkich dowódców galer. Kiedy ludzie zebrani na głównym pokładzie w niedalekiej przyszłości trafią na własne okręty, będą dobrze pamiętać ten dzień.

Kiedy *Aquila* minęła już szlak wodny, Attyk rozkazał wszystkim dwudziestu pięciu rekrutom zejść pod pokład oraz aby przykuto niewolników do wiosł, ponieważ wiedział, że to, co zamierza zrobić, będzie niebezpieczne

dla żołnierzy tłoczących się na wąskim przejściu ciągnącym się wzdłuż całego pokładu. Ponownie przemyślał swoją decyzję w kwestii metody, jaką wybrał do przekazania rekrutom tej najważniejszej lekcji, i kolejny raz uznał, że nie ma alternatywy, jeśli chce, żeby zapadła ona ludziom w pamięć.

Wypełniona dodatkowymi dwudziestoma pięcioma ludźmi przestrzeń pod pokładem stała się klaustrofobiczna, a dla niektórych rekrutów – przerażająca. Wielu z nich jeszcze nigdy wcześniej nie było na pokładzie wioślarzy i widok dwustu niemal nagich mężczyzn przykutych do czteroipółmetrowych wiosel napawał ich lękiem. Niewolnicy mieli kamienne twarze, a jednak w ciasnej przestrzeni czuło się otwartą wrogość. Wioślarze byli ludźmi, tak samo jak stojący nad nimi Rzymianie, a różnica w ich sytuacji podyktowana była wyłącznie kaprysem losu kierującego życiem każdego człowieka.

– Żołnierze! – krzyknął Attyk, a jego głos tłumili ciała tłoczących się dookoła ludzi i otaczające ich wręgi. – Ten pokład jest siłą waszego okrętu. Ci ludzie, choć to niewolnicy, są częścią waszej załogi. Musicie ich odpowiednio traktować. Krzywdząc ich, nadwątlacie waszą własną siłę.

Attyk przyglądał się, jak jego słowa docierają do tych, którzy nigdy nie posiadali niewolników, więc nie mieli okazji nabrać do nich bezdusznego podejścia. Z kolei na ludziach pokroju Fulfidiasza słowa Attyka robiły

wrażenie słabych, niegodnych pana statku.

– Podczas bitwy – ciągnął kapitan – czeka was wiele wyzwań. Główne będzie polegało na tym, czy znacie i rozumiecie swój statek. Ze wszystkich możliwości okrętu jedną z najważniejszych jest wytrzymałość wioślarzy. Dzięki tym ludziom możecie wymanewrować przeciwnika i uciec lub zbliżyć się do ataku. Musicie wiedzieć, że ich siła ma swoje granice. Kiedy się wyczerpie, wasz statek jest skończony.

Rekruci słuchali w milczeniu, po czym rozejrzeli się dookoła po skutych ludziach siedzących o odległość ramienia od nich. Na wykrzyczany rozkaz oprzytomnieli zszokowani.

– Prędkość bojowa! – ryknął Attyk.

Dwieście wiosel *Aquili* przyspieszyło do tempa wyznaczanego przez bęben: prędkości bojowej, siedmiu węzłów.

– Niewolnicy *Aquili* potrafią wiosłować prędkością bojową przez dwie godziny. W tym czasie będzie im pomagała utrzymać tempo także czterdziestka rezerwowych wioślarzy.

Attyk pozwolił im wiosłować przez pół godziny. Potem wezwano pierwszych kilku rezerwowych, aby zastąpili słabszych wioślarzy. Rekrutów stojących pośrodku przejścia odepchnięto na bok, żeby otworzyć luk na niższy pokład, i część z nich mogła zerknąć do pograżonego w półmroku piekła pod nimi: przez otwarty właz napłynął smród z zęzy połączony z okropną wonią

ciasnych kwater rezerwowych wioślarzy.

Galera wciąż płynęła prędkością bojową. Jedyнным odgłosem na zatłoczonym pokładzie były uderzenia bębna wyznaczającego rytm pociągnięć wiosłami. Kiedy na plecy oddychających coraz ciężej niewolników wystąpił pot, wielu rekrutów zaczęło pojmować, o czym mówił Attyk.

– Prędkość ofensywna!

Rozkaz znów ich zaskoczył. Ponownie skoncentrowali się na słowach kapitana.

– Prędkość *ofensywna*. *Aquili* wynosi jedenaście węzłów.

Większość rekrutów, z których część nigdy wcześniej nie była na galerze, dziwiła się tej niewiarygodnej szybkości. Dla żaglowca stanowiła ona odpowiednik biegnięcia pod silny wiatr, był to trudny, rzadko podejmowany manewr.

– Nasi wioślarze mogą utrzymać tę szybkość przez kwadrans. Jest ona tylko o trzy węzły większa niż prędkość bojowa, lecz konieczny dodatkowy wysiłek zmniejsza ich wytrzymałość do jednej ósmej.

Żołnierze znowu się rozejrzeli. Wielu zaczęło liczyć minuty. Minęło dziesięć.

– Prędkość do taranowania!

Dobosz *Aquili* powtórzył rozkaz i przyspieszył. Niewolnicy zdwoili wysiłki, a wielu stękało z bólu przy katorżniczej pracy koniecznej przy pociągnięciu wiosła do siebie. Inni krzyczeli, kiedy powykręcane skurczami

mięśnie odmawiały im posłuszeństwa.

– Nawet najlepsi niewolnicy wytrzymają prędkość do taranowania tylko przez pięć minut! – Attyk przekrzyczał jęki cierpienia. Zacisnął zęby, zmuszając się do dokończenia lekcji.

Pierwszy wiosłarz zemdłał po dwóch minutach.

W ciągu kolejnej minuty na pokładzie leżało kolejnych dwudziestu.

– Cała stop! – wrzasnął Attyk, kończąc barbarzyńską demonstrację. Splunął żółcią wstydu na widok wycieńczonych mężczyzn. Wielu dotarło do kresu swoich sił, a inni, którzy nie wytrzymali, leżeli twarzami w dół pod swoimi wiosłami. Jeden już się nie podniósł. Z wysiłku pękło mu serce.

Attyk nigdy nie wahał się przed zmuszaniem galerników do ciężkiej pracy, kiedy wymagała tego sytuacja. Okazywanie współczucia i oszczędzanie niewolników mogło zagrozić bezpieczeństwu okrętu, więc już dawno zobojętniał na los ludzi siedzących pod pokładem. Mimo to wierzył, że należy traktować ich właściwie, nie tylko dlatego, że zdrowi niewolnicy lepiej wiosłowali, lecz dlatego, że – jak każdy żeglarz – zdawał sobie sprawę, iż pewnego dnia sytuacja może się odwrócić i po którejś porażce on sam zostanie przykuty do wiosła. Dobrze się z nimi obchodził, ponieważ miał nadzieję, że bogini losu, Fortuna, obdarzy go podobnym panem, jeśli kiedykolwiek przyjdzie na niego kolej.

Attyk wydał komendę do wciągnięcia wiosła na

pokład i podniesienia żagla. Przez kolejną godzinę *Aquila* musiała sobie radzić, mając za napęd wyłącznie wiatr. Zaprowadził rekrutów z powrotem na główny pokład i tam, stanąwszy na rufie, znów się do nich zwrócił:

– Nie wiemy, co czeka naszą flotę. W najlepszym razie otrzymamy tylko rozkaz zakończenia oblężenia. Być może nawet zmierzmy się z kartagińską flotą w bitwie. W każdym razie będziecie musieli zrobić wszystko, aby przeżyć i wziąć udział w walce. *Aquila* ma na pokładzie trzystu trzydziestu ludzi, dwustu czterdziestu wioślarzy, trzydziestu żeglarzy i sześćdziesięciu żołnierzy piechoty morskiej. Stoczyła już wiele bojów i wszystkie przetrwała, a to dlatego, że wiem, iż podczas bitwy liczy się każdy człowiek na pokładzie. Jeśli zignorujecie którąkolwiek część załogi, skazecie swój okręt na zagładę. Lekcja płynie z tego taka: poznajcie swój okręt. Poznajcie swoją załogę. Poznajcie swoje siły.

Septymus obudził się na sygnał wzywający na apel, który oznaczał początek nowego dnia. Usiadł na łóżku polowym w ciasnym namiocie i sięgnął po misę ustawioną na podłodze. Była do połowy pełna. Wylał sobie jej zawartość na głowę, a zimnej wodzie ledwie udało się przedrzeć przez jego potworne zmęczenie. Przez ostatnie dwie noce spał po niecałe cztery godziny. Syllanus wciąż nie pozwalał mu odpowiednio przygotować legionistów z piątego manipułu, więc Septymus zwiększył liczbę godzin musztry, usiłując

przeforsować sprawę. Sposób ten jednak nie działał, a w nocy Septymus uświadomił sobie, że będzie musiał raz na zawsze się przeciwstawić Sylanusowi.

Kiedy wyszedł na światło świtu, piąty manipuł ustawiał się na placu na apel. Przebiegało to skutecznie i sprawnie, po czym ludzie byli odprawiani na śniadanie. Każde *contubernium* żołnierzy miało dla siebie jeden namiot i ludzie jedli grupami, co było bardziej wydajnym rozwiązaniem w tymczasowym obozie. Septymus zobaczył, że Sylanus idzie do swojego namiotu, i ruszył w jego kierunku.

– Sylanusie!

Centurion się odwrócił, a kiedy Septymus do niego podszedł, natychmiast przybrał pogardliwy wyraz twarzy.

– Musimy porozmawiać – powiedział Septymus.

– Doprawdy? – odparł z szyderczym uśmiechem Sylanus. – O czym, marynarzu?

I teraz wymówił to słowo, jakby pluł, ale Septymus zignorował ten przytyk.

– O musztrze i tym, że twoi ludzie nie są gotowi do bitwy z wrogiem, który jest wyszkolony w potyczkach na pokładzie galery, gdzie formacje legionowe na nic się nie zdadzą.

– Tak ty twierdzisz, marynarzu. Ja twierdzę, że moi ludzie nie mają sobie równych w boju i bez względu na to, jak odmienny sposób walki stosują Kartagińczycy, nawet w indywidualnych pojedynkach, nie pokonają moich żołnierzy.

Septymus się uśmiechnął, choć nie było tego widać w jego oczach. Sylanus połknął haczyk.

– Czy bylibyś gotów poddać próbie to stwierdzenie w walce twarzą w twarz? – spytał. – Ty przeciwko mnie?

– Z chęcią – odparł Sylanus, kiwając głową. Odwzajemnił nieprzyjazny uśmiech Septymusa. Już miał się odwrócić, lecz Septymus chwycił go za prawe ramię.

– Jeśli jednak wygram, chcę, żebyś dał mi słowo, że ty i twoi ludzie poddacie się szkoleniu.

Sylanus spojrzał na niego czujnie.

– A jeśli ja wygram? – spytał.

– Wycofam się i przyznam, że twoi ludzie są niezwyciężeni.

Sylanus znów przytaknął ze złowrogim uśmiechem, wyrwał ramię z uścisku Septymusa i odszedł.

Septymus odprowadził go wzrokiem, po czym odwrócił się i dostrzegł, że stoi za nim Kwintus. *Optio* podszedł do niego.

– Jakie rozkazy, centurionie? – zapytał.

– Każ ludziom ustawić się dookoła placu, Kwintusie – powiedział Septymus, szczerząc zęby. – Chcę zademonstrować im pierwszą dzisiaj lekcję.

Kwadrans później żołnierze z Piątego legionu stali dookoła trzech boków placu, a dwudziestka żołnierzy z *Aquili* zajmowała czwarty. Słychać było sporadyczne okrzyki zachęty, a załoga okrętu i legionieści zakładali się o wynik pojedynku. Ustalono, że przeciwnicy mają równe szanse na zwycięstwo. Septymus i Sylanus stali pośrodku

placu, dwa kroki od siebie, i się rozgrzewali. Ich ciężkie drewniane miecze do musztry poruszały się coraz szybciej, w miarę jak okrzyki tłumu rozlegały się coraz częściej. Kwintus zbliżył się do przeciwników, wyciągnął miecz i uniósł go w powietrze między nimi, aż obaj byli gotowi. Wtedy opuścił klingę, która błysnęła odbitym światłem, i cofnął się, krzyki osiągnęły kulminację, a walka się rozpoczęła.

Kiedy zaczęli się nawzajem okrażać, Septymus przyglądał się ruchom Sylanusa i natychmiast zauważył, że choć jest on praworęczny, jego ciało jest świetnie wyważone; dzięki wieloletniej nauce pozbył się naturalnej słabości lewego ramienia. Sylanus poruszał się ze swobodą zrodzoną z wprawy, pewien swoich umiejętności, jednak nie spieszył się do ataku. Przy każdym obrocie mierzył Septymusa wzrokiem, machając mieczem z boku na bok, aby rozproszyć centuriona. Wciąż szli po okręgu.

– Czwarty legion... to dziki, prawda, Sylanusie? – Septymus przerwał ciszę, która zaległa między nimi, choć otaczała ich ściana dźwięków.

– Co? – spytał Sylanus po chwili, a na jego twarzy widać było, że pytanie wyrwało go ze skupienia.

– Jesteś żołnierzem Czwartego? Dzikiem. Jednym z dzików Rzymu?

– Tak – odparł odruchowo Sylanus.

– Czym zatem jest twoja matka? – powiedział Septymus na tyle cicho, żeby usłyszał go tylko

przeciwnik.

Słowa Septymusa przepęłniły serce Sylanusa furia, a jego twarz poczerwieniała z gniewu, kiedy ruszył do ataku. Septymus był gotów na natarcie, lecz i tak zaszokowała go szybkość ruchu. Uratowało go to, że się spodziewał, jak Sylanus zaatakuje: dzięki temu miał odrobinę więcej czasu na reakcję. Atak był charakterystyczny dla sposobu walki legionów, lecz dostosowany do indywidualnej walki. Centurion wykonał zwód w lewo, choć według zasad musztry powinien był zadać pchnięcie tarczą, a potem mieczem trzymanym w prawej dłoni. Septymus skontrował cios i odsunął się nieco, a przeciwnik nie odstępował go na krok, podtrzymując tempo walki i zasypując człowieka z *Aquili* gradem ciosów.

Wiwaty legionistów Czwartego stawały się coraz głośniejsze, kiedy Sylanus zaczął szykować się do zadania ostatecznego ciosu, a Septymus wciąż ustępował rozwścieczonemu dowódcy, czekając na idealny moment na kontratak. Nastąpił on niespodziewanie i Septymus zmienił rozkład ciężaru ciała, przygotowując się. Choć wcześniej Sylanus uderzał przypadkowo, przedłużony atak, który przypuścił na Septymusa, nadał jego ruchom pewien rytm, ponieważ lata treningu przeważały nad jego osobistym stylem. Wszyscy legioniści popełniali ten sam błąd podczas indywidualnych potyczek i tego właśnie w pierwszej kolejności nauczył Septymusa Attyk: przewidywalność w pojedynku oznacza śmierć.

Septymus pozwolił Sylanusowi zadać jeszcze jeden cios, przewidując go na długo, zanim faktycznie nastąpił. Potem przypuścił kontratak.

Ustał przed kolejnym pchnięciem i odparował je, wyrywając Sylanusa z rytmu. Natychmiast skierował miecz w stronę pachwiny przeciwnika: był to śmiertelny cios, który zmusił Sylanusa do błyskawicznej reakcji i utraty równowagi. Septymus w ostatniej chwili zmienił kierunek pchnięcia, podnosząc klingę do poziomu brzucha Sylanusa, więc ten musiał jeszcze bardziej zmienić ułożenie ciała, aby się obronić. Wykręcony tors Sylanusa wystawił na cios jego nerki, w które wymierzył cios Septymus pod jego wyciągniętym mieczem. Centurion stęknął głośno, kiedy czubek ciężkiego drewnianego miecza uderzył go w dolną część pleców, co wywołało ostry ból w jego brzuchu i klatce piersiowej. Natychmiast się wycofał z twarzą wykrzywioną grymasem cierpienia.

Teraz to ludzie z *Aquili* krzyczeli, ogarnięci żądzą krwi, a Septymus natarł. Tym razem Sylanus cofał się coraz bardziej przed ciągiem nieprzewidywalnych ciosów przeciwnika. Uwidoczniły się efekty treningu Septymusa na *Aquili*, a on sam dał swobodny upust wpojonemu instynktowi bitewnemu, podczas gdy reakcje Sylanusa stawały się coraz bardziej chaotyczne; w jego obronę wkradła się desperacja. Septymus przeprowadził pozorowany atak na niższą część lewego boku Sylanusa i nagle uniósł miecz, kierując czubek w stronę twarzy

przeciwnika. Centurion zareagował odruchowo, nie myśląc o konsekwencjach, i machnął mieczem w górę: odepchnął klingę Septymusa, lecz odsłonił cały swój tors. Septymus okręcił klingę dookoła jego miecza i wsunął ją pod ramię Sylanusa, obracając ciało, aby nadać jak największą siłę ciosowi, który miał być ostateczny. Walnął przeciwnika płazem drewnianego miecza w brzuch z takim rozpędem, że mężczyźnie zabrakło tchu i zgiął się wpół nad bronią, a potem opadł ciężko na czworaki. Siła uderzenia wytrąciła Sylanusowi jego własny oręż z dłoni.

Septymus odsunął się od pokonanego centuriona i odwrócił do swoich ludzi, unosząc miecz w geście zwycięstwa. Ruszył w ich stronę, ale powstrzymała go dłoń na jego ramieniu. Zerknął w tył i zobaczył Sylanusa, wciąż zgiętego wpół i przyciskającego dłoń do brzucha.

– Na bogów, Septymusie, walczysz niczym Pluton, jak sam pan podziemi – wystękał Sylanus, prostując się i wyciągając dłoń.

– Tak jak Kartagińczycy – powiedział Septymus, ściskając przeciwnikowi rękę. Po raz pierwszy widział na twarzy centuriona wyraz szacunku.

Sylanus kiwnął głową i poszedł do swoich ludzi, wykrzykując rozkazy, aby ustawili się w szyku i przygotowali do czekającego ich tego dnia szkolenia.

Septymus się uśmiechnął, kiedy podszedł do niego jego *optio* Kwintus i klepnął go w ramię. Flota dwudziestu galer miała być gotowa do wypłynięcia w

ciągu kilku dni i po obozie krążyła plotka, że starszy konsul każe popłynąć im do *castrum* w Ostii, gdzie przybędą z wielką pompą. Jeśli Ostia miała się stać nową siedzibą dla piątego manipułu Czwartego legionu, Septymus planował, że Kwintus będzie mu towarzyszył, aby kontynuować szkolenie żołnierzy. Był pewien, że w końcu ma Sylanusa po swojej stronie. Ponieważ od ukończenia budowy całej floty dzieliło ich jeszcze wiele tygodni, mieli dość czasu, aby nauczyć legionistów z Czwartego podstawowych umiejętności koniecznych do przetrwania na zdradzieckich pokładach kartagińskich galer.

Gajusz Duiliusz ocknął się na odgłos nieustannego pukania do drzwi jego sypialni.

– Kto tam? – krzyknął z irytacją, usiłując oszacować godzinę na podstawie światła wpadającego do wnętrza. Było tuż po świcie.

Drzwi otworzyły się z rozmachem i wszedł jego główny sługa, Appiusz, w towarzystwie jednego ze szpiegów z obozu, cieśli o imieniu Kalwus. Duiliusz wstał, kiedy wzburzeni przemierzali pospiesznie pokój.

– Wypływają dzisiaj, panie – powiedział Kalwus z niepokojem wymalowanym na twarzy.

– Dzisiaj?! Wszystkie doniesienia mówiły, że jutro, czwartego dnia!

– Takie było założenie. Tego terminu kazał się nam trzymać Tuditanus i musieliśmy mu przysięgać, że

nikomu go nie wyjawimy, żeby wróg nie poznał naszych planów – wyjaśnił Kalwus. – Jednak wczoraj wieczorem, kiedy przygotowywaliśmy się do zakończenia dnia, sam Tuditanus zarządził, żeby prace trwały przez całą noc. Musieliśmy zostać na stanowiskach i dokończyć nasze zadania przy świetle ogniska.

– Dlaczego mnie o tym nie poinformowano? – spytał Duiliusz Appiusza. – Dlaczego nie doniósł o tym któryś z pozostałych szpiegów?

Appiusz zaniemówił.

– Rozkazano nam wczoraj wieczorem pozostać w obozie pod groźbą kary śmierci – wtrącił Kalwus – więc nikt nie mógł przekazać wiadomości poza Fiumicino. Dostałem pozwolenie na opuszczenie obozu dopiero po zakończeniu pracy.

Duiliusz przeklął prostotę planu, który popsuł mu szyki. Zmuszając rzemieślników i niewolników do pracy przez całą noc, przyspieszyli ukończenie floty o dwadzieścia cztery godziny, podczas których Duiliusz planował urządzenie „niespodziewanej” inspekcji w towarzystwie niektórych wyższych rangą senatorów. Już na miejscu w obozie następnego – czwartego – dnia zobaczyliby, że flota faktycznie jest gotowa do wypłynięcia, i Duiliusz mógłby wymusić na Scypionie spełnienie zobowiązania, które starszy konsul uczynił przed senatem, i popłynąć z flotą podczas jej pierwszej podróży. Teraz ów plan spalił na panewce przez prostą zmianę harmonogramu, którą wprowadził Scypion.

Duiliusz był wściekły na siebie za brak przezorności.

– Czy mam osiodłać twojego konia? – spytał Appiusz.

Z początku Duiliusz, rozwścieczony tym, że go przechytrzano, nie dosłyszał pytania.

– Co? – spytał, wciąż roztargniony.

Appiusz powtórzył pytanie.

– Nie – odparł Duiliusz. Zdał sobie sprawę, że jeśli pojawi się w Fiumicino sam, bez wsparcia senatorów, nic nie wskóra, ponieważ był niższy rangą od Scypiona.

Odprawił mężczyzn i zaczął chodzić po pokoju. Siłą woli uspokoił myśli, aby móc rozważyć problem pod każdym kątem. Nie znalazł rozwiązania; nie było sposobu, aby powstrzymać Scypiona przed triumfalnym wypłynięciem do Ostii. Duiliusz może i wygrał pierwszą rundę walki w senacie, kiedy zmusił starszego konsula do ustąpienia w kwestii dowodzenia flotą, lecz jego przeciwnik zwyciężył w drugiej, tej, która przysporzy mu poparcia ludu rzymskiego.

– Dzisiaj? – spytał Lucjusz z niedowierzaniem. Właśnie miał się zabrać do przygotowywania *Aquili* do wypłynięcia, kiedy podszedł doń kapitan z niepokojem wypisanym na twarzy.

– Tak, dzisiaj – powtórzył Attyk. – Właśnie otrzymałem rozkazy.

– Ale skąd ten pośpiech?

– Kto wie – odparł Attyk. – Jedyne, czego jestem pewien, to to, że rekruci nie są gotowi. Będę musiał znów

się rozmówić z Tuditanusem, przynajmniej nakłonić go, żeby się zgodził na kontynuowanie treningu w Ostii.

– Przewiozę cię na brzeg – zaoferował Lucjusz i pomaszerowali na główny pokład, skąd zeszli do uwiązanej przy burcie łódki. Po kilku chwilach znaleźli się na plaży.

Kiedy szli w stronę namiotu prefekta obozu, odnieśli wrażenie, że ruch panujący dookoła jest dość chaotyczny. Żeglarze biegali po pokładach dwudziestu gotowych galer, instalując olinowanie, a bosmani tak niedawno szkoleni na *Aquili* wykrzykiwali rozkazy, które załogi czym prędzej wykonywały. Attyk przyjrzał się najbliższemu okrętowi i zanalizował niemal ukończone ułożenie lin. Na pierwszy rzut oka wyglądało idealnie, lecz Attyk szybko zauważył błąd, który się ujawni, dopiero kiedy marynarze spróbują podnieść żagiel. Pod nadzorem bosmana założono olinowanie w złej kolejności i reja się splącze, kiedy tylko załoga za nią pociągnie. Attyk pokręcił głową. Ludzie po prostu nie byli jeszcze gotowi.

Pośpiech żeglarzy wyjaśniało to, co działo się dookoła okrętu. Przed każdą galerą niewolnicy układali na ubitym piasku cylindryczne kłody, które ciągnęły się na sto kroków przed okrętami i prowadziły do linii wody, teraz dość odległej z powodu odpływu. Galery były zawieszane dobre pół metra nad podłożem na drewnianych ramach, które podtrzymywały kadłuby podczas budowy, i w tę przerwę też wsunięto kłody,

zostawiając nad nimi szczelinę o szerokości dłoni. Kiedy ostatnie bale znalazły się już na miejscu przed okrętem znajdującym się najbliżej Attyka i Lucjusza, rozległy się trzaski batów i niewolnicy – co najmniej trzystu – chwycili liny uwiązane do galery. Z wielkim wysiłkiem pociągnęli okręt do przodu, co złamało deski tworzące ramę, a galera opadła z hukiem na leżące tuż pod nią kłody. Podbiegli kolejni niewolnicy, aby uprzętać większość połamanych kawałków drewna, a galera zaczęła sunąć przed siebie w stronę wody, w czym pomagało łagodne nachylenie plaży. Dla Attyka było jasne, że w ciągu godziny wszystkie dwadzieścia galer znajdzie się na krańcu plaży i tam będzie czekać na przyływ, który uwolni je od lądu.

Dwaj ludzie z *Aquili* byli tak pochłonięci rozgrywającą się przed nimi sceną, że nie zauważyli jeźdźców stojących pięćdziesiąt kroków za nimi, którzy też przyglądali się przygotowaniom floty. Scypion odwrócił się do Tuditanusa.

– Dobrze się spisałeś, prefekcie.

Tuditanus uniósł brew na ten niespotykany ze strony Scypiona komplement, choć zrobił to tak, aby jego rozmówca nie zauważył.

– Dziękuję, konsulu. Wysłałem wiadomość do obozu legionistów, aby ludzie się szykowali. W tych okolicach przyływ następuje szybko, więc galery będą na wodzie w ciągu trzech godzin.

– Świetnie – odparł Scypion, znów obojętnym tonem i z kamienną twarzą. Obliczył w myślach czas. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, przed południem opłynie cypel w Ostii.

Demades stał na baczność, kiedy przedstawiano mu jego zadanie. Nie był wojskowym – co więcej, przez całe swoje czterdziestoletnie życie ani razu nie trzymał oreża w rękę – ta pozycja jednak wydawała się odpowiednia, biorąc pod uwagę rangę człowieka, który do niego mówił. Kartagiński admirał przybył niespodziewanie godzinę wcześniej i Demades popędził ze swojej rezydencji do siedziby rady, przez całą drogę spodziewając się najgorszego. Nie był w stanie pojąć, dlaczego Hannibal Gisko mógłby chcieć odwiedzić małą wyspę.

Lipara – która dzieliła nazwę z jedynym na niej miastem – leżała dwadzieścia cztery mile od północnego wybrzeża Sycylii i była największą z grupy ośmiu wysp. Była zamieszkała od pradawnych czasów, głównie z powodu twardego, czarnego szkliwa wulkanicznego, obsydianu, który obficie tam występował. Mieszkańcy stałego lądu cenili ostre krawędzie tnące obsydianu i jego sprzedaż zamieniła małą znaczącą skądinąd wyspę w ważny ośrodek handlu. Pojawienie się żelaza wyparło obsydian, lecz wyspiarze przystosowali się do tej zmiany i teraz sprzedawali pumeks wulkaniczny zamożnym mieszkańcom republiki rzymskiej.

Przybycie Kartagińczyków na Liparę, które nastąpiło

dwa lata wcześniej, spotkało się początkowo z wielką konsternacją miejscowych, a szczególnie przywódcy rady, Demadesa, który uznał je za zwiastun końca handlu prowadzonego przez wyspiarzy oraz rady nimi rządzącej. W ostatecznym rozrachunku Kartagińczycy wywarli niewielki wpływ na życie zwykłych ludzi, którzy po prostu zmienili przebieg swoich szlaków handlowych tak, aby obsługiwały imperium Punijczyków. Jednak jeszcze nigdy wcześniej w mieście nie pojawiła się żadna ważna postać z Kartaginy, nie wspominając nawet o głównodowodzącym całej jej armii i floty. To właśnie z tego powodu Demades osobiście stawiał się przed admirałem, jak przystało na dowódcę spotykającego się z dowódcą. Próbował wziąć górę podczas spotkania – ostatecznie Lipara była jego miastem, a on był przywódcą rady – lecz Gisko bardzo szybko nagiął go do swojej żelaznej woli i od tej pory zastraszonego Demades słuchał go w milczeniu.

– Proszę o wybaczenie, admirale... co mam zrobić? – upewnił się Demades, kiedy Gisko dotarł już do sedna swojego planu.

– Chcę, żebyś udał się do Rzymu i ogłosił senatowi, że Lipara chce przejść na jego stronę – powtórzył Gisko, zirytowany stojącym przed nim niewydarzonym głupcem.

Spotkał już wielu ludzi pokroju Demadesa i wszyscy okazywali się tacy sami: grube ryby w małych stawach. Dopiero po pojawieniu się jeszcze grubszych ryb ludzie ci zdawali sobie sprawę, że ich władza nad małym miastem

nie ma znaczenia w porównaniu z wojskową potęgą imperium takiego jak Kartagina. Gisko zauważył jednak, że nawet w obliczu tego faktu nie przestawali oni kurczowo trzymać się wrażenia, że są mu jakimś sposobem równi. Nie byli; był już w przeszłości zmuszony przelać krew, żeby to udowodnić. Nie zabił Demadesa na miejscu i nie zastąpił go swoją marionetką tylko dlatego, że przywódca rady odwiedził już kiedyś Rzym i wszyscy kupcy znali jego twarz. Zaświadczą oni, że Demades naprawdę jest dowódcą Lipary. Wiarygodność była konieczna, jeśli chodziło o przekonanie senatu.

– Admirale, przecież Lipara zawsze była lojalna względem Kartaginy. Nigdy nie daliśmy namiestnikowi żadnych powodów do troski. Nie rozumiem – powiedział Demades.

– Nie musisz rozumieć – warknął Gisko. – Poprosisz senat, aby wysłał oddział, który wyzwoli twoje miasto, i powiesz, że my, Kartagińczycy, sparaliżowaliśmy wasz handel, a ludzie są więźniami na wyspie.

– Ale... ale... tak nie jest, admirale. Nasz handel rozkwitł pod waszymi łaskawymi rządami, a miasto się rozwinęło. Zapewniam cię, że nie chcemy zostać częścią Rzymu.

Demades zaczął panikować. Desperacko chciał być posłuszny admirałowi, ale nie pojmował jego żądań. Czy Kartagińczycy naprawdę porzucą wyspę? Jeśli tak, dlaczego mieliby chcieć, żeby Rzymianie przejęli Liparę?

Dlaczego po prostu nie odpłyną?

– Jesteś głupcem, Demadesie – syknął Gisko, tracąc cierpliwość. – Udasz się do Rzymu i dostarczysz wiadomość, którą ci przekazałem.

Demades kiwnął głową, wciąż z wyrazem niezrozumienia na twarzy.

– Kronos! – krzyknął admirał w stronę drzwi rysujących się za Demadesem.

Dowódca straży wszedł do pomieszczenia i stanął na baczność.

– Demadesie – ciągnął admirał – oto Kronos. Pojedzie z tobą do Rzymu wraz z czterema ludźmi z mojej osobistej straży. Będą podróżować jako twoja straż i nie odstąpią cię ani na krok.

Radny zerknął na potężnego Kronosa, przesuwając wzrokiem od jego obojętnej twarzy do miecza wiszącego luźno u pasa. Na słowa admirała ponownie spojrzął na niego.

– Jeśli piśniesz choć słowo ponad to, co kazałem ci przekazać senatowi, Kronos cię zabije, lecz przedtem wyśle mi wiadomość o twojej zdradzie. Jeśli otrzymam taką wieść, osobiście zgładzę twoją żonę i dwie córki.

W oczach admirała widać było, że nie jest to czcza groźba, a Demades prawie stracił kontrolę nad pęcherzem. Czuł niemal niemęskie przerażenie. Kiwnął głową na znak, że zrozumiał, ponieważ nie ufał swojemu głosowi.

– Odprowadzić go – rozkazał Gisko, a Kronos

wypchnął radnego z komnaty, po czym poszedł wraz z nim na nabrzeże. Barka handlowa szykowała się do wypłynięcia, a Demadesa popędzono na pokład.

– Nie mogę teraz odjechać – protestował radny. – Co z moją rodziną? Muszę z nią pomówić.

– Zabrać go pod pokład – odpowiedział jedynie Kronos, na co szorstkie ręce schwyciły Demadesa i zaprowadziły go do głównej kabiny.

Barka oddaliła się od brzegu, a sternik wybrał kurs na północ, do Rzymu.

Co za widok, pomyślał Attyk, kiedy pierwsza z dwudziestu galer niezgrabnie przedarła się przez fale przyboju na spokojniejsze wody za nimi. Trudno było uwierzyć, że od czasu, kiedy na pustej niegdyś plaży zaczęła się budowa floty, minęło tylko dwa i pół tygodnia. Okręty po kolei wypłynęły na łagodnie falujące morze, po czym opuszczono wiosła do płytkiej wody i wydano rozkazy do wyruszenia. Biorąc pod uwagę, że niewolnicy na galerach nigdy wcześniej nie obsługiwali wiosła, wyczyn ten robił wrażenie. Attyk był dumny z doboszy, którzy musieli zaprowadzić porządek w chaosie panującym zapewne pod pokładem. Udane wodowanie każdego statku witały wiwaty zarówno ludzi stojących na plaży, jak i tych na pokładach, i nie sposób było nie czuć podziwu na widok tego, co osiągnięto w tak krótkim czasie.

Septymus stał z dala od Attyka na pokładzie

rufowym. Jak wszyscy żołnierze piechoty morskiej stacjonujący teraz na galerach był w pełnym rynsztunku bojowym, co miało być demonstracją siły dla kupców z Ostii. Fakt, że dzielił dowodzenie z kapitanem, zmusił go do powrotu na galere, więc zapanował między nimi niełatwy rozejm – nie rozmawiali o swoim sporze, ale też żaden z nich o nim nie zapomniął.

Attyk spojrzął na plażę ciągnącą się na północ i trzymilowy odcinek wybrzeża, gdzie kończono już ramy pod budowę kolejnych pięćdziesięciu okrętów. W ciągu minionego tygodnia liczba mieszkańców obozu gwałtownie wzrosła, więc teraz rybacka wioska Fiumicino była bardziej zaludniona niż większość miast. Attyk oceniał, że kolejne pięćdziesiąt rzymskich galer trafi na morze w ciągu niecałych trzech tygodni. Każdy z okrętów będzie trzeba obsadzić kompetentną załogą.

Kiedy galery ruszyły przed siebie, do ich szyku wślizgnęła się *Aquila* oraz dwie galery z floty Ostii, *Neptun* i *Asklepios*. Wszystkimi trzema dowodził *Mars*, zwodowany w pierwszej kolejności, który został mianowany okrętem flagowym floty. To na nim płynął Scypion – jego postawną sylwetkę na dziobie mogli zobaczyć wszyscy ludzie ze statków płynących w awangardzie. Attyk uśmiechnął się, kiedy go dostrzegł. Wiedział, że jeśli *Mars* napotka tego dnia kartagińską galere, Scypion natychmiast zostanie wyrzucony ze swojego honorowego miejsca.

Fortuna jest dla mnie łaskawa, pomyślał uszczęśliwiony Fulfidiasz, kiedy jego galera przygotowywała się do skrętu na południe, do portu w Ostii. Ledwie kilka godzin wcześniej był w tak samo ponurym nastroju jak przez poprzednie dwa tygodnie. Wcześniej, rankiem, stał na pokładzie rufowym tkwiącej wciąż na plaży galery i wykrzykiwał rozkazy pod adresem swojej nowej załogi, naskakując na każdego, kto znalazł się w zasięgu jego ostrego języka. Humor zmienił mu się w chwili, kiedy odpowiedział na wezwanie do namiotu prefekta.

Nigdy wcześniej nie rozmawiał z Tuditanusem, lecz wszyscy znali jego napawającą strachem reputację, a Fulfidiasz z niepokojem zastanawiał się, dlaczego został wezwany. Ten niepokój jeszcze wzrósł, kiedy się okazało, że na spotkaniu obecny jest sam starszy konsul Scypion. Obaj zasypali go pytaniami, głównie dotyczącymi jego doświadczenia w pływaniu na statkach handlowych i tego, czy jego interesy w Rzymie były zgodne z prawem. Na oba tematy Fulfidiasz wypowiedział się z dumą i pewnością siebie. Wtedy Scypion ogłosił, że jego galera, *Salvia*, otrzyma nową nazwę – *Mars* – i zostanie okrętem flagowym nowej floty.

Fulfidiasz spojrział teraz na Scypiona stojącego samotnie na pokładzie dziobowym. Zachodził w głowę, czy powinien dołączyć do konsula, lecz w końcu postanowił tego nie robić, przypomniawszy sobie, jaki chłód okazywał wszystkim Scypion od czasu wejścia na

pokład. Nieważne, pomyślał Fulfidiasz, jest jeszcze mnóstwo czasu na nawiązanie kontaktu z najpotężniejszym człowiekiem w republice. Kupiec wiedział, że Scypion otworzy przed nim nowe możliwości, które z pewnością ujawnią niewiarygodne szanse na zysk. W myśli wyraźnie słyszał szum koła Fortuny, które obracało się na jego korzyść.

Scypion nie zważał na to, że na jego twarzy lekko rozpryskuje się woda, a wilgotną togę przykleja mu do skóry ciepły wiatr. Powiedziano mu, że podróż do Ostii zajmie nie więcej niż pół godziny, więc postanowił spędzić cały ten czas na dziobie prowadzącego okrętu, w najbardziej widocznym punkcie nowo utworzonej floty.

Grupa dwudziestu trzech galer płynąca ruchliwym szlakiem wodnym przyciągała zdumione spojrzenia załóg oraz pasażerów innych jednostek, i wszyscy zauważali przypominającą posąg postać Rzymianina na pokładzie pierwszego okrętu. Scypion wiedział, że to tylko przedsmak tego, co spotka go w tętniącym życiem porcie. Zerknął przez ramię na triremy płynące w szyku za nim. Faktycznie robiły wrażenie – jeszcze nigdy nie widział niczego podobnego – i z pewnością dla każdego w Ostii i Rzymie będą symbolem potęgi.

Scypion zwrócił też uwagę na trzy galery ze stałej floty. Płynęły pośrodku formacji, w zwartym szeregu, precyzyjnie ustawione, pod kontrolą. To zdecydowanie wyróżniało je na tle otaczających je okrętów, które, jak

się wydawało, wiele kosztowało utrzymanie choćby pozorów takiej samej dyscypliny. Konsul zastanawiał się wcześniej, czy okrętem flagowym nie powinna być jedna z doświadczonych galer, lecz zrezygnował z tego pomysłu. „Stara” flota stanowiła już znajomy widok, a zbudowali ją nikomu nieznani, zapomniani ludzie. Nowa flota należała do Scypiona i jeśli chciał odcisnąć na galerach piętno swojej władzy i autorytetu, musiał te dwie rzeczy wyraźnie zaznaczyć. Nadanie jednemu z nowych okrętów funkcji statku flagowego było pierwszym krokiem w tym celu.

Grupa galer opłynęła północny cypel portu w Ostii wraz z nadejściem południa. Wiosenne słońce świeciło z bezchmurnego nieba, a w falujących wodach zatoki odbijały się jego niezliczone promienie. Kiedy pojawiały się kolejne galery, pierwszą reakcją na nabrzeżu było przerażenie. Krążące od tygodni plotki o punickiej hordzie napełniły dusze kupców strachem i teraz odnieśli wrażenie, że wróg naciera na samo serce republiki.

Początkowy lęk i konsternacja powoli ustąpiły wielkiej radości, kiedy wszyscy rozpoznali rzymskie sztandary powiewające na masztach i zdali sobie sprawę, że nadciągające galery to nie zwiastuny zniszczenia, lecz obiecani wybawiciele, którzy będą w imię Rzymu krążyć po morzach. Wieść szybko się rozniosła i wkrótce na brzegu stali prawie wszyscy mieszkańcy Ostii, witając powrót bezpieczeństwa i pewności wiewatami oraz machaniem rąk.

Zbliżając się do brzegu, statki zmieniły formację na szereg, aby stworzyć iluzję, że jest ich więcej, więc gapie w porcie musieli obracać głowy, aby objąć wzrokiem całe to widowisko. Dwieście kroków od lądu galery zatrzymały się w szyku i tylko środkowy statek, ten, który wcześniej płynął na czele, sunął dalej. Wcześniej niektórzy zauważyli już samotnego, wysokiego mężczyznę na dziobie triremy, lecz teraz, gdy docierała do brzegu, skupili na nim wzrok wszyscy. Wiwaty trwały dalej, teraz ze zdwojoną energią, ponieważ zidentyfikowano już dowódcę, człowieka, który uosabiał potęgę zebranych galer.

Na kilka kroków przed celem *Mars* przechylił się mocno na bakburcie, aby zbliżyć się równolegle do nabrzeża. Ten płynny ruch zadawał kłam złożoności manewru; doświadczony kapitan galery sprawił, że wyglądał on na niewymagający wysiłku. Na brzeg rzucono cumy, a ludzie chwycili je gorliwie, aby przyciągnąć okręt. Wiosła wciągnięto na pokład i szybko opuszczono trap, po którym zbiegło dziesięciu pretorianów w czarnych pelerynach, którzy odepchnęli tłum i utworzyli półkolistą wolną przestrzeń u stóp kładki. Dopiero wtedy u jej szczytu pojawił się Scypion. Stał w miejscu, napawając się frenetycznymi wiewatami i wykrzykiwanymi pochwałami. Kiedy zaczęły słabnąć, rozłożył ramiona, prosząc o ciszę. Zebrani się nachylili.

– Kwiryci! – krzyknął Scypion, a jego słowa poniosły się z łatwością nad głowami milczącego już tłumy. – Nasi

przodkowie mieli ambicję... nadzieję!... że uda się im zanieść światło naszej republiki z centrum Rzymu na krańce świata, aby wszyscy mogli żyć w pokoju i dostatku. Od setek lat każde kolejne pokolenie przejmowało tę pochodnię od poprzedniego. Każde pokolenie poszerzało granice republiki. Teraz nadeszła nasza kolej i jest to nasz obowiązek.

Tłum nachylił się jeszcze bardziej, spijając konsulowi słowa z ust.

– Przedsięwzięcie to nie zapewnia zwycięstw i nie gwarantuje sukcesów. Wymaga ono poświęceń i cierpień, a może nawet śmierci od tych, którzy niosą ową pochodnię poza granice naszej republiki.

Cizba chłonęła jego słowa w całkowitym milczeniu i słychać było wyłącznie uderzenia fal o brzeg oraz krzyki mew latających nad tłumem. Część ludzi rozpoznawała Scypiona, lecz większość nie wiedziała, kim jest.

– Miesiąc temu pojawił się nowy wróg, aby zagrozić naszej republice i temu, jak żyjemy, dziki, brutalny wróg, który z prędkością błyskawicy odciął od świata walecznych ludzi niosących światło Rzymu uciśnionemu ludowi Sycylii. To bezlitosny przeciwnik i jeśli nikt go nie powstrzyma, z pewnością przybędzie pod bramy samego Rzymu!

Tłuszcza jęknęła z rozpacz na tę myśl, a wielu ludzi przypomniało sobie straszliwy lęk, który poczuli ledwie chwilę wcześniej.

– Nie obawiajcie się jednak, pobratymcy! Senat

usłyszał wasz krzyk i nań odpowiedział. Ja usłyszałem wasz krzyk i odpowiedziałem. Stoję oto przed wami na progu nowej ery naszej wspaniałej republiki, ery wznowionej ekspansji i zamożności. Z pomocą floty zgromadzonej przed wami i kolejnych dziesiątek galer, które są w budowie, zmiotę wroga z naszych wybrzeży i mórz. Uwolnię Sycylię i otworzę jej porty dla Rzymu. Powiększę granice republiki. Ja, Gnejusz Korneliusz Scypion, uczynię was, obywateli Rzymu, panami mórz!

Słowa te trafiły do serc zebranych, którzy wydali z siebie potężny ryk. Nad Scypionem załamała się fala dźwięku, a jego serce urosło z dumy, kiedy tysiące głosów zaczęły wykrzykiwać jego imię. Uniósł triumfalnie zaciśniętą pięść w klasycznej pozie zwycięzcy, a hałas jeszcze się zwiększył. Perspektywa przejęcia inicjatywy w walce z wrogiem roznieciła w ludziach żądzę krwi.

Scypion pozwolił im wiwatować. Na jego twarzy widać było wyłącznie władcze poczucie siły, odpowiednie dla jego pozycji, lecz w duchu śmiał się z ich łatwowierności. Ludzie ci byli bezmyślnym motłochem. Nazwał ich pobratymcami, lecz nie czuł z nimi żadnej więzi. Nie dorastali mu do pięt, a Scypiona mierziło nawet to, że musi oddychać tym samym powietrzem co oni.

Wiedział jednak, że musi wykorzystać ich siłę, a to oznaczało konieczność mówienia na ich poziomie, o wspólnym bogactwie i dobrobycie, o wspaniałej

przyszłości i bezpieczeństwie. Zatrudnił sześciu greckich retorów, najlepszych, jakich mógł wynająć za pieniądze, aby przemawiali w jego imieniu na wszystkich forach w Rzymie. Mieli powtarzać obietnicę Scypiona dotyczącą utrzymania wroga z dala od Rzymu oraz dopilnować, żeby imię konsula rozbrzmiewało na każdym rogu miasta, było na ustach i w myślach wszystkich.

Zanim gotowa będzie cała flota, cały Rzym zdąży się już dowiedzieć, kto dowodzi potęgą republiki. Duiliusz popłynie z flotą, ale nikt nie będzie znał jego imienia. Ludzie zapamiętają tylko Scypiona. Poprowadzi galery na południe i zniszczy Kartagińczyków, nad którymi będzie miał przewagę liczebną. Następnie dokończy podbój Sycylii.

Kiedy tłum wiwatował, Scypion wyobrażał sobie ten sam dźwięk stokrotnie zwielokrotniony. Wyobrażał sobie ulice Rzymu i ustawione wzdłuż nich pełne uwielbienia tłumy podczas jego triumfalnego pochodu do kurii. Wyobrażał sobie, jak otrzymuje *corona graminea*, wieniec z trawy, najwyższe wojskowe odznaczenie w republice, przyznawane tylko tym, którzy uratowali obleganą armię.

Scypion obrzucił wzrokiem uniesione twarze krzyczącego radośnie tłumu. Ludzie kochali go jako przywódcę, ponieważ ofiarował im władzę nad światem. W przyszłości, kiedy już im ją dostarczy, będą go wielbić niczym boga.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Siedząc w głównej kabinie, Demades wyraźnie usłyszał okrzyk z bocianiego gniazda. Na horyzoncie pojawiła się Ostia. Poszedł na prawą stronę kabiny i uniósł luk, aby wyrzeć na ruchliwe szlaki wodne prowadzące do rzymskiego portu. Od ostrego słońca zaczęły mu łzawić oczy i zamrugał. Nie widział światła dziennego od dwóch dni, kiedy okręt wyruszył z Lipary.

Demades spędził całą podróż w kabinie. Na początku trzymano go tam siłą, a na jego żądania, żeby go wypuszczono, nie dochodziła zza zaryglowanych drzwi żadna odpowiedź. Wiele godzin drogi od lądu Kronos w końcu otworzył kabinę. Demades natychmiast wznowił protesty, domagając się, aby okręt wrócił do Lipary, lecz dowódca straży go po prostu zignorował. Wyszedł bez słowa, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Na galerze wroga i na pełnym morzu zamykanie ich nie miało sensu. Demades zatrzasnął drzwi buntowniczo i został w środku przez resztę przeprawy.

Na początku jego myśli krążyły dookoła tego, jak niesprawiedliwie go potraktowano. Rozgoryczenie i poczucie beznadziei szybko ustąpiły strachowi, nie tylko przed Kronosem i groźbami admirała, ale też przed Rzymianami. Zdał sobie sprawę, że Kartagińczycy zastawiają na Rzymian jakąś pułapkę, i choć nie miał pojęcia, jak dokładnie będzie ona wyglądać, wiedział, że

jego miasto posłuży jako przynęta. Ponieważ to on przedstawi Rzymianom wabik, jego zaangażowanie w całą sprawę będzie konieczne dla powodzenia zasadzki. Trafił między dwie walczące ze sobą siły, a kiedy sobie to uświadomił, zrobiło mu się słabo. Cokolwiek zrobi – czy wyda Kartagińczyków Rzymianom czy na odwrót – on i jego rodzina zginą, jeśli nie znajdzie sposobu na uniknięcie swojego fatum.

Attyk patrzył, jak Gajusz przesuwając ster na bakburcie, a *Aquila* skręca zgrabnie dookoła cypla i wpływa do portu w Ostii. Sternik wyprostował rumpel i dokonał korekty kursu na *castrum*, gdzie tłoczyło się teraz dwadzieścia galer nowo utworzonej floty rzymskiej, *classis Romana*.

Wyglądało na to, że widok zakotwiczonej floty ożywił działalność kupców w porcie, jakby sama obecność galer zlikwidowała kartagińskie zagrożenie na południu. Statki handlowe pewnie i zdecydowanie wypływały do odległych portów nad brzegami Morza Śródziemnego, pchane wiatrem od lądu. Trasa *Aquili* prowadziła przez najbardziej zatłoczone części portu, lecz w odróżnieniu od wcześniejszych okazji, kiedy musiała wymijać inne statki, teraz to one ustępowały jej drogi.

Podróż do Ostii rozkazał Attykowi Tuditanus, aby kapitan mógł dalej szkolić dowódców nowej floty; ten nie był zbyt zachwycony owym zadaniem, ponieważ jego uczniowie byli teraz kapitanami własnych jednostek i nie podlegali jego rozkazom. Attyk miał przeczucie, że będą

jeszcze mniej otwarci na jego nauki niż wcześniej, a biorąc pod uwagę, że już wtedy część jawnie gardziła jakąkolwiek współpracą, losy dalszej musztry zależały niemal całkowicie od tego, czy żywili odrobinę szacunku dla jego doświadczenia. Wiedział, że w wielu wypadkach nie może się go w ogóle spodziewać.

Do Ostii przybył także Septymus. Dołączył do swojego *optio*, Kwintusa, dzień wcześniej, i kiedy *Aquila* zbliżała się do nabrzeża, Attyk dostrzegł znajomą sylwetkę centuriona stojącego obok swojego kolegi z piątego manipułu Czwartego legionu.

Podczas szkolenia tego dnia mieli uczyć legionistów technik związanych z abordażem pod przykrywką demonstrowania im, jak Kartagińczycy wchodzą na pokłady galer wroga. Żołnierze pierwszy raz zetkną się z abordażem i choć stanie się to na spokojnych wodach i bez ciężkiego ekwipunku bojowego, próba ta będzie realistyczna. Dowódcy mieli nadzieję, że przyspieszy to proces uczenia się. *Aquila* dotarła do brzegu i opuszczono trap, aby pozwolić ludziom wejść na pokład. Wbiegli po kładce gęsiego. Żaden z nich nie wyglądał na zbyt podekscytowanego tym, co go czeka.

Sto kroków dalej do zatłoczonego nabrzeża przybił statek z ludźmi z Lipary na pokładzie. Na szczycie trapu stał Kronos wraz z kapitanem barki.

– Jeśli nie wrócimy, masz popłynąć prosto do Lipary i poinformować admirała, że nas zdradzono.

Kapitan kiwnął głową, a Kronos odwrócił się do

Demadesa.

– Pamiętaj, że choć będziesz miał okazję nas wydać, kiedy już dotrzemy do miasta, nie będziesz w stanie powstrzymać tej barki przed odpłynięciem z wiadomością o tym. Jeśli wieść ta dotrze do admirała, twoja rodzina od razu zginie.

Demades przytaknął i widać było, że jest przerażony i świetnie rozumie sytuację. Kronos zszedł na ląd, a za nim podążał ponury, milczący Demades i czteroosobowa straż przyboczna, którą Gisko przekazał radnemu. Kiedy wszyscy stanęli na brzegu, trap wsunięto na pokład, a okręt oddalił się od tłoczego nabrzeża, aby zrobić miejsce kolejnej jednostce.

– Poczekaj tutaj – rozkazał Kronos i odmaszerował sam w stronę stajni, aby wynająć konie na podróż do Rzymu.

Demades stał między czujnymi wartownikami, odcięty przez nich od tętniącego życiem świata dookoła. Przesuwając wzrokiem po wodach portu, zauważył galereę wpływającą pospiesznie do *castrum*. Na jej widok zabrakło mu tchu i zaczęło mu walić serce: rozpoznał proporzec powiewający na maszcie. Widniał na nim orzeł w locie, ptak, od którego nazwę wzięła owa galera.

– *Aquila* – szepnął pod nosem, ledwie wierząc własnym oczom. Nie widział tego okrętu od ponad dwóch lat, od czasu, kiedy Lipara dostała się w ręce Kartagińczyków. Miasto zawsze stanowiło główny cel ataków piratów, którzy grasowali wzdłuż północnych

wybrzeży Sycylii, *Aquilę* więc witano w porcie z radością. Demades nawet dobrze znał jej kapitana.

– Idziemy.

Niespodziewany rozkaz wdarł się w myśli Demadesa. Mężczyzna odwrócił się i zobaczył, że Kronos znów nad nim góruje. Kartagińczyk chwycił radnego za ramię i poprowadził go przez tłum w stronę stajni. Demades musiał iść dość żwawo, aby dotrzymać kroku wyższemu od siebie mężczyźnie, i choć przy tym tempie trudno mu było się obejrzeć przez ramię, nie potrafił oprzeć się pokusie, żeby to zrobić. Na widok galery zapłonęła w nim iskierka nadziei, której nie pozwolił zgasnąć podczas szalonego galopu do Rzymu.

Scypion siedział w milczeniu, kiedy Duiliusz wygłaszał swoją replikę. Czuł podziw dla młodszego konsula, co było u niego rzadkie, lecz – biorąc pod uwagę temat debaty – uczucie to było jego zdaniem uzasadnione. Nie brał udziału w samej dyskusji, lecz potajemnie zaaranżował włączenie jej do porządku dziennego rozmów senatu. Był z tego bardzo zadowolony ze względu na niewygodną pozycję, w jakiej debata stawiała Duiliusza.

Senat rozprawiał nad nałożeniem podatków finansujących budowę nowej floty, a konkretnie nowym podatkiem obciążającym sprzedaż płodów rolnych na targach. Jeśli zostałby wprowadzony, dyplomatycznie nazwano by go „podatkiem ratunkowym”, w odniesieniu

do legionów uwięzionych przez blokadę na Sycylii. Senat miał nadzieję, że dzięki tej nazwie lud łatwiej się z nim pogodzi. Część podatku płaciłby kupujący, a część – sprzedający. Ponieważ Duiliusz był największym dostawcą w mieście, w razie przyjęcia podatku czekały go duże straty, szczególnie jeśli to handlarz będzie musiał uiścić większą jego część. To stawiało Duiliusza w sytuacji bez wyjścia. Jeśli sprzeciwi się podatkowi, zrobi wrażenie niepatriotycznego, natomiast zgoda na jego nałożenie bez żadnych warunków skończy się tym, że będzie musiał wziąć na siebie lwią część kosztu nowej floty. Scypionowi sprawiało wielką przyjemność przyglądanie się politycznej akrobatyce, do której zmuszony był teraz młodszy konsul.

Duiliusz wrócił na miejsce, inny senator wstał, aby zabrać głos, i debata trwała dalej. Wtedy właśnie Scypion zauważył, że Longus idzie przez komnatę w stronę człowieka, który pojawił się przy wejściu do kurii. Dobrze pamiętał niskiego rangą senatora i jego wykutą na pamięć mówkę, która rozpoczęła dziesięciodniowe rozważania dotyczące tego, czy należy zbudować flotę.

– Radny Demades? – spytał Longus, kiedy podszedł do mężczyzny, upewniając się, czy dobrze go rozpoznał z drugiego końca komnaty.

– Senatorze – odparł Demades. Poczował ulgę na widok znajomej twarzy.

Podczas tej jednej okazji, kiedy Demades przemawiał

przed senatem, Longus przysłuchiwał się jako przedstawiciel senackiej komisji odpowiedzialnej za handel z Wyspami Eolskimi, do których należała Lipara. Podobnie jak radny z Lipary, młody senator traktował swoje obowiązki bardzo poważnie i między mężczyznami zadzierzgnęła się więź. Teraz Demades uchwycił się kurczowo tej znajomości, próbując zachować zimną krew.

– Muszę natychmiast porozmawiać ze starszym konsulem – powiedział Demades, po czym obejrzał się przez ramię na Kronosa stojącego przed ozdobionym kolumnami wejściem.

Tak jak uzbrojonym wartownikom Kronosowi drogę do wnętrza zastąpiła straż senatu. Krótkie chwile spędzone z dala od nich dodały Demadesowi odwagi i zastanawiał się, czy nie zawiadomić Longusa o ich prawdziwej tożsamości, lecz Kronos niemal niezauważalnie pokręcił głową, jakby czytał mu w myślach, więc Demades porzucił ten pomysł i wrócił do odgrywania swojej roli w planie Kartagińczyków. Bezpieczeństwo jego i jego rodziny było najważniejsze.

– O co chodzi? – spytał Longus. Wyczuwał obawę Demadesa, lecz odnosił się podejrzliwie do człowieka, który niegdyś był sprzymierzeńcem, a teraz przybywał z wyspy znajdującej się pod kontrolą wroga.

– Lipara pragnie zawrzeć sojusz z Rzymem – wyrzucił z siebie Demades.

– Co? – spytał z niedowierzaniem Longus. – Jesteś pewien?

– Tak, oczywiście, że jestem pewien – odparł zdecydowanym głosem radny. Strach odbierał mu rozum.

Longusa zaskoczyło nietypowe dla jego rozmówcy przejęcie, lecz uznał je za pozbawione znaczenia. Jeśli to, co mówił, było prawdą, Rzym miał szansę zyskać wielką strategiczną przewagę nad przeciwnikiem. Radny pytał o starszego konsula, lecz Longus nie miał zamiaru informować Scypiona. Lojalny był przede wszystkim względem Duiliusza.

– Poczekaj tutaj – powiedział. Odwrócił się, żeby wrócić do komnaty, i natychmiast zderzył się ze Scypionem, który nagle wyszedł zza filara.

– Nie musisz mnie szukać, Longusie – powiedział konsul zjadliwym tonem, świadczącym o tym, że wie, iż młody senator wcale nie szedł dostarczyć wiadomości jemu, a na pewno nie zanim usłyszy ją Duiliusz. – Pójdź ze mną – polecił i wyminął Longusa, prowadząc Demadesa przez niskie, sklepione przejście do westybulu. Longus mógł się tylko przyglądać ze złością, jak radny odchodzi. Dopiero kiedy obaj mężczyźni zniknęli mu z oczu, oprzytomniał i pobiegł do zatłoczonej komnaty.

– Dlaczego? – spytał Scypion, usiłując zachować obojętną minę i utrzymać narastającą ekscytację pod kontrolą.

Przysłuchiwał się, jak Demades wylicza powody zdrady, które kazał mu przedstawić Gisko. Były wiarygodne, choć Scypion byłby zadowolony, nawet

gdyby nie usłyszał ani jednego. Dla niego choćby szansa na zwycięstwo była aż nazbyt wielką pokusą. Zmuszał się do trzeźwego przemyślenia propozycji.

Szansa ta była niemal zbyt piękna, żeby być prawdziwą. Według Demadesa wyspa była do wzięcia. W mieście znajdował się tylko mały kartagiński garnizon, a na wodach dookoła nie było ani śladu floty. Byłoby to pierwsze zwycięstwo nowej floty – małe, ponieważ łatwe, lecz spore, biorąc pod uwagę strategiczne położenie wyspy jako bazy wypadowej u północnego wybrzeża Sycylii. Co ważniejsze, byłoby to pierwsze zwycięstwo Scypiona i pierwszy krok na jego drodze do władzy absolutnej. Mogłoby to nawet pomóc legionom, pomyślał sardonicznie.

Jego rozmyślania przerwało pojawienie się w przedsionku Duiliusza otoczonego małą grupką senatorów, wśród których był Longus.

– Starszy konsulu – zaczął Duiliusz – właśnie usłyszałem wieści.

– Tak, senatorze – odparł Scypion. – Biorąc pod uwagę znaczenie miasta, planuję natychmiast wypłynąć z dwudziestoma galerami nowej floty, aby przejąć kontrolę nad wyspą.

– Senatorze – odpowiedział Duiliusz, namyślając się pośpiesznie – sytuacja jest zbyt groźna, żebyś się narażał. Zgodnie z postanowieniem senatu to ja muszę dowodzić ekspedycją.

– Nie widzę żadnego zagrożenia, Duiliuszu –

powiedział pewnie Scypion. – Wyspa nie jest broniona i chce przejść na naszą stronę. Radny Demades poświadczy, że w okolicy nie ma kartagińskiej floty. Przejęcie wyspy pod naszą ochronę będzie zwykłą formalnością.

– Musimy pozostawić tę decyzję senatowi – powiedział Duiliusz, wiedząc, że podczas obrad ma szansę cofnąć decyzję Scypiona.

– Nie! – Scypion się nagle rozgniewał. – Nie będzie żadnej debaty. Zapominasz się, Duiliuszu. Jako dowódca strategiczny floty ja tu rządę i ustaliłem, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Dlatego też wypłynę natychmiast.

– Muszę zaprotestować, Scypionie – powiedział Duiliusz.

– Protestuj, ile chcesz. Co więcej, daję ci pozwolenie na omówienie mojej decyzji z senatem. Podczas gdy wy będziecie dyskutować o moich działaniach, ja będę w drodze do uwolnienia mieszkańców Lipary.

Z tymi słowy Scypion wyminął bezsilnego Duiliusza i przepchnął się przez grupę senatorów stojącą za młodszym konsulem. Demades odprowadził go wzrokiem. Zastawił pułapkę, a Rzymianie w nią wpadli. Teraz nadszedł czas, aby się ratować.

– Z pewnością nie potrzebujesz w Rzymie straży przybocznej – powiedział Longus, oglądając się nieznacznie przez ramię na pięciu ludzi podążających za

nim i Demadesem.

– Nigdy nic nie wiadomo – odpowiedział pośpiesznie Demades. – Kartagińczycy mogliby uznać wieści, które przywiozłem z Lipary, za zdradę. Potrzebuję ochrony przed zabójcami.

Longus roześmiał się, pewien, że w Rzymie nie ma żadnych Kartagińczyków.

Wcześniej widział, jak Duiliusz wypada z senatu i maszeruje w stronę swojej miejskiej rezydencji. Był wściekły, że jego mentor poniósł porażkę w konfrontacji ze starszym konsulem, i wciąż się zastanawiał, jak może przeciwdziałać postanowieniu Scypiona o popłynięciu na Liparę. Zdał sobie sprawę, że może tylko czekać, aż Duiliusz wezwie go na pomoc, i mieć nadzieję, że kiedy ta chwila nadejdzie, będzie mógł mu się jakoś przysłużyć. Kiedy przedsiónek opustoszał, Longus zauważył samotnego Demadesa, o którym wszyscy zapomnieli pod wpływem chwili. Demades natychmiast podszedł do senatora i poprosił go o pomoc, choć nie chciał wtedy wyjaśnić, co ma na myśli. Longus się zgodził i teraz prowadził radnego do swojego skromnego domu u stóp Palatynu.

Po przybyciu na miejsce Longus wezwał służącego, aby wskazał Demadesowi drogę do pokoi gościnnych, a jego straży przybocznej – do kwater służby.

– Będę ci towarzyszył do twojego pokoju – powiedział nagle dowódca straży Demadesa.

– Będziesz trzymał język za zębami! – ryknął

Longus, zdumiony tą rażącą niesubordynacją.

– Nic się nie stało, senatorze – wypalił zdenerwowanym głosem Demades, robiąc krok do przodu. – Dowódca lęka się jedynie o moje bezpieczeństwo.

– W tych murach absolutnie nic ci nie grozi – odciął się Longus urażony insynuacją, że jego dom nie jest bezpieczny, i zbity z tropu tym, że Demades broni bezczelnego dowódcy – Tak, oczywiście – powiedział Demades, znów między młotem a kowadłem. Jedno zerknięcie na Kronosa upewniło go co do koniecznego sposobu postępowania. – Jednak, Longusie, obiecałem mojej żonie, że zawsze będę miał przy sobie straż. Nie chcę złamać danego jej słowa.

Longus nie odzywał się przez chwilę, zażenowany ewidentną obawą Demadesa i tym, że tak mu zależy na względach żony. Radny zauważył niesmak na twarzy Longusa i przełknął upokorzenie.

– Niech tak będzie – odparł Longus. – Proszę, dołącz do mnie w jadalni, kiedy już się odświeżysz – dodał i odszedł sztywnym krokiem, rozmyślając nad tym, jak bardzo Demades się zmienił od ich ostatniego spotkania.

Kronos poczekał, aż Rzymianin zniknie, zanim odprowadził Demadesa do jego kwatery.

– Bądź przeklęty, Demadesie, co my tutaj robimy? – syknął, popychając radnego na ścianę i przytrzymując go w miejscu ręką przyciśniętą do jego szyi.

– Musiałem przyjść – wybełkotał Demades,

przerażony naciskiem na swoje gardło. – Longus nalegał, abym skorzystał z jego gościny przed podróżą powrotną na Liparę. Odmowę uznałby za zniewagę.

Kronos warknął w odpowiedzi, szukając w głosie Demadesa śladów nieszczerości. Usłyszał tylko strach. Ścisnął ostatni raz i puścił radnego. Demades upadł na ziemię, trąc dłonią obolałe gardło. Patrzył w dół, usiłując ukryć burzę uczuć, które na pewno malowały się na jego twarzy. Wiedział, że gdyby Kronos zaczął choćby przeczuwać, co planuje, zabiłby go w mgnieniu oka.

Na twarzy Septymusa malował się niezmiennie ponury wyraz, gdy któremuś z kolei żołnierzowi nie udało się przeskoczyć z galery na galerę. Na widok jego dłoni desperacko chwytających się relingu część ludzi stojących na pokładzie dziobowym *Aquili* zaczęła wiwatować, a potem żołnierz spadł z wysokości trzech metrów do wody – Ten przynajmniej potrafi pływać – mruknął pod nosem Septymus, przyglądając się, jak mężczyzna zbliża się do czekającej drabinki sznurowej. Wcześniej niewiele brakowało, a straciliby jednego z ludzi, który tak samo jak pozostali wpadł do wody przy akompaniamencie wiwatów zebranych, lecz potem nie wynurzył się natychmiast ponad powierzchnię wody. Dwaj z żeglarzy szybko się zorientowali, co się dzieje, i zanurkowali, aby uratować żołnierza. Septymusowi nigdy nie przyszłoby do głowy, że większość ludzi nie potrafi pływać. On sam uważał tę umiejętność za naturalną, ponieważ nabył ją w

dzieciństwie, w Tybrze.

Zgodnie z oczekiwaniami szkolenie było powolne i żmudne. Ludzie skakali bez mieczy, tarcz czy dodatkowego obciążenia w postaci zbroi, a jednak wielu nie udało się doskoczyć. Byli dzielnymi żołnierzami, w to Septymus nie wątpił, ponieważ Czwarty legion miał reputację straszliwych wojowników, lecz jak wszystkim ludziom postawionym w obliczu nieznajomego zagrożenia brakowało im pewności siebie. Nawet ci, którzy doskoczyli na drugą stronę, lądowali, tracąc równowagę, więc podczas potyczki stanowiliby łatwy łup dla obrońców. Wiele dni potrwa, zanim wszyscy przynajmniej będą w stanie wykonać skok z łatwością. Potem Septymusa czekało jeszcze trudniejsze zadanie nauczania legionistów najważniejszych taktyk koniecznych podczas pierwszych gorączkowych chwil abordażu.

Kiedy wiwaty ucichły, a do skoku przygotowywał się kolejny mężczyzna, Septymus usłyszał głośny rozkaz przywołujący wszystkich do porządku i żołnierze na pokładzie stanęli na baczność. Nie ruszając głową, zerknął w stronę trapu, obstawionego teraz znajomymi i niemile widzianymi pretorianami. Rozstąpili się, a na pokład wszedł Scypion. Starszy konsul obrzucił wzrokiem zebranych ludzi.

– Żołnierze Rzymu – krzyknął, żeby usłyszeli go wszyscy – wypływamy w ciągu godziny. Przygotujcie się do drogi.

Sylanus zasalutował i rozkazał swoim ludziom zejść na ląd. Wypełnili jego komendę jak jeden mąż: przeszli na główny pokład, a stamtąd trapem na brzeg. Za nimi podążyli dowódcy galer, którzy wcześniej słuchali pouczeń Attyka na głównym pokładzie. Septymus podszedł do relingu od strony nabrzeża i spojrzał wzdłuż kei. Pretorianie w czarnych pelerynach rozchodzili się po kolejnych basenach portowych i dostarczali tę samą wiadomość wszystkim załogom. Na okrętach po kolei zaczynała się krzątania. Przy centurionie stanął Attyk.

– Co o tym myślisz? – spytał kapitan zdumiony rozkazem.

– Nie wiem – odparł Septymus, choć obecność samego Scypiona wzbudziła jego niepokój.

– Przygotuj się do wypłynięcia – zwrócił się Attyk do Lucjusza.

– Stać! – dało się nagle słyszeć. Scypion usłyszał wydany przez Attyka rozkaz, zatrzymał się w połowie trapu i okręcił na pięcie. Z wrogą miną wrócił na główny pokład. – Ta galera nie jest częścią *classis Romana* – syknął. – Ten zaszczyt jest zarezerwowany wyłącznie dla nowej floty. Potrzebuję ludzi, którzy bez dyskusji wypełnią każdą moją komendę, ludzi lojalnych względem Rzymu i senatu. Ty i twoja załoga macie zostać w Ostii.

– Jak sobie życzysz, konsulu – odparł Attyk, starając się, żeby jego głos był spokojny.

Scypion odwrócił się i już bez słowa zszedł na ląd.

Attyk i Septymus przyglądali się z pokładu dziobowego *Aquili*, jak *classis Romana* podnosi żagle i kieruje się w stronę ujścia portu. Statki płynęły w luźnej formacji: lepsze załogi wyprzedzały słabsze, choć nikt nie śmiał wyprzedzić płynącego na czele *Marsa*, którym dowodził Scypion. Na głównym pokładzie okrętu flagowego Septymus dostrzegł Sylanusa w towarzystwie połowy jego manipułu. Zasalutował mu, a Sylanus odwzajemnił gest ze skinieniem głowy i odwrócił się od relingu. Na widok ruszającej w drogę floty zarówno ludzie na brzegu, jak i załogi stojących w porcie statków handlowych zaczęli wiwatować, a żeglarze na galerach się przyłączyli, choć nie wiedzieli, dokąd płyną.

Ze względu na bezpieczeństwo kapitanom galer powiedziano jedynie, żeby przygotowali się do wypłynięcia. Nie otrzymali żadnych dodatkowych informacji i miało tak pozostać do czasu, kiedy flota bezpiecznie dotrze na pełne morze. Dopiero wtedy załogi poznają swoją misję. Wiedziały jednak, że okręty zaopatrzone w racje żywnościowe na dwa dni. Samo w sobie nie było to niezwykle – wojskowe galery zawsze miały na pokładzie tygodniowe zapasy – lecz była to pierwsza okazja, kiedy pożywienie załadowano na pokłady; wcześniej ludzie jedli w kantynach w *castrum*. Jeśli zgodnie z ich podejrzeniami płynęli tylko do Fiumicino, po co im były zapasy?

Z punktu widzenia Attyka nie było widać kursu i pozycji płynących na czele statków z za bezładnej

formacji pozostałych galer, lecz kapitan oceniał, że za kilka chwil skręcą na sterburte, w stronę leżącego na północy Fiumicino. Kształt szyku się zmienił, kiedy nastąpiła korekta kursu, a galery obrały nowy kierunek. Attyk nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– Kurs na południe – rozkazał Scypion, kiedy *Mars* wypłynął poza port w Ostii.

Fulfidiasz wydał komendy załodze i odwrócił się, aby się upewnić, czy reszta statków podąża jego śladem.

– Południowy kurs zgodnie z rozkazem, konsulu.

Scypion kiwnął głową, nie spuszczając oczu z floty znajdującej się za nim. Na ten widok serce mu rosło z dumy.

– Płyniemy na Wyspy Eolskie, kapitanie – powiedział Scypion, schodząc z pokładu rufowego.

Myśli Fulfidiasza zaczęły pędzić jak oszalałe, kiedy dotarł do niego ostatni rozkaz. Wyspy Eolskie. Terytorium nieprzyjaciela. Zaledwie godzinę wcześniej z rozbawieniem przyglądał się z głównego pokładu *Aquili* pierwszym katastrofalnym próbom abordażu w wykonaniu legionistów Czwartego. Teraz, kiedy flota wpływała na potencjalnie wrogie wody, Fulfidiasz żałował, że widział ten trening. Wiedział, że z czasem legioniści okażą się jak najbardziej zdolni do prowadzenia bitew morskich, lecz gdyby napotkali przeciwnika podczas obecnej przeprawy, ten czas nigdy by nie nadszedł. Fulfidiasz zdawał sobie sprawę, że jeśli flota

natknie się na Kartagińczyków, jedyną jej szansą na przetrwanie będzie odwrót i ucieczka.

Gajusz Duiliusz krążył samotnie po atrium swojej miejskiej rezydencji, a w głowie miał mętlik. Na próżno usiłował znaleźć sposób, aby znów obrócić sytuację na swoją korzyść. Jeśli pierwsza runda zakończyła się jego zwycięstwem w senacie, druga – triumfalnym przybyciem Scypiona do Ostii, teraz z pewnością toczyła się trzecia, a Scypion znów sięgał po wygraną. Duiliusz przeklinał ustrój, który go teraz paraliżował i sprawiał wrażenie nieustępliwego, choć wcześniej wielokrotnie zdarzyło się konsulowi tak umiejętnie nim manipulować.

Raczej nie można było liczyć na to, że senat unieważni decyzję Scypiona w kwestii popłynięcia na Liparę, i nawet jeśli Duiliszowi udałoby się rozpocząć debatę na jej temat, Scypion zdążyłby przybyć na wyspę, wyzwolić jej mieszkańców, założyć garnizon i triumfalnie wrócić do domu, zanim rzymscy senatorowie byliby gotowi choćby przegłosować sprawę.

Wrócił do pomysłu towarzyszenia flocie, lecz wiedział, że – ponieważ byłby zastępcą głównodowodzącego i z dala od senatu, gdzie cieszył się poparciem – Scypion upokorzyłby go, dając mu dowodzenie nad tylną strażą lub statkiem zwiadowczym. W każdym razie bez pewnej potyczki na horyzoncie Duiliusz nie byłby w stanie przeforsować swojego żądania dotyczącego bycia w awangardzie. Chodząc po

atrium, Duiliusz przeklinał Fortunę za jej kapryśną naturę.

– Daję ci godzinę, Demadesie – powiedział Kronos, wzburzony przymusowym zamknięciem w domu senatora – rozumiesz? Za godzinę masz wymyślić jakąś wymówkę. Powiedz Rzymianinowi, że wyjeżdżamy o świcie.

Demades kiwnął głową, nie ufając swojemu głosowi. Godzina to aż nadto czasu. To, co chciał powiedzieć Longusowi, zajmie tylko kilka chwil.

– I pamiętaj – dodał Kronos – ani słowa nikomu, szczególnie temu senatorowi. Może ci się wydawać, że nic ci nie grozi, kiedy jesteś z dala ode mnie, Demadesie, ale to tylko wrażenie. Jeśli nie wrócimy bezpiecznie na Liparę, twoja rodzina zginie.

Demades bez słowa zostawił Kartagińczyka samego i wyszedł do atrium. Całą uwagę skupił na tym, żeby iść miarowym krokiem. Bał się, że jeśli obejrzy się przez ramię, zobaczy, że Kronos obserwuje każdy jego ruch. Wchodząc do głównej jadalni, zauważył, że zgodnie z protokołem Longus już tam czeka, aby przyjąć gościa. Demades zmusił się do uśmiechu, a senator odpowiedział tym samym, choć na jego twarzy malowało się także zdumienie wywołane ewidentnym zaniepokojeniem radnego. Siadając, Demades spojrzał przeciągle w stronę łukowatego przejścia prowadzącego w stronę jego kwatery; usiłował się upewnić, czy Kronos faktycznie za nim poszedł.

– Mam nadzieję, że pokoje gościnne cię zadowolają, Demadesie – powiedział lekkim tonem Longus.

Demades obrócił pospiesznie głowę, a na jego twarzy widać było przerażenie.

– Jestem w śmiertelnym niebezpieczeństwie, Longusie – wykrzyknął.

Senator wyglądał na skonsternowanego.

– To niedorzeczne, Demadesie – powiedział. – Opanuj się, człowieku. Jesteś bezpieczny w moim domu. Poza twoją strażą mam tu dwudziestu zbrojnych. W mojej obecności nikt cię nie tknie.

Kiedy senator mówił, Demades ponownie obejrzał się na przejście, a gdy tylko gospodarz zamilkł, znów panicznie spojrzął w jego stronę.

– To właśnie straż stanowi zagrożenie – wyjaśnił niedowierzającemu Longusowi. – Nie jest moja, to Kartagińczycy!

Longus nie wykrztusił z siebie ani słowa. Usiłował w pełni pojąć słowa Demadesa.

– Ale jak... ?

– Kazał mi tu przyjechać kartagiński – admirał, człowiek o nazwisku Gisko, abym powiedział senatowi, że Lipara chce przejść na stronę Rzymu – tłumaczył Demades cicho, bojąc się, że zaraz pojawi się Kronos.

– Na bogów! – Na Longusa spłynęło zrozumienie. – To zatem oznacza...

– Wasza flota płynie w pułapkę – przyznał łamiącym się głosem Demades.

Longus natychmiast poderwał się z miejsca.

– Straż! Straż! Do mnie! – krzyknął.

– Nie! – wrzasnął przerażony Demades. – Moi strażnicy cię usłyszą.

– Do Hadesu z tobą i twoimi strażnikami – rzucił Longus, kiedy dał się słyszeć odgłos nadbiegających stóp.

Okrzyk wzniesiony na alarm w głębi domu wyraźnie dotarł do Kronosa znajdującego się w kwaterach gościnnych. Dowódca instynktownie dobył miecza i pobiegł do drzwi. Otworzył je w samą porę, aby ujrzeć dwóch ludzi z domowej straży biegnących przez atrium do jadalni, skąd rozległ się okrzyk. Nie było innego wyjaśnienia – Demades ich zdradził.

Wymykając się z pokoju, Kronos przeklinał swoją głupotę: nie powinien był spuszczać oczu z Demadesa. Wcześniej miał radnego za głupca, zupełnie zastraszonego i posłusznego tchórza, ale się mylił. Kronos wiedział, że zapłaci za ten błąd życiem, ponieważ zewsząd otaczały go siły nieprzyjaciela. Z chłodnym dystansem właściwym wojownikowi zaakceptował swój los, mamrocząc pod nosem krótką modlitwę do Mota, boga śmierci, w którego obecności niedługo się znajdzie. Kiedy wślizgiwał się do atrium, nasłuchując podniesionych głosów dobiegających z jadalni, drugą modlitwę posłał Tanit, punickiej bogini losu. Nie prosił ją o własne bezpieczeństwo, lecz o to, aby dała mu szansę na zemstę na człowieku, który przypieczętował jego los.

– Wy dwaj – wskazał Longus – pilnujcie tego człowieka.

Dwaj rzymscy strażnicy podeszli do Demadesa i stanęli po obu jego stronach. Radny zaczął protestować, błagając Longusa o zrozumienie i łaskę, lecz senator był głuchy na jego słowa. Z każdą chwilą przybywało wartowników. Alarm ogarnął już cały dom. Longus rozkazał części ludzi zabezpieczyć jadalnię, a innych wysłał do wartowni i kwater gościnnych, aby pojмали przebywających tam Kartagińczyków. Ostatnie rozkazy senatora dodały strażnikom determinacji: mieli nie okazywać łaski.

Kronos usłyszał ciężkie stąpnięcia biegnących ludzi i co najmniej czterech minęło przejście, za którym był schowany. Uchylił drzwi odrobinę i zobaczył, jak cała czwórka wpada do komnaty Demadesa, dodając sobie odwagi głośnym okrzykiem bojowym. Kronos wiedział, że zajmie im kilka cennych chwil zorientowanie się, że ich ofiara uciekła. Wybiegł z pokoju i skierował się prosto do jadalni, odległej nie więcej niż o dwadzieścia kroków. Rzymski strażnik przy jej wejściu zaglądał do środka, odwracając się plecami do Kronosa, zaciekawiony rozmową toczącą się wewnątrz. Kartagińczyk podziękował Tanit za szansę, o którą wcześniej się modlił.

– Czy nie pojmujesz, Longusie? – spytał błagalnie Demades. – Musiałem to zrobić. Gdybym odmówił, zabiliby mnie i całą moją rodzinę.

– Jesteś niczym – syknął Longus. – Twoja rodzina jest niczym.

Senator krążył po pomieszczeniu, czekając na okrzyki oznaczające odwołanie alarmu od oddziałów straży wysłanych, aby zgładziły Kartagińczyków. Po chwili odwrócił się znów do Demadesa.

– Pójdiesz ze mną do rezydencji Gajusza Duiliusza i powiesz mu wszystko, co wiesz. Wszystko! Jeśli znów spróbujesz nas oszukać, każę cię żywcem obedrzeć ze skóry.

Demades zignorował groźbę, ponieważ otaczające go ze wszystkich stron zagrożenia przestały już go przerażać. Liczyło się teraz tylko sprawienie, aby Rzymianie zrozumieli, że jest po ich stronie i że jego rodzina jest w niebezpieczeństwie. W głębi swojego udęczonego umysłu był pewien, że do Rzymian trafią rozsądne argumenty.

Kiedy Kronos dobiegał już do rzymskiego strażnika, lewą ręką wysunął z pochwy na plecach sztylet i obrócił go w dłoni. W pełnym biegu zatopił nóż w karku Rzymianina, natychmiast przecinając rdzeń kręgowy. Mężczyzna zmarł, zanim uderzył o ziemię. Niepowstrzymywany przez nikogo Kronos wtargnął do jadalni i obrzucił ją wzrokiem.

Odniósł wrażenie, że pełno tam rzymskich

strażników. Krótkie zerknięcie nie wystarczyło, aby ich policzyć. Jego umysł zarejestrował ich jako grupę, a instynkt bojowy przeanalizował zagrożenie i obliczył jego szanse. Miał czas na jeden cios mieczem, jedną ofiarę. Wiedział, że zanim się wycofa i odzyska równowagę, zostanie obezwładniony. Za bramy Hadesu mógł wziąć ze sobą tylko jednego człowieka. Wybór był prosty.

Demades okręcił się na pięcie, kiedy od wejścia rozległ się ostrzegawczy okrzyk. Dostrzegł nadbiegającego człowieka – na twarzy Kronosa malowała się wściekłość granicząca z obłędem – i kiedy całą istotą skoncentrował się na tym widoku, reszta jego otoczenia jakby zaniknęła. Mętlik w jego głowie ustał, a dojmujące przerażenie się rozwiało w obliczu całkowitej pewności, że za mgnienie oka czeka go śmierć.

Longus mógł tylko przyglądać się ze zgrozą, jak jego strażnicy zasypują gradem ciosów martwego Kartagińczyka. Mężczyzna pojawił się znikąd, momentalnie przebiegł przez jadalnię i zatopił swój miecz po rękojeść w ciele Demadesa. Impet ataku zwałił radnego z nóg i porwał obu mężczyzn, aż Kartagińczyk przewrócił się na swoją ofiarę. Po upadku nie spróbował nawet wstać, lecz nachylił się i wyszeptał Demadesowi do ucha coś niezrozumiałego. Rzymscy strażnicy zareagowali dopiero wtedy. Pierwsze ciosy ich mieczy natychmiast zabiły Kartagińczyka, lecz szok wywołany atakiem sprawił, że nie przestali okładać nieruchomego

ciała.

– Dość! – Krzyk Longusa położył kres rzezi.

– Senatorze! – zawołał ktoś, a Longus odwrócił się w stronę, z której dobiegł okrzyk.

– Czterej Kartagińczycy z wartowni zostali zgładzeni, senatorze – zaraportował strażnik.

– Rozumiem – odparł Longus. Usiłował odzyskać panowanie nad sobą po niebywale brutalnych wydarzeniach, których właśnie był świadkiem.

Przeklinał śmierć Demadesa. Nie dlatego, że jego zdaniem na nią nie zasłużył, lecz ponieważ radny stanowił cenne źródło informacji co do kartagińskich planów dotyczących Lipary.

Longus wyszedł, a po drodze dołączył do niego jeden z wartowników. Senator postanowił więcej się nie przejmować stratą Demadesa. Faktycznie, mógł się na coś jeszcze przydać, lecz tak naprawdę najważniejszą wiadomość dostarczył na samym początku. Rzymska flota płynęła w pułapkę.

Scypion wlepił wzrok w rozpościerające się przed nim morze, którego fale lśniły w promieniach chylącego się ku zachodowi słońca. Stał sam na przednim pokładzie. Zawłaszczył sobie to miejsce na statku, a pretorianie strzegący dziobu mieli rozkazy nie wpuszczać tam nikogo bez jego wyraźnego zezwolenia.

Konsul wyciągnął przed siebie kielich i natychmiast podbiegł niewolnik z amforą pełną wina, aby dolać mu

napoju. Scypion podniósł naczynie do ust i wdychał bogatą woń trunku, dobrego rocznika z jednej z jego własnych posiadłości na północ od Rzymu. Sięgał myślą w przyszłość, do dni pełnych chwały i osobistych sukcesów. Już wiedział, że okres jego władzy jako konsula przejdzie do historii jako czas ogromnych przeciwności, które to on pokonał, wykazując się hartem ducha i odwagą. Właśnie zapewniał sobie nieśmiertelność i miał zamiar wykorzystać każdą szansę, aby wzbogacić tworzącą się żywą legendę. Wiedział, że Sycylia będzie jedną z takich szans.

Kartagińska inwazja była darem od bogów, okazją dla Scypiona na zapisanie swojego imienia w annałach historii. Jego ojciec, Lucjusz Korneliusz Scypion, trafił do nich jako wielki dowódca, zwycięzca bitwy pod Wolterrą, pogromca Etrusków, obrońca Rzymu. Otrzymał przydomek Barbatus – pogromca barbarzyńców – i to takie osiągnięcia były teraz punktem odniesienia dla ambicji konsula. Stanowisko, które zajmował, dawało mu możliwość kierowania losami jego ukochanego Rzymu i miał zamiar wykorzystać to do własnych celów.

Pojawienie się kartagińskiej floty na północnym brzegu Sycylii utrudniło zwycięstwo, lecz Scypiona to nie martwiło. Stał już w obliczu wielu wyzwań i wszystkim sprostał. Był całkowicie pewien, że potrafi pokonać flotę nieprzyjaciela. Zaprowadzi porządek na Sycylii i rozgoni punickie hordy. Historia zapamięta go jako triumfatora nad Punijczykami, założyciela rzymskiej prowincji

Sycylii. Gnejusz Korneliusz Scypion Sicilianus, pomyślał, wypróbować możliwy przydomek. Podobał mu się. Uśmiechając się, uniósł kielich, wznosząc milczący toast za przyszłość i swój los.

Kiedy Gajusz Duiliusz usłyszał okrzyk, podniósł wzrok znad stołu w swoim gabinecie. Właśnie usiłował się skoncentrować na czymś innym niż wypłynięcie nowej floty pod dowództwem Scypiona. Nasłuchiwał w napięciu, wstrzymując oddech i czekając, aż ponownie usłyszał głos. Ktoś go wołał. Duiliusz wstał i wyszedł do perystylu – małego, otoczonego kolumnadą ogrodu na tyłach jego miejskiej rezydencji. Z tego miejsca miał widok na przestrzał na całą długość domu, przez główną jadalnię i atrium. Kiedy skoncentrował wzrok na tym odległym punkcie, ponownie dotarł do niego krzyk i zaraz potem zobaczył, że służący otwiera główną bramę domu. Duiliusz natychmiast rozpoznał Longusa.

Młody senator przepchnął się obok służącego i wszedł do atrium, cały czas nawołując. Duiliusz zmarszczył brwi na to niegrzeczne wtargnięcie. Longus był użytecznym sprzymierzeńcem – w przeszłości wielokrotnie wykazał się zaradnością – lecz był też nadgorliwym, niedojrzałym pochlebcą, który bezustannie oczekiwał od młodszego konsula wskazówek. Duiliusz przypomniał sobie, że kiedy był w wieku Longusa, zdażył już samodzielnie zrobić karierę i był właścicielem największego majątku ziemskiego w Rzymie.

Udał się do jadalni, aby spotkać się z senatorem w pół drogi. Szedł w milczeniu; nie miał zamiaru nieuprzejmie podnosić głosu, choć Longus już zakłócił spokój jego domu. Senator zauważył go z atrium i ruszył w jego stronę, a na jego twarzy malował się niepokój zmieszany z ulgą spowodowaną odnalezieniem mentora.

– Dzięki niech będą bogom, że tu jesteś, konsulu – zaczął.

– O co chodzi, Longusie? – przerwał mu z irytacją Duiliusz.

– Na flotę zastawiono pułapkę.

Chwilę potrwało, zanim te słowa dotarły do Duiliusza. Miał wrażenie, że są pozbawione sensu.

– Pułapkę?

– Tak, konsulu. Powiadomił mnie o tym radny z Lipary, Demades.

Duiliusz znów zamilkł na chwilę.

– Gdzie jest teraz radny?

– Nie żyje. Zabił go jego strażnik. Był Kartagińczykiem.

Duiliusz przyswajał wieści, odrzucając bezsensowne pytania, jak zawsze szukając sedna problemu. Zastawiono pułapkę. Flota nic o niej nie wie. Czas działał na jego niekorzyść. Natychmiast zdecydował, którą kwestię musi rozwiązać najpierw: czas.

– Osiodłaj dwa moje najszybsze konie – krzyknął do stojącego niedaleko sługi. Mężczyzna odbiegł, świadom, że to sprawa nie cierpiąca zwłoki. – Longusie,

pojedziemy razem do Ostii. Jeśli szczęście nam sprzyja, będzie tam galera, która zabierze nas na południe, śladem floty. Ponieważ nic nie wiedzą, nie będą się spieszyć. Może jeszcze ich dogonimy.

Duiliusz wyszedł do atrium i spojrzał w popołudniowe niebo. Scypion opuścił Rzym kilka godzin wcześniej. Nawet biorąc poprawkę na czas konieczny do przygotowania floty, jej przewaga sprawiała wrażenie niemożliwej do pokonania.

Attyk potoczył spojrzeniem po obcym mu widoku: pustym *castrum* w Ostii. Do zachodu słońca została godzina, a załoganci *Aquili* wykorzystywali ostatnie chwile światła dziennego, aby zakończyć przygotowania do planowanego na świt powrotu galery do Fiumicino. Kapitan patrzył na ich krzątanie niewidzącym wzrokiem, całkowicie skoncentrowany na nagłym wypłynięciu i nieznanym kursie *classis Romana*.

Jego rozmyślenia przerwał stukot galopujących koni. Odwrócił się i zobaczył, jak pędzą w jego stronę dwaj jeźdźcy, których doświadczenie widać było po tym, jak zręcznie kierowali wierzchowcami po ścieżkach prowadzących do nabrzeża i wymijali sterty wojskowego ekwipunku rozstawione po całej okolicy. Attyk przeszedł z pokładu dziobowego na szczyt trapu, aby tam na nich poczekać. Mężczyźni zatrzymali konie tuż obok *Aquili* i zeszli z siodeł.

– Żeglarzu! – krzyknął starszy z nich. – Gdzie jest

kapitan tego okrętu?

– To ja – odparł Attyk. – Jestem kapitan Perennis.

Starszy mężczyzna kiwnął głową i ruszył w górę trapu, nie zważając na wskazania protokołu, według których wszyscy powinni prosić o pozwolenie przed wejściem na okręt. Attyk cofnął się, aby zrobić nadchodzącym miejsce na pokładzie. Obaj mieli na sobie togi senatorów, choć było jasne, że młodszy z nich jest niższy rangą.

– Kapitanie Perennis – zaczął starszy – jak szybko możesz być gotów do wypłynięcia?

– Na czyj rozkaz? – spytał Attyk, podkreślając swoją władzę jako kapitana.

– Mój, Gajusza Duiliusza, młodszego konsula senatu rzymskiego.

Attyk natychmiast zwrócił uwagę na jego nieustępliwy, władczy głos i zachowanie.

– W ciągu półgodziny, konsulu – odparł.

– Świetnie, kapitanie, niech tak będzie.

Attyk się odwrócił i wydał kilka zwięzłych rozkazów swojemu zawsze uważnemu zastępcy. Załoga zdwoiła wysiłki, aby zakończyć przygotowywanie galery. Bliski wyjazd nie zmienił w jej działaniach nic poza ich tempem. Pod pokład wysłano gońca, aby znalazł Septymusa.

– Jaki jest nasz cel, senatorze? – spytał Attyk wśród coraz bardziej gorączkowej krzątaniny.

Duiliusz odwrócił się i rozważył to pytanie,

zastanawiając się, ile kapitan powinien wiedzieć na tym etapie. Stojący przed nim młody człowiek robił wrażenie kompetentnego, a ranga kapitana jednego z okrętów bojowych Rzymu świadczyła o jego umiejętnościach. Duiliusz oceniał, że ma on niewiele ponad trzydzieści lat, rok lub dwa mniej od niego. W tym wieku konsul wzniósł się na wyżyny swojej kariery. Jego rozmówca dokonał tego samego. Jeśli osiągnięcia świadczą o człowieku, kapitanowi można było zaufać.

Młodszy konsul wskazał głową pokład rufowy i zaprowadził Attyka oraz Longusa w stronę cichego zakątka przy relingu.

– Chcę, żebyś jak najszybciej popłynął śladem nowej floty, kapitanie – zaczął Duiliusz. – Dowiedzieliśmy się, że Kartagińczycy zastawili na nią pułapkę.

– Na bogów – wyszeptał Attyk. – Jaki jest jej port docelowy?

– Lipara.

Attyk kiwnął głową. To krótkie pytanie i brak kolejnych niepotrzebnych komentarzy uzasadniły ocenę jego charakteru dokonaną przez Duiliusza.

– Jeśli pozwolicie, senatorowie, każę jednemu z moich ludzi zaprowadzić was do głównej kabiny – powiedział Attyk i zostawił dwóch mężczyzn samych na pokładzie rufowym.

Poszedł prosto na główny pokład, aby nadzorować przygotowania statku. Serce waliło mu w piersi, kiedy myślał o niedoświadczonej, nieświadomej niczego flocie

płynącej na południe.

Aquila oddaliła się od nabrzeży Ostii dwadzieścia minut później, z pełną obsadą załogantów i żołnierzy na pokładzie. Dwaj senatorowie dołączyli do Septymusa i Attyka na pokładzie rufowym, kiedy galera wypływała na wiosłach poza ruchliwy wewnętrzny port. Na wprost przed jej dziobem szybko zachodziło słońce i wszyscy osłaniali oczy przed jego złotym światłem. Gajusz, któremu blask, zdaje się, wcale nie przeszkadzał, ścisnął rumpel obiema rękami i zręcznie przeprowadzał galereę po torze przeszkód, jakim był najważniejszy port Rzymu.

Aquila dotarła do ujścia portu, mijając osłonę w postaci cypla od północy, a wiatr z tego kierunku uderzył w jej burtę z całą siłą. Attyk wydał rozkaz, aby wciągnąć wiosła na pokład i podnieść grotzagiel, a Gajusz skierował galereę na południe. Duiliusz zwrócił uwagę na to, jak żwawo i sprawnie żeglarze wykonują rozkazy, i był ciekaw, dlaczego Scypion nie zabrał ze sobą na południe tak kompetentnej załogi. *Aquila* pruć fałę pod pełnym ożaglowaniem z prędkością dwunastu węzłów, a jej ostry niczym włócznia dziób rozcinał białą pianę grzywaczy.

Attyk zauważył, jak pełne napięcia spojrzenie utkwiał Duiliusz w ciemniejącym horyzoncie. Lipara leżała nie dalej niż trzydzieści sześć godzin drogi na południe od nich. To, że Scypion wyruszył znacznie wcześniej, ważyło się teraz na szali z doświadczeniem załogi *Aquili*.

Same galery były sobie równe: okręty *classis Romana* były kopiami *Aquili*. Różniły się tylko załogi – ludzie, którzy dopiero co trafili na swoje jednostki, przeciwko marynarzom pokroju Gajusza i Lucjusza, którzy spędzili niezliczone godziny, dokonując minimalnych poprawek w trymie galery, aby wyrwać wiatrowi każdy węzeł prędkości.

Attyk złapał się na tym, że wlepia w horyzont tak samo pełen napięcia wzrok jak senator. Zachował milczenie, wiedząc, że będzie jeszcze sporo czasu, by się dowiedzieć od konsula wszystkiego na temat pułapki. Teraz te pytania miały drugorzędne znaczenie wobec naglącej potrzeby nadania okrętowi jak największej prędkości. Po kwadransie otaczającą ich wodę spowity ciemności. W nadejściu nocy było coś złowieszczego: mroczny morski krajobraz pozbawiał nadziei ludzi stojących na pokładzie rufowym *Aquili*.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Okrzyk o lądzie widocznym na bakburcie dotarł wyraźnie do Scypiona siedzącego w głównej kajucie *Marsa*. Przyjrzał się mapom, przesuając palcem po linii kursu statku, którą opisał mu poprzedniego dnia kapitan. Fulfidiasz oceniał, że wulkaniczną wyspę Stromboli będzie można zobaczyć z *Marsa* na początku trzeciego dnia podróży i teraz – godzinę po wschodzie słońca – okręt faktycznie ją mijał.

Scypion wyczuł odór siarki i wyszedł na pokład, aby po raz pierwszy w życiu zobaczyć słynną wyspę. Legendarny wulkan wznosił się na wysokość ponad dziewięćset metrów nad poziom morza, a jego szczyt bezustannie buchał trującym dymem, który zdawał się wypełniać całe niebo na wschodzie.

Scypion podszedł do Fulfidiasza.

– Raportuj, kapitanie.

– Jesteśmy o godzinę drogi od Lipary, konsulu. Następnym lądem, który się nam ukaże, będzie Euonymos, a zaraz potem będziemy już mogli dostrzec Liparę.

Scypion kiwnął głową.

– Wezwij mnie, kiedy miniemy Euonymos – powiedział i wrócił do kabiny.

– Łąd na horyzoncie, trzy stopnie na bakburcie od dziobu!

Attyk spojrział na obserwatora na bocianim gnieździe, po czym podążył spojrzeniem za jego wyciągniętą ręką w stronę chmury wiszącej nisko nad linią wody na wschodzie.

Stromboli.

Attyk potarł zmęczone oczy. Światło porannego słońca sprawiało wrażenie jaśniejszego niż zwykle w porównaniu z ciemnościami przedświtu.

– Widać coś?

Odwrócił się i zobaczył obok siebie Duiliusza. Przekrwione oczy konsula świadczyły o tym, że tak jak inni na pokładzie *Aquila* nie przespał nocy.

Attyk pokręcił głową i ponownie skupił całą uwagę na horyzoncie.

Kwadrans później *Aquila* zrównała się ze Stromboli. Wulkan zasłaniał słońce i rzucał cień o długości trzech mil na morze, po którym mknęła galera.

Godzina od Lipary, pomyślał Attyk.

– Lucjuszu, z jaką płyniemy prędkością?

Jego zastępca dał sygnał do opuszczenia znacznika z pokładu dziobowego i głośno liczył, aż dotarł on do jego pozycji na rufie, odległej od dziobu o trzydzieści sześć metrów. Na chwilę zamknął oczy, aby dokonać obliczeń.

– Nieco ponad dziesięć węzłów, kapitanie.

– Rozkazy pod pokład: uruchomić wiosła, prędkość ofensywna. Po ustaleniu rytmu przyspieszyć do prędkości do taranowania.

– Tak jest, kapitanie – odparł Lucjusz i ruszył pod

pokład.

Attyk wyraźnie słyszał z pokładu rufowego, jak dobosz przywołuje niewolników do porządku i każe im się przygotować do uruchomienia wiosła. Ten trudny manewr mogła wykonać tylko doświadczona grupa wioślarzy. Prędkość ofensywna wynosiła jednaście węzłów, o jeden więcej niż prędkość wiatru. Pierwszy ruch ich wiosła musiał być perfekcyjnie zgrany: musiały uderzyć o wodę jednocześnie, ponieważ siła prądu wody uniemożliwiłaby kontrolę nad źle ułożonym wiosłem. Nie było miejsca na pomyłkę. Attyk czekał, aż padnie rozkaz wprowadzenia wiosła w ruch; wstrzymał oddech w oczekiwaniu na rozpoczęcie rytmu wyznaczanego przez bęben. Komendzie towarzyszyło pierwsze uderzenie, a dwieście wiosła jednocześnie przełamało powierzchnię wody. *Aquila* z łatwością przyspieszyła o kolejny węzeł. Po chwili wydano rozkaz wejścia w prędkość do taranowania i galera osiągnęła największą szybkość, trzynaście węzłów.

– Jak długo twoi niewolnicy potrafią utrzymać tę prędkość? – spytał Duiliusz, przyglądając się manewrowi z uwagą.

– W normalnych okolicznościach pięć minut – zaczął Attyk. – Biorąc jednak pod uwagę, że wiatr bierze na siebie dziesięć węzłów, lwią część tej prędkości, wioślarze muszą jedynie dodać kolejne trzy. Płyniemy prędkością do taranowania, lecz znacznie mniejszym kosztem.

Duiliusz znów kiwnął głową, a po jego minie widać było, że rozumie, jaki poziom umiejętności jest konieczny do przeprowadzenia takiej operacji, i podziwia go.

Attyk zauważył niewypowiedziany komplement. Od kiedy poznał Duiliusza, zaczął wyrabiać sobie zupełnie inną opinię o senatorach niż ta, której nabrał przy Scypionie.

Aquila minęła wyspę Euonymos z prędkością trzynastu węzłów i z każdym pociągnięciem wiosła zbliżała się do Lipary. Attyk stał wraz z Septymusem i Duiliuszem na pokładzie dziobowym i wszyscy trzej w milczeniu rozglądali się po morzu przed sobą. Attyka kusiło, aby zwiększyć tempo ruchów wiosła ponad prędkość do taranowania, co byłoby możliwe dzięki wiatrowi wiejącemu od rufy. Był to jednak niezwykle niebezpieczny manewr: kapitan tylko raz widział, jak go wykonywano, i zakończyło się to katastrofą. Powyżej prędkości do taranowania pojedyncze uderzenia w bęben zaczynały się ze sobą zlewać, a rytm – tak ważny, jeśli dwustu ludzi miało pracować jednocześnie – łatwo mógł się zagubić. Attyk z niechęcią porzucił ten pomysł. Będzie musiał się zadowolić obecnym tempem i modlić do Fortuny, żeby zdążyli.

– Statki na horyzoncie!

Na ten okrzyk cała załoga podniosła oczy na szczyt masztu, a potem każdy przeniósł wzrok tam, gdzie pokazywał palcem obserwator: na miejsce na linii dziobu.

- Jak daleko? – zawołał Attyk.
 - Oceniam, że pięć mil od nas, kapitanie. Płyną w szyku torowym, są niedaleko portu w Liparze.
 - *Stercus!* – zaklął Attyk. – Za daleko na nadanie sygnału.
 - Spóźniliśmy się – Septymus wypowiedział na głos to, o czym z przerażeniem myśleli wszyscy.
 - Utrzymać kurs i prędkość – powiedział Duiliusz – może nie wpadli jeszcze w pułapkę Kartagińczyków. Może uda nam się dogonić ich na czas.
- Attyk kiwnął głową. Bardzo chciał, żeby taka możliwość istniała.

Scypion przyglądał się pozornie spokojnej Liparze z pokładu rufowego *Marsa*, gdy galera wpływała do portu o kształcie półksiężyca. Miasto leżało pośrodku zatoki, a za nim ląd wznosił się stromo, tworząc szereg wzgórz rozciągających się na północ, wzdłuż osi wyspy. Cokolwiek działo się wcześniej na nabrzeżu, ustało na widok zbliżającej się rzymskiej floty, więc statki handlowe zacumowane przy kei wyglądały na puste i opuszczone. Scypion z uśmiechem wyobraził sobie panikę wzbierającą teraz w kartagińskim garnizonie gdzieś w głębi miasta.

Mars stanął w dryfie pośrodku zatoki, a pozostałe galery ustawiły się po jego lewej i prawej w szyku czołowym. Scypion osobiście wybrał tę formację, pamiętając, jakie wrażenie zrobiła na mieszkańcach Ostii:

widok ten przerazi wroga stojącego na brzegu. Starszy konsul był zawiedziony tym, z jaką łatwością dopłynęli do celu. Po powrocie do Rzymu będzie musiał podkoloryzować swój raport dotyczący przejęcia miasta, choćby tylko po to, aby zaspokoić apetyt miasta na chwałę. Opowieści o zwycięstwie odniesionym z łatwością nie były warte powtarzania.

Scypion czekał niecierpliwie, aż niedoświadczone załogi wmanewrują swoje okręty do portu. Choć galery płynęły na wiosłach, ich wysiłki sprawiały wrażenie źle skoordynowanych i niezgrabnych. Prosta zmiana szyku z torowego na czołowy wciąż jeszcze była nieukończona, kiedy cierpliwość Scypiona się wyczerpała.

– Prędkość standardowa!

Mars ruszył przed siebie, a za nim podążyły galery z jego flank. Scypion poprawił fałdy togi, przygotowując się do zejścia na ląd.

Duiliusz przyglądał się w bezsilnym milczeniu, jak cztery mile przed nim ostatnie okręty *classis Romana* pokonują ujście portu. Rzymskie galery poruszały się zdecydowanie, lecz bez pośpiechu, pozwalając załodze *Aquili* trzymać się kurczowo cienia nadziei, że pułapce będzie można jeszcze zapobiec.

Attyk, nauczony nieprzerwanej czujności latami spędzonymi na morzu, bezustannie badał wzrokiem horyzont, szukając jakichkolwiek oznak zbliżania się wroga.

Tam! – krzyknął w myślach, dostrzegając ruch przy najbardziej wysuniętym na południe krańcu wyspy, cyplu leżącym o niecałą milę od portu.

– Statki przed nami! Na bakburcie! – krzyknął obserwator i wszyscy zwrócili oczy w stronę, w którą patrzył już Attyk.

– Kartagińczycy! – zawołał Attyk, a proporce zwieszające się z masztów potwierdziły to, co było już jasne. – Płyną z prędkością ofensywną.

Naliczył dziesięć galer, a z każdym ruchem ich wiosła zza cypla wyłaniały się kolejne. Na czele płynęła kwinkwerema, przypominająca basiora bez wahania prowadzącego watahę wilków w stronę ofiary.

– Cała stop! – krzyknął nagle Duiliusz.

Attyk zawahał się przez chwilę, po czym powtórzył komendę załodze. Żagiel *Aquili* natychmiast opuszczono, a wiosła zatrzymały ją na odcinku równym trzem długościom okrętu.

– Jakie rozkazy, konsulu? – spytał niecierpliwie Attyk, który wiedział, że liczy się każdy moment.

Septymus stał przy nim, ściskając dłonią rękojeść miecza. Bliskość wroga postawiła go natychmiast w stan gotowości.

– Kurs na Rzym, kapitanie – odparł Duiliusz głosem pełnym rezygnacji i gniewu.

Attyk i Septymus już zaczęli protestować, ale Duiliusz im przerwał, przewidując ich słowa.

– Nie mogę podzielić losu Scypiona, płynąc do

Lipary. Jeśli obaj wpadniemy w ręce wroga, flota pozostanie bez dowódcy. Nasze priorytety to Rzym i legiony na Sycylii. Jedna dodatkowa rzymska galera na Liparze nie oddali porażki.

Attyk chciał zaripostować, ale ugryzł się w język, zaskoczony tym, jak Duiliusz uzasadnił swoją decyzję. Szczerłość konsula wzbudzała zaufanie, a to, że współpracował z innymi przy sprawowaniu władzy, zachęcało do stosowania się do jego rozkazów.

– Ten głupiec Scypion – syknął Longus – zasługuje na los, który go spotka przez jego dumę.

– Ale załogi floty nie. – Duiliusz zaklął i uderzył pięścią o reling. – To Rzymianie, ludzie, którzy odpowiedzieli na wezwanie swojego miasta. Nie powinni umierać jak szczury w pułapce.

Attyk przytaknął niedostrzegalnie słowom Duiliusza. Leżące u ich podstaw przekonanie trafiło do jego rosnącego poczucia więzi z Rzymem.

– Zawróć, Gajuszu! – rozkazał. Jego wiara w wizję konsula sprawiła, że łatwo mu było usłuchać. – Obierz kurs na Rzym.

Wiosła zaczęły pracować, a *Aquila* obróciła się zwinnie. Załoga milczała: do wszystkich w pełni dotarło, że nie udało im się dogonić *classis Romana*. Za nimi kartagińska kwinkwerema dostała się na spokojne wody wewnętrznego portu Lipary.

Attyk i Septymus nie spuszczaali z niej wzroku, kiedy *Aquila* wycofywała się na wiosłach na północ. Scena ta

była im na tyle znajoma, że milczeli. Twarze dowódców okrętów i centurionów *classis Romana* przemykały im w myślach: twarze ludzi, którzy już przepadli, już opłakiwanych. Po chwili szczegóły widoku na horyzoncie rozmyły się w oddali i trzeba było się pogodzić z nieuniknioną porażką.

– Statki wroga od rufy!

Scypion obrócił się błyskawicznie na ten przenikliwy okrzyk. Ponad trzysta kroków dalej do zatoki wpływało właśnie od strony południowego cypla pięć galer, a za nimi kolejny tuzin. Prowadził je kolosalny okręt, kwinkwerema, która górowała nad otaczającymi ją triremami. Wszystkie szybko pruły wodę, pokonując cypel w czasie, w którym rzymską flotę zdążyła ogarnąć panika. Rozległy się kartagińskie okrzyki wojenne, a Scypion poczuł, jak ściska go w dołku. Fasada rzymskiego konsula zniknęła, ustępując jego doświadczeniu w roli dowódcy legionu.

– Kapitanie! Manewry wymijające! Centurionie! Do szeregów, przygotować się do walki.

Scypion dostrzegł, że centurion salutuje i natychmiast reaguje na rozkaz. Fulfidiasz jednak nie odpowiedział. Konsul oderwał wzrok od wroga i zauważył, że kapitan stoi jak wryty i gapi się na nadciągające kartagińskie galery, a na jego twarzy maluje się czyste przerażenie. Scypion uderzył go otwartą dłonią w twarz, tak mocno, że Fulfidiasz stracił równowagę. Po chwili się wyprostował i

spojrzał na Scypiona z niezmienioną, spanikowaną miną.

– Kapitanie! – krzyknął Scypion. – Opanuj się i przejmij kontrolę nad tą galerą albo każę cię wyrzucić za burzę.

Fulfidiasz oprzytomniał.

– Doboszu! – usłyszał jego ryk Scypion ponad kakofonią dźwięków spowijającą ogarnięty paniką okręt.
– Cała naprzód. Prędkość do taranowania!

Wiosła wbiły się w gładkie wody portu i *Mars* pomknął przed siebie.

Konsul zyskał chwilę, aby rozejrzeć się po rzymskiej flocie, oczekując, że zobaczy, jak pozostałe galery łamią szyk i przygotowują się do starcia z wrogiem. Mylił się.

Gisko wrzeszczał na całe gardło, powtarzając okrzyk bojowy ludzi zebranych na pokładzie dziobowym *Melkarta*. Miecz w jego ręce robił wrażenie lekkiego. Uniósł go nad głowę, na co jego załoga zaczęła krzyczeć ze zdwojoną energią. Dźwięk ten sycił jego duszę wojownika. Od chwili, kiedy obserwatorzy na wzgórzach nad Liparą zasygnalizowali, że zbliża się rzymska flota, admirał czuł, jak wzbiera w nim zapał wojenny. Grupa dwudziestu kartagińskich galer zacumowała przy wiosce Pianoconte, zaledwie dwie mile za najbardziej wysuniętym na południe cypem. Była tam całkowicie niewidoczna dla statku wpływającego do portu w Liparze. Kiedy *Melkart* skręcił za cypel, admirał poczuł przyływ radości na widok rzymskich galer ustawionych w szyku

czołowym rufami do ujścia portu. Formacja ta sprawiała wrażenie aktu szaleństwa: w tym idiotycznym rozmieszczeniu sił statki były całkowicie bezbronne w obliczu takiego rodzaju ataku, który zamierzał przypuścić Gisko. Pojawienie się kartagińskich galer doprowadziło do absolutnego chaosu.

Na północnym krańcu szyku część rzymskich galer już pędziła w stronę plaży, omijając tamten skraj miasta, aby przybić do brzegu i uciec na ląd. Gisko spodziewał się możliwej walki na lądzie, więc wysłał do miasta dwa tysiące żołnierzy. Biorąc pod uwagę nieład panujący wśród Rzymian, pojmanie ich było pewne. Gisko roześmiał się głośno, kiedy zobaczył, jak reszta galer próbuje się odwrócić, aby zetrzeć się z jego flotą. Nie więcej niż cztery statki zabrały się do tego w sposób oznaczający, że ich załogi wiedzą, co robią, i na oczach admirała jeden z nich podjął próbę staranowania kartagińskiej triremy odległej o sto kroków od *Melkarta*, na jego sterburcie. Kurs rzymskiego okrętu był beznadziejnie niedokładny i taran po prostu odbił się od ciężkiego kadłuba statku, w który celował. Gisko uśmiechnął się złowrogo, kiedy załoga kartagińskiej triremy przerzuciła haki na rzymski statek i weszła na jego pokład, odwracając losy ataku, który Rzymianie zaprzepaścili przez własną niekompetencję.

Uśmiech zniknął z jego twarzy, kiedy rozejrzał się za trzema pozostałymi statkami, które wykazywały ślady zdecydowanego oporu.

– Rozkazy dla sternika! – krzyknął. – Skręcić dwa stopnie na sterburtę. Dopaść i staranować rzymski statek znajdujący się najbliżej kei.

Chwilę później *Melkart* zmienił nieco kurs, co Gisko poczuł w ułożeniu pokładu, i kwinkwerema skierowała dziób w stronę szczeliny pośrodku rzymskiego szyku: pozostała ona po jednym z niewielu okrętów, który miał dość rozsądku, aby wyłamać się z formacji i dać sobie nieco przestrzeni na manewrowanie. Kiedy galera przecinała szczelinę, admirał rozejrzał się w prawo i lewo, po rzymskich triemach. Statkowi na sterburcie blokował drogę inny, podczas gdy okręt na bakburcie wyglądał na sparaliżowany absolutną paniką, która ogarnęła jego załogę.

– Łucznicy! – krzyknął Gisko. Jego ludzie natychmiast obsypali unieruchomione załogi salwami strzał. Z tak niewielkich odległości pociski leciały do celu ze śmiertelnością precyzją.

Melkart wyłonił się po drugiej stronie szczeliny z prędkością ofensywną, po czym ponownie zmienił kurs, kiedy sternik natarł na samotną rzymską galere przed nimi. Gisko poczuł, jak okręt nabiera tempa – przyspieszył do prędkości do taranowania. Spojrzał w dół, na to, jak brązowy taran pruje grzbiety fal, a jego kanciasty czubek pędzi przed triemą, aby się zatopić w kadłubie wroga. Znowu spojrzął na rzymską galere, która desperacko usiłowała uciekać równolegle do brzegu. Schował miecz do pochwy i chwycił reling, napinając

ciało w oczekiwaniu na zderzenie. Przy prędkości czternastu węzłów taran wbije się w rzymską galerę na całą swoją długość niemal metra.

Przyglądając się, jak kartagińska kwinkwerema przebija się przez rzymski szyk, Scypion poczuł, że pokład *Marsa* przechyla się pod jego stopami. Obrócił się w stronę rufy, aby rozejrzeć się za Fulfidiaszem, rozwścieczony, że kapitan szuka sposobu na ucieczkę, podczas gdy wszędzie dookoła rzymskie galery były wplątane w chaotyczną, desperacką walkę z nieprzyjacielem. Kartagińskie okręty rozdzielały się, chcąc dopaść pojedyncze ofiary, i na oczach Scypiona jeden z nich staranował śródokreć rzymskiej triremy. Odgłos zderzenia poniósł się echem, a zaraz potem dał się słyszeć przerażający wrzask punickiej drużyny abordażowej wpadającej na pokład sparaliżowanego okrętu. Scypion wiedział, że jeśli *Mars* ma przetrwać, musi zaangażować się w walkę, nie przed nią uciekać, i szukał wzrokiem tchórzliwego kapitana.

Pierwszy, niemal niezauważalny spadek prędkości nastąpił nagle, jakby galera jakimś sposobem zahaczyła o podwodną przeszkodę, która odebrała jej rozpęd. Scypion natychmiast zauważył zmianę i zaczął się rozglądać za jej przyczyną. Nagle dotarły do niego coraz szybsze trzaski batów dobiegające spod pokładu: nadzorcy batożyli wioślarzy, aby podołali oni niewykonalnemu zadaniu utrzymania prędkości do taranowania, którą Fulfidiasz

nakazał pięć długich minut wcześniej, kiedy wiosła zaczęły pracować. Scypion przeklął tego idiotę, zdając sobie sprawę, że oczekiwał, iż Fulfidiasz będzie tak samo kompetentny jak kapitan *Aquili*.

– Dowódco – zaczął Scypion. Oddział pretorianów stał u jego boku z podniesionymi tarczami. – Ustawcie się dookoła mnie. Zaraz czeka nas abordaż.

Dowódca zasalutował i dziesięciu pretorianów utworzyło okrag dookoła konsula, a ich czarne tarcze *scutum* – ścianę chroniącą przed spodziewanym atakiem. Scypion zerknął na główny pokład i dostrzegł, że legioniści Czwartego już uformowali szyk, gotowi do odparcia wroga. Ich twarze zastygły w obojętnym wyrazie właściwym żołnierzom podczas walki. Dyscyplina utrzymywała ich w miejscu, odwaga dodawała im determinacji. Konsul znów odwrócił się w stronę statku wroga. Już ich dopadł.

Taran *Melkarta* uderzył o burtę *Marsa* z przerażającym trzaskiem i wbił się głęboko, zadając mniejszemu statkowi śmiertelny cios, który dotarł do samych jego trzewi. Nieustępliwy brąz rozłupał pokład wioślarzy, miażdżąc ich niczym ziarna pod młyńskim kamieniem. Ich krzyki mieszały się z odgłosami pękania belek udrećzonego statku. Rozpęd kartagińskiej galery pchnął triremę na dziobową część kadłuba większego statku ze wstrząsem, który rzucił załogą *Marsa* o pokład, jakby między ludzi spadł młot Wulkana.

Kartagińczycy przelali się ponad relingiem na

dziobie *Melkarta* i na pokład rzymskiej galery niczym ciemna fala rodem z Hadesu, wznawiając okrzyki bojowe w gorączce natarcia. Ludzie z Czwartego momentalnie podnieśli się na nogi, lecz natychmiast okazało się, że są na przegranej pozycji: z okrętu flagowego kartagińskiej floty nadciągały całe tuziny punickich wojowników, a ich było sześćdziesięciu. Po chwili każdy legionista walczył na śmierć i życie. W rzymskich szeregach nie było już ani śladu porządku, a ludzie walczyli desperacko pomimo wielkiej przewagi liczebnej wroga.

Powietrze przeciął samotny głos rzymskiego centuriona, który wzywał swoich legionistów do utworzenia zwartego szyku. Jego ludzie wykorzystali wpojone sobie zasady taktyki bojowej, usiłując zająć solidną defensywną pozycję, a umiejętności, w których szkolono ich od początku kariery, dały im chwilę wytchnienia. Nie trwała jednak długo.

Kartagińczycy napierali na głównym pokładzie, a ich liczebność i zajadłość dawały im zdecydowaną przewagę. Rzymianie mieli trudności z utworzeniem skutecznej obrony na ciasnym pokładzie i ich flanki były raz po raz wystawione na ciosy. Próba zgromadzenia legionistów spełzła na niczym, kiedy rzymski dowódca zginął od punickiego miecza. Żołnierze Czwartego po kolei co do jednego padli pod kartagińskim atakiem.

Scypion zrobił kolejny krok w tył, kiedy nowa fala Kartagińczyków wdała się w potyczkę z jego nieliczną drużyną pretorianów. Podczas pierwszego etapu natarcia

nieprzyjaciel właściwie ich zignorował, tylko pojedynczy ludzie lub grupki dwóch czy trzech odrywały się od głównej siły, aby wyszukać inne cele na zalanym krwią pokładzie. Jego strażników zostało już tylko siedmiu: kiedy linia obrony legionistów na głównym pokładzie się załamała i cała kartagińska horda będzie mogła dopaść następne ofiary, ta żałośnie mała grupka natychmiast ulegnie. Przesuwając się w stronę relingu rufowego, Scypion potknął się o jakieś bezwładne ciało i zerknąwszy w dół, zobaczył, że to leży na plecach kapitan, Fulfidiasz, ze strzałą wbłą głęboko w szyję. Jego oblicze zastygło w groteskowym okrzyku. Ten wyraz twarzy odebrał mu wszelką godność, ujawniając przerażenie, które czuł w chwili śmierci. Scypion splunął na niego, przeklinając jego nieudolność.

Padł kolejny z jego strażników i przez szczelinę w szyku przedostał się kartagiński wojownik z mieczem uniesionym do śmiertelnego ciosu. Scypion zręcznie usunął się z trajektorii klingi i zadał sztyletem pchnięcie od dołu w dolną część pleców przeciwnika. Nóż wbił się głęboko w jego nerki, co potwierdziła struga ciemnej krwi. Scypion przekręcił ostrze i je wyciągnął, odepchnął mężczyznę i przygotował się do kolejnego ataku. Radosne wiwaty z głównego pokładu obwieściły ostateczną klęskę legionistów i grupa Punijczyków rozproszyła się po całym statku. Scypion dostrzegł, że wielu zmierza w stronę pokładu rufowego, i pochylił się, żeby podnieść miecz poległego pretorianina, po czym podszedł do

przodu i zajął miejsce w szeregu utworzonym przez czterech ostatnich strażników, gotów zginąć ze swoimi ludźmi.

– Stać!

Głośny okrzyk powstrzymał natarcie Kartagińczyków. Scypion nie zrozumiał wykrzyczonej w ich języku komendy, lecz pojął jej znaczenie i wśród zachlapanych krwią wojowników poszukał wzrokiem ich dowódcy. Kartagińczycy się rozstapili i przeszedł między nimi przypominający byka, krzepki mężczyzna o brodzie pozlepianej potem. Był parę lat starszy od Scypiona, lecz postawę miał godną dowódcy. Staął naprzeciwko konsula i zmierzył go wzrokiem, a z jego twarzy nie zniknął krzywy uśmiech. Odwrócił się do swoich ludzi i wydał kolejne rozkazy w niezrozumiałym języku. Żołnierze podbiegli i zaatakowali czterech pretorianów. Zaskoczyli ich i zabili na miejscu. Scypion zawył, ciskając klątwę pod adresem kartagińskiego przywódcy, i znów przygotował się do walki. Dowódca zaśmiał się na ten wyraz buntu.

– Opuść miecz, Rzymianinie – powiedział płynną łaciną.

Scypion się nie ruszył, a minę dalej miał zaciętą. Punicki dowódca schował własny oręż i zrobił kilka kroków przed siebie, aż znalazł się w zasięgu klingi Scypiona.

– Nie chcę cię zabić, Rzymianinie, masz na sobie togę senatora. Kim jesteś?

Scypion wyprostował się jak struna.

– Jestem Gnejusz Korneliusz Scypion, starszy konsul republiki Rzymu – powiedział, a w jego głosie słycać było, jakie obrzydzenie wzbudza w nim rozmowa z kartagińskim dowódcą. Zapadło na chwilę milczenie, a Scypion przyglądał się stojącemu przed nim mężczyźnie, zastanawiając się, jaki los go czeka z jego ręki.

Punicki dowódca znów się uśmiechnął, choć uśmiech ten nie dodał ciepła jego spojrzeniu, lecz tylko podkreślił kryjącą się w nim nienawiść. Patrząc na jego wrogą minę, Scypion po raz pierwszy tego dnia poczuł strach.

Attyk patrzył ponad relingiem rufowym *Aquili*, jak ostatnie smugi dymu wulkanicznego znikają na niebie od południa. Wyspa Stromboli znajdowała się teraz dwadzieścia mil za nimi, a galera mknęła na północ, w stronę ciemniejącego horyzontu. Powietrze wypełniał rytm bębna wyznaczający prędkość standardową, lecz Attyk go nie zauważał: wtopił się w niezliczone znajome dźwięki, które towarzyszyły kapitanowi przez pół życia. Zwracały jego uwagę tylko niespotykane odgłosy, więc odwrócił się pospiesznie, kiedy usłyszał nadejście Duiliusza. Zastygł na baczność w oczekiwaniu na rozkaz, lecz konsul machnął ręką.

– Spocznij, kapitanie – powiedział na tyle cicho, żeby nikt inny go nie usłyszał.

Attyk wrócił do obserwowania horyzontu. Duiliusz oparł się o reling obok niego. Po długiej chwili spytał:

– Myślisz, że ktokolwiek uciekł?

Attyk tylko pokręcił głową, zbyt znużony, żeby odpowiedzieć.

– Wyglądasz, jakbyś był tego pewien. – Duiliusz zerknął kątem oka na niego.

Kapitan wyprostował się i odwrócił do konsula, który przyjął tę samą pozycję.

– Nie mieli szans – powiedział Attyk, a Duiliusz zauważył w jego głosie nutę gniewu. – Byli skazani na klęskę od pierwszego dnia, kiedy przybyli do Fiumicino.

Stanowczość Attyka zdumiała Duiliusza i w nim też zaczął wzbierać gniew.

– Dlaczego? – spytał ostrym tonem.

– Ponieważ Kartagińczycy mają nad nami przewagę pod niemal każdym względem, a nam brak doświadczenia, żeby wygrać z nimi na ich warunkach.

– A zatem *classis Romana* nie powinna się była narodzić, czy tak? – spytał z wściekłością Duiliusz. – Mamy porzucić Sycylię i legiony?

– Nie – odparł Attyk, zły, że musi toczyć na ten temat płónną dyskusję z kolejnym Rzymianinem – ale sędzę, że musimy trzymać się tego, w czym jesteśmy mocni, i wyzwąć Kartagińczyków do jedynej bitwy, którą możemy zwyciężyć.

Duiliusz już miał się znów odciąć kapitanowi, lecz coś w jego głosie go powstrzymało i zdał sobie sprawę, że to, co wcześniej uważał za defetyzm Attyka, jest tak naprawdę frustracją.

– W czym zatem jesteśmy mocni? – spytał, patrząc na niego przenikliwym wzrokiem.

– Nasi żeglarze nie mogą się równać z kartagińskimi załogami, ale legionieści są znacznie lepsi niż najwytrawniejsi wojownicy Punijczyków. Trzeba przenieść walkę na pokłady statków wroga.

– Jak? – Duiliusz uświadomił sobie, że nie wie nic o taktyce na morzu.

Attyk przedstawił mu zarys koniecznych umiejętności żeglarskich i oszacował, ile czasu potrwa wytrenowanie załóg. Przerwał, zastanawiając się, czy wyjawić całą prawdę o zasadniczym problemie opisanej przez siebie taktyki: tym, że legionieści nie potrafią dokonać skutecznego abordażu. Przypomniał sobie wcześniejszą szczerłość konsula i postanowił zaryzykować.

Duiliusz rozważył argumenty za i przeciw, po czym spytał:

– Dlaczego w Fiumicino nie nauczono załóg manewrów koniecznych przy abordażu?

– Ponieważ otrzymaliśmy rozkazy, aby wyszkolić je tylko w taranowaniu, jedynej dziedzinie, w której Kartagińczycy mają absolutną przewagę.

– Czyje to były rozkazy?

– Tudinatusa – odparł Attyk.

Człowiek Scypiona, pomyślał Duiliusz.

– Czy pozostali kapitanowie galer zgadzają się z twoją opinią? – spytał na głos.

– Kapitanowie floty Ostii są Rzymianami. Wypełniają rozkazy, nie kwestionując ich – odpowiedział Attyk z odrobiną pogardy w głosie. – Tylko człowiek z zewnątrz może dostrzec to, czego oni nie widzą.

Duiliusz kiwnął głową. W senacie sam wielokrotnie się z tym spotkał, i to od pierwszego dnia, kiedy przybył tam jako *homo novus*, nowy człowiek. Senatorowie ze starszych rodów byli zaślepieni względami tradycji i stabilizacją właściwą podeszłemu wiekowi; od najmłodszych lat wychowywano ich na następców ich ojców w kurii. Duiliusz dostrzegał niewidoczne dla nich kwestie właśnie dzięki temu, że był z zewnątrz, i dlatego też był w stanie robić użytek z systemu na sposoby, na które oni nigdy by nie wpadli, oraz zająć tak wysoko w tak krótkim czasie.

Duiliusz wlepił w Attyka uważny wzrok i rozważał czekające go zadanie. Nie był wojskowym. Tak naprawdę dwa dni wcześniej po raz pierwszy w życiu wszedł na pokład galery. Teraz jednak był głównodowodzącym *classis Romana* i w mgnieniu oka zdał sobie sprawę, że jeśli ma mu się udać, będzie potrzebował wiedzy ludzi takich jak stojący przed nim kapitan, ludzi podobnych do niego samego.

– Kapitanie Perennis – powiedział nagle – kiedy wrócimy do Fiumicino, chcę, żebyś sporządził pełny plan szkolenia, który będzie obejmował i taranowanie, i abordaż.

– Tak jest, konsulu – odparł Attyk, nieświadomie

zaciskając dłoń na relingu, kiedy frustracja ustąpiła wyczekiwaniu.

– Ale... – ciągnął Duiliusz – ... musisz, także rozwiązać kwestię legionistów.

Attyk kiwnął głową i ponownie przywołał w myślach całą argumentację, aby na nowo ją przeanalizować.

Duiliusz przyjrzał się Attykowi i pojął, że kapitan już się zastanawia nad rozwiązaniem problemu. Kiwnął głową. Faktycznie był człowiekiem jego pokroju: w obliczu trudnej sytuacji stawał się skupiony i zmotywowany. Ponownie się odwrócił, aby spojrzeć ponad rufą galery. Kiedy ostatnie promienie słońca zniknęły za horyzontem, wrócił myślą do minionego dnia i czekających go tygodni.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Marek w milczeniu przeczytał wiadomość, którą zawierał pergamin. Przed nim w namiocie stał legionista, który wciąż trzymał w ręce sztylet.

– To było przywiązane do rękojeści noża – powiedział żołnierz, wyciągając rękę z sygnetem.

Marek wziął pierścień i przyjrzał się mu. Był złoty, a z przodu wygrawerowano litery „SPQR”. Centurion obrócił go powoli w dłoni, a w głowie mu wirowało; w nocy Kartagińczycy przytwierdzili pergamin rzymskim sztyletem do drzewa rosnącego przed główną bramą. O świcie znalazł go obecny teraz przy Marku legionista.

– Kto jeszcze wie o tym pergaminie? – spytał zwięźle Marek.

– Tylko dwaj legioniści z drugiego manipułu. Zajmowali pozycję na bramie, pod naszą wieżą strażniczą.

Marek wstał i podszedł do wejścia do namiotu, skąd widoczna była odległa o sześćdziesiąt kroków brama. Na straży stał tylko jeden żołnierz.

– *Stercus!*

Zerknął pośpiesznie na namioty drugiego manipułu. Centurion Eliusz maszerował w stronę centrum obozu i kwatery legata. Za nim ludzie z manipułu rozmawiali z ożywieniem w grupach, od których odrywali się pojedynczy żołnierze i odchodzili do innych części obozu.

– Przeklęty głupiec – syknął Marek. – Chodź ze mną!
– rozkazał i wyszedł, chcąc zatrzymać Eliusza.

Legionista pospieszył za nim.

Trzej mężczyźni spotkali się dwadzieścia kroków od namiotu legata. Eliusz zobaczył pergamin w ręku Marka.

– Na bogów, Marku, przepadliśmy.

– Opanuj się, Eliuszu – warknął centurion. – Niech to szlag, człowieku, twój manipuł rozniesie wieści całemu obozowi jeszcze przed apelem.

– Ja... ja... – wyjąkał Eliusz, oglądając się przez ramię na dźwięk podniesionych głosów i zdając sobie sprawę z błędu, jaki popełnił.

Marek odwrócił się bezceremonialnie i ruszył zdecydowanym krokiem w stronę kwatery dowódcy. Legionista znów za nim podążył, a Eliusz został sam pośrodku placu. Minęli namiot szpitalny i obaj instynktownie zakryli rękami usta dla ochrony.

Pierwszy przypadek tyfusu stwierdzono tydzień wcześniej. Legionista stracił przytomność podczas parady, a charakterystyczną wysypkę na jego klatce piersiowej znaleziono dopiero, kiedy rozebrano go w namiocie szpitalnym. Wieści rozniosły się lotem błyskawicy, a przerażająca wiadomość o zarazie szalejącej po obozie pozbawiła żołnierzy Dziewiątego legionu ostatniej iskry nadziei. Niedożywieni ludzie padali jak muchy pod kosą tyfusu i szpital, piekielne miejsce rozbrzmiewające krzykami umierających, już był pełen.

Marek zbliżył się do wejścia do namiotu, a dwaj legioniści trzeciego manipułu stanęli na baczność i jednocześnie uderzyli pięściami o kirysy. Marek nie zwrócił na nich uwagi, tylko pochylił głowę pod przejściem prowadzącym do środka. Nie prosząc o pozwolenie, wkroczył do wewnętrznego namiotu. Siedzący za stołem Megellus natychmiast przybrał wrogą minę na to niezapowiedziane wtargnięcie. Poprzedniej nocy nie spał – nie mógł przestać zadrećzać się myślami o pogarszającej się sytuacji legionów i jego twarz była wymizerowana i blada. Napomnienie, które już miał wypowiedzieć, zamarło mu na ustach, kiedy zauważył niepokój Marka.

– O co chodzi, centurionie?

– Raportuję, legacie, że to przybito do drzewa przed główną bramą za pomocą rzymskiego sztyletu.

Megellus wytrzeszczył oczy, ponieważ natychmiast rozpoznał sygnet. Odwrócił go i przeczytał inskrypcję po jego wewnętrznej stronie.

– Nie, niemożliwe... – wymamrotał, zapomniawszy o pergaminie trzymanym w drugiej ręce. – Kto to znalazł? – spytał nagle z przerażeniem w głosie.

– Ten człowiek – odparł Marek i odsunął się, pozwalając legioniście podejść do przodu.

– Powiedz mi wszystko – zażądał Megellus.

Żołnierz szybko zrelacjonował, jak odkrył wiadomość. Megellus słuchał w milczeniu.

– Kto o tym wie? – spytał, kiedy legionista skończył.

– Plotki już rozchodzą się po obozie – przyznał z gniewem Marek, w duchu przeklinając centuriona drugiego manipułu za jego nieuwagę.

Megellus też zaklął i opadł z powrotem na krzesło, podnosząc przy okazji pergamin i ze strachem myśląc o tym, co napisała na nim ręka nieprzyjaciela.

Marek bacznie przyglądał się legatowi. Odniósł wrażenie, że Megellus kurczy się na jego oczach, w miarę jak czytał raport Kartagińczyków dotyczący ich absolutnego zwycięstwa pod Liparą. Kiedy chwilę wcześniej sam czytał meldunek, usiłował zlekceważyć go jako przechwałki wroga, podłą sztuczkę, której celem było pozbawienie Rzymian ostatnich śladów nadziei. Pierścień jednak temu przeczył, choć Marek nie pojmował, dlaczego Megellus przywiązuje do niego tak wielką wagę, poza tym że był to mało wyrafinowany dowód na prawdziwość ich raportu.

Kiedy Megellus skończył czytać, wyprostował palce i spojrzał na pierścień. Dwadzieścia galer przepadło, trzystu ludzi zginęło, tysiąc pięciuset trafiło do niewoli. Porażka była całkowita. Obrócił żelazną obrączkę w dłoni, ponownie skierowując ją pod światło, żeby przeczytać dwie inskrypcje. Megellus znał ten sygnet. Widział go już wielokrotnie, co roku na palcu innego człowieka – kolejnych starszych konsulów rzymskiego senatu.

Legat spojrzał na twarz centuriona. Była ponura i wychudzona ze zmęczenia i głodu, lecz legat widział, że

siła i determinacja Marka, cechy wykształcone podczas długoletniej służby w legionach, nie ucierpiały. Megellus był ciekaw, jak długo się utrzymają w obliczu takich przeciwności.

Resztki zapasów Dziewiątego legionu szybko się wyczerpywały, a po klęsce pod Liparą w dającej się przewidzieć przyszłości nie można było oczekiwać żadnych nowych dostaw. Megellus stracił wszelki kontakt z Drugim legionem stacjonującym w Segeście: odległość trzech dni marszu przez terytorium wroga była niemożliwa do pokonania. Prefekt ich obozu bez wątplenia przeczytał tego ranka taki sam raport, a Megellus mógł się tylko domyślać, w jakim stanie jest Drugi. Jeśli można to było oceniać po losach Dziewiątego, obóz w Segeście był bliski ruiny.

Megellus zmusił się do wstania. Jego mięśnie zareagowały bólem na wymuszony ruch i legata na mgnienie oka zdjęło przerażenie. Zlekceważył je, wmawiając sobie, że ból wynika z niedoboru soli, a nie jest sygnałem początku potwornej choroby, która powaliła ponad osiemdziesięciu jego ludzi.

Marek stanął na baczność, kiedy Megellus zwrócił się do niego.

– Wezwać ludzi na apel – rozkazał opanowanym, władczym głosem.

Marek zasalutował i wyszedł.

Legat poprawił paski swojej zbroi, świadom, że musi dawać przykład ludziom. Nastrój przygnębienia

spowijający od kilku dni obóz był wyczuwalny. Po rozejściu się wieści o porażce pod Liparą bardzo się pogorszy. Nie nastąpił jeszcze kryzys dyscypliny, lecz Megellus wiedział, że kiedy się to stanie, wygłodzeni ludzie z Dziewiątego będą głusi na rozkazy i dowodzenie nimi będzie niemal niemożliwe.

Kampania trwała od zaledwie ośmiu tygodni. Jeśli wkrótce nie przybędą posiłki, Megellus będzie zmuszony zostawić Makellę i Segestę na łaskę losu i wrócić z legionami na wschód, do Brolium. Port znajdował się dziesięć dni marszu od nich, dziesięć dni spędzonych na terytorium wroga, podczas których Kartagińczycy nie okażą legionom cienia miłosierdzia. Będzie to marsz po Hadesie. Poradzą sobie tylko dzięki sile i zdecydowaniu: dwóm filarom, które rozpadały się na oczach legata pod ciężarem zarazy i głodu.

Gajusz Duiliusz spojrział na spokojne wody u wybrzeży Fiumicino i pięćdziesiąt rzymskich galer kołyszących się łagodnie na cumach. Zwodowano je dwa dni wcześniej, lecz robotnicy wciąż uwijali się po ich pokładach i olinowaniu, aby dopełnić ostatnich przygotowań. W ciągu dwudziestu czterech godzin okręty miały popłynąć do Ostii i dołączyć do pięćdziesięciu ukończonych galer, które już się tam znajdowały, zasilając szeregi odrodzonej *classis Romana*. Ludzie pracowali z zajadłą determinacją, a ich wysiłki miały w sobie coś ostatecznego, jakby statki, które tworzyli,

czekało krótkie, skazane na klęskę życie. Podobne uczucie – strach odbierający wszystkim ducha bojowego i paralizujący dyscyplinę w obozie – przepełniało żeglarzy i legionistów floty.

Raporty o tym, że cztery tygodnie wcześniej Rzym poniósł klęskę pod Liparą, dotarły do Ostii dzięki statkom handlowym. Na tę wieść port opustoszał: kupcy przenieśli się na północ, na wybrzeże południowej Galii i do wschodniej części Iberii. Po ulicach Rzymu szalała wszechogarniająca panika, a wszyscy zwrócili oczy na południe w oczekiwaniu na straszliwy widok kartagińskiej floty przybywającej, aby złupić i zniewolić miasto. Na forach nieustająco panowała napięta atmosfera, jakby w każdej chwili mogła nastąpić zagłada.

Na początku wieści o klęsce wzbudziły w senacie panikę. Wielu wzywało do natychmiastowego rozpoczęcia negocjacji z Kartagińczykami, mając nadzieję, że za cenę porzucenia legionów na Sycylii uda się ocalić Rzym. Duiliusz zaatakował senat, a jego furia i pasja zawstydziły ludzi mniejszego formatu i nakłoniły ich do powrotu na wcześniej obraną ścieżkę honoru. Teraz, cztery tygodnie później, flota była prawie ukończona – za dwa tygodnie planowano zwodowanie ostatnich trzydziestu okrętów.

Attyk przyglądał się milczącej pracy rzemieślników, którzy kończyli zakładać olinowanie pięćdziesięciu najnowszych *galer*. *Aquila* szybko minęła flotę, kierując

się w stronę jednej z drewnianych kei nowo zbudowanych przy czarnych piaskach portu. Kapitan innej galery pomachał Attykowi z odległości czterdziestu kroków, a on odwzajemnił gest i kiwnął mu głową, rozpoznając w mężczyźnie swojego byłego rekruta. Na myśl o spotkaniu tych niedoświadczonych ludzi z Kartagińczykami, którzy robili wrażenie niepokonanych, Attyka ponownie załała fala niepokoju. Po dotarciu do Ostii załogi czekało dalsze szkolenie, które miało im zagwarantować dobrą znajomość okrętów i ich możliwości. Nawet wtedy będą dysponowali doświadczeniem o całe lata mniejszym niż Kartagińczycy.

Rozległ się rozkaz do wejścia w prędkość sterowną i *Aquila* zwolniła, wznosząc się i opadając na łagodnych falach przyboju. Z pokładu dziobowego rzucono cumy, które chwycili niewolnicy, z wprawą zatrzymując galereę. Opuszczono trap i Attyk zszedł po nim żwawo, po drodze sprawdzając stan zbroi. Spotkanie z Duiliuszem miał wyznaczone w południe i spodziewał się, że tak jak poprzednie przeciągnie się ono do późnego popołudnia. W ciągu czterech tygodni dzielących ich od wydarzeń pod Liparą Duiliusz pilnie zgłębiał rzemiosło żeglarskie i taktyki stosowane podczas bitew morskich. Wybrał sobie Attyka na nauczyciela i spotykali się tak często, jak na to pozwalały obowiązki konsula. Duiliusz szybko się uczył i miał na uwadze to, że brakuje mu doświadczenia, co bardzo ułatwiło Attykowi zadanie.

Plaża tętniła życiem: ramy, które miały mieścić

kadłuby ostatnich trzydziestu galer, wznoszono na pozostałościach rusztowań użytych przy budowie już zwodowanych okrętów. Poza odgłosami młotów i pił Attyk słyszał znajome uderzenia obciążonych drewnianych mieczy dobiegające z obozu legionistów. Od ostatnich kilku tygodni nie widział Septymusa, lecz krążyły plotki, że centurion rzadko sypia, a legioniści Czwartego idą za jego przykładem, wzmocnieni żądzą zemsty za stratę towarzyszy. Dla ludzi z Czwartego Lipara nie mogła się powtórzyć.

Attyk pokonał wydmnę na tyłach plaży i podążył w stronę namiotu konsula, ustawionego tam, gdzie kiedyś stał pawilon prefekta obozu. Tuditanus został aresztowany przez Duiliusza tuż po powrocie *Aquili* z Lipary i od tamtej pory nikt go nie widział. Attyk mógł się jedynie domyślać, jaki spotkał go los, lecz był pewien, że Duiliusz nie wykazał się pobłażliwością.

Spora kwatera konsula znajdowała się w pewnej odległości od reszty obozu i choć konstrukcję tę zbudowano z płótna, sprawiała wrażenie niemal stałej, jakby dorównywała wiekowi Fiumicino. Wejścia strzegli pretorianie o srogich i odpychających twarzach. Na nich też spadła hańba porażki pod Liparą. Obowiązkiem ich jednostki, który wszyscy przysięgali wypełniać, była ochrona senatu, a szczególnie jego wysokich rangą przedstawicieli. Pojmanie starszego konsula powierzonego ich opiece splamiło honor każdego z nich.

Attyk minął posterunek warty przy głównej bramie i

na rozkaz zostawił tam swój oręż. Przeszukano go jeszcze dwa razy, zanim mógł wejść do zewnętrznej części namiotu konsula. Tam przepytął go *optio*, który sprawdził, czy podane przez niego informacje zgadzają się z planem dnia dostarczonym przez osobistego sekretarza konsula. Dopiero potem Attyk – któremu cały czas towarzyszyli dwaj pretorianie – dostał się do wewnętrznego namiotu.

Duiliusz stał plecami do wejścia, całą uwagę koncentrując na płóciennej mapie wiszącej na ścianie namiotu. Przedstawiała ona południowo-zachodnie wybrzeże Italii, od Rzymu po miasto Righi na czubku italskiego buta, a także północny skraj Sycylii. To właśnie ta część mapy stanowiła przedmiot zainteresowania konsula. Duiliusz odwrócił się, kiedy strażnik zapowiedział Attyka.

– Możecie odejść – powiedział strażnikom konsul.

Instykt kazał mężczyznom na chwilę się zawahać przed wypełnieniem rozkazu. Jeszcze nigdy wcześniej się nie zdarzyło, żeby konsul ich odprawił, i choć znali kapitana z poprzednich spotkań, w obecnej atmosferze nie ufali nikomu. Duiliusz zgromił ich wzrokiem, a oni zasalutowali i wyszli.

– Usiądź, kapitanie – rozkazał konsul.

Attyk spoczął na jednym z dwóch krzeseł przy wielkim stole pośrodku namiotu.

– A zatem, kapitanie, zbliża się data wodowania ostatnich galer floty. Czy rozwiązałeś nasz problem?

Attyk wiedział, że padnie to pytanie, ale nie sądził, że Duiliusz zacznie od niego rozmowę. To bezpośrednio podejście zbiło go z tropu i starannie przygotowana odpowiedź wyleciała mu z głowy.

– Nie, konsulu – odparł po chwili milczenia. – Przeprowadziłem na ten temat długie dyskusje z moimi dowódcami i wciąż nie znaleźliśmy wyjścia. Nie potrafimy znaleźć sposobu na to, żeby legionści mogli szybko i bezpiecznie przedostać się z atakującego okrętu na pokład atakowanego.

Duiliusz pokiwał głową z nieodgadnioną miną. Miał nadzieję otrzymać bardziej optymistyczną odpowiedź, ale zarazem spodziewał się rozczarowania. Opinię Attyka podzielali wszyscy kapitanowie, których konsul potajemnie przepytał w ciągu poprzednich tygodni. Każdy z nich twierdził, że z legionistów nie można zrobić żołnierzy piechoty morskiej w czasie, który mieli do dyspozycji.

Septymus szedł w dół plaży, zataczając się niczym pijak, otepiały ze zmęczenia, które pozwalało mu ignorować ból wywołany skurczem ramienia. Spazm przeszył mięsień podczas symulowanej walki treningowej, co zmusiło centuriona do podniesienia tarczy i osłonięcia wystawionej na ciosy prawej części ciała. Jego przeciwnik zamachnął się mieczem, zanim zdążył sobie uświadomić, że Septymusa coś boli. Wtedy legionista natychmiast się wycofał, tłumiąc w sobie

agresję wywołaną zajadłą walką. Septymus zbył propozycje pomocy machnięciem ręki i po prostu odszedł z placu treningowego w stronę chłodnych fal morza, które w ciągu poprzednich tygodni tyle razy dodały mu sił.

Nad brzegiem wody Septymus zrzucił sandały, rozpinając zbroję. Napierśnik i naplecznik opadły na piasek, a centurion wyszedł poza okrąg porzuconego ekwipunku. Wszedł do morza, czując na stopach i nogach zimne fale, a potem zaczął brnąć dalej. Na chwilę zatrzymał się w wodzie sięgającej bioder, czekając, aż dotrze do niego następna fala, a potem rzucił się w nią na głowę. Ściana wody natychmiast wytłumiła hałas dobiegający z plaży i Septymus popłynął energicznie pod wodą, przyglądając się, jak wiry maleńkich bąbelków mieszają się ze sobą pod kipiącymi falami przyboju. Skierował się w górę i od razu wypłynął na powierzchnię za drugą falą. Z wrażeniem, że woda momentalnie go docuciła, popłynął w stronę najbliższej barki, stojącej na kotwicy sto kroków od brzegu. Mocnymi ruchami dotarł do niej w dwie minuty. Chwycił linę kotwiczną barki, żeby odpocząć, i już po chwili jego oddech wrócił do normalnego rytmu, a zdrowe ciało zregenerowało się po wysiłku. Zawrócił w kierunku brzegu i ponownie popłynął przez fale, czując się jak nowo narodzony.

Maszerując po piasku, Septymus przyglądał się gorączkowej krzątaninie na plaży, na którą nie zwrócił uwagi po drodze do morza. Przesunął wzrokiem po całej panoramie budowy. Na południowym krańcu wybrzeża

dostrzegł *Aquilę* przycumowaną do jednej z kei. Jak zawsze po pokładzie i olinowaniu uwijali się ludzie. Septymus z uśmiechem wyobraził sobie podniesiony głos Lucjusza wykrzykującego rozkazy pod adresem całej załogi, aby jeszcze udoskonaliła już panujący na galerze całkowity porządek. Septymus nadstawił ucha i próbował wychwycić jego głos, ale nie był w stanie odróżnić go od innych w kakofonii panującej na plaży.

Centurion już kilka razy zwrócił uwagę na galerę: przy pierwszej okazji od razu tam pobiegł, aby spotkać się z Attykiem i spytać go, czy do Ostii dotarły jakiegokolwiek wieści na temat Kartagińczyków. Teraz, kiedy w następstwie porażki pod Liparą zwiększono środki ostrożności i obóz był niemal odcięty od świata, Septymus – jak i wszyscy inni – polegał wyłącznie na nieczęstych wiadomościach z Ostii dostarczanych drogą morską.

Wkładając z powrotem zbroję, postanowił, że jeśli wieczorem *Aquila* wciąż będzie w porcie, złoży na niej wizytę. Dobrze będzie znów zobaczyć Attyka i będzie to szansa, żeby przy amforze wina puścić ich kłótnię w niepamięć. Po czterech tygodniach nocowania na lądzie cieszył się na myśl o spędzeniu nocy na pokładzie galery. Rozbawiła go zmiana jego upodobań, która nastąpiła w ciągu zaledwie roku. Zawsze uważał się za szczura lądowego. Teraz natomiast zaczynał odnosić wrażenie, że nigdzie już nie będzie się czuł tak domowo jak na pokładzie galery.

Po chwili wahania Attyk postanowił, że musi spróbować. Wrócił do namiotu konsula tak niespodziewanie, że stojący wewnątrz *optio* spojrzął nań zdziwiony.

– Potrzebuję przepustki – powiedział z prostotą Attyk.

Optio wiedział, że niełatwo uzyskać pozwolenie na przejście przez posterunki kontrolne obozu.

– Proszę, poczekaj tutaj, kapitanie – powiedział z powątpiewaniem i zniknął w głębi wystawnego namiotu, aby znaleźć sekretarza konsula.

Attyk postukiwał niecierpliwie stopą. Duiliusz odprawił go zaledwie chwilę wcześniej – po sześciu długich godzinach – z rozkazem, aby wrócił w południe następnego dnia. Nieoczekiwane osiemnaście godzin wolnego czasu były najprawdopodobniej jedyną szansą dla Attyka, więc modlił się o otrzymanie przepustki. W tym czasie mógłby pożeglować z powrotem do Ostii, ale tam czekałyby go takie same środki bezpieczeństwa. Biorąc pod uwagę właśnie zakończone prywatne spotkanie z konsulem, Attyk uznał, że teraz są większe szanse na to, iż jego prośba zostanie spełniona.

Sekretarz, były centurion i prefekt obozu, wyłonił się z głębi namiotu. Spojrzął Attykowi prosto w oczy, jakby próbował sprawdzić, czy za zwykłą prośbą o przepustkę kryje się jakiś podstęp.

– Konsul zgodził się na wydanie przepustki –

powiedział, a ton jego głosu mówił, że nie jest zachwycony tym, jak wspaniałomyślnie konsul traktuje młodego kapitana. – Ze względów formalnych muszę tylko wiedzieć, dokąd jedziesz.

Attyk kiwnął głową, rozbawiony skrupulatnością urzędników, która przejawiała się w każdym aspekcie wojskowego życia.

– Do Rzymu – odpowiedział. – Do dzielnicy Wiminał.

Sekretarz zanotował informację i podał Attykowi mały zwój.

Kapitan udał się do stajni. Używając przepustki, by wywołać wrażenie, że wypełnia pilną i ważną misję, zarekwirował wierzchowca i wyjechał z obozu na południe, przecinając via Aurelia dziesięć mil od miasta.

Zbliżał się już wieczór, kiedy Attyk minął otaczający Rzym mur Serwiusza. Od niepamiętnych czasów zabezpieczano się przed niespodziewanym nocnym atakiem, zamykając bramy miasta o zmierzchu i otwierając je dopiero o świcie następnego dnia. Attyk zatrzymał pierwszego obywatela, którego napotkał w obrębie murów, i zapytał go o drogę do Wiminału. Musiał przejechać przez Forum Magnum, które wciąż tętniło życiem, choć słońce opadało już w stronę horyzontu na zachodzie. Aby rozświetlić ciemniejące ulice, zapalono pochodnie na portykach świątyń, i cała okolica robiła wrażenie uświęconej. Wyglądała jak stosowne ziemskie królestwo dla bogów, których przedstawiały marmurowe

posagi spoglądające na przejeżdżającego Attyka. Zatrzymał się przy statui bogini miłości, Wenus, przykrywającej swoją nagość splecionymi ramionami. Attyk wyciągnął dłoń i dotknął cokołu, bezgłośnie modląc się do bogini, aby pomogła mu w poszukiwaniach.

Attyk dotarł do Wiminału, kiedy na ulicach zaczynał już zapadać mrok. Podniósłszy oczy, zobaczył, że szczyty najwyższych budynków są wciąż skąpane w gasnącym świetle, a ich ściany odbijają ukośne promienie słońca, dzięki którym dookoła nie było jeszcze zupełnie ciemno. Attyk miał za wskazówkę jedynie nazwisko rodu, którego dom chciał znaleźć, i do przeszukania całą dzielnicę; przeczuwał, że jego zadanie jest beznadziejne. Nadciągał mrok. Attyk przypomniał sobie ostrzeżenie Septymusa o grasujących w ciemnościach złoczyńcach.

Kupcy zamykali na noc ustawione przy ulicach stragany. Ruszali się zwawo po długim dniu pracy, a myśl o domu dodawała im energii. Attyk przerwał to zadanie wielu z nich, pytając o drogę, a oni odpowiadali pospiesznymi, lekceważącymi głosami i gestami. Ludzie na ulicach zaczęli już przypominać cienie, kiedy Attyk dostrzegł gospodę oferującą nocleg i stajnię dla jego konia. Poszedł w jej stronę. Przepustka była dla niego niespodziewaną okazją i Attyk przeklinał w duchu, że nie jest w stanie jej wykorzystać. Gdy mijał dwie służące, wpadła mu w ucho ich rozmowa. Na wzmiankę o imieniu odwrócił się nagle, zaskakując obie kobiety.

– Powiedziałaś, że twoją panią jest Hadria? – spytał.

Kobieta zawahała się na widok jego górującej nad nią w ciemnościach sylwetki.

– I co z tego? – zapytała stanowczo niższa kobieta. Po jej głosie słychać było, że jest w podeszłym wieku, a ton dawał do zrozumienia, że ustępuje tylko nielicznym.

– Szukam domu Kapitonów, gdzie mieszka kobieta imieniem Hadria.

Jego pytanie spotkało się z milczeniem. Ciemności maskowały podejrzliwe miny kobiet.

– Jesteśmy służkami w tym domu – powiedziała w końcu jedna z nich, pokazując dłonią bramę rysującą się nie dalej niż pięćdziesiąt kroków od nich.

– Czy możesz zanieść swojej pani wiadomość? – spytał Attyk, starając się, żeby jego głos brzmiał przyjaźnie i niegroźnie. – Zapłacę ci za fatygę – dodał, podając niższej kobiecie podwójnego asa z brązu.

Zacisnęła dłoń na monecie, wyczuwając jej ciężar i kształt.

– Co mam przekazać?

– Powiedz swojej pani, że kapitan Perennis czeka na wieść od niej w tej tawernie – powiedział, wskazując palcem budynek stojący niemal naprzeciwko domu ciotki Hadrii.

Kobieta kiwnęła głową, czego prawie nie było widać w niemal nieprzeniknionych ciemnościach. Obie służki odeszły szybko, a Attyk skierował się do tawerny. Miał nadzieję, że jego wiadomość jest na tyle niejednoznaczna, iż służba nie zacznie plotkować. Wiedział, że Hadria na

pewno chciałyby utrzymać ich spotkanie w tajemnicy.

Attyk załomotał w solidne drewniane drzwi i karczmarz otworzył małą klapę umieszczoną na wysokości twarzy. Kapitan zapytał o nocleg i po chwili, kiedy karczmarz obrzucił już wzrokiem ciemną ulicę za nim, drzwi się otworzyły. Wezwany chłopiec stajenny wybiegł śmiało na ulicę, aby odprowadzić konia na niedaleki zamknięty dziedziniec. W porównaniu z mrokiem ulic rozświetlona lampkami oliwnymi gospoda wyglądała na ciepłą i przytulną. Atmosfera była wyciszona: w sporym pokoju siedziało tylko czterech innych gości. Attyk zamówił amforę wina i jedzenie, a potem usadowił się w kącie. Cały ten pomysł był ambitny i opierał się na nadziei, że Hadria wróciła do miejskiej rezydencji swojej ciotki, on będzie w stanie odnaleźć dom, a dziewczyna zechce się z nim zobaczyć. Podziękował Wenus za sprzyjające mu jak dotąd szczęście.

Po upływie półgodziny Attyk zaczął się zastanawiać, czy aby wraz ze znalezieniem domu jego szczęście się nie wyczerpało. Wlepiał w drzwi pełen wyczekiwania wzrok, starając się siłą woli sprawić, aby rozległo się pukanie, które obwieści przybycie Hadrii. Zaczęły trawić go wątpliwości. Może wiadomość przechwycił jeden z jej braci, który wrócił i też zatrzymał się u ciotki, o czym Attyk nie mógł wiedzieć. A może służka po prostu wzięła pieniądze i nie przekazała zawiadomienia. Ostatni powód nieobecności Hadrii, jaki przyszedł mu do głowy, lecz

którego nie chciał brać pod uwagę, był taki, że otrzymała wiadomość, ale nie ma ochoty się z nim widzieć.

Jego rozmyślania przerwało głośne stukanie. Po chwili rozległo się ponownie, głośniej. Karczmarz przeszedł przez izbę, nawołując, żeby człowiek czekający na zewnątrz był cierpliwy. Tak jak wcześniej otworzył klapę, aby spojrzeć na gościa. Padły słowa, których Attyk nie dosłyszał, choć rozpoznał, że po drugiej stronie drzwi stoi mężczyzna. Karczmarz się odwrócił.

– Czy jest tu kapitan Perennis? – krzyknął.

Attyk podniósł się i przedstawił, odruchowo chwytając rękojeść miecza.

– Ktoś cię szuka – wyjaśnił karczmarz, dostrzegając jego ostrożny gest. Wciąż mocno trzymał żelazny rygiel blokujący drzwi.

Attyk podszedł i wyjrzał na zewnątrz. Stał tam żołnierz, strażnik domowy, czujnie obserwujący ciemną ulicę.

– Jestem kapitan Perennis – powiedział przez klapę Attyk.

Strażnik odwrócił się w jego stronę.

– Moja pani prosi, żebyś mi towarzyszył. Chciałaby, żebyś przekazał jej bratu wiadomość – powiedział, a jego ostrożne słowa nie zdradziły tożsamości Hadrii nadstawiającemu ucha karczmarzowi.

– Otwórz drzwi – zażądał Attyk.

– Tam nie jest bezpiecznie – odparł karczmarz – a ty jeszcze nie zapłaciłeś za nocleg i stajnię.

Attyk sięgnął do sakwy i wyciągnął brązową sestercję. Karczmarz sprawdził monetę zębami, zanim ją schował. Dopiero wtedy odsunął rygiel.

Attyk ponownie wyszedł na zewnątrz, nie zdejmując dłoni z oręża. Żołnierz odwrócił się i ruszył ulicą, mijając główne wejście, które wcześniej wskazały służki. Dookoła było dziwnie cicho; słycać było wyłącznie przytłumione rozmowy i śmiechy dobiegające zza ceglanych murów otaczających domy. Strażnik skręcił nagle w lewo, w wąską uliczkę, która prowadziła wzdłuż północnej ściany domu, i bez wahania podszedł do rysujących się w niej małych drewnianych drzwi. Zapukał i natychmiast otworzyła je spowita cieniami postać, która gestem kazała im wejść, a potem szybko zamknęła i zaryglowała drzwi. Attyk poszedł za wartownikiem przez dziedziniec oświetlony słabym światłem padającym z okien na drugim piętrze. Dotarli do drugich drzwi i strażnik znów musiał zapukać, zanim odgłos odsuwane go rygla zapowiedział, że będzie im wolno przejść. Przez otwarte drzwi na dziedziniec padł długi prostokąt światła i Attyk ponownie doświadczył ulgi, jaką daje wejście do jasnego pomieszczenia.

Wartownik, który otworzył drzwi, i ten, który towarzyszył po drodze Attykowi, odeszli, i młody kapitan został sam. Rozejrzał się po prostym, kwadratowym pomieszczeniu, z którego zapewne można było przejść do kolejnych, niewidocznych teraz pokoiów i do atrium. Pośrodku pomieszczenia stała długa, niska ława z

marmuru; oszczędny wystrój świadczył o tym, że to poczekalnia. Ponieważ Attyk nie potrafiłby usiedzieć w miejscu, krążył po pokoju, a ten czas wydawał mu się wiecznością. W końcu otworzyły się drzwi i ukazała się w nich Hadria.

Podczas tygodni, które upłynęły od ich poprzedniego spotkania, Attyk stworzył sobie w myślach jej obraz, prosty, pozbawiony ozdób portret przedstawiający jej urodę i wdzięk. Wizerunek ten nabrał dla niego wyjątkowego znaczenia. Attyk przywoływał go, kiedy pod koniec dnia miał chwilę spokoju. Teraz widział, że nawet jego bujna wyobraźnia nie potrafiła dobrze uchwycić prawdziwej wizji stojącej przed nim kobiety. Dosłownie promieniała pięknem: miękkie światło padające z pokoju za nią jarzyło się w jej włosach i sprawiało, że jej sylwetka wyraźnie rysowała się na tle przejścia.

– Hadrio – w cichej przestrzeni pokoju Attyk odruchowo odezwał się szeptem.

Na to wezwanie podeszła, ruszając się zwiewnie i powoli, a na jej twarzy nagle wykwitł promienny, zaraźliwy uśmiech.

– Kazałaś mi długo czekać – zarzucił jej żartobliwie Attyk.

– Twoja wiadomość zupełnie mnie zaskoczyła – odparła pogodnie Hadria. – Najpierw musiałam poczekać, aż ciotka uda się na spoczynek. Potem odprawiłam całą służbę, żeby nikt nie zauważył, jak wchodzisz.

Attyka rozbawiły te zawile przygotowania.

– Prawie doszłam do wniosku, że nie jesteś wart tego wysiłku – dodała prowokująco.

Attyk się uśmiechnął, ale nie odpowiedział od razu i ich milczenie zaczęło się przedłużać. Spoglądali na siebie z przejęciem, owładnięci niewypowiedzianymi uczuciami, po czym Hadria przebiegła ostatnie kilka kroków, które ich dzieliło, i padła Attykowi w ramiona. Objął ją mocno, rozkoszując się wonią jej naperfumowanego ciała, uczuciem trzymania jej blisko siebie. Odsunęli się nieco od siebie i pocałowali, a intymność tej chwili zaparła im obojgu dech w piersiach.

Attyk objął twarz Hadrii dłońmi, a kiedy zauważył, jak w jej oczach wzbierają łzy, miał wrażenie, że zaraz pęknie mu serce.

– Mamy tak mało czasu – wytłumaczyła, zanim zdążył się odezwać – tylko chwilę, zanim wróci dowódca straży, aby odprowadzić cię do gospody. Powiedziałam mu, że będziesz posłańcem między mną a moim bratem w Fiumicino.

– Nie rozumiem – zaczął Attyk – muszę być w obozie dopiero jutro w południe. Jest tyle rzeczy, które chcę ci wyznać, tak wiele chciałbym wiedzieć.

– Nie możemy być razem, Attyku – usiłowała wyjaśnić Hadria – jeszcze nie.

– Dlaczego?

– Z powodu Septymusa.

– Septymusa – syknął Attyk, puszczając Hadrię, i

obszedł marmurową ławę, tak aby oddzielała go od dziewczyny. – Już wiem, jakie jest jego zdanie.

W odpowiedzi na zdezorientowane spojrzenie Hadrii mówił dalej.

– Uważa, że nie jestem dla ciebie dość dobry. Z powodu mojego greckiego pochodzenia nie jestem ciebie godzien.

Hadria pokręciła głową, wyciągając ręce nad ławą.

– Nie, Attyku, to nieprawda. Cokolwiek powiedział ci Septymus, to tylko pretekst. Nie chce, żebyśmy byli razem, ze względu na Waleriusza.

– Waleriusza?

– Tak, Waleriusza Cispiusa Klarusa, mojego pierwszego męża.

– Ale dlaczego... ?

– Był najlepszym przyjacielem Septymusa – wyjaśniła. – Dorastali razem i wspólnie dołączyli do Dziewiątego legionu. Bardzo przeżył śmierć Waleriusza pod Akragas. Sądzę nawet, że była jedną z przyczyn jego przeniesienia się z Dziewiątego do floty.

Na twarzy Attyka zaczął się pojawiać wyraz zrozumienia. Jeszcze raz obszedł ławę, aby stanąć u boku Hadrii.

– A zatem Septymus się obawia... – zaczął.

– ... że historia się powtórzy – dokończyła Hadria.

– Dlaczego więc sam mi tego nie powiedział?

– Ponieważ jest dumny, Attyku, i myślę, że uważa swoją troskę za słabość.

Attyk instynktownie znów wyciągnął ramiona i Hadria przytuliła się do niego, na chwilę zapominając o zmartwieniach.

– Kocham cię, Attyku. Już to wiem. Ale wiem też, jak straszliwą cenę trzeba byłoby zapłacić, gdyby Septymus się dowiedział, że jesteśmy razem, zanim zdążyłabym jakoś rozwiązać jego obawy.

Attyk uśmiechnął się na myśl o lojalności, która leżała u podstaw trosk Septymusa.

– Dlaczego się uśmiechasz? – spytała Hadria.

– Na pewno bardzo cię kocha – powiedział po prostu Attyk.

– Tak... to prawda – odparła, a jego zrozumienie głęboko ją wzruszyło.

Uniosła twarz i odnalazła ustami jego wargi, pozwalając pocałunkowi się przedłużyć. Na dźwięk zbliżających się kroków nagle przerwała kontakt. Wracał dowódca straży.

– Proszę, uważaj na siebie, Attyku... Uważaj na siebie do naszego następnego spotkania – wyszeptała, a jej głos załamał się ze strachu o los ukochanego mężczyzny.

Attyk objął ją, pozwalając jej czerpać siłę z niego samego i ich miłości. W końcu Hadria odwróciła się szybko i pobiegła w stronę drzwi. Przez chwilę jej ciało rysowało się w słabym świetle z ciągnącego się za nią korytarza, a ona spojrzała w stronę Attyka ostatni raz, szepcząc jego imię. Potem zniknęła.

Kiedy następnego dnia na godzinę przed południem Attyk przejeżdżał przez główną bramę, w obozie panował równie szaleńczy ruch jak poprzednio. Wartownicy po raz ostatni sprawdzili jego przepustkę, po czym ją skonfiskowali, żeby nie mógł jej więcej użyć. Attyk, któremu dokument już nie był do niczego potrzebny, oddał go bez protestów. Wiedział, że nie będzie miał kolejnej szansy na tak długą przepustkę.

Sprawdził położenie słońca na czystym, błękitnym niebie. Przed spotkaniem z konsulem miał aż nadto czasu, żeby chwilę popływać i zjeść coś na pokładzie *Aquili*. Przyspieszył kroku i pokonał grzbiet wydmy dzielącej plażę od obozu. Na widok tego, co zobaczył, stanął jak wryty. Z pięćdziesięciu galer, które poprzedniego dnia były zacumowane przy plaży, zostało tylko jakieś dwanaście, a i one już ruszały w drogę: ich dzioby skierowane były na południe, w stronę Ostii. Jednak to nie ich wypłynięcie przyciągnęło jego uwagę, lecz dwadzieścia potężnych statków transportowych, które zajęły miejsca galer u brzegu. Były ustawione w czterech grupach dookoła czterech drewnianych kei, które wcinały się tak daleko w morze, że barkom nie groziło wypchnięcie na plażę podczas wysadzania na ląd ich ładunku: ludzi. Attyk zatrzymał mijającego go pospiesznie żołnierza.

– Co to za legion, żołnierzu?

– Piąty, z Ligurii – powiedział młody legionista i

pobiegł dalej.

Plaża tuż nad linią wody już roiła się od zdyscyplinowanych formacji nowo przybyłego legionu. Co chwilę w pełni uformowany manipuł zaczynał marsz w górę plaży między rusztowaniami budowniczych okrętów. Tak jak Czwarty, który już znajdował się w obozie w Fiumicino, Piąty był legionem garnizonowym, a zatem składał się z pięciu tysięcy żołnierzy pogrupowanych w czterdzieści manipułów. W skład tych legionów nie wchodziły dodatkowe oddziały pomocnicze i kawalerii, które zwiększyłyby ich liczebność do dziesięciu tysięcy; tak przedstawiała się obsada legionów biorących udział w kampanii, na przykład tych z Sycylii. Sądząc po ich zwartych szeregach i tym, że należały do północnej linii obrony republiki, Attyk domyślał się, że to twarde, doświadczone jednostki.

Zszedł po plaży do najbardziej wysuniętej na południe kei, gdzie poprzedniego wieczoru była zacumowana *Aquila*. Za dwiema znajdującymi się tam teraz barkami Attyk dostrzegł, że jego galera stoi na kotwicy dwieście kroków od brzegu, bezpiecznie oddalona od niezgrabnych okrętów transportowych. Odszedł od kei na pusty odcinek plaży i pomachał ręką w stronę statku. Stojący na pokładzie rufowym Lucjusz natychmiast rozpoznał kapitana i odwzajemnił gest. Attyk przyglądał się, jak spuszczano łódkę na wodę. Wskazał skraj kei, skąd chciał być odebrany, i ruszył w krótką drogę powrotną do barek.

Keja miała szerokość dwóch i pół metra i ciągnęła się w głąb morza na sto kroków od linii przyływu na plaży. Attyk poszedł prawą krawędzią pomostu, a po drugiej stronie mijali go maszerujący trójkami żołnierze o surowych twarzach. Kiedy Attyk zrównał się ze środkiem barki, zatrzymał się, aby zerknąć w górę na jej główny pokład. Na chwilę zablokowała mu drogę wielka skrzynia wyładowywana z okrętu, zwieszająca się chwiejnie z dźwigu.

Reling na burcie usunięto, aby zrobić miejsce na trap o niespełna dwumetrowej szerokości i długości trzech i pół metra, który opuszczono na pomost. Potężne trapy znajdowały się na wszystkich barkach handlowych i dzięki ich rozmiarom oraz solidności można było szybko rozładować z okrętu wszystko, od żywego inwentarza po grupy niewolników. Zazwyczaj trapy leżały na głównym pokładzie i w porcie po prostu przerzucano je poza burzę, a ich rozpęd w ostatniej chwili hamowały liny przymocowane do końca trapu od strony pokładu. Był to prosty, lecz wymagający wprawy manewr, do którego konieczne były niezwykle precyzyjne wyczucie czasu i pewna ręka. Jedna pomyłka i trap mógł spaść całkowicie poza burzę. Attyk wielokrotnie był świadkiem takich żenujących sytuacji w ruchliwych portach republiki.

Legioniści czekali cierpliwie na tyłach głównego pokładu, kiedy umocowany do masztu dźwig ustawiono nad opuszczonym trapem. Na głośny rozkaz kontrolująca urządzenie grupa żeglarzy powoli i ostrożnie opuściła

jego ramię, aż skrzynia zawisła nad pomostem u stóp trapu. Druga grupa żeglarzy, trzymająca linę przywiązaną do skrzyni, opuściła ją za pomocą wielokrażka umieszczonego u szczytu dźwigu i ładunek opadł łagodnie na pomost. Ludzie wdrapali się na skrzynię, aby ją odwiązać, a dźwig ponownie odsunięto, po kolejny ładunek. Attyk wyminął grupkę ludzi zajmujących się rozładunkiem i ruszył dalej w stronę końca pomostu.

Zauważył, że w jego stronę zmierza łódka, i pomachał ręką na powitanie. Zamarł, kiedy przyszła mu do głowy niespodziewana myśl, i obrócił się szybko, żeby spojrzeć na barcę. Legioniści mogli już wrócić do schodzenia na ląd, więc ustawili się w zdyscyplinowanych szeregach na szczycie trapu i zeszli po nim trójkami. U dołu trapu formacja skręciła w prawo i podążyła pomostem na plażę. Po chwili cały manipuł – dwadzieścia rzędów po trzech mężczyzn – był na lądzie.

Attyka oszołomiła prostota pomysłu kiełkującego w jego głowie. Sceptyczna strona jego osobowości buntowała się przeciw tak niewyszukanemu conceptowi, lecz rozsądek przewyciężył wątpliwości i Attyk ponownie doszedł do wniosku, że to najlepsze rozwiązanie. Ruszył biegiem w przeciwnym kierunku, przyciągając zdumione spojrzenia marynarzy w łódce. Minał maszerujących pomostem legionistów i dotarł do plaży. Zatrzymał się na chwilę, żeby się odnaleźć w terenie i przeszukać wzrokiem budowę, lecz Lentulusa, głównego budowniczego floty, nie było nigdzie widać.

Attyk znów zaczął pędzić, tym razem w górę plaży, w stronę obozu. Kiedy biegł, jego twarz nabrała zdecydowanego wyrazu, a nowy pomysł krążył mu bez przerwy po głowie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Przemożny smród otaczający Scypiona w ciemnych jak smoła głębinach dolnego pokładu kartagińskiej galery po raz kolejny wywołał u konsula torsje. Ciasna ładownia znacznie się różniła od miejsca, gdzie spędził pierwsze dwa tygodnie niewoli: ufortyfikowanego garnizonu w Liparze. Z okna celi mógł patrzeć na port i przyglądać się utracie swojej *classis Romana*, ale nie dlatego, że ją zniszczono, lecz ponieważ przerabiano ją i wcielano do floty Kartaginy. Zasadzkę przetrwało szesnaście z dwudziestu galer jego pierwszej jednostki i powiększyły one zastępy wroga. Ten gorzki, niespodziewany obrót spraw był hańbą dla dumnego niegdyś konsula. Po dwóch tygodniach Kartagińczycy byli gotowi do opuszczenia Lipary. Wtedy wywleczono Scypiona z celi i bez wyjaśnienia wtrącono do ładowni, w której teraz gnił.

Kiedy zgiął się wół, poczuł skurcz już od dawna pustego żołądka i z trudem spróbował złapać oddech. Klaustrofobiczny koszmar zamkniętej przestrzeni ponownie ogarnął jego myśli i groził mu załamaniem. Scypion sięgnął głęboko do swoich pokładów odwagi, aby zwalczyć narastającą panikę, lecz okazało się, że zimna krew go zawodzi. Od ciasnoty bolały go nogi: w wysokim jedynie na półtora metra pomieszczeniu musiał kucać, aby jak najmniej dotykać ohydnie brudnej, pokrytej karaluchami i odchodami podłogi. Od kwater

niewolników dzieliła go gródź, przez którą słyszał ich jęki i udręczony kaszel. Dźwięki te mroziły mu krew.

Scypion nie był pewien, jak długo już siedzi w ładowni, ale oceniał, że co najmniej od dwóch tygodni. Przez ten czas luk ponad jego głową otwierał się sporadycznie, a jego porywacze dawali mu czerstwy chleb i słonawą wodę, zawsze dorzucając obraźliwe słowo wypowiedziane w ich niezrozumiałym języku. Przez pierwszy tydzień Scypion robił co mógł, aby utrzymać fasadę zobojętnienia na swoje położenie, ponieważ nie chciał dać nieprzyjaciołom satysfakcji, okazując, jak bardzo cierpi. Ta poza spowodowała przy dwóch okazjach brutalną reakcję. Za drugim razem był to cios w głowę, od którego stracił przytomność. W następnym tygodniu pojawił się przemożny strach, przeczucie, że zostawią go w ładowni na śmierć, i wtedy opuściły go wszelkie ślady prawdziwego oporu. Bęben z pokładu dla wioślarzy nad nim wciąż powtarzał swój nieustający rytm, a Scypion czuł, jak w spowijających go ciemnościach giną resztki jego determinacji.

Hannibal Gisko przeszedł przez pokład dla wioślarzy w stronę zamkniętego luku prowadzącego do niższej ładowni. Poruszał się cicho, przesuwał wzrokiem po rzędach skutych kajdanami niewolników. Kiedy nadzorcy zdali sobie sprawę z obecności admirała, zaczęli częściej okładać batami plecy galerników. Ich okrucieństwo nie wynikało z gorliwości, lecz ze strachu. Gisko dostrzegł tę

zmianę i uśmiechnął się w duchu. Był zaskoczony, kiedy się dowiedział, że Rzymianie używają własnych żeglarzy jako nadzorców wioślarzy. Wiele lat wcześniej Gisko zarządził, żeby stanowiska te zajmowali niewolnicy wybrani spośród samych wioślarzy.

Ta metoda oznaczała, że w chwili, kiedy ci wybrańcy chwycili bat i zadali nim pierwsze uderzenie, stawali się wrogami innych niewolników. Jakakolwiek oznaka tego, że nadzorca szczędzi razów swoim byłym towarzyszom, natychmiast spotykała się z karą w postaci skierowania go z powrotem do szeregów wioślarzy. Po powrocie między nich długość życia byłego nadzorcy mierzyło się w godzinach: ginął zazwyczaj podczas pierwszej przerwy, poza zasięgiem wzroku, zamknięty w ładowni pod pokładem wraz z ludźmi, których jeszcze niedawno smagał batem. To posunięcie niezwykle zwiększyło skuteczność nadzorców i sprawiło, że byli bezwzględni, niemal nieludscy w swej zajadłości, a okrucieństwo ich rosło ze strachu przed oskarżeniem o pobłażliwość.

Gisko zatrzymał się przy luku. Stojący tam żołnierz zasalutował i zrobił krok w tył.

– Przyrowadź dwóch kolejnych ludzi – rozkazał, a żołnierz się oddalił.

Admirał powtarzał w myślach wiadomości, którymi już dysponował. Przez ostatnie dwa tygodnie osiemnastu rzymskich kapitanów, którzy przeżyli zasadzkę, poddawano systematycznym torturom, aby wydobyć od nich informacje dotyczące nowej floty. Niektórzy byli

twardsi od pozostałych, inni więcej wiedzieli, ale każdy w końcu wyjawiał jakiś fragment ogólnej strategii.

Rzymianie planowali budowę stu pięćdziesięciu statków takiej samej klasy jak te, które stracili pod Liparą. Pierwsza dwudziestka po części uległa zniszczeniu, a po części trafiła w ręce Kartagińczyków, co znaczyło, że większość floty jeszcze nie trafiła do akcji. Wciąż nie wiadomo było, kiedy to nastąpi, ale można było to łatwo oszacować na podstawie szybkości, z jaką Rzymianie stworzyli pierwszą dwudziestkę. Kiedy Gisko usłyszał, ile czasu im to zajęło, nie uwierzył. Osobiście nadzorował przesłuchanie trzech kapitanów, aby potwierdzić raport. Pierwsze dwadzieścia galer powstało w niewiele ponad dwa tygodnie, a w dniu, kiedy wypłynęły, zaczęto pracę nad kolejnymi pięćdziesięcioma kadłubami. Biorąc pod uwagę, że niemal wszystkie doniesienia meldowały o nieustannym zwiększaniu tempa budowy, można było założyć, iż flota jest bliska ukończenia.

Gisko był też pewien, że Rzymianie wiedzą wszystko na temat zasadzki zastawionej na nich pod Liparą. Jego dowódca straży, Kronos, i zdrajca Demades nie wrócili z Rzymu. Demades mu się sprzeniewierzył. Przed odpłynięciem z Lipary Gisko spełnił obietnicę i zgładził rodzinę radnego, ale dopiero po tym, jak trzy kobiety spędziły długą noc w towarzystwie żołnierzy z garnizonu.

Ostatnim elementem układanki był człowiek mający dowodzić rzymską flotą. Wielu kapitanów mówiło, że następny w hierarchii władzy jest Rzymianin nazwiskiem

Gajusz Duiliusz, młodszy konsul. Żaden nie wiedział nic o nim, jego pochodzeniu czy umiejętnościach. Gisko był jednak pewien, że człowiek znajdujący się pod pokładem, starszy konsul Rzymu, będzie dysponował wiadomościami potrzebnymi admirałowi do wybadania człowieka, z którym miał wkrótce zmierzyć się w bitwie.

Właz nad Scypionem otworzył się nagle. Szorstkie ręce sięgnęły w dół i wyciągnęły go na pokład wioślarzy. Kiedy wyprostował nogi, przeszył je skurcz, a Scypion zacisnął zęby z bólu. Światło dookoła było przytłumione, lecz przyzwyczajony do całkowitych ciemności ładowni musiał osłonić przed nim oczy. Ktoś natychmiast chwycił jego ręce i wykręcił mu je za plecy.

Scypion podniósł wzrok na twarz kartagińskiego dowódcy, tego samego człowieka, z którym starł się na tylnym pokładzie *Marsa*. Momentalnie zdał sobie sprawę, jak bardzo się różnią. Kartagińczyk stał z dumą, wyprostowany, i miał niezłomne, pewne siebie spojrzenie. Scypion natomiast mógł tylko naśladować te cechy. Jego toga była odrażająco brudna i lepiała się do ciała, a on garbił się żałośnie. Spróbował się wyprostować, lecz znów dokuczył mu skurcz mięśni nóg, więc tylko przywołał na twarz minę, która – jak sądził – wyrażała hardy opór.

Kartagińczyk uśmiechnął się i odszedł, a strażnicy zmusili Scypiona, żeby podążył za nim ciągiem wąskich zejściówek do głównej kabiny na rufie statku. Kiedy

dotarli na miejsce, dowódca usiadł za stołem.

– Zdjąć mu toge! – rozkazał Gisko, a na jego twarzy widać było obrzydzenie wywołane ohydny stanem okrycia.

Strażnicy znów obeszli się ze Scypionem bezceremonialnie; tunika pod spodem była równie brudna.

– Odejść – zażądał admirał.

Dwaj przeciwnicy zostali sami.

– Domagam się, aby traktowano mnie zgodnie z moją rangą – powiedział Scypion. Usiłował wzbudzić w sobie arogancję, której nie czuł.

– *Vae victis*: biada zwyciężonym – syknął Gisko, przywołując słowa galijskiego dowódcy użyte ponad sto lat wcześniej, po złupieniu Rzymu. – Siadaj, Rzymianinie.

Scypion próbował stać niewzruszenie.

– Siadaj albo każę moim ludziom odprowadzić cię do ładowni.

Scypion wzdrygnął się na tę pogroźkę, a myśl o powrocie do ciemnego więzienia wywołała u niego ściskanie w dołku. Usiadł pospiesznie.

Gisko zauważył tę reakcję i poczuł odrazę na tak widoczną oznakę przerażenia u człowieka, który podawał się za dowódcę Rzymu.

– Nazywam się Hannibal Gisko. Jestem głównodowodzącym kartagińskich sił walczących o wyzwolenie Sycylii spod rzymskiej tyranii.

Scypion powstrzymał instynktowną ripostę. Nie chciał podburzać wroga.

– Miałem okazję... porozmawiać z kapitanami twojej floty – ciągnął Gisko. – Wygląda na to, że ich lojalność nie wykracza poza chęć uratowania własnej skóry. Z wielką ochotą wyjawili wszelkie szczegóły dotyczące waszej nowej floty, jej wielkość, skład, klasy statków.

Scypion usiłował zachować obojętny wyraz twarzy, lecz słowa Kartagińczyka wywołały w nim falę uśpionego wcześniej gniewu. Wszyscy mnie zdradzili, pomyślał z goryczą.

– Jest jeszcze tylko jedna informacja, którą chcę, żebyś potwierdził, Rzymianinie – dodał Gisko.

– Nie wydam ci mojego miasta – odparł słabo Scypion, próbując nadać głosowi śmiały, zdecydowany ton. Nawet on sam usłyszał, jak puste są to słowa.

Gisko się zaśmiał.

– Zrobiło to już dość wielu Rzymian – powiedział lekceważąco. – Chcę tylko, żebyś opowiedział mi o człowieku, który będzie dowodził waszą flotą.

Scypion wyprostował plecy, kiedy umysł podsunął mu obraz znienawidzonej twarzy Duiliusza.

– Jeśli zaczniesz współpracować, zamknę cię w kabinie, a nie w ładowni, którą właśnie opuściłeś – dodał Gisko.

Scypion nie potrafił ukryć swojej reakcji na tę ofertę oraz na szansę sięgnięcia poza niewolę i zemśczenia się na Duiliuszu. Gisko dostrzegł w nim tę przemianę i

uśmiechnął się pod nosem. To będzie łatwiejsze, niż się spodziewał.

– A zatem – powiedział admirał – opowiedz mi wszystko, co wiesz o Gajuszu Duiliuszu.

Młodszy konsul podniósł oczy znad ewidentnie naprędce skreślonych, lecz zrozumiałych szkiców, które przed nim leżały. Dwaj ludzie po drugiej stronie stołu wyglądali na pewnych siebie, jakby ich pomysł był sprawdzoną strategią, a nie stworzoną ledwie godzinę wcześniej koncepcją.

– Czy ten projekt jest wykonalny? – spytał Duiliusz starszego mężczyznę.

– Tak, konsulu – odparł Lentulus.

Duiliusz znów spojrzał na rysunki. Na papierze zamysł wyglądał na możliwy do zrealizowania i stanowił właśnie to rozwiązanie, którego szukał od tygodni.

– Kiedy możemy go wypróbować? – spytał konsul.

– Możemy umieścić nowe wyposażenie na *Aquili* i przygotować się do prób w ciągu czterdziestu ośmiu godzin – odparł Attyk.

Duiliusz kiwnął głową. Rozmyślnie nie dał się opanować zaraźliwej pewności dwóch pozostałych mężczyzn i racjonalnie analizował koncepcję. Oddelegowanie Lentulusa na *Aquile* i odsunięcie go od programu budowania floty opóźni wodowanie ostatnich trzydziestu galer, ale jeśli pomysł można byłoby wcielić w życie, znacznie zwiększyłyby ich szanse w walce z

Punijczykami. Zerknął ukradkiem na Attyka, który wlepił wzrok w rysunki leżące na stole. Wyglądało na to, że człowiek z zewnątrz dostrzegł to, czego wszyscy szukali, lecz nikt nie mógł znaleźć.

– Do dzieła – powiedział tylko.

Dwaj mężczyźni wstali, a młodszy z nich zasalutował, uderzając pięścią o pierś. Duiliusz skinął głową, odprawiając ich, a jego mina nie zdradzała wyczekiwania, z jakim myślał o przeobrażeniu tych prostych rysunków w rzeczywistość.

– Nie jest szlachetnie urodzony? – spytał Gisko, usiłując znaleźć w słowach Rzymianina ślad przebiegłości. Nie znalazł żadnego. Człowiek siedzący przed nim najwyraźniej nienawidził Gajusza Duiliusza. Co do tego nie było wątpliwości, choć Gisko nie potrafił pojąć powodu tej nienawiści.

– Nie, nie jest – warknął Scypion. – Jest pośledniego rodu, to syn rolnika.

Monarchię w Kartaginie zniesiono ponad pół wieku wcześniej, lecz Gisko – jak wszyscy wysoko postawieni ludzie u władzy i w armii – potrafił dowieść swojego pochodzenia od co najmniej jednego z prastarych monarchów. Nie pojmował, jak nisko urodzony człowiek może wznieść się do tak wysokiej rangi, i z lekceważeniem uznał, że zgoda Rzymu na takich dowódców jest kolejnym znakiem jego upadku.

– Co zatem pozwoliło mu zająć jego stanowisko? –

spytał.

– Pieniądze – rzekł pogardliwie Scypion, jakby sam ten wyraz był wulgarny. Odruchowo przeszedł do porządku dziennego nad tym, że to bogactwo jego własnych przodków zapewniło im miejsce w pierwszym senacie.

– Czy ma doświadczenie w armii?

– Nigdy nie był na wojnie i nie ma za sobą żadnego szkolenia wojskowego.

Gisko znów ledwie potrafił uwierzyć w prawdziwość tych odpowiedzi i zmusił się do myślenia o słowach Rzymianina w sposób obiektywny, powściągnięcia narastającej pewności siebie, którą czuł na wieść o słabościach wroga.

– Ale skoro zaszedł tak wysoko, z pewnością jest zaradny? – spytał Gisko niemal samego siebie.

– Tak, jest zaradny, ale tylko jeśli chodzi o tajemnice i oszustwa.

Gisko kiwnął głową. Do siedzącego naprzeciwko człowieka nie czuł nic poza pogardą. Rzymianina trawiła nienawiść. Gisko dobrze rozumiał to uczucie, lecz Scypion bez wahania zdradzał własne miasto, mając na celu zemstę na innym Rzymianinie, którego uważał za swojego wroga. Chcąc zniszczyć Duiliusza, Scypion nie miał oporów przed poświęceniem całej floty swoich krajan.

– Byłeś niezwykle pomocny – powiedział Gisko.

Scypion uśmiechnął się z żalną wdzięcznością.

– Chciałbym cię prosić, admirale – powiedział głosem pełnym nowej nadziei – o możliwość wykąpania się i włożenia czystego odzienia, zanim ktoś odprowadzi mnie do mojej kabiny.

Gisko też się uśmiechnął.

– Straż! – zawołał.

Natychmiast otworzyły się drzwi i do środka weszli trzech żołnierze.

– Zaprowadzić tego śmiecia z powrotem do ładowni – rozkazał Gisko.

Usłyszawszy ten rozkaz, Scypion aż się skulił. Zaczął podnosić dłonie do twarzy w geście rozpaczony, kiedy żołnierze chwycili go od tyłu za ramiona, podnieśli i wywlekli z kabiny.

Gisko odprowadził go wzrokiem. Jeśli Duiliusz był niższy rangą i mniej kompetentny niż ta zrozpaczona ruina człowieka, Kartagińczycy stali u progu szansy na pozbycie się Rzymian z mórz raz na zawsze.

– Puścić!

Po oddaniu liny *corvus* na mgnienie oka pozostał nieruchomy. Potem zaczął opadać, najpierw powoli, po czym własny ciężar nadał mu rozpęd i trąp z ogłuszającym trzaskiem uderzył o pokład dziobowy galery stojącej równoległe do *Aquili*.

– Dobrze – powiedział Lentulus, jakby do siebie, a stojący u jego boku pomocnik odruchowo pokiwał głową.

– Ale to za wolno – dodał Attyk. – Musi zacząć

opadać od razu po puszczeniu liny.

– Zgadzam się – odparł w zamyśleniu Lentulus. – Poczynię pewne modyfikacje.

Attyk przyglądał się, jak żeglarze ciągną za linę, aby ponownie podnieść jego wynalazek do pierwotnej pozycji. Nazwał nową broń *corvus*, ponieważ kruk zwiastował śmierć, a Attyk był zdecydowany dopilnować, aby owo urządzenie zasłużyło na swoją nazwę.

Corvus był połączeniem dźwigu i trapu, miał ponad dziesięć metrów długości i ponad metr szerokości; była to potężna rampa, której jeden koniec przymocowano na zawiasach do poziomego masztu zainstalowanego pośrodku pokładu dziobowego. Maszt wznosił się dwanaście metrów nad pokładem, co pozwalało na podniesienie rampy do pionu i obrócenie jej na zawiasie o sto osiemdziesiąt stopni, tak że kruka można było używać po obu burtach galery. Można było opuścić rampę za jednym zamachem i umożliwić legionistom przebiegnięcie na okręt wroga. Trap był wystarczająco duży, aby legionieści mogli mieć ze sobą kompletny ekwipunek bojowy – między innymi ponadmetrową tarczę *scutum* – i aby pomieścić ich dość wielu do niemal natychmiastowego utworzenia standardowego szyku bojowego na pokładzie okrętu wroga.

Attyk zostawił rzemieślników i podszedł do relingu, przy którym stał Septymus, przyglądając się ostatniej próbie. Kapitan zaprosił go na pokład, aby mógł służyć swoją wiedzą na temat taktyki legionistów.

– Wiesz – powiedział z uśmiechem Attyk – jeśli to zadziała, żołnierze floty stracą pracę.

Odwrócił się do Septymusa, lecz centurion się nie śmiał: miał zmartwioną minę.

– Przyszedłem na *Aquilę* dwie noce temu – powiedział niespodziewanie, wypowiadając pytanie, które dręczyło go od tamtej pory. – Nie było cię na pokładzie.

– Nie – odparł Attyk, pospiesznie wymyślając wymówkę dla swojej nieobecności na statku podczas pobytu w Rzymie. – Byłem z Duiliuszem w jego kwaterze i wróciłem dopiero po północy.

Septymus kiwnął głową z nieodgadnioną miną, lecz wzbierał w nim gniew. Attyk nie mówił prawdy. Centurion nocował wtedy na *Aquili* i wiedział, że Attyk w ogóle nie wrócił. Właśnie miał zamiar wytknąć kapitanowi kłamstwo, kiedy przerwano im rozmowę.

– Jesteśmy gotowi do kolejnej próby – odezwał się zza ich pleców Lentulus. – Aby przyspieszyć opadanie rampy, nie będziemy jej już podnosić do pionu. Wisząc pod kątem, *corvus* bardziej obciąży maszt, ale jestem pewien, że konstrukcja wytrzyma.

Attyk przyjął to rozwiązanie, kiwając głową, i zerknął na żeglarzy, którzy znów napięli linę kontrolującą rampę.

– Gotowi?

Żeglarze przytaknęli.

– Puścić!

Tym razem *corvus* opadł natychmiast.

– Lepiej – skomentował Attyk.

W tym momencie o burtę *Aquili* uderzyła zabłąkana fala i odstęp między dwoma okrętami się zwiększył. Zanim Gajusz zdążył sprawić, żeby *Aquila* wróciła na miejsce, skraj pomostu ześlizgnął się z pokładu „wrogiego” statku.

– To kolejny problem, z którym musimy się uporać – powiedział Lentulus.

Attyk patrzył, jak załoga znów podnosi trap, gdy *Aquila* wracała na swoją pozycję. Podczas bitwy wyłącznie haki będą utrzymywać okręty blisko siebie. Jeśli wróg zareaguje szybko i przetnie ich liny, będzie mógł z łatwością odpłynąć. Wszyscy członkowie drużyny abordażowej, którzy zdążyli już pokonać pomost, byliby wtedy w wielkich tarapatach, a ludzie stojący na samej rampie wpadliby do morza. Musieli znaleźć sposób na zabezpieczenie rampy i utrzymanie statków blisko siebie.

– Myślę, że ten kruk musi mieć pazury – powiedział Attyk.

Gisko z zainteresowaniem przyglądał się stojącemu przed nim mężczyźnie. Nubijczyk był wyprostowany jak struna, a jego pewna poza zdradzała ewidentny talent bojowy. Spojrzenie miał aroganckie, czego Gisko nigdy wcześniej nie widział u niewolnika; fascynowało go to.

Nubijczyka znaleziono w kwaterze rzymskiego konsula po zasadzce pod Liparą. Gisko natychmiast zauważył jego budowę i posturę wyszkolonego

wojownika i wydał rozkaz, aby oszczędzono mu losu, który spotkał wszystkich niewolników pojmanych żywcem w czasie zasadzki. Teraz, kiedy kartagińska flota zbliżała się do Panormos, Gisko w końcu znalazł czas, aby się zastanowić nad potencjałem osobistego sługi Scypiona.

Chalil szczegółowo opisał mu swoje życie i przebieg niewoli, potwierdzając domysły Scypiona co do jego kariery gladiatora. Pomysł z użyciem Nubijczyka jako broni przeciwko tym samym ludziom, którzy go wyszkolili, przemawiał do admirała i jego koncepcji losu. Pozostawała jedynie kwestia lojalności Chalila. Nie można było wątpić w jego nienawiść do Rzymian i Gisko był pewien, że zgładzi każdego, którego napotka podczas bitwy. Żeby jednak móc rozkazywać Nubijczykowi, musiał znaleźć bodziec, dzięki któremu zapewni sobie jego wierność.

– Będę potrzebował ludzi takich jak ty w nadciągającej potyczce – zagaił admirał.

Chalil się nie odezwał, lecz Kartagińczyk zauważył w jego oczach błysk zainteresowania. Widok ten przekonał go, żeby mówić dalej.

– Jeśli dobrze się spiszesz podczas walki z Rzymianami i wypełnisz wszystkie moje rozkazy, po naszym zwycięstwie daruję ci wolność.

Chalil zachował obojętną minę, a jego milczenie zirytowało admirała.

– Zgadzasz się? – spytał, czując, że wzbiera w nim

gniew na niezgłębionego Nubijczyka.

– Moja wolność nie ma znaczenia, dopóki nie spłacę długu honorowego. Chcę odebrać życie Scypionowi.

Gisko uśmiechnął się w odpowiedzi na to życzenie. Nie miał zamiaru się do niej przychylić – życie konsula było nazbyt cenne, aby pozbywać się go na żądanie zwykłego niewolnika.

– Zgadzam się – skłamał, kiwając głową i przyglądając się z satysfakcją dzikiemu wyrazowi twarzy Chalila.

Admirał Gisko zszedł z trapu *Melkarta* na ruchliwe nabrzeże Panormos. Zatrzymał się i rozejrzał po tętniącym życiem porcie – przygotowania do bitwy były już daleko posunięte. Na jego rozkaz flotę blokującą zachodnie wybrzeże Sycylii wezwano do Panormos, w porcie więc znajdowało się teraz ponad sto galer. Gisko porozumiał się z Hamilkarem Barkasem przed jego wyjazdem do Kartaginy i obaj doszli do tego samego wniosku: biorąc pod uwagę szczegółowe raporty rzymskich kapitanów, można było mieć pewność, że nowa rzymska flota znajdzie się na wodach u północnego wybrzeża Sycylii za niecałe dwa tygodnie.

W Liparze Gisko poddał rzymskie galery dokładnej inspekcji. Zbudowano je pośpiesznie, z nieobrobionych, niezahartowanych belek. Kadłuby zbyt krótko przebywały w wodzie i ich wręgi nie zdążyły się w pełni spoić. Z czasem stałyby się twarde jak żelazo, lecz teraz

brakowało im wytrzymałości pod linią wody, a z pewnością nie były dość mocne, aby powstrzymać niemal dwumetrowy taran z brązu.

Hamilkar miał wrócić za ponad tydzień z kolejnymi czterdziestoma galerami, które dołączą do rosnącej kartagińskiej floty na Sycylii. Gisko przypomniał sobie, z jakim wahaniem młody mężczyzna zareagował na jego żądanie dotyczące dodatkowych statków. Hamilkar zgodził się je wypełnić dopiero, kiedy admirał wytłumaczył mu prostą logikę tej operacji. Pokonanie Rzymian w walce nie wystarczyło. Kartagińska flota musiała rozgromić całe rzymskie siły, do ostatniego okrętu. Aby to osiągnąć, nikt nie mógł im umknąć. Gisko wiedział, że tylko przewaga liczebna zagwarantuje mu całkowite zwycięstwo.

Septymus wdrapał się na wydniętą stanowiącą granicę plaży i podążył prosto do kwater konsula. Spieszył się, ponieważ niedługo miały się rozpocząć próby morskie nowego kruka, podczas których będzie musiał być obecny na *Aquili*. Drobnym wyrzut sumienia sprawił, że centurion przez chwilę się zawahał, lecz szybko pozbył się wątpliwości, usprawiedliwiając swoją decyzję odszukania Lutacjusza kłamstwem Attyka. Septymus wiedział, że zaskoczył przyjaciela: jego decyzja o spędzeniu nocy na pokładzie *Aquili* była niezapowiedziana, a równie nagła nieobecność Attyka na okręcie – zbyt niezwykła, aby jej nie zakwestionować.

Kłamstwo Attyka zaniepokoiło Septymusa – nie dlatego, że oczekiwał od przyjaciół całkowitej szczerości, lecz ponieważ natychmiast obudziło wcześniejsze podejrzenia, że w sprawę uwikłana jest jego siostra. Postanowił zatem choćby częściowo potwierdzić swoje domysły dzięki pewnemu staremu zobowiązaniu.

Dotarł do kwater konsula i wszedł do środka, pochylając głowę. *Optio* siedział za stołem usłanym schludnymi stertami pergaminu, niekończącymi się listami koniecznymi do prowadzenia operacji wojskowej.

– Muszę porozmawiać z sekretarzem konsula – ogłosił Septymus, a ton jego głosu i aparycja sprawiły, że *optio* natychmiast stanął na baczność.

– Tak jest, centurionie. Kto prosi o spotkanie?

– Septymus Letoniusz Kapito z czwartego manipułu Dziewiątego.

Optio skinął głową i zniknął w głębi namiotu. Po chwili wrócił, prowadząc za sobą starszego mężczyznę z szerokim uśmiechem na zazwyczaj ponurej twarzy.

– Septymusie! – wykrzyknął sekretarz. – Widzę centuriona tam, gdzie kiedyś był rzymski wyrostek.

– Lutacjuszu. – Septymus podszedł, aby przywitać się z byłym prefektem obozu Dziewiątego legionu.

Kiedy Septymus dołączył do Dziewiątego, Lutacjusz zajmował w nim stanowisko centuriona, dowódcy prowadzącego musztrę, który przeobrażał świeżych rekrutów we wprawnych w walce legionistów. Był weteranem trzeciej wojny samnickiej i wymagającym

przełożonym, lecz także dostrzegł w Septymusie możliwości, które ostatecznie spełniły się podczas bitwy pod Akragas.

– Słyszałem, że szkolisz szczeniaków z Czwartego – powiedział Lutacjusz. – Czy równie trudno ich czegoś nauczyć jak niegdyś was?

Septymus się roześmiał, czując falę sympatii do starszego mężczyzny. Wrócił myślami do pierwszych kilku miesięcy w legionach i nieubłaganego tempa ćwiczeń, które narzucił im Lutacjusz. Przez chwilę obaj wspominali.

– Chciałbym cię prosić o przysługę – powiedział w końcu Septymus.

– Słucham. – Lutacjusz zauważył nagłą nutę powagi w głosie centuriona.

– Muszę wiedzieć, jaki cel podróży wpisano na przepustce wydanej kapitanowi Perennisowi z *Aquili*.

– Czy to nie galera, na której teraz służysz? – spytał Lutacjusz, w którego bystrym umyśle zachowywały się szczegóły dotyczące wszystkich jednostek.

Septymus kiwnął głową, ale nie powiedział nic, co mogłoby sprawić, że Lutacjusz niechętnie wyjawi tę informację.

– Poczekaj tutaj – powiedział sekretarz po chwili milczenia i wrócił do wewnętrznego namiotu. Wyłonił się z niego ponownie z wielkim oprawionym rejestrem w ramionach. Księga była otwarta, a on przesuwając wzrokiem po niewidocznej dla Septymusa liście

zatwierdzonych i wydanych przepustek.

– Jest – powiedział w końcu. – Attyk Miloniusz Perennis... Osiemnastogodzinna przepustka... Cel?... Rzym, dzielnica Wiminał.

Zanim Septymus się opanował, na jego twarzy na mgnienie oka ujawniła się nagła eksplozja gniewu. Spodziewał się informacji, którą podał mu Lutacjusz, nawet przygotował się na potwierdzenie jego domysłów, a jednak kiedy usłyszał je wypowiedziane na głos, niemal obezwładniła go furia. Wiminał, dom ciotki Septymusa i miejsce zamieszkania Hadrii.

– Dziękuję, Lutacjusz – powiedział i gwałtownie wymaszerował z kwatery konsula, nawykowo kierując się w stronę *Aquili*. Myśli miał zasnute wizjami jego siostry i człowieka, którego szanował i któremu ufał jak nikomu innemu. Kiedy ponownie pokonał wydmy i poszedł plażą do brzegu, dostrzegł Attyka stojącego na pokładzie rufowym *Aquili* przycumowanej do pomostu. Trap był opuszczony w oczekiwaniu na Duiliusza i jego pretorianów. Attyk przygotowywał się do wypłynięcia i Septymus wyłowił jego znajomy głos z kakofonii dźwięków napływających od strony ruchliwej plaży.

Na ten odgłos i widok Septymus zatrzymał się jak wryty w połowie plaży, po raz pierwszy łapiąc się na tym, jak mocno ściska rękojeść miecza. Lekko poluźnił uchwyt, prostując palce, ale nie puścił oręża całkowicie. Jego umysł pogrążony był w całkowitym chaosie: raz był zdecydowany na pojedynek z Attykiem, a chwilę później

czuł, że powinien wierzyć przyjacielowi na słowo – w końcu Wiminał to wielka dzielnica, a on nie miał dowodów na to, że Attyk odwiedził Hadrię. Septymus zobaczył, że Attyk nagle się odwraca, jakby myśli centuriona słychać było na pokładzie *Aquili*, uśmiecha się z ekscytacją na jego widok i wzywa go dłonią, żeby próby morskie kruka mogły się zacząć. Septymus odruchowo ruszył przed siebie, znów zdecydowanym krokiem.

Dotarłszy do trapu prowadzącego na *Aquilę*, postanowił już, co robi. Brakowało mu dowodu, lecz poszlaki były jednoznaczne. Kiedy nadarzy się okazja, przycisnie Attyka i zażąda od niego odpowiedzi. Ta decyzja pozwoliła mu zepchnąć czekającą go konfrontację na dalszy plan i skoncentrować uwagę na oszacowaniu wartości kruka. Kiedy dotarł na główny pokład, skinął Attykowi głową, a przyjaciel odwzajemnił gest. Na chwilę umysł Septymusa zatrzymał się na jednej kwestii, której jeszcze nie przemyślał: jak zareaguje, jeśli Attyk faktycznie był z jego siostrą. Nowy przypływ gniewu uświadomił mu jedyną możliwą odpowiedź.

Aquila pruła spokojne wody z prędkością ofensywną, wynoszącą jedenaście węzłów. Duiliusz trzymał mocno reling i balansował na lekko rozstawionych nogach, żeby nie stracić równowagi na przechylonym pokładzie. Z jego miejsca na tylnym pokładzie oddział stojący na dziobie wyglądał jak zwarta masa: połączone tarcze *scutum* tworzyły ścianę, która sprawiała wrażenie, jakby ledwie

potrafiła powstrzymać stojących za nią żołnierzy. Dalej, za dziobem, Duiliusz widział zbliżającą się „wrogą” galere, która w zastraszającym tempie pędziła w ich stronę na kursie kolizyjnym. Galera należała do nowej floty i różnica w poziomie umiejętności jej sternika i sternika *Aquili* była oczywista nawet dla nieznającego się na rzeczy konsula. Podczas bitwy niedoświadczonym załogom nowej floty trudniej będzie związać walką kartagińskie okręty, lecz Duiliusz widział, że manewr ten jest możliwy do wykonania.

Galera „nieprzyjaciela” usiłowała zbliżyć się do burty *Aquili*, tej taktyki używali Kartagińczycy podczas taranowania. Aby udaremnić ów ruch, sternik *Aquili* musiał tylko naśladować każde posunięcie wroga, dzięki czemu okręty były cały czas skierowane przodem do siebie. Odległość między nimi zmniejszała się nieubłaganie i w ostatniej chwili, kiedy wyglądało na to, że po prostu się wyminą, sternik *Aquili* skierował jej dziób w stronę drugiego okrętu. Dwie jednostki zderzyły się z niebywałą siłą, a ich wzmocnione dzioby zamortyzowały impet i przeniosły go na całą długość statku. Wstrząs niemal rzucił Duiliuszem o pokład. Zderzenie odebrało obu galerom większość rozpędu, lecz wciąż się wymijały.

– Teraz! – usłyszał Duiliusz i nastąpiło poruszenie: przerzucano haki na pokład drugiego okrętu. Liny natychmiast się napięły i statki wyhamowały. Ich losy były teraz połączone tymi łatwymi do zerwania nićmi.

Duiliusz patrzył, jak załoga drugiej galery rzuca się na nie z siekierami, przecinając je pojedynczymi ciosami. Za chwilę statki znów będą wolne.

– Zwolnić kruka!

Tym razem Duiliusz przyglądał się z podziwem, jak potężna rampa do abordażu opada z pokładu dziobowego. Na jej ruchomym krańcu, od spodu, widać było trzy straszliwe, długie na stopę żelazne szpikulce, które wyglądały, jakby sięgały po pokład „wroga”. Rampa uderzyła z trzaskiem o pokład drugiego okrętu, wbijając weń szpikulce i zamykając dwa okręty w nieuchronnym uścisku. Legioniści momentalnie rzucili się na rampę, a pierwszy rząd trzech żołnierzy wyciągnął przed siebie zwartą ścianę tarcz. Duiliusz zaczął liczyć w myślach. Cały oddział sześćdziesięciu legionistów przebiegł rampę, zanim doliczył do dwudziestu, i stał teraz na pokładzie dziobowym galery „wroga” z tarczami połączonymi w klasycznej formacji bojowej. Żołnierze byli zwrócenii twarzami w stronę rufy. Choć na pokładzie drugiej jednostki nie czekał na nich wróg, Duiliusz natychmiast pojął, jak śmiertelnie skuteczny był to atak.

– Stać!

Okrzyk padł spośród szeregów legionistów i Duiliusz patrzył, jak ze środka szyku wyłania się centurion. Był to wysoki, młody człowiek, którego konsul pamiętał ze swoich częstych wizyt w obozie w Fiumicino. Centurion wrócił po rampie i przeszedł przez galery. Wspiął się po schodach prowadzących z głównego pokładu na rufowy i

dołączył do kapitana oraz głównego budowniczego okrętów. Centurion zasalutował konsulowi. Duiliusz spojrział na całą trójkę.

– Jak długo potrwa zainstalowanie tych urządzeń na wszystkich galerach? – Samo to pytanie wyrażało jego zgodę na tę taktykę.

Lentulus się uśmiechnął, a pozostali dwaj mężczyźni chowali uśmiechy pod chłodnymi minami typowymi dla wojskowych.

– Najwyżej tydzień, konsulu, tuż przed zwodowaniem ostatnich trzydziestu galer.

– Niech tak będzie – rozkazał Duiliusz. – Chcę dostawać codzienne raporty o postępie prac.

– Tak jest, konsulu.

Duiliusz znów podszedł do relingu na burcie. Na rozkaz legioniści wrócili na *Aquilę* i ponownie podniesiono kruka. Galera zwróciła się dziobem w stronę plaży. Dźwięk bębna zasygnalizował, że wiosła zaczęły pracę, a statek ożył pod stopami konsula. Rytm bębna pomógł Duiliuszowi zaplanować obowiązki, które czekały go w nadchodzącym tygodniu. Ledwie skończył myśleć o pierwszym dniu, kiedy galera dotarła do najbardziej wysuniętego na południe drewnianego pomostu w porcie.

Attyk patrzył z pokładu rufowego, jak młodszy konsul schodzi na ląd. Zauważył, że galera nie przybiła do brzegu z właściwą sobie zwinnością, i odwrócił się do

marszczącego brwi sternika.

– Coś cię trapi, Gajuszu? – spytał, podchodząc do bardziej doświadczonego żeglarza.

– Chodzi o kruka, kapitanie – odpowiedział Gajusz. Odkrył poważną wadę urządzenia, mogącą zagrozić statkowi, na którym je zamontowano. Rozumiał znaczenie tej broni i to, że Attyk sam ją wymyślił, lecz wiedział też, że kapitan będzie oczekiwał szczerzej oceny, ponieważ bezpieczeństwo statku było najważniejsze.

– Trym statku się mocno zmienił – ciągnął. – Kruk dodaje mu wagi na dziobie. Na spokojnych wodach nie robi to różnicy, ale obawiam się, że podczas sztormu galera stałaby się niesterowna.

Attyk kiwnął głową. Przyznał w myślach, że ani on, ani Lentulus nie wzięli pod uwagę, jak ciężar sporej rampy wpłynie na starannie wyważoną galereę.

– Jak bardzo niesterowna? – spytał, choć wiedział, że Gajusz nie wspomniałby o tym problemie, gdyby nie był znaczący.

– Tak bardzo, że nie będzie zdolna do żeglugi.

Attyk pokiwał głową raz jeszcze, tym razem w milczeniu. Omówi tę kwestię z Lentulusem, ale nie wątpił w prawdziwość prognozy Gajusza. Ostatecznie będą musieli zawiadomić Duiliusza.

Ponownie odwrócił się w stronę dziobu i nowego widoku, jaki przedstawiał na pustym niegdyś przednim pokładzie kruk. Nie potrafił powstrzymać fali nadziei, którą w nim wywoływał, choć rozum wzywał do

ostrożności. Od pokonania Kartagińczyków jeszcze wiele ich dzieliło, ale przynajmniej Attyk potrafił w końcu wyobrazić sobie ich porażkę. Stało się to możliwe dzięki temu nowemu urządzeniu. Legiony Rzymu nie miały sobie równych pod względem potęgi na polu walki. Wyposażeni w kruka Rzymianie mogli przenieść tę śmiertcionośną umiejętność na morze.

– Dziewięćdziesiąt sześć!

Marek powtórzył liczbę w myślach, kiedy trzymający wartę centurion dziewiątego manipułu przygotowywał się do kolejnego ciosu. Minę miał posepną; jego krwawe zadanie niemal dobiegło końca.

– Dziewięćdziesiąt siedem!

Trzask bicia siekła powietrze i nie towarzyszyły mu już okrzyki bólu, które wcześniej przeszywały serca wszystkich legionistów Dziewiątego.

– Dziewięćdziesiąt osiem!

Legionista z siódmego manipułu zwieszał się ze skrzyżowanych włóczni *pila* jak sprawiona tusza zwierzęcia. Ciało na jego plecach było w strzępach, a nogi miał mokre od własnej krwi.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć!

Marek zerknął w lewo na Megellusa. Legat stał samotnie przed pierwszym manipulem. Zbroja wisiała na jego wychudzonym ciele, a wymizerowana twarz miała pełen determinacji wyraz.

– Sto i koniec!

Centurion dziewiątego manipułu odsunął się od nieruchomego żołnierza, którego krew zachlapała jego tors i twarz. Trzymał bicz luźno u boku, a kawałki ciała i krew spadały z rzemieni na ubity piasek placu. Megellus odprawił centuriona, kiwając do niego głową, po czym zrobił kilka kroków do przodu.

– Żołnierze Dziewiątego! – krzyknął. Jego głos poniósł się z łatwością ponad grupą dziewięciu tysięcy wciąż zdolnych do służby ludzi. – Jesteśmy żołnierzami republiki, legionistami Dziewiątego, wilkami Rzymu. Dziewiąty nie będzie tolerował niesubordynacji. Rzym nie będzie tolerował zaniedbywania obowiązków!

Megellus pozwolił swoim słowom brzmieć przez chwilę w powietrzu, po czym gestem rozkazał dwóm porządkowym odciąć legionistę. Mężczyźni podbiegli i szybko przecięli sznury, którymi żołnierz był przywiązany do ustawionych w kształcie litery X włóczni, po czym delikatnie ułożyli go na noszach. Jeden z porządkowych sprawnie przesunął dłońmi po nieruchomym ciele, szukając śladów życia. Nie znalazł ich. Spojrzał na Megellusa i pokręcił głową, a potem wraz z towarzyszem podniósł martwego żołnierza i usunął go z placu. Odprowadził ich wzrokiem cały legion, ignorując stały rozkaz patrzenia w przód.

Megellus zaklął w duchu. Sto batów było brutalną karą, uzasadnioną w wypadku niesubordynacji, lecz rzadko stanowiło wyrok śmierci i nigdy nie zakładano, że nim będzie. Biorąc pod uwagę niedożywienie żołnierza,

jego szanse na przeżycie były od początku niewielkie, lecz przepisy były jasne i kary nie można było zmienić. Legat przesunął wzrokiem po zebranych żołnierzach, wyczuwając ich wrogi nastrój, który w ciągu poprzedniego tygodnia skierował się do wewnątrz i skupił na dowódcach legionu. Ludzie sądzili, że to oni dzień w dzień skazują ich na potępienie: ich towarzysze umierali z powodu tyfusu, niedożywienia i wyczerpania.

– Rozejść się! – krzyknął Megellus, a jego rozkaz powtórzyli centurionowie wszystkich manipułów. Podczas gdy wcześniej ludzie stanęliby na baczność przed odejściem, teraz większość po prostu zwlekła się z placu, a wielu zerknęło kosym okiem przez ramię na legata.

– Prefekcie – rozkazał Megellus – każ centurionom zebrać się w moim namiocie.

Ruszając w stronę swojej kwatery, legat usłyszał uderzenie pięści o zbroję, po czym prefekt obozu zaczął zwoływać dowódców manipułów.

Pięć minut później namiot Megellusa był pełen wysokich rangą dowódców legionu, weteranów o ponaddwudziestoletnich karierach, doskonale świadomych, jak niepewna jest ich sytuacja.

– Dziesięć dni – powiedział tylko Megellus, nie potrafiąc ukryć gorzkiego rozczarowania, które wiązało się z tą ostateczną decyzją. – Za dziesięć dni ostatnie nasze zapasy się wyczerpią. Za dziesięć dni wymaszerujemy, najpierw do Segesty i Drugiego legionu, a potem na południe, do Akragas.

Wielu centurionów przytaknęło; inni, między innymi Marek, tylko patrzyli centurionowi w oczy.

Dziesięć dni, pomyślał Marek, dziesięć dni, podczas których Dziewiąty mógł jeszcze nosić głowę wysoko wśród legionów Rzymu. Potem splami się skazą całkowitej porażki. Marek czuł, jak na tę myśl w gardle wzbiera mu gorzka żółć wstydu. Umysł podsunął mu na chwilę scenę, która rozegrała się między trzema mężczyznami niemal trzy miesiące wcześniej, w Brolium. Wyraźnie przypomniał sobie wypowiedziane wtedy słowa, umowę, którą zawarli, siłę więzi stworzonej podczas składania honorowej przysięgi. Na to wspomnienie Marek wyprostował plecy i stanął dumnie pośród towarzyszy. Cokolwiek się stanie, będzie stał dumnie przez dziesięć kolejnych dni.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Lekka bryza towarzysząca wschodowi słońca sprawiła, że sztandary wojenne zaczęły powiewać na masztach, a pierwsze promienie światła kładły się na ich płótnie. Świt obwieścił niski, barytonowy dźwięk rogu, sygnalizującego flocie, aby przygotowała się do wypłynięcia. Gisko podziękował Szaharowi, bogu świtu, za zachodni wiatr, którego nagłe pojawienie się było kolejnym pomyślnym omenem na czas nadciągającej bitwy.

Światło jaśniało, a admirał spoglądał na otaczające go statki kartagińskiej floty, zacumowane w porcie w Liparze. Jeszcze nigdy wcześniej nie widział takiego zgromadzenia galer. Wyciągnął prawą rękę i przyjrzał się zrogowaciałej skórze swojej dłoni. Słyszał kiedyś, że Grecy potrafią dostrzec ścieżki losu człowieka w liniach na jego dłoni. Gisko był ciekaw, który znak reprezentuje jego dowodzenie najpotężniejszą flotą w historii Kartaginy. Na tę myśl zacisnął dłoń w pięść, czując siłę swojego uścisku. Uśmiechnął się, kiedy sobie wyobraził, jak używa tej pięści i potęgi floty, aby rozgromić nieprzyjaciela.

Sześć godzin wcześniej, w środku nocy, wróciła galera zwiadowcza z wiadomością, że rzymska flota płynie na południe, w stronę północnego wybrzeża Sycylii: była to grupa galer bojowych, za którą podążały

barki transportowe. Okręty obrały kurs na Brolium i otaczając je blokadę, którą dwa dni wcześniej Gisko zdążył wycofać z powrotem do głównej floty, aby zwiększyć jej liczebność do stu sześćdziesięciu jednostek. Najszybsza trasa poprowadzi Rzymian między Wyspami Eolskimi a przylądkiem Mylae na północnym wybrzeżu Sycylii, gdzie kanał miał zaledwie pięć mil szerokości. To tam Gisko spotka się z wrogiem. Rzymianie nie będą mieli możliwości opłynięcia jego szyku bojowego.

Kiedy ostatnie galery jego floty podniosły żagle i zaczęły wypływać z portu, admirał ponownie przemyślał swój plan. Nie potrafił znaleźć w strategii żadnej wady. Kartagińska flota przerastała Rzymian pod względem doświadczenia, umiejętności żeglarskich oraz liczebności. Jeśli Rzymianie postanowią zaatakować jego formację od czoła, zostaną zdziesiątkowani. Jeśli spróbują zawrócić i uciec w wąskim kanale, zostaną zdziesiątkowani. Nie będzie ucieczki i nie będzie łaski. Kiedy *Melkart* ruszył w drogę, Gisko uderzył pięścią o reling, czując, jak ten cios łączy go z potęgą okrętu. Już po chwili górująca prędkością nad innymi statkami kwinkwerema wysunęła się do awangardy floty, dając admirałowi niczym niezakłócony widok na horyzont. Serce zaczęło mu bić coraz szybciej, kiedy wyobraził sobie chwilę, w której zarys rzymskiej floty przełamie jednolitą linię morza. Przypominając sobie całkowite zwycięstwo, które odniósł w porcie na Liparze, niemal żałował, że uda mu się zniszczyć rzymską flotę z taką łatwością.

– Ziemia na horyzoncie!

Trzej mężczyźni odruchowo zerknęli na obserwatora na szczycie masztu.

– Sycylia – mruknął pod nosem Attyk z wyczekiwaniem w głosie.

Duiliusz odwrócił się do stojącego u jego boku kapitana. Dostrzegł jego spokojne wejrzenie, dzielił z nim jego hamowaną ekscytację. Młodszy konsul wybrał *Aquile* na swój okręt flagowy, galera więc płynęła na czele floty. Po jego obu stronach flotylla rozpościerała się w nieco niestarannej formacji w kształcie grota, której flanki tworzyły doświadczone galery z floty Ostii i inne, odkomenderowane z Neapolu i Kapui. Duiliusz nie mógł powstrzymać ogromnej dumy z rzymskiego osiągnięcia: armady złożonej ze stu czterdziestu okrętów, zarówno nowych, jak i starych, świadectwa potęgi Rzymu.

Attyk przyjrzał się mapie rozłożonej na małym stole na pokładzie rufowym, konsultując się szybko z Gajuszem, w miarę jak obaj rozpoznawali cechy znajomego wybrzeża. Kapitan skinął krótko głową, kiedy doszli do porozumienia, i Gajusz zmienił kurs wiodącej galery, aby flota skręciła na zachód. Z pokładu rufowego nadano sygnał i Attyk zauważył, że kapitanowie nowych galer dostosowali kurs do *Aquili* i jednocześnie utrzymali formację, co dodało mu pewności.

– To przylądek Mylae – wyjaśnił Duiliuszowi i Septymusowi, wskazując cypel leżący pięć mil od nich na

bakburcie. – A to Wyspy Eolskie – dodał, wyciągając rękę w stronę ciemniejszej masy lądu na horyzoncie na sterburcie.

– Jak daleko za nimi leży Brolium? – spytał Duiliusz.

– Jakieś dwadzieścia pięć mil za przylądkiem, około czterech godzin drogi przy obecnej prędkości – odpowiedział odruchowo Attyk, którego myśli również koncentrowały się na odległych wyspach. Zastanawiał się, czy Kartagińczycy opuścili wyspę, czy wciąż są w mieście portowym. W każdym razie rozkoszował się perspektywą potyczki i złożył w duchu przysięgę, że zmusi ich do zapłacenia wysokiej ceny.

– Galery wroga na wprost przed dziobem!

Gisko natychmiast zareagował na okrzyk.

– Sygnał do wszystkich galer. Wróg na horyzoncie. Formacja bojowa!

Załoga odpowiedziała momentalnie i odbiegła przekazać rozkazy statkom na obu flankach.

– Prędkość bojowa! – rozkazał sternikowi Gisko i *Melkart* pomknął przed siebie, kiedy wiosła zaczęły pracę.

Admirał poszedł spokojnie na dziób, a jego niespieszne kroki odróżniały go od pracującej gorączkowo załogi czyniącej ostatnie przygotowania do bitwy. Idąc po schodach na pokład dziobowy, dostrzegł nadciągające rzymskie galery. Ich żagle były opuszczone z powodu wiatru wiejącego z naprzeciwka i pokonywały

kanal tylko dzięki sile wiosła. Gisko uśmiechnął się zimno, kiedy padł rozkaz, aby zrzucić i uwiązać żagiel jego okrętu. Kartagińska flota przybyła na miejsce pod żaglami i jej wiosłarze będą bardziej wypoczęci, kiedy zaczną się potyczka.

Admirał rozejrzał się, gdy statki ustawiały się w formacji. *Melkart* stanowił środek szerokiego na trzy mile szyku złożonego z trirem przemieszanych z pozostałymi kwinkweremami. Boodes, jego najbardziej zaufany dowódca, zabezpieczał flankę od sterburty przed wszelkimi próbami ucieczki Rzymian do Brolium, a bakburte trzymał Hamilkar, którego zadaniem było odcięcie drogi w stronę Wysp Eolskich.

Admirał wlepił wzrok w odległe o pięć mil rzymskie galery. Mrużył oczy, z nienawiścią patrząc, jak ustawiają się w szyku. Ponad rok wcześniej był zmuszony porzucić Akragas w obliczu starcia z legionami Rzymu. Wcześniej uważał swoją armię za niezniszczalną, lecz za sprawą Rzymian odszedł jak niepyszny. Teraz przemienił gorzkie wspomnienie w czystą wrogość wobec nieprzyjaciela. Jego haniebna porażka się nie powtórzy.

– Szlag by trafił, Lucjuszu, daj im sygnał, żeby utrzymali szyk!

Attyk rozglądał się na wszystkie strony, kiedy *Aquila* zbliżała się do pełnej prędkości bojowej. Lucjusz wrzeszczał ponad relingiem, aby komendę powtórzono na całej długości formacji, a ci, którzy usłyszeli ją z

pierwszej ręki, natychmiast ją wypełniali. Szyk tworzył się powoli, a teraz, kiedy statki przyspieszały do prędkości bojowej, stawał się nierówny. Każdy okręt strzegł flank po obu swoich burtach, co było kluczowym powodem dla takiej, a nie innej formacji. Jeśli szyk Rzymian będzie nierówny przy spotkaniu z Kartagińczykami, wiele statków natychmiast narazi się na ciosy śmiertelnych taranów wroga. Załogi doświadczonych galer na flankach pracowały ciężko, aby wyrównać szyk, i formacja powoli odzyskała zwartość.

Attyk mruknął z satysfakcją i ponownie odwrócił się w stronę nadpływających statków nieprzyjaciela, teraz odległych tylko o trzy mile. Były ustawione w nieskazitelną formację bojową, a szybkie zrzućenie żagli i równe rozmieszczenie jednostek świadczyło o tym, jak wytrawnymi żeglarzami są ich załogi. Kartagińczycy spróbują się przebić przez szyk Rzymian i rozproszyć go, tak żeby każdy statek musiał walczyć osobno. Rzymski plan zakładał związanie wroga walką przy pierwszym kontakcie, zwrócenie dziobów w stronę dziobów okrętów wroga i powstrzymanie ich przed złamaniem formacji. Taktyki tej wcześniej nie wypróbowano, lecz Attykowi nie przyszła do głowy inna, która pozwoliłaby na zrobienie jak największego użytku z kruków.

Kiedy rzymski kapitan zerknął jeszcze raz na obie burty, zobaczył, że niektóre galery wciąż jeszcze nie zajęły pozycji. Powietrze rozbrzmiewało głośnymi okrzykami, za pomocą których kapitanowie kierowali

załogami i koordynowali położenie ich galer względem innych, aby utrzymać kształt formacji. Attyk poczuł cień wątpliwości, kiedy przypomniał sobie o braku doświadczenia dowódców. Ostatni tydzień w Ostii pochłoneła bezlitosna musztra mająca nauczyć załogi korzystania z kruków. Pierwszy czołowy kontakt miał decydujące znaczenie. Po nim Kartagińczycy będą mieli przewagę.

Septymus odetchnął swobodnie, patrząc na twarze swojego oddziału z Czwartego legionu. Tylko oblicza ludzi z pierwszego rzędu były mu znajome: było to ostatnich sześciu żołnierzy z jego własnego oddziału piechoty morskiej. Reszta jego byłej jednostki była rozproszona między legionistami nowej floty, a ich umiejętność dokonania abordażu miała dawać każdej drużynie choćby fundament doświadczenia. Kiedy dotarł spojrzeniem do końca szyku, kiwnął głową swojemu nowemu *optio*. Kwintus został przeniesiony i teraz dowodził własnym oddziałem, a Septymus otrzymał twardego zastępcę z Czwartego. Był to starszy, małomówny mężczyzna, lecz ludzie go szanowali, a on będzie w stanie ustabilizować i wyrównać szyk na pokładzie wroga.

Septymus wyczuwał niecierpliwość legionistów. Byli ludźmi Czwartego, spod znaku Dzika. Ich legion poniósł haniebną porażkę pod Liparą i strata tysiąca dwustu towarzyszy wymagała *vindicta*, zemsty na

znieawidzonych Punijczykach. Na przestrzeni lat Septymus słyszał wiele mów kierowanych do żołnierzy przed bitwą. Jako centurion sam wygłaszał takie oracje, które miały zmobilizować podkomendnych i wzniecić w nich szal bojowy. Uświadomił sobie chłodno, że tego dnia wystarczą dwa słowa, aby wzbudzić ich furję. Kiedy usłyszał komendę do wejścia w prędkość ofensywną, wyciągnął miecz, wiedząc, że wróg jest już blisko. Sześćdziesięciu mężczyzn wlepiało w niego wzrok, nie zważając na nieprzyjaciela nadciągającego za plecami centuriona. Septymus podniósł swój *gladius*.

– Pomścijcie Liparę!

Ludzie ryknęli niczym opanowane żądzą krwi demony, a w ich okrzyku brzmiała czysta agresja. Septymus uśmiechnął się ponuro. Byli gotowi.

Attyk poczuł, że jego umysł się oczyszcza, kiedy *Aquila* przyspieszyła do prędkości ofensywnej. Instynktownie rozejrzał się po obu flankach i zobaczył, że inne okręty dotrzymują tempa jego galerze. Były w pełni zaangażowane w bitwę. Przy prędkości ofensywnej dzielącą ich od wroga milę pokonają w niecałe dwie minuty. Nie było czasu na ostatnie poprawki czy wątpliwości. Całym jestestwem skoncentrował się na nieprzyjacielu. W ciągu poprzednich tygodni zaczął myśleć o nim jako o abstrakcyjnym bycie, pozbawionym oblicza wrogu, którego trzeba przechytryć i wymanewrować. Teraz wyraźnie przypominał sobie

każde spotkanie, wciąż dojmujące poczucie hańby związanej z ucieczką z Cieśniny Messyńskiej oraz gniew wywołany rozgromieniem floty transportowej pod Brolium.

Kartagińczycy znajdowali się o ćwierć mili od niego, dość blisko, żeby Attyk mógł już dostrzec pojedyncze szczegóły. Pośrodku ich szyku płynęła kwinkwerema, moloch w porównaniu z otaczającymi ją triremami. To na pewno okręt flagowy, głowa węża. Przy swoim obecnym kursie *Aquila* spotka się z kartagińskim szykiem o trzy galery na południe od środka. Attyk wyrył każdy szczegół kwinkweremy w myślach, wybierając ją na swoją ofiarę. Kiedy szyki po obu stronach się załamią, dopadnie ją. Dla Rzymian flota nie stanowiła ostatniej linii obrony, lecz jedyną. Punijczyków trzeba było pokonać, a ich dowódców zgładzić. Attyk wiedział, że tylko płynąca pośrodku rzymskiego szyku *Aquila* podoła temu zadaniu.

Kiedy odstęp między obydwoma formacjami się zmniejszył, admirała wyrwał ze skupienia widok nietypowych konstrukcji na dziobach wszystkich rzymskich galer. Przy odległości stu kroków od celu nie bardzo miał czas zareagować i zlekceważył tę nowość, po czym skoncentrował się na szczelinie w szyku między dwiema galerami wroga nadpływającymi z naprzeciwka. *Melkart* ją minie – po drodze jego łucznicy będą siali zniszczenie wśród szeregów wroga – po czym odwróci się w stronę tyłów szyku. Rzymianie też się odwrócą, aby

stawić czoło zagrożeniu, tym samym zgrabnie wystawiając się na atak. Ponieważ cała flota Rzymian składała się z triem, Gisko był pewien, że żaden ich okręt nie dorówna prędkością i potęgą *Melkartowi*.

Przypomniawszy sobie chwalebny dzień, kiedy jego taran zniszczył cztery rzymskie barki transportowe. Wtedy rozkoszował się zwycięstwem: była to dla niego pierwsza okazja, aby odpłacić się znienawidzonym Rzymianom za klęskę pod Akragas. Teraz czekało go starcie z okrętami bojowymi, a zwiększone niebezpieczeństwo podsyciło jego niewyczerpany apetyt na zemstę.

– Łucznicy, zapalić strzały! – rozkazał Gisko.

Na tę komendę zapłonęły nasyczone smołą groty dwóch tuzinów strzał, a łucznicy napięli cięciwy.

Gisko przyglądał się, jak rzymska galera na bakburcie skręca na jego kurs i celuje dziobem w dziób *Melkarta*. Rozbawił go ten idiotyczny manewr. Zmiażdży ich za tę lekkomyślność.

– Przygotować się do wycofania wiosł z bakburty – rozkazał.

Pozwolił sobie na szybkie zerknięcie na sterburcie, na resztę swojego szyku. Nieprzeciętna prędkość *Melkarta* sprawiła, że wyprzedzał pozostałe okręty o pół długości, więc to on pierwszy zderzy się z rzymską formacją. Odwrócił wzrok w stronę dziobu, kiedy jego galera pokonywała ostatni odcinek dzielący go od wroga.

– Wycofać! – ryknął. – Sternik, ster lewo na burcie!

Ważący dziewięćdziesiąt ton *Melkart* wbił się w

kadłub mniejszego przeciwnika. Zatrząsał się od zderzenia, lecz Gisko dostrzegł, że rzymska trirema niemal odwróciła się do góry dnem. Z jej pokładu rzucono na próżno haki, lecz rozpęd kwinkweremy był zbyt wielki i prawie wcale nie zmniejszyło to jej prędkości. Dłoń jednego z Rzymian zaplątała się w linę przywiązaną do któregoś z haków rzuconych na pokład *Melkarta* i mężczyzna spadł ze statku w przestrzeń między trącymi o siebie kadłubami; kiedy jego ciało zostało wepchnięte głębiej, hak w końcu puścił.

Gisko zobaczył, że urządzenie, które wcześniej zauważył, opada nagle w stronę jego statku. Był to jakiegoś rodzaju pomost, prymitywna konstrukcja umożliwiająca wchodzenie na pokład. Za nim tłoczyły się zwarte szeregi legionistów. Zafascynowany admirał przyglądał się, jak pomost opada na główny pokład *Melkarta*, a kolce, w które był wyposażony, wbijają się w belki okrętu. Kwinkwerema zadrżała od uderzenia i na mgnienie oka oba statki łączyła nieruchoma rampa, lecz impet *Melkarta* odczynił urok i pomost rozerwały siły ciągnące go w dwie różne strony. Szpikulce rozorały pokład i w końcu go uwolniły, a pomost nie wytrzymał, zrzucając legionistów z drugiego krańca, na którym szykowali się już do natarcia. Gisko ryknął lekceważąco, patrząc, jak skazana na porażkę taktyka spełza na niczym, a kwinkwerema zrzuca odłamki pomostu do abordażu.

Kadłub *Melkarta* wdarł się w wyciągnięte poza lewą burtę wiosła rzymskiej galery. Złamały się niczym gałązki

pod naporem wzmocnionej podwodnej części dziobu.

– Ognia! – ryknął Gisko ponad łomotem zderzenia.

Strzały pomknęły nad relingami wrogiego statku. Bliski zasięg pozwalał łucznikom nadać pociskom niemal poziomą trajektorię o śmiertelnej precyzji. Z triremy zaczęły dobiegać kolejne okrzyki przerażenia, kiedy pokład zajął się ogniem. Słysząc było też jęki umierających.

Melkart minął rzymski szyk i wystrzelił na puste morze. Gisko rozkazał ponownie uruchomić wiosła na bakburcie i pobiegł do relingu na burcie, aby spojrzeć na zniszczenia poczynione przez jego okręt na rzymskiej jednostce, która śmiała rzucić mu wyzwanie.

– Zwrot i powrót do boju! – rozkazał odruchowo, wciąż rozglądając się po tyłach rzymskiej formacji: spodziewał się, że w każdej chwili przełamią się przez nią kolejne kartagińskie galery.

– Ognia! – wrzasnął Septymus.

Dwudziestu *hastati* pod jego komendą jednocześnie cisnęło włóczniami, a salwa trafiła w grupkę Kartagińczyków na przednim pokładzie galery znajdującej się w szyku wroga dokładnie naprzeciwko *Aquili*. Dwa statki dzieliła odległość zaledwie trzydziestu kroków i cały czas się do siebie zbliżały. Septymus poczuł, jak pokład przechyla się pod jego stopami, kiedy dziób *Aquili* celował w dziób galery wroga. Przygotował się na zderzenie, mocno ściskając paski swojej tarczy.

Kolizja dwóch równych sobie okrętów pozbawiła oba rozpędu i wyrzuciła wioślarzy na chwilę z pozycji, całkowicie niszcząc rytm ich pociągnięć. Rzucono i umocowano haki: nastąpił konieczny moment bezruchu.

– Zwolnić kruka! – krzyknął Septymus.

Dziesięciometrowy pomost runął w przestrzeń oddzielającą oba pokłady, miażdżąc reling na burcie statku wroga. Szpikulce wbiły się głęboko w zahartowane drewno. Septymus natychmiast ruszył do ataku, a legionieści popędzili za nim. Natarli z rykiem, a ich nagła szarża na moment wprawiła Kartagińczyków w osłupienie. Potem jednak Punijczycy zmobilizowali się do ataku, rewanżując się okrzykiem bojowym pod adresem boga wojny.

Legionieści ustawili się w szyku na zwiędłe rozkazy, a ich ruchami kierowała wpajana im przez lata musztra. W mgnieniu oka utworzyli zwartą ścianę nakładających się na siebie tarcz, o którą rozbiła się kartagińska szarża.

– Do ataku! – głos Septymusa wzniósł się ponad bitewną wrzawę.

Legionieści ruszyli przed siebie. Przy każdym kroku wypychali do przodu tarcze, zadając ciosy przeciwnikom i odparowując ich pchnięcia miedzianymi guzami umieszczonymi pośrodku. Wysuwali miecze przez szczeliny w ścianie, raniąc i mordując niewidocznych zza niej wrogów. Okrzyki bólu mieszały się z wrzaskami bezsilnej furii wywołanymi nieprzeniknioną zaporą z tarcz. Pierwszy szereg natarcia stanowili *principes*,

których siła pchała falę legionistów do przodu. Ci z rannych Kartagińczyków, którzy padli pod ścianą tarcz, natychmiast ginęli od ciosów *hastati* na tyłach, nieznających litości dla zdesperowanego nieprzyjaciela. Rzymianie w ciągu pięciu minut oczyścili pokład dziobowy, zostawiając za sobą sterty ofiar, a wróg zaczynał ustępować.

– Mamy ich – stwierdził rozradowany Duiliusz, który przyglądał się nieugiętemu natarciu legionistów z pokładu rufowego.

Attyk nie odpowiedział, lecz tylko rozglądał się gorączkowo. Instynkt żeglarza kazał mu nieustannie kontrolować to, co dzieje się dookoła okrętu. Sytuacja kartagińskiej galery schwytej przez *Aquile* powtarzała się z każdej strony, a kruki dawały Rzymianom niebywałą przewagę. Nie każdej rzymskiej galerze powiodło się podczas pierwszego natarcia i Attyk naliczył sześć osobnych potyczek toczących się na wodach za rzymską formacją, podczas których przeciwnicy usiłowali wykonać manewry konieczne do taranowania bądź abordażu. Znad jednej z rzymskich galer, która płonęła żywym ogniem, w niebo wlatywał kłębam dym wraz z desperackimi krzykami jej załogi.

Na odgłos potężnego zderzenia Attyk obrócił się pospiesznie. Zobaczył, jak kartagińska kwinkwerema wbija taran w odsłoniętą burtę rzymskiej galery. Rzymska jednostka była unieruchomiona od strony dziobu przez kruka opuszczonego na pokład statku wroga, gdzie szalała

bitwa. Był to nieprawdopodobnie silny cios: trirema ugięła się pod nim. Niemal dwumetrowy taran kwinkweremy zatopił się w kadłubie mniejszego statku aż po dziobnicę. Trirema była bliska przewrócenia się do góry dnem i Attyk patrzył, jak żeglarze wypadają za burtę w kipieli.

– Konsulu! – krzyknął, od razu rozpoznawszy kwinkweremę.

Duiliusz spojrział w jego stronę.

– Ta kwinkwerema to okręt flagowy wroga. Musimy ją dopaść.

Konsul zerknął ponad relingiem na oddalony o dwieście kroków okręt Kartagińczyków. Rozważał jego pozycję tylko przez mgnienie oka.

– Zgoda – powiedział.

– Lucjuszu, przygotuj się do drogi – rozkazał natychmiast Attyk.

Komendzie kapitana towarzyszył okrzyk triumfu wzniesiony przez legionistów na pokładzie galery wroga. Opór Kartagińczyków w końcu udało się przełamać – nieustępliwe natarcie rzymskich żołnierzy odebrało im resztki zimnej krwi. Attyk popędził wzdłuż galery i pokonał biegiem kruka. W efekcie brutalnej roboty legionistów pokład galery wroga był śliski od krwi. Przeszukał wzrokiem szeregi żołnierzy i od razu rozpoznał imponującą sylwetkę Septymusa. Zawołał go po imieniu, na co Septymus przerwał wydawanie rozkazu swojemu *optio* i pomaszerował z powrotem na pokład

dziobowy. U boku trzymał zakrwawiony miecz, a jego tarczę znaczyły nacięcia i wgniecenia.

– Kończymy to natarcie, Septymusie. Na naszej sterburcie jest kartagiński okręt flagowy. Zaatakujemy go.

Centurion kiwnął głową z ponurą miną. Odwrócił się do czekających legionistów. Wciąż pałali żądzą krwi. Niedobitki Punijczyków na tej triremie zeszły pod pokład, aby tam stworzyć ostatnią linię obrony.

– Druzusie! – zawołał Septymus, a jego *optio* natychmiast stawił się na rozkaz.

– Podpalić pokład. Wycofujemy się.

Optio zasalutował, kryjąc zaskoczenie na myśl o porzuceniu kartagińskiej galery w chwili zwycięstwa. Odbiegł, aby wypełnić komendę.

Oddział stanął w szyku i szybkim marszem wrócił po rampie. Prowadził go Attyk, który potem ponownie udał się na rufę. Septymus przyglądał się, jak Druzus i dwaj legioniści podpalają pokład, zaczynając od masztu i grotzągla, a kończąc na rumplu. Kiedy już uciekli, spodziewał się, że Kartagińczykom uda się opanować płomień, lecz przynajmniej ich statek będzie unieruchomiony i bezużyteczny. Będą mieli szczęście, jeśli uda im się zbiec.

Centurion jako ostatni pokonał pomost i kiedy tylko postawił stopę na pokładzie *Aquili*, natychmiast go podniesiono. Galera czym prędzej odpłynęła, obracając dziób na sterburcie, w stronę swojej ofiary.

– Jakie straty, Druzusie? – spytał Septymus.

– Czterech martwych i siedmiu rannych. Dwaj z nich już dziś nie powalczą.

Twarz Septymusa zachowała ponury wyraz, kiedy obliczał ich szanse. Na pokładzie kartagińskiej triremy, którą właśnie opuścili, naliczył około pięćdziesięciu punickich wojowników. Na okręcie flagowym z pewnością będzie ich dwa razy więcej. Jemu zostało czterdziestu dziewięciu zdrowych ludzi i pięciu rannych, lecz zdolnych do walki. Mamy spore szanse, skrzywił się w duchu. Wciąż płonął w nim ogień bitewny. Według niego ludzie z Czwartego dowiedli odwagi. Poprowadzi ich z powrotem przez kruka, pewien, że podążą za nim w czekającą ich burzę.

Aquila wykonała zwrot na czas, aby jej załoga mogła zobaczyć, jak *Melkart* po raz pierwszy próbuje się uwolnić od staranowanej galery. Dziób kwinkweremy tkwił głęboko w kadłubie jej ofiary, ponieważ niezahartowane belki poszły w drzazgi pod uderzeniem brązowego tarana. Był to śmiertelny cios: woda wpływała szerokim strumieniem na niższe pokłady unieruchomionej galery. Kiedy taran zostanie wycofany, trirema zatonie jak ołów, zabierając ze sobą dwustu skutych kajdanami niewolników, których okrzyki przerażenia będzie słyszeć ponad wrzawą bitewną.

Attyk patrzył, jak wiosła kwinkweremy wbijają się głęboko w wodę, a ich drzewce przyjmują wysiłek konieczny do wyciągnięcia tarana. Tylko nieruchomy

kartagiński okręt można zaatakować. Kiedy się uwolni, jego prędkość i moc dadzą mu niekwestionowaną przewagę nad każdą rzymską galerą. *Aquila* musiała uderzyć, zanim kwinkwerema wroga zdąży ruszyć.

– Prędkość do taranowania! – ryknął Attyk. – Kurs na śródkręcie!

Aquila przyspieszyła do trzynastu węzłów, a jej taran wraz z każdym ruchem wiosł sunął do przodu. Uderzenie ledwie draśnie większy statek, ale także nierozzerwalnie połączy jego kadłub z *Aquilą*, żeby mogła się go ucześcić jak molos atakujący wilka. *Aquila* skierowała dziób na ostateczny kurs. Attyk wyszeptał modlitwę do Jowisza, wzywając go, aby przypomniawsobie o tytanach i dodał swojemu Orłu sił.

– Kapitanie! – wrzasnął rozwścieczony Gisko. – Zejdź pod pokład i dopilnuj, żeby tych niewolników porządnie wybatożono.

Kapitan oddalił się truchtem, przerażony straszliwym gniewem malującym się na twarzy admirała. *Melkart* utknął: roztrzaskany kadłub rzymskiej triremy złapał dziób większego okrętu jak zębami. W admirałe wzbierała bezgraniczna furia, kiedy na jego oczach Kartagińczycy zaczęli tracić przewagę. Pomosty – z których jeden tak łatwo *Melkart* zniszczył – wyrzucały rzymskich legionistów na pokłady kartagińskich trirem. Śmiercionośny efekt nowej taktyki osiągał skuteczność na bardziej zbliżonych rozmiarach jednostkach. Wszędzie

dookoła rzymskie formacje zmiatały jego ludzi z pokładów ich własnych jednostek, mordując ich z zimną sprawnością.

Każda kolejna chwila spędzona na próbach uwolnienia tarana z wnętrza rzymskiego okrętu odbierała admirałowi szansę na uśmierzenie gniewu i zaspokojenie żądzы zemsty. Kątem oka dostrzegł zbliżającą się kursiem kolizyjnym galerę. Odwrócił się szybko w jej stronę i przyglądał z pełnym satysfakcji gniewem, jak naciera prędkością do taranowania, starając się siłą woli sprawić, żeby walka już się rozpoczęła. Przesuwając wzrokiem po galerze, dostrzegł jej nazwę na kadłubie: *Aquila*. Nienawiść niemal go zaślepiła i zacisnął pięść, aż paznokcie wbiły się w skórę dłoni. Oto, na czym skupi się jego zemsta: na *Aquili*, galerze, która uciekła mu w Cieśninie Messyńskiej.

– Przygotować się na odparcie ataku! – ryknął ze swojego miejsca na pokładzie rufowym.

Większość jego ludzi stała na głównym pokładzie i dziobie, łucznicy wybierali cele na przesytej taranem triremie. Rozkaz zgubił się we wrzawie bitewnej. Gisko odwrócił się do Chalila, którego potężna, spięta przed walką sylwetka rysowała się pod obitym skórą napierśnikiem.

– Rzymianie są uzależnieni od dyscypliny i dowództwa – warknął Gisko. – Przynieś mi głowę rzymskiego centuriona, a przychylę się do twojej prośby.

– Tak jest, admirale – odparł Chalil, już wyobrażając

sobie, jak grozi mieczem rzymskiemu konsulowi, którego kiedyś nazywał panem. To, co zobaczył oczami duszy, utwierdziło go w jego postanowieniu i nienawiści do Rzymian.

Wyczuwając tę nienawiść, Punijczyk uśmiechnął się pod nosem. Podczas walki on też będzie miał własny cel: kapitana *Aquili*. Ten człowiek okrył go hańbą w Cieśninie Messyńskiej, splamił jego honor na oczach jego własnej floty. Teraz krwią zapłaci za to upokorzenie.

Gisko dobył miecza, a straż przyboczna wzięła z niego przykład. Odwrócił się i przeciął szybko pokład rufowy, nie spuszczając wzroku z nadciągającej galery. Ponownie wykrzyczał rozkaz – tym razem usłyszało go wielu ludzi znajdujących się na głównym pokładzie. Zwrócili się w stronę rzymskiego okrętu i na ich twarzach najpierw odmalował się wstrząs, a potem zimna determinacja. Utworzyli szyk, aby przyjąć natarcie, gotowi zanurzyć miecze we krwi.

Septymus stał dumnie na czele zebranych ludzi. Szeregi za nim uzupełniło piętnastu pretorianów, których konsul odkomenderował na czas desperackiej próby przejścia kartagińskiego okrętu flagowego. Była to elita rzymskiej armii: każdy z tych ludzi miał za sobą wiele bitew, a ich siła dodała energii sponiewieranemu oddziałowi. Czekając, Septymus oceniał odległość dzielącą ich od pokładu wroga. Jego *hastati* znów byli uzbrojeni w śmiertelne *pila*. Przy prędkości do

taranowania ich moment niedługo nastąpi.

Z odległości pięćdziesięciu kroków Septymus widział, jak Punijczycy ustawiają się w grupę na głównym pokładzie. Naliczył ich dobrze ponad stu. Reling na pokładzie dziobowym obok nich obstawiony był łucznikami.

– Podnieść tarcze!

Pierwsze kartagińskie strzały, z których wiele miało płonące groty, pomknęły nad zmniejszającą się szczeliną dzielącą okręty. Płynąca z prędkością trzynastu węzłów *Aquila* stanowiła trudny cel, lecz niewielka odległość pozwalała na niemal płaskie trajektorie i wystawiony na ciosy na pokładzie dziobowym Septymus poczuł, jak pociski uderzają o jego tarczę. Za sobą słyszał głośnie rozkazy towarzyszące gaszeniu płomieni na głównym pokładzie i krzyk mężczyzny, którego trafiła jedna ze strzał.

– *Hastati*, przygotować się do rzutu włóczniami na mój rozkaz!

Włócznicy zmienili nieco pozycje za nachodzącymi na siebie tarczami, szykując się do zaatakowania zwartej formacji na głównym pokładzie wroga. Septymus wypuścił wolno powietrze, wprawnym okiem szacując odległość. Jeśli chcieli wywołać konieczny chaos w szeregach wroga, salwa będzie musiała być bardzo precyzyjna. Przyglądał się pojedynczym ludziom w szyku nieprzyjaciela; ich okrzyki bojowe zagłuszał hałas potyczki. Twarze wykrzywiała furia, żądza krwi i

niebywała wrogość. Nie poddadzą się łatwo.

– Do ataku! – ryknął Septymus i odruchowo zaparł się w miejscu, przygotowując się do zderzenia dwóch statków.

Brazowy taran *Aquili* uderzył prosto w śródkręcie *Melkarta*, a jego tępa końcówka bez trudności przebiła kadłub. Grube na dłoń wręgi z dębu korkowego roztrzaskały się od siły zderzenia. Można było odnieść wrażenie, że *Aquila* chwieje się od ciosu: wstrząs przebiegł po całej osi okrętu, jakby uderzył on w litą skałę. Przez długą chwilę ludzie na obu jednostkach nie mogli złapać równowagi.

Septymus nie czekał, aż jego żołnierze dojdą do siebie. Wiedząc, że nie ma już odwrotu, zatoczył mieczem łuk i odciął linę podtrzymującą kruka. Rampa opadła z trzaskiem na główny pokład kartagińskiej galery, miażdżąc ciężarem jednego z ludzi, a jej długie szpikulce przeszły belki pokładu, wiążąc ze sobą losy obu galer.

– Naprzód! – ryknął Attyk i ruszył po pomoście na złamanie karku. Nie oglądał się za siebie: krzyki ludzi upewniały go w przekonaniu, że podążyli za nim. Potężny centurion podniósł tarczę na wysokość klatki piersiowej i nachylił się tak, aby móc napierać ramieniem na wzmocnione, pokryte płótnem deski. Po obu stronach Septymusa dotrzymywali mu kroku legionieści, którzy rzucili się na drugi koniec rampy. Jak jeden mąż gruchnęli o formację wroga, a mosiężne guzy na ich tarczach

miażdżyły kości i chrząstki.

– Klin! – rozkazał Septymus, kiedy legionieści utworzyli już szereg po zejściu z kruka.

Kolejny Kartagińczyk padł pod mieczem centuriona, a on sam usłyszał, jak jego *optio*, Druzus, wykrzykuje komendy, aby wyrównać flanki klina. Septymus wpychał się coraz głębiej w grupę Punijczyków, aby powstał przyczółek, dzięki któremu jego żołnierze będą mogli stworzyć zwarty szyk bojowy. Wiele ryzykował. Formacja klina zaskoczy nieprzyjaciół i spowolni ich reakcję, lecz cechowała ją kruchość: była wystawiona na szarżę wroga z dwóch stron.

Mimo zgiełku Septymus wyraźnie słyszał wykrzykiwane punickie komendy. Kartagiński dowódca zbierał dookoła siebie ludzi, aby odebrać rzymskiemu natarciu impet. Centurion niemal wyczuł zmianę w formacji wroga, zanim nastąpiła: Kartagińczycy stojący na tyłach zaczęli przeć do przodu, aby powstrzymać wycofywanie się ich pierwszej linii.

– Szyk bojowy! – ryknął Septymus, na mgnienie oka zanim przesunięcie w formacji Punijczyków dotarło do jej czoła.

Ściana zachodzących na siebie tarcz utworzyła półkole dookoła punktu, gdzie legionieści dokonali abordażu.

– Ustabilizować szyk!

Legionieści krzykiem potwierdzili przyjęcie komendy. Ponieważ nie mogli nacierać, powstrzymywani przez

zwarte szeregi wroga, musieli utrzymać linię bojową tam, gdzie stali. Nie będzie odwrotu, nie mogli stracić już zajętego pokładu. Od tej chwili zaczynała się próba ich charakteru. Strona, która ugnie się pierwsza, zostanie wycięta w pień.

– Zepchnąć ich do morza! – ryknął Gisko, kiedy udało się powstrzymać początkową szarżę Rzymian.

Ze swojej pozycji na tyłach formacji dostrzegł jej pierwsze kroki do tyłu spowodowane natarciem nieprzyjaciela. Ten widok go rozsierdził. Wyczuwając falę paniki rozchodzącą się po jego oddziale, wypatrywał pierwszej oznaki odwrotu. Jakiś młody żołnierz odwrócił się plecami do potyczki i ten moment wahania kosztował go życie: Gisko przebił mieczem jego klatkę piersiową.

Admirał przekroczył ciało i wcisnął się do wnętrza formacji. Dołączyła do niego jego straż przyboczna wraz z Chalilem, a wszyscy razem stworzyli zwartą grupkę, która skierowała się prosto w stronę wierzchołka rzymskiego klina. Gisko głośno wydawał rozkazy, a jego obecność wśród żołnierzy przewyciężyła pierwsze gorączkowe chwile paniki. Kartagińczycy zaangażowali się w potyczkę ze zdwojoną energią. Stojący w szóstym szeregu od czoła admirał przyglądał się, jak Rzymianie zmieniają szyk na pozornie niemożliwą do pokonania ścianę tarcz. Rozejrzał się po niej za mężczyzną, którego szukał, i znalazł go w środku formacji. Jego wzrost wyróżniał go na tle ludzi stojących obok niego. Gisko

odwrócił się do Chalila, aby mu go pokazać, lecz Nubijczyk już rozpoznał swoją ofiarę.

Gisko znów wezwał do natarcia i jego ludzie ruszyli przed siebie, a ich impet pozwolił Chalilowi przepchnąć się na czoło formacji. Tylko krótka chwila dzieliła go od zajęcia pozycji koniecznej do zaatakowania samego środka formacji wroga – jego celu, rzymskiego centuriona.

Stojący na pokładzie dziobowym *Aquili* Attyk nie zwrócił uwagi na uderzenie strzały o swoją tarczę *hoplon*. Zdawał sobie sprawę z ogromu zadania czekającego legionistów od chwili, kiedy Septymus przeprowadził swoich ludzi po kрку. Kartagińczycy mieli nad nimi co najmniej dwukrotną przewagę liczebną, a kiedy przejdzie im już pierwszy szok związany z abordażem, będą zajadle bronili swojego okrętu.

Ponieważ zwycięstwo ważyło się na szali, Attyk zebrał na pokładzie dziobowym dwudziestu najlepszych wojowników ze swojej załogi. Weterani niezliczonych bitew i potyczek z piratami stali niewzruszenie, podczas gdy przed nim toczyła się walka. Ośmiu załogantów Attyka wprawnie posługiwało się łukiem i teraz pracowali co sił, aby powstrzymać kartagińskich łuczników, szyjąc strzałami w stronę *Melkarta*. Attyk powstrzymał chęć przebiegnięcia po kрку, kiedy dostrzegł, jak kolejny legionista pada pod ciosami przeciwnika. On i jego ludzie nie wiedzieli nic o taktyce legionów i tylko zakłóciliby

surową dyscyplinę szyku bojowego. Jeśli wróg go przełamie, bitwa przemieni się w chaotyczną utarczkę. Dopiero wtedy Attyk spuści ze smyczy swoich ludzi.

Septymus stęknął, kiedy jego tarcza przyjęła na siebie kolejne uderzenie, i pchnął ramię do przodu, aby je odeprzeć. Jego *gladius* odnalazł szczelinę między tarczami i centurion zadał niski cios, celując w krocze niewidocznego wroga. Miecz dosięgnął ciała i centurion przekręcił klingę, po czym usłyszał krzyk bólu, gdy następny Kartagińczyk padł w efekcie rzymskiego ataku. Wycofał zmatowiały od krwi oręż i wystawił go ponownie, raniąc i zabijając.

Bolały go barki i ramiona, kiedy zadawał kolejne pchnięcia. Fizyczne zmęczenie wywołane walką zaczęło się odbijać na kondycji legionistów. Podczas bitwy lądowej z użyciem szyku potrójnego, *triplex acies*, formacja pozwalała na wymianę żołnierzy z pierwszej linii, aby ludzie mogli odpocząć przed powrotem do bitwy. Oddział stanowiący połowę manipułu i walczący na pokładzie kartagińskiego okrętu nie mógł sobie pozwolić na takie chwile wytchnienia. Legioniści nie będą mogli ustąpić, póki potyczka nie dobiegnie końca. Wytrzymałość, siła woli i odwaga stały się fundamentami tej ostatniej linii obrony.

Kiedy powietrze rozdarł gardłowy okrzyk bojowy, Septymus powstrzymał kolejne pchnięcie miecza, a jego instynkt wojownika nakazał mu czujność. Na tarczę

legionisty po jego lewej spadł cios tak silny, że mężczyzna stracił równowagę, co stworzyło niewielką wyrwę w ścianie tarcz. Kolejny w szyku żołnierz pchnął w nią swój miecz, lecz atakujący przewidział ten ruch i natychmiast go odparował. Septymus krzykiem nakazał Druzusowi ochronę szczeliny, ponieważ sam nie był w stanie pomóc mężczyźnie po lewej, nie odwracając się i wystawiając na ciosy legionisty po prawej. Od kolejnego uderzenia w tarczę pod żołnierzem ugięły się nogi, a Septymus mógł na okamgnienie zerknąć na wojownika tworzącego wyłom w ich szyku. Zszokowany wytrzeszczył oczy, rozpoznawszy Chalila, nubijskiego niewolnika Scypiona, o twarzy wykrzywionej grymasem ponurej determinacji. Nacierał na legionistę, waląc mieczem niczym młotem w kowadło tarczy. W końcu przedarł się przez linię obrony żołnierza i mężczyzna padł na pokład, przyciskając dłonie do śmiertelnej rany na brzuchu.

Kartagińczycy powitali utworzenie wyłomu okrzykiem triumfu. Septymus miał wrażenie, że czas płynie wolniej, kiedy patrzył, jak szeregi wroga wzbierają w oczekiwaniu na wykorzystanie go. Przeżycie i zwycięstwo Rzymian zależało teraz wyłącznie od dyscypliny. Ponieważ ich szyk przełamano, a tyły były wystawione na ciosy, istniało wielkie zagrożenie, że legioniści dadzą się pochłonać panice. Jeśli zaczną uciekać, zginą. Jeśli Septymus znów zaprowadzi w ich szeregach porządek, przetrwają i przypuszczą kontratak.

Wszystko teraz zależało od jego dowództwa. Kiedy już miał wypowiedzieć rozkaz, odruchowo uniósł miecz, aby odparować cios Chalila. Wbrew oczekiwaniom Nubijczyk nie przebił się przez rzymski szyk, lecz odwrócił do atakowanego z każdej strony centuriona, koncentrując na nim swoje natarcie.

Septymus był zmuszony odparować kolejny cios, kiedy Kartagińczycy rzucili się przez wyłom stworzony przez Chalila. Pod ich natarciem centurion zrobił jeszcze jeden krok w tył. Miał wrażenie, że klinga Nubijczyka uderza w dwa miejsca naraz, ponieważ przeciwnik przypuścił wzmożony atak. Septymus był świadom potrzeby ponownego odzyskania kontroli nad swoimi ludźmi, lecz myśl tę zagłuszył instynkt samozachowawczy, który odezwał się, kiedy ledwie udało mu się obronić przeciwuderzenie. Rozwścieczało go to wyłączenie z bitwy, niemożność dowodzenia legionistami, kiedy najbardziej go potrzebowali. Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, zrobił jeszcze jeden krok w tył i postawił pewnie stopy na pokładzie. Ustabilizować szyk, pomyślał, zawzięcie odparowując następny cios. Może i przegrali już bitwę o kartagiński okręt flagowy, lecz Septymus miał zamiar dopilnować, żeby przynajmniej jego walka o legiony zakończyła się zwycięstwem.

– Wyłom! – ryknął Attyk, wskazując mieczem szczelinę ziejącą w rzymskiej formacji. – Ludzie *Aquili*, do mnie!

Pędem przebył kruka, a jego ludzie biegli za nim, wykrzykując nazwę ich galery. Kapitan skierował się w stronę wyłomu na czas, aby zobaczyć, jak potężny czarnoskóry wojownik przechodzi przezeń i zaczyna walczyć z Septymusem. Attyk natychmiast go rozpoznał, lecz otrząsnął się ze zdumienia i skoncentrował na działaniach koniecznych do uratowania rzymskiego szyku. Padł kolejny legionista, atak się nasilił, a wyłom jeszcze się powiększył.

Przeszło przez niego już dwunastu Kartagińczyków, a na ich triumfalne okrzyki rzymska formacja się zachwiała, ponieważ legioniści wiedzieli, że grozi im okrążenie. Ludzie z *Aquili* co sił w nogach dobiegli na miejsce potyczki, a ich atak uciął przedwczesne wiwaty. Attyk podniósł wysoko swój *hoplon*, aby zablokować cios kartagińskiego topora, i zamachnął się mieczem poniżej, wbijając go w odsłonięty bok napastnika. Uderzenie zważyło Punijczyka z nóg, a Attyk przekreślił klingę, żeby wyciągnąć ją spomiędzy żeber mężczyzny. Jego ludzie wypełnili wyłom, a ich zajadły atak sprawił, że Kartagińczycy zawahali się w chwili, kiedy spodziewali się zwycięstwa.

– Ludzie z Czwartego! Szyk obroniony! – wrzasnął Attyk, obrzucając wzrokiem plecy rzymskich legionistów.

Dziki Rzymu odpowiedziały rykiem na ponowną odmianę losu i umocnienie ich linii obrony.

Uwięzieni za nieprzeniknionym teraz murem ludzi Kartagińczycy walczyli z desperacją właściwą skazanym

na porażkę. Pośrodku znajdował się Chalil, całkowicie skupiony na Septymusie. Ich pojedynek odzwierciedlał intensywność całego tego zjadłego starcia. Centurion poczuł, jak przybywa mu odwagi, kiedy dotarł do niego okrzyk walczącego teraz w pierwszej linii Attyka. Rozkład sił ponownie się zrównoważył, a zwycięstwo było na wyciągnięcie ręki.

Septymus wszedł w łuk kolejnego ciosu Chalila i obrócił miecz, aby rozorać nim brzuch Nubijczyka. Chalilowi ledwie udało się odbić klingę skrajem tarczy. Mężczyźni byli oddaleni od siebie o zaledwie centymetry: ich umiejętności pozwalały im walczyć ze sobą z bliska, wprawiając klingi w wir stali. Septymus skoncentrował się na ruchach przeciwnika i szukał w nich słabości, otwarcia do ataku. Nagle z całą jasnością zdał sobie sprawę, jaką ma przewagę nad Nubijczykiem. Chalil używał okrągłej tarczy tylko do obrony, atakował wyłącznie mieczem. Legiony nauczyły Septymusa czegoś innego.

Chalil nie ustępował, zmuszając Septymusa do przejścia do defensywy i odparcia całej sekwencji ciosów. Nubijczyk nagle zmienił kierunek ataku i centurion krzyknął z bólu, kiedy miecz przeciwnika przesunął się po tylnej stronie jego uda. Sama rana nie była śmiertelna, ale i tak mogła doprowadzić do jego śmierci, ponieważ uniemożliwiła mu zachowanie równowagi: odruchowo zaczął bardziej obciążać drugą nogę. W walce z przeciwnikiem tak umiejętnym jak Chalil koniec

nadejście szybko. Septymus miał zaledwie moment na reakcję.

Centurion przypuścił straszliwy atak, zmuszając Chalila do podniesienia tarczy. Nubijczyk nisko trzymał miecz i czekał na szansę na kontratak. Septymus zwrócił uwagę na pozycję przeciwnika i nagromadzoną w nim energię, wyglądając własnej okazji do zakończenia walki. Zaciśnął zęby, przygotowując się na ból, i przeniósł ciężar ciała na ranną nogę. Czuł, jak przecięty mięsień ustępuje pod obciążeniem, i jego krzyk bólu zmieszał się z rozjuszonym rykiem towarzyszącym natarciu. Rzucił się do przodu, wyciągając przed siebie tarczę, i jej miedzianym guzem uderzył Nubijczyka w rękę, którą ten władał mieczem. Niespodziewany cios sprawił, że Chalil zupełnie stracił równowagę, i zatoczył się do tyłu. Septymus oparł się przemożnej pokusie ulżenia rannej nodze i poprowadził pchnięcie dalej, wkładając wszystkie siły w desperacki atak. Chalil uniósł minimalnie ramiona, aby odzyskać równowagę, i Septymus wykorzystał tę szansę. Machnął mieczem wysoko przez otwarcie w linii obrony przeciwnika, a klinga gładko przeszła przez ramię Chalila, odcinając dłoń, którą trzymał miecz, przy nadgarstku. Chalil krzyknął z bólu i upuszczając tarczę, chwycił kikut. Zgiął się wpół i Septymus zmienił kierunek pchnięcia, aby zadać śmiertelny cios. W ostatniej chwili jednak zatrzymał klingę i uderzył Chalila w głowę żelazną rękojeścią miecza. Nubijczyk stracił przytomność, zanim jeszcze uderzył o pokład.

Pierwsza linia kartagińskiej formacji zauważyła porażkę Chalila. Utrata tak potężnego wojownika, jedyne, któremu udało się przebić przez rzymski szyk, podkopała wolę walki Punijczyków. Septymus wyprostował się powoli, kiedy ostatni Kartagińczycy uwięzieni za rzymską linią bojową ginęli z rąk ludzi Attyka.

– Naprzód! – rozkazał centurion, który w końcu mógł dowodzić swoimi legionistami.

Żołnierze ruszyli przed siebie, zjednoczeni znajomym sobie dowodzeniem centuriona, a ich miecze wdarły się w pierwszą linię wroga. Po formacji Kartagińczyków przebiegła drobna fala paniki, która wkrótce ich ogarnęła, i odwrócili się plecami do nacierającej ściany tarcz i kling. Pustka stworzona przez ich odwrót tylko przyspieszyła atak Rzymian. W końcu Kartagińczycy niemal jednocześnie ustąpili, przestali stawiać opór i uciekli z głównego pokładu. Rzymianie przywitali triumfującym wiwatem zniknięcie napom na ich linię bojową.

– Druzusie! – krzyknął Septymus i *optio* od razu stanął u jego boku.

– Po jednej drużynie na dziób i rufę, oczyścić pokłady i przejść poniżej. Zniszczyć wszelkie ślady oporu.

Optio kiwnął głową i odszedł wydać rozkazy. Septymus dopiero wtedy zasłabł z bólu.

Hamilkar nie wierzył własnym oczom. Wszędzie,

gdzie spojrział, kartagińskie galery były uwikłane w beznadziejne potyczki z wrogiem, który jakimś sposobem zmienił bitwę morską w lądową i tym samym zakpił z odwiecznej przewagi Kartagińczyków w sztuce marynarskiej. Puniccy wojownicy, tak uzdolnieni pod względem abordażu i ataków z zaskoczenia, byli całkowicie bezradni w obliczu skutecznej masakry prowadzonej przez rzymskich legionistów. Ich ściany tarcz stanowiły nieprzebytą barierę, która sunęła po kolei przez wszystkie pokłady.

Kwinkwerema Hamilkara, *Byblos*, opłynęła flankę bitwy bez przeszkód, ponieważ jej rozmiary zniechęcały Rzymian do ataku. Była otoczona kartagińskimi triremami, kotłującymi się w całkowitym zamieszaniu. Ponieważ udało się im uciec przed straszliwymi rzymskimi pomostami do abordażu i widać z nich było zniszczenie szalejące wśród ich bliźniaczych statków, powstrzymywały się przed ponownym związaniem wroga walką. Hamilkar czuł mdłości na ten widok, a jego serce przepełniał wstyd wywołany tchórzostwem ziomków.

Nawet z odległości mili widział, jak *Melkart* – którego rozmiar wyróżniał go na tle pobliskich statków – wraca do walki. Środek kartagińskiego szyku dookoła okrętu flagowego całkowicie się rozpadł, a kwinkwerema niemal zginęła w zamęcie bitwy. Ten widok otrzeźwił Hamilkara i zmusił go do racjonalnego przeanalizowania sytuacji z punktu widzenia dowódcy. Gisko przegrał. Bitwa zakończyła się klęską. Pełen gorzkiej rezygnacji

Barkas zdał sobie sprawę, jaką trzeba podjąć decyzję, jaki niemożliwy rozkaz wydać, jeśli reszta floty ma przetrwać. Czując w gardle gryzący smak hańby, wydał komendę do odwrotu, przeklinając w duchu admirała, który ponownie poprowadził synów Kartaginy ku klęsce.

Gisko ryczał z wściekłości, kiedy jego ludzie mijali go biegiem, uciekając po głównym pokładzie, aż został sam z dwunastoma żołnierzami ze swojej straży przybocznej. Tuż przed załamaniem się szyku przyglądał się z desperacją, jak kartagińskie okrzyki bojowe ustępują pomrukowi przerażenia i ukradkowym zerknięciom przez ramię ludzi szukających drogi ucieczki. Widział, jak pada Chalil, ponieważ potężnego nubijskiego wojownika widać było wyraźnie nawet w wirze walki. Natychmiast po jego upadku rozległ się rzymski rozkaz do ataku, a centurion ponownie objął dowodzenie nad swoimi ludźmi. Chwilę zwycięstwa odebrało admirałowi odtworzenie rzymskiej formacji i to, że wrogowi udało się zablokować wyłom. Odbudowę rzymskiego szyku spowodował jeden mężczyzna, który na oczach admirała przebiegł przez pomost do abordażu w najbardziej gorączkowym momencie potyczki.

Melkart przepadł, ale zwycięstwo wciąż było w zasięgu ręki; zależało ono teraz od tego, czy admirałowi uda się uniknąć pojmania. Przygotowując się do ucieczki, która – jak już wiedział – była nieunikniona, szybko rozkazał dwóm ludziom zwodować łódkę i podprowadzić

ją koło burty. Przedtem czekało go jeszcze tylko jedno zadanie, jedna przysięga do wypełnienia, jeden człowiek, którego należało wysłać do Hadesu. Człowiek, który doprowadził do jego porażki, kapitan *Aquili*.

Attyk krzyczał radośnie wraz ze swoimi ludźmi, kiedy szyk wroga rozpadł się na pół, a Kartagińczycy rzucili się do ucieczki na dziób i rufę okrętu w poszukiwaniu schronienia i aby uciec pod pokład. Rozglądając się po pogrążonym w chaosie okręcie, Attyk zauważył nieruchomą grupę ludzi stojącą przy odległym relingu. Było ich może dwunastu, a na czele stał dumnie dowódca. Attyk natychmiast go rozpoznał, choć od ich pierwszego spotkania minęło wiele miesięcy. To przed nim uciekła *Aquila* w Cieśninie Messyńskiej i Attyk zrozumiał, że dowódca kartagińskiego okrętu flagowego jest admirałem Punijczyków.

Wykrzyknął pod jego adresem wyzwanie, a kiedy pozostali ludzie z *Aquili* dostrzegli powód tego wybuchu, natychmiast ustawili się w szyku za swoim kapitanem. Gisko sam właśnie rozglądał się po pokładzie i wyzywający okrzyk skupił jego uwagę na człowieku, którego szukał pośród zamieszania.

– Ty! – ryknął admirał.

Mężczyźni przez chwilę patrzyli sobie w oczy ponad spływającym krwią pokładem, a ich wojowniczość stworzyła między nimi nierozzerwalną więź. Admirala zalały wspomnienia o porażce pod Akragas, o

upokorzeniu w Cieśninie Messyńskiej i skazanej na klęskę flocie, która go otaczała. Attyk zobaczył w myślach tylko rzeź pod Brolium, porażkę u wybrzeży Lipary i przysięgę, którą wiele tygodni wcześniej złożył pewnemu centurionowi.

Rzucili się do siebie z wrzaskiem, a ich załogi podążyły nieustraszenie za nimi. Dwie siły spotkały się w środku i starły w wirze indywidualnych potyczek. Walka była zażarta – ludzie z *Aquili* mieli przewagę liczebną nad Kartagińczykami – i rozkład sił ustalił się już po chwili.

Attyk i Gisko walczyli pośrodku, z taką furją, że pojedynek zmienił się w nieskoordynowaną napażkę, i w swojej zajadłości obaj używali mieczy jak pałek. Po chwili, kiedy gniew i nienawiść wysunęły się na pierwszy plan przed wszelkim kunsztem, zaczęła się już liczyć tylko brutalna fizyczność. Siła admirała, zahartowanego przez trzydzieści lat walki, przeciw zwinności młodszego mężczyzny.

Attyk pierwszy odzyskał rozsądek i skupił myśli, aby skanalizować swoją agresję. Atak admirała wypełniał mu całe pole widzenia, ramię zdrewniało od zadawania niezliczonych ciosów i Attyk zrobił nagły unik, aby zyskać moment oddechu. Jego szybkość oszołomiła admirała, który natychmiast spróbował ponownie wciągnąć go do walki, lecz Attyk zrobił jeszcze jeden unik, aby Kartagińczyk nie mógł odzyskać równowagi.

Gisko ryknął z frustracją, kiedy rzymski kapitan znów mu się wymknął, a jego przewaga pod względem

szybkości zaczęła dyktować warunki walki. Admirał zdał sobie sprawę, że kilkanaście ruchów i przegra pojedynek, jego koniec będzie nieunikniony. Ekscytacja i żądza krwi kipiące w jego żyłach nagle ostygły, kiedy wyczuł, że ramię mu słabnie. Po raz pierwszy się cofnął i zobaczył, jak po twarzy Rzymianina przebiega wyraz triumfu. Z ostatnim straszliwym rykiem Gisko zebrał cały gniew, całą nienawiść, jaką pałał do niezwycięzonego wroga, chwycił człowieka po lewej i popchnął w stronę rzymskiego kapitana.

Attyk zareagował odruchowo na nagły atak. Zbliżający się do niego Kartagińczyk nie odzyskał jeszcze równowagi po niespodziewanym pchnięciu. Attyk wymierzył cios mieczem, wkładając weń całą siłę ramienia, a choć punicki strażnik instynktownie próbował się osłonić, nie zdołał uniknąć wyciągniętej klingi i *gladius* uderzył go prosto w pierś. Jego rozpęd i siła ataku sprawiły, że ostrze zatopiło się głęboko w ciele. Wartownik padł na Attyka całym ciężarem, a kapitan się przewrócił; przeciwnik zmarł, zanim obaj gruchnęli o pokład. Attyk kopał dziko nogami, aby się uwolnić; przekręcając klingę, usiłował ją wyciągnąć, a rękę zalała mu ciepła fala krwi. Odepchnął Kartagińczyka na bok, podniósł się, natychmiast odzyskał równowagę i przyjął obronną postawę pośród dogasającej walki. Szukał wzrokiem punickiego admirała, spodziewając się, że zobaczy go tuż przed sobą. Zajęło mu chwilę, zanim zdał sobie sprawę, że przeciwnik uciekł.

Gisko dotarł biegiem do relingu na burcie i jednym ruchem dał nura za burtę. Spadł z poziomu trzech metrów i ciężar jego zbroi wepchnął go głęboko pod powierzchnię. Zaczął pracować potężnymi ramionami i wyłonił się ponad fale ze smakiem słonej wody w ustach. Silne ręce chwyciły go i wyciągnęły z wody do łódki, po czym dwaj ludzie natychmiast wrócili do wiosł i czym prędzej odpłynęli od okrętu flagowego. Gisko kaszlnął i usiadł z trudem, aby obejrzeć się na burtę, z której właśnie zeskoczył. Przy relingu stał rzymski kapitan z twarzą zaczerwienioną i wykrzywioną furją. Gisko poczuł, jak to samo uczucie wzbiera w nim, a jego gniew znalazł ujście w krzyku:

– Niech cię Mot przeklnie, Rzymianinie! To jeszcze nie koniec tej walki...

– Łucznicy! – ryknął ponownie Attyk, zamroczony bezsilną wściekłością.

Kartagiński dowódca, wróg nad wrogami, który wytrzebił jego rodaków pod Brolium i obezwładnił legiony na Sycylii, uciekał. Attyk obrzucił wzrokiem morze przed sobą w poszukiwaniu innej rzymskiej galery, jakiegokolwiek statku, który mógłby odciąć admirałowi drogę. Obrócił się wzburzony, znów rozglądając się po pokładzie za łucznikami. Nie znalazł żadnego. Jeszcze raz zwrócił wzrok w stronę łódki i z gorką frustracją przyglądał się, jak trzech mężczyźni krzyczą do kartagińskiej galery pływającej poza pograżoną w chaosie linią bojową, a ona zmienia kurs w odpowiedzi na ich

wezwanie. Wściekły Attyk cisnął mieczem o pokład, ledwie zwracając uwagę na sygnały zwiastujące zwycięstwo, którymi rozbrzmiewały rzymskie galery ze wszystkich stron.

Duiliusz przeszedł powoli po kroku, mając przed sobą krajobraz rzezi. Jeszcze nigdy wcześniej nie był świadkiem bitwy i podniecenie oraz radość zwycięstwa zniknęły na widok masakry. Przełknął z trudem gorzką żółć i spróbował nad sobą zapanować. Woń bitwy była wszechogarniająca: powietrze wypełniał smród krwi i opróżnionych kiszek, spalonego drewna i ciała. Rzymianie – legionieści, żeglarze, żołnierze piechoty morskiej i pretorianie – leżeli porozrzucani wśród martwych Kartagińczyków, a ich wspólny los uczynił z nich towarzyszy w tym z trudem wywalczonym zwycięstwie.

Rzymski centurion, Kapito, leżał na plecach na pokładzie, a jeden z jego ludzi opatrywał mu ranę. Obok widać było potężnego nubijskiego wojownika z poszarzałą z szoku twarzą, trzymającego się ostrożnie za zakrwawiony kikut, który był wszystkim, co zostało z jego ręki.

Kapitan Perennis stał przy maszcie, otoczony przez resztki swojej załogi, ludzi, którzy popędzili na złamanie karku po pomoście, aby załatać wyłom w rzymskim szyku i uratować bitwę o kartagiński okręt flagowy. Kapitan wydawał swojemu zastępcy rozkazy, które miały

na celu zabezpieczenie wrogiej jednostki i uwolnienie rzymskich niewolników spod pokładu.

Morze od zachodu było usiane uciekającymi kartagińskimi galerami. Stanowiły one ponad połowę floty wroga; część umykała w popłochu i nieładzie, a rdzeń podążał w luźnej formacji za kwinkweremą. Duiliusz powstrzymał się przed wydaniem rozkazu do ruszenia w pogoń świadom, że element zaskoczenia, którego dostarczył im *corvus*, już nie zadziała, a na otwartym morzu Kartagińczycy wciąż mają przewagę. Szkoda mu było straconej okazji na starcie floty wroga w proch, ponieważ wiedział, że wkrótce *classis Romana* znów będzie musiała się z nią zmierzyć.

Duiliusz patrzył, jak *optio* wyprowadza spod pokładu grupę niewolników. Obrzucił ich obojętnym wzrokiem, a ich żałosny stan nie wzbudził współczucia w jego znużonej duszy. Już miał się odwrócić, kiedy jego uwagę przyciągnął ostatni mężczyzna w grupie. Był cały umorusany i miał na sobie tylko obrzydliwie brudną tunikę, ale szedł dumnie wyprostowany i miał żywe, intensywne wejrzenie. Dopiero kiedy skierował je na Duiliusza i zapałało ono nienawiścią, młodszy konsul rozpoznał w końcu Scypiona.

– Bądźcie przekłeci! – wrzeszczał Gisko, schodząc pospiesznie na nabrzeże portu w Panormos. Unosił miecz i z wykrzywioną gniewem twarzą przyglądał się zdruzgotanym załogom znoszącym na ląd martwych i

rannych. Widać było, że duch załamał się w ludziach po nagłej zmianie toku bitwy. – Wszyscy wracać na galery! Ta walka jeszcze się nie skończyła... !

Kartagińscy załoganci uciekli przed młóącym powietrze mieczem admirała. Niektórzy wrócili biegiem na galery, lecz spora większość umknęła w stronę miasta. Nabrzeże dookoła admirała opustoszało. Rozpoznał jednego z kapitanów galer i podbiegł do niego, chwycił przerażonego mężczyznę za ramię i przycisnął do jego szyi czubek miecza, zmuszając go do stanięcia na palcach.

– Kto wydał ci rozkaz porzucenia bitwy? – syknął Gisko i przekręcił miecz, aż pojawiła się kropla krwi.

– Hamilkar Barkas... – wyjąkał kapitan, a jego oczy były pełne przerażenia.

– Barkas! – wrzasnął Gisko i popchnął kapitana na ziemię. Obrócił oręż i bezgranicznie rozwścieczony zaczął okładać mężczyznę płazem, łamiąc mu ramię, kiedy ten podniósł je obronnym gestem. Kapitan błagał o litość, lecz zdjęty fanatycznym gniewem Gisko ignorował jego prośby. Nagle drogę jego miecza zablokowała wyciągnięta klinga, a ich zderzenie było tak niespodziewane, że admirał wypuścił oręż z ręki.

– Brać go! – rozkazał Hamilkar, przyciskając ostrze miecza do gardła admirała.

Strażnicy Hamilkara podbiegli i chwycili admirała za ramiona. Gisko szamotał się w ich silnym uścisku.

– Wypuść mnie! Każę was wszystkich wybatożyć za

tę zniewagę! A ciebie – Gisko naskoczył na Hamilkara z miną pełną furii – każe ukrzyżować za tchórzostwo.

– Nie, admirale – odpowiedział zimnym, spokojnym głosem Hamilkar. – To ja każe ukrzyżować ciebie za porażkę.

– Nie wolno ci! – gardłował Gisko. – Ja tu dowodzę. Ci ludzie odpowiadają przede mną!

– Odpowiadają przed Kartagią! – ryknął mu twarz Hamilkar, tracąc panowanie nad sobą. – A na Sycylii to ja jestem Kartagią!

– Nie wolno ci! – powtórzył Gisko, a w jego głosie pojawiła się nuta strachu.

– Jestem wysłannikiem rady i synem Kartaginy, a ty zawiodłeś i radę, i Kartaginę... Odprowadzić go!

Strażnicy powlekli admirała w stronę baraków. Gisko wykrzykiwał pełną nienawiści tyradę przeplataną oskarżeniami o zdradę. Hamilkar zignorował jego krzyki i rozkazał swoim ludziom, aby wrócili do zajmowania się rannymi i martwymi.

Zgładzonych ułożono pieczołowicie w szeregach. Z rękami skrzyżowanymi na piersi czekali cierpliwie na podróż do królestwa Mota. Hamilkar patrzył na nich z czcią, chcąc wyryć sobie ich twarze w pamięci. Dzielnie walczyli za swoje miasto i Barkas pomodlił się szeptem do Tanit – boskiej królowej Kartaginy – w intencji ich dusz. Oczyma wyobraźni już widział stosy pogrzebowe, które oczyszczą doczesne szczątki poległych i umożliwią ich duchom drogę do bogów.

Tego dnia Hamilkar miał zamiar opłakiwać zmarłych i oddawać im cześć. Poprzysiągł, że następnego dnia żyjący zapłacą za porażkę. I tak jak popioły, które pozostają po stosach pogrzebowych, stygną po pożodze, Hamilkar zahartuje swoje serce na czas potwornej zemsty.

EPILOG

Gajusz Duiliusz uniósł rękę w geście zwycięzcy, wjeżdżając na czele triumfalnego pochodu na Forum Magnum. Na całym placu tłoczyli się Rzymianie, których skusiła obietnica wina i jadła podczas obchodów ku czci zwycięstwa *classis Romana* w bitwie pod Mylae, do której doszło cztery tygodnie wcześniej. Na głowie Duiliusza widniała *corona graminea*, a ubrany był w ceremonialną purpurową togę haftowaną złotem, dar od wdzięcznego ludu rzymskiego.

Konsul omiół wzrokiem tłum, po czym spojrzał na ludzi zebranych na stopniach kurii. Obecni byli wszyscy senatorowie, sprzymierzeńcy i przeciwnicy, poza jednym. Duiliusz uśmiechnął się na ten widok: stanowił on odpowiedź na wystosowane przezeń wezwanie, którego nikt nie mógł zlekceważyć, jeśli nie chciał się narazić najpotężniejszemu człowiekowi w Rzymie. Jak nakazywała tradycja, za Duiliuszem stał na rydwanie niewolnik, który szeptał mu do ucha słowa: *Memento mori*, „Pamiętaj, żeś śmiertelny”. Było to przypomnienie od bogów, że jest tylko człowiekiem. Duiliusz nie zwracał uwagi na niewolnika, a prawda jego słów ginęła pośród mocnego wina zwycięstwa i potężnego afrodyzjaku władzy.

Attyk jechał w rydwanie tuż za konsulem, na miejscu honorowym, na co nalegał sam wdzięczny Duiliusz, choć

kapitan poprosił o pozwolenie na powrót na swoją galereę. Wielu ludzi w tłumie rozpoznawało Attyka z opowieści snutych przez retorów, których wynajął Duiliusz, aby roznieśli wieści o ich zwycięstwie po całym Rzymie, i wykrzykiwali oni teraz z czcią imię kapitana. Attyk przyjmował te owacje, kiwając głową, nie do końca pewien, jak ma zareagować. Prawą ręką ścisnął lejce, a lewą – drzewce, na którym powiewał nowy proporzec *classis Romana*.

Uśmiechał się pod nosem, słysząc, jak rzymskie głosy powtarzają greckie nazwisko, a myślami wrócił do nieustannego konfliktu emocji, z którym wiązała się jego lojalność względem Rzymu. Akurat tego dnia nie potrafił powstrzymać uczucia, że jest częścią kotłującego się tłumy, który otaczał go ze wszystkich stron, wznosił wiwaty i darzył Rzym niemożliwą do zlekceważenia, bezwarunkową lojalnością. Miasto to było niepodobne do innych i zamieszkiwali je ludzie, którzy bezustannie walczyli o powiększenie swojego świata kosztem innych ludów, a Attyk obejrzał się przez ramię, aby zobaczyć, co ta ambicja zdziałała. Za nim szła armia niewolników niosących brązowe tarany schwytych galer wroga, które miały ozdobić nową kolumnę budowaną na Forum w celu upamiętnienia rzymskiego zwycięstwa.

Attyk odwrócił się raz jeszcze, kiedy pochód zatrzymał się u stóp schodów prowadzących do kurii. Patrzył, jak Duiliusz schodzi z rydwanu i ponownie unosi rękę przy akompaniamencie nieustannego aplauzu tłumy

mieszającego się z fanfarami tysięcy trąb. Konsul odwrócił się powoli twarzą do Attyka, wzywając go dłonią, aby dołączył do niego podczas jego triumfalnej drogi w górę schodów do kurii. Attyk podszedł, nie wypuszczając z ręki sztandaru *classis Romana*, i dwaj mężczyźni zaczęli się razem piąć w górę.

Na dobiegający z dala dźwięk trąbek Marek pognał po schodach, które prowadziły do balustrady nad główną bramą. Zapałał radością na rozpościerający się z niej widok: długi sznur odzianych w czerwień i purpurę wojowników zbliżających się przy dźwięku bębnów i wiwatów ludzi z obozu. Dwa dni wcześniej, dziewiątego dnia, do Makelli dotarł oddział pięćdziesięciu rzymskich jeźdźców z wiadomością, że forsownym marszem ciągną za nimi legiony z Brolium. Obóz przywitał wieść z radością, po czym ludzie bezceremonialnie zarżnęli pięćdziesiąt wierzchowców kawalerii, a konina podtrzymała ich przy życiu, kiedy czekali na ratunek.

Brama, nad którą stał Marek, otworzyła się bez rozkazu i wysypali się przez nią legionieści Dziewiątego, aby ustawić się wzdłuż drogi prowadzącej do obozu. Marek rozpoznał wysokiego centuriona towarzyszącego konno pierwszemu manipułowi, jego spokojne wejrzenie i wyprostowaną postawę w siodle. Zbiegł z balustrady i przepchnął się na środek drogi, gdzie stanął, podpierając się pod boki i uśmiechając szeroko. Septymus natychmiast zauważył Marka. Wydał przez ramię zwięzły

rozkaz, aby *optio* zajął jego miejsce, po czym zszedł z konia i ostatnie kilka kroków przeszedł. Mimo zdecydowanego kroku widać było wyraźnie, że kuleje. Septymus poprosił o tymczasowe zwolnienie z *Aquili*, na co Duiliusz chętnie przystał; centurion załatwił sobie miejsce w awangardzie siły, która miała oswobodzić Makellę i Segestę, ponieważ chciał się osobiście wywiązać z obietnicy danej byłemu dowódcy.

Marek podszedł do Septymusa, wyciągając do niego rękę jak do starego przyjaciela.

– Witaj w Makelli, marynarzu – powiedział z uśmiechem.

– Wyglądasz na głodnego – odparł Septymus, ściskając dłoń centuriona i wspominając poprzednią okazję, kiedy wymienili ten gest, oraz przysięgę, która właśnie została spełniona.

Scypion przełknął kolejny łyk wina, kiedy dotarło do niego echo wiwatów ludzi zgromadzonych na odległym o pół mili Forum. Jego miejska rezydencja była pusta: służbę odprawiono, a strażników odkomenderowano na czas triumfalnego pochodu Gajusza Duiliusza. Wezbrała w nim nienawiść na myśl o konsulu, człowieku, który odebrał mu wszystko, co mu się słusznie należało. Wyraźnie pamiętał ich ostatnie spotkanie na pokładzie kartagińskiego okrętu flagowego, pogardę i obrzydzenie na twarzy Duiliusza, lekceważący ton, jakim kazał zaprowadzić Scypiona na pokład *Aquili*, nie zważając na

jego wyższą rangę. Przypomniwał sobie też podobny wyraz triumfu i zadowolenia na obliczu młodego kapitana Perennisa, stojącego wśród swojej zaprawionej w bojach załogi. Widok ten na zawsze wrył się w duszę Scypiona.

Pochód na Forum Magnum już się kończył, a tłum szalał, gdy Duiliusz maszerował triumfalnie po schodach do kurii. Dotrże na miejsce i senat ukoronuje go złotym wieńcem oliwnym, wiecznym symbolem jego zwycięstwa. Scypionowi zrobiło się niedobrze, kiedy sobie to wyobraził i pomyślał o osiągnięciach skradzionych mu za pomocą oszustw i zrad. W senacie padła nawet propozycja, aby w uznaniu dla zwycięstwa Duiliusza nadać mu *cognomen*, honorowy przydomek. Polityczni rywale Scypiona już obdarzyli go swoim przydomkiem: *Asina* – „osioł” – w nagrodę za jego haniebną porażkę pod Liparą.

Scypion wstał nagle, kiedy ktoś wszedł do pokoju. Była to Fabiola, jego żona. Podeszła powoli, z twardą, zimną miną. Wyjęła mu kielich z winem z dłoni i odstawiła go ostrożnie na stół.

– Zdradzono cię – powiedziała z prostotą.

Scypion kiwnął głową i usiadł z powrotem, znów wyciągając rękę po kielich.

Fabiola powstrzymała ten gest, chwyciła męża pod brodę i uniosła jego twarz, aby móc spojrzeć mu prosto w oczy.

– Zdradził cię ktoś z tego domu, jeden z niewolników, człowiek na usługach Duiliusza.

Scypion przemyślał te słowa.

– Wiesz kto to? – spytał.

– Tak, a on nie ma o tym pojęcia.

Scypion kiwnął głową, w lot pojmując kwestię. Jeśli zdrajca kryjący się wśród nich nie zdawał sobie sprawy, że znają jego prawdziwą tożsamość, Scypion mógł manipulować wiadomościami, które otrzymywał Duiliusz. Na tę myśl na jego twarz wypłynął uśmiech, który żona odwzajemniła. Scypion zamknął oczy, kiedy wiwaty na Forum osiągnęły kulminację. Odgłos ten przestał mu przeszkadzać. Pozwolił umysłowi skoncentrować się na twarzach jego wrogów, obliczach senatorów i pewnego kapitana, którzy drogo zapłacą za swoją nielojalność i zdradę.

Gisko zawył z bólu, kiedy jego prawą dłoń przebito drugim gwoździem. Oprawcy w milczeniu, sprawnie przywiązywali jego nadgarstki do poprzecznej belki, nie zwracając uwagi na groteskowe zachowanie ich podopiecznego. Hamilkar przyglądał się skazanemu admirałowi obojętnie, za zimnym wyrazem twarzy kryjąc odrazę, którą wzbudzał w nim ten wstrętny rytuał. Zaledwie kilka kroków dalej Boodes wydawał z siebie bezgłośny krzyk, kiedy garotę zaciśniętą dookoła jego szyi obrócono po raz ostatni. Upadł na ziemię, a jego nabrzmiały język był purpurowy w wyniku uduszenia. Dwaj strażnicy podeszli, podnieśli zwłoki byłego dowódcy i wrzucili je do ognia, który już trawił ciała

sześciu innych dowódców floty.

Uderzenia młotem trwały dalej: stopy admirała przybito do boków krzyża w pozycji, która miała utrzymywać tors w pionie i przedłużyć agonię. Krzyki admirała nie słabły, ponieważ siła, która prowadziła go przez życie, odmawiała mu ulgi, jaką byłaby utrata przytomności. Krzyż podniesiono i umocowano, a kiedy ciężar admirała przeniósł się w całości na jego zmasakrowane dłonie i stopy, stracił wszelkie resztki godności i zaczął błagać o śmierć.

Hamilkar zignorował krzyki, odwrócił się do niego plecami i spojrział na port. W Panormos stało na kotwicy dziewięćdziesiąt sześć galer, które uciekły z klęski pod Mylae; niewielka korzyść, biorąc pod uwagę stratę tak wielu innych. Hamilkar miał zamiar złożyć radzie raport dotyczący błyskawicznej egzekucji admirała – jego życie było tylko symboliczną pociechą – wraz z prośbą o natychmiastowe nadanie mu tytułu głównodowodzącego kampanii. Planował, że jego pierwszym posunięciem będzie wezwanie floty z Malaki na południowym wybrzeżu Iberii. Składała się ona ze stu dwudziestu galer i mogła dotrzeć na wody otaczające Sycylię w ciągu miesiąca.

Hamilkar odwrócił się ponownie do admirała, którego krzyki osłabły już do poziomu cichego ciągu nieskładnych jęków. Na chwilę można było odnieść wrażenie, że wróciły mu zmysły: spojrział za Barkasa, na rozgromioną flotę, którą kiedyś dowodził. Z jego trzewi

wyrwał się wyzywający ryk, niezrozumiałe słowa zrodzone z nieznanego uczucia. Hamilkar kiwnął głową, kiedy postanowił, jaki los spotka admirała. Następnego dnia rozkaże, aby złamano mu nogi, aby Gisko się udusił: ciężar jego ciała zgniecie mu płuca, a koniec nadejdzie szybko.

Barkas odprawił strażnika i wrócił plażą w stronę portu. Przeklinał Sycylię, czując do niej nową falę nienawiści, do jej jałowego wybrzeża i poszarpanych gór, tak odmiennych od żyznych terenów Kartaginy. Klęska pod Mylae stanowiła ciemną plamę na honorze jego miasta, plamę, którą czuł we własnym sercu i mógł zmazać ją jedynie rzymską krwią. Wróg był teraz gotów do ataku na Termini, drugi i ostatni port, który kontrolowali Kartagińczycy na północnym wybrzeżu. W następstwie zwycięstwa Rzymianie staną się nieostrożni, a ich pewność zaślepi ich na tyle, że uznają, iż Kartagińczycy są już właściwie pokonani. Hamilkar poprzysiągł sobie, że zniweczy to złudzenie.

Attyk spojrział na kartagińskie sztandary bojowe wyściełające schody do kurii, kiedy on i Duiliusz szli w górę, do zebranego senatu. Przypomniawszy sobie, kiedy i gdzie je ostatnio widział.

– Twoje miejsce jest w Rzymie, Attyku – powiedział nagle Duiliusz, a jego głos ledwo było słychać ponad nieustającymi wiwatami tłumu.

Attyk zerknął na idącego u jego boku konsula, na

którego twarzy malowały się dumą i wielkoduszność.

– Dołącz do mojego sztabu – ciągnął Rzymianin – a obiecuję ci, że miasto zawsze będzie u twoich stóp.

Patrzył Grekowi w oczy jeszcze chwilę, po czym ponownie zwrócił wzrok w górę. Pokonali kilka ostatnich stopni, a senatorowie się cofnęli, aby zrobić konsulowi miejsce pośrodku. Attyk poszedł za Duiliuszem, po czym się odwrócił i zabrakło mu tchu, kiedy napawał się widokiem tłumy Rzymian zebranych pod schodami do kurii. Miał u stóp całe miasto.

Nad kapitanem załamała się fala dźwięków, kiedy patrzył, jak Duiliusz otrzymuje od senatu złoty wieniec oliwny. Zamknął oczy w obronie przed wrzawą, a jego umysł zmienił ją w odgłos fal uderzających o dziób *Aquili*. W tym momencie zyskał pewność, że jego miejsce zawsze będzie na pokładzie rufowym jego galery, a oczyma duszy zobaczył czysty horyzont ponad jej dziobem, poczuł smak i zapach przesyconej solą bryzy od morza, usłyszał trzask płótna i olinowania, kiedy żagiel chwycił wiatr, a świetnie wyważony kadłub *Aquili* ciął białe grzywacze.

Attyk otworzył oczy, kiedy Duiliusz się odwrócił, aby przyjąć wyrazy uwielbienia ludu, lecz poczucie, że powinien być gdzie indziej, pozostało w jego sercu. Rzym nigdy nie będzie mu domem, lecz wiedział, że na razie jest z nim związany, a jego przyszłość zależy od miasta, które jego przodkowie uważali za wroga. Tak jak i *Aquila* nie był już samotnym wojownikiem mórz. Był teraz

dowódcą w rzymskiej flocie, a *Aquila* – okrętem Rzymu.

NOTA HISTORYCZNA

Pierwsza wojna punicka rozpoczęła się w 264 r. p. n. e., kiedy w obawie przed okupacją ze strony tyrana Syrakuz, Hierona II, mieszkańcy Messyny wysłali posłów do Rzymu i Kartaginy z prośbą o przymierze, które ochroniłoby ich miasto. Kartagina zareagowała pierwsza, przekonała Hierona, aby odwołał natarcie, po czym sama natychmiast zajęła miasto, założyła w nim garnizon i w praktyce przejęła nad Messyną kontrolę.

Rzymowi, który uważał, że konflikt między Syrakuzami a Messyną jest wewnętrznym sporem, reakcja zajęła sporo czasu. Jednak stała obecność kartagińskich oddziałów tak blisko Italii sprowokowała republikę do wysłania na Sycylię własnych zastępów. Był to pierwszy raz w historii, kiedy legiony rozmieszczono poza stałym lądem. Pod koniec 264 roku – po kilku porażkach – Hieron zawarł z Rzymem rozejm, który pozwalał Syrakuzom zachować niepodległość, lecz zabraniał ich siłom działać poza granicami miasta, położonego na południowo-wschodnim krańcu Sycylii. Konflikt przeobraził się w spór między Kartaginą i Rzymem, które rywalizowały o całkowitą kontrolę nad Sycylią.

W 262 roku Rzymianie rozpoczęli oblężenie Akragas. Zakończyła je po kilku miesiącach kartagińska flota, lecz w wynikłej bitwie lądowej zwyciężyli

Rzymianie i przejęli władzę nad miastem. Dowódca miasta, Hannibal Gisko, nie otrzymał nagany za tę porażkę, choć stratę Akragas uważano za spory cios.

Grecki historyk Polibiusz potwierdza, że Rzymianie faktycznie zbudowali całą flotę w ciągu dwóch miesięcy. Dla celów narracyjnych rzymska flota w powieści składała się w całości z triem, choć ogólnie przyjmuje się, że były to kwinkweremy o budowie opartej na przechwyconej kartagińskiej galerze. Dowództwo nad flotą otrzymał Gnejusz Korneliusz Scypion, starszy konsul w 260 roku, a Gajusz Duiliusz, młodszy konsul, rozporządzał armią.

Rzymskie zapisy mówią, że Kartagińczycy podstępem nakłonili Scypiona do popłynięcia z niewielkim oddziałem około dwudziestu galer do Lipary; konsul mylnie sądził, że miasto chce przejść na stronę Rzymu. Kartagińczycy, którymi dowodzili Gisko i Boodes, przygotowali zasadzkę, a niedoświadczone rzymskie załogi natychmiast wpadły w panikę i się poddały. Scypiona pojmano, a potem otrzymał *cognomen* „Asina” na znak swojego lekkomyślnego błędu.

Niewiele wiadomo o losach Gajusza Duiliusza sprzed 260 roku, kiedy to został wybrany na konsula. Był *homo novus*, nowym człowiekiem, jego pochodzenie więc nie miało historycznego znaczenia. Po tym, gdy Scypiona schwytano pod Liparą, Duiliusz otrzymał dowództwo nad nową flotą i poprowadził ją do bitwy pod Mylae.

Nastąpiła ona pod koniec 260 r. p. n. e. Siły obu stron były dość zrównoważone, choć Kartagińczycy się spodziewali, że ich większe doświadczenie pozwoli im zwyciężyć. Nie wiadomo, kto wynalazł kruka, lecz urządzenie to było podobne do opisanego w książce. To ono zapewniło rzymskiej flocie jej pierwsze zwycięstwo, umożliwiając użycie na morzu świetnych rzymskich żołnierzy.

Po bitwie pod Mylae Gisko uciekł, choć jego okręt flagowy – wraz z połową całej floty – przepadł. Pozostałe kartagińskie galery umknęły na Sycylię, gdzie admirałowi odebrali dowodzenie jego ludzie. Następnie został ukrzyżowany za swoją nieudolność. Zastąpił go dowódca o imieniu Hamilkar, choć nie był to Hamilkar Barkas, jak w powieści.

Wprowadziłem go do opowieści na tym wcześniejszym etapie wojny dla celów narracyjnych.

Wróciwszy do Rzymu, Scypion popadł w niełaskę, lecz jego kariera się nie skończyła, a po jakimś czasie wrócił do władzy. Zwycięskiego Duiliusza nagrodzono triumfalnym pochodem i ustawieniem na Forum kolumny ku jego czci. Jej pozostałości są przechowywane w Muzeum Kapitońskim w Rzymie. Choć zapewnił Rzymowi jego pierwsze zwycięstwo na morzu, nigdy potem nie dowodził już flotą.

Struktura dowództwa na pokładzie rzymskiej galery odpowiadała opisowi w książce: dzielili się nim kapitan statku i centurion piechoty morskiej. Konieczne było do

tego zachowanie subtelnej równowagi, partnerstwa między zawodowymi dowódcami, ludźmi takimi jak Attyk i Septymus.

Bitwa pod Mylae była dla Rzymu istotnym zwycięstwem, lecz Kartagińczycy wcale nie zostali w niej rozgromieni. Przegrupowali się i ponownie rzucili wyzwanie *classis Romana*. Niedługo potem dwie floty spotkały się w największej morskiej bitwie świata starożytnego, bitwie u przylądka Eknomos.